

Shirley Lowe, Angela Ince

ZAMIANA

Część pierwsza

Anna

Kiedy o osiemnastej wbiegam na stację, pociąg z Tisbury do Waterloo właśnie rusza z miejsca. Dopadam najbliższego wagonu, gwałtownym szarpnięciem otwieram drzwi i wrzucam walizkę, prosto w ramiona mężczyzny w szarym garniturze z flaneli. Zręcznie ją łapiąc, mężczyzna także mnie wciąga i żartobliwie wykrzykuje:

- Hej, co pani wyrabia?! - Po chwili jednak, widząc moją zapłakaną twarz, dodaje: - No, już dobrze.

Pomiędzy Salisbury i Andover mężczyzna przedstawia się: nazywa się Philip Gilham, pracuje jako adwokat w Londynie i właśnie wraca od klienta, który wpadł w tarapaty. Ja też się przedstawiam: jestem Anna Forester - Jones i jadę do Londynu do matki, u której mam się zamiar na jakiś czas zatrzymać. Nie wspominam o swoich tarapatach, a mianowicie, że mój mąż mi właśnie oznajmił o zamiarze poślubienia atrakcyjnej aktorki, Felicji Harman, tym samym pozbawiając mnie roli kochanki, gospodyni domowej i matki. Pan Gilham podczas rozmowy przygląda mi się badawczo. Nagle podrywa się i proponuje mi drinka.

- Dżin z tonikiem? Whisky? Brandy?

- Raczej kieliszek białego wina, jeśli w ogóle mają tu wino - odpowiadam.

Podróżując pociągiem nie umiem się oprzeć fantazjom w stylu Orient Expressu - o tym, jak spotykam wysokiego bruneta, przystojnego i pociągającego, i jak nieodparcie ulegam namiętności pośród ogłuszającego, miarowego stukotu kół pociągu Kolei Brytyjskich. Jestem niemal zgorszona, kiedy nagle przyłapuję się na tym, że obserwuję pana Gilhama jak potencjalnego kochanka, choć przecież właśnie opuściłam męża i troje dzieci, a moje życie legło w gruzach.

Rzecz w tym, że wszystko wydaje się jakieś nierealne, jakby się w ogóle nie zdarzyło. Od chwili, kiedy Antony wczesnym popołudniem przyjechał nieoczekiwanie do domu, czuję się, jakbym występowała w mydlanej operze, grając rolę pokrzywdzonej żony, która wygłasza wszystkie te pełne frazesów kwestie znanego scenariusza.

Antony podszedł do barku i zaczął bezmyślnie przestawiać butelki i szklanki, żeby nie musieć na mnie patrzeć. Wreszcie odezwał się:

- Wiesz, Anno, że bardzo cię lubię.

- No tak, domyślałam się... - W tej chwili jedno wiedziałam: że po szesnastu latach małżeństwa mój mąż nie jechał samochodem taki szmat drogi, żeby mi powiedzieć, jak bardzo mnie lubi.

Lubi? To podstępne słowo, które zazwyczaj oznacza: „Nie Kocham cię i zaraz powiem ci coś bardzo przykrego”.

- Lubisz? - zdziwiłam się. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Antony podał mi drinka i opadł na kanapę. Wpatrywał się z przejęciem w szklanekę. Wyglądał okropnie. Miał pomięte spodnie i potargane włosy, wymizerowaną twarz, jak gdyby od wielu dni nie spał i nie zmieniał garnituru. Pociągał duży łyk whisky i wypowiedział to, co w tym momencie już wiedziałam:

- Poznałem kogoś, Anno. Kocham... wiesz... bardzo się kochamy.

Staralam się nigdy nie przegapiać takich filmów w telewizji. Ale tym razem nie chodziło o odfajkowanie w programie „Radio Times” czegoś wartego obejrzenia, lecz o moje własne życie.

Przez moment czułam jedynie wściekłość. Jak Antony może przekreślać szesnaście lat małżeństwa dla przelotnego romansu? Co z dziećmi, Sarą, Markiem i Emmą? Co z naszymi psami, Larkspur, Ladysmith i kochaną starą Sadie? A Rocketa? Mój Boże, kto się zaopiekuje żrebakiem? I co z moimi roślinkami, które tak obiecująco zaczęły kiełkować na parapecie okiennym w kuchni, na potwierdzenie przyszłości i pór roku krążących w ich wnętrzu i powracających odwiecznym zwyczajem, gdy przyjdzie na to czas. Jak mógł tak postąpić? Poświęcić to wszystko dla... zwykłej miłości?

Antony mylnie zrozumiał moje łyzy i, niezgrabnie, po ojcowsku, zaczął mnie poklepywać po ramieniu. Chciałam strząsnąć jego rękę, uderzyć go, ale byłam tak odrętwiała, że nie mogłam się poruszyć.

- Och, Anno, Anno - odezwał się. - Nie chciałem cię skrzywdzić. Nie chciałem tego, przysięgam.

- Kto to jest? - pytam warkliwie.

- To Felicja - odpowiada Antony, a kiedy wymawia to imię, jego twarz na ułamek sekundy rozjaśnia wyraz błogości. - Nie pamiętasz? Felicja Harman. Jej mężem jest Donald Harman, ten amerykański bankier, który polecił mnie w Amerykańskiej Izbie Handlowej. A potem zaprosiliśmy ich do boksu w Ascott. Nie pamiętasz? Poznaliśmy ich u Morrisonów, jakieś... no, chyba jakieś półtora roku temu.

Wzruszająco wyglądał udając, że niezbyt dokładnie pamięta datę, która z pewnością jest wyryta w jego sercu drukowanymi literami.

Czy pamiętam Felicję Harman? Pewnie, że tak. Jest ładna, dowcipna, szczupła: rozmiar - dziesięć, niech ją szlag. Tego straszego dnia w Ascott wyglądała wyniośle i nienagannie w eleganckim kostiumie khaki. Lekko sunęła do paddocku w praktycznych pantofelkach, w kapeluszu, który trzymał się na głowie mimo wiatru, i zdawało się, że w ogóle nie zmokła, chociaż padało. Moje pantofle na wysokich obcasach zapadały się w darni, suknia, która świetnie się prezentowała na wystawie w „Yolandzie”, widziana z okien samochodu w drodze do szkoły, teraz, wilgotna, oblepiła mi uda, a kapelusz z szerokim rondem sfrunął, kiedy wystawiłam głowę z boksu.

- Ta dziwka - warknęłam. - Ta głupia, wulgarna aktoreczka. Naprawdę mogłeś wybrać lepiej.

- Lepiej? - zdziwił się Antony. - O, nie. To ja nie jestem dość dobry dla niej, Anno. Ani dla ciebie - dodaje pośpiesznie i zaczyna opowiadać dużo więcej, niż chciałam usłyszeć, o tym, jaką to Felicja jest wspaniałą aktorką.

- To prawdziwa artystka. Urodzona aktorka... - I dalej o rosnącej, wzajemnej fascynacji, której żadne z nich nie umiało się oprzeć.

Opowiadał wylewnie o ukradkowych spotkaniach i późniejszych poważnych rozmowach, co dalej.

- Nie mieliśmy takich zamiarów. Naprawdę. Nie chcieliśmy, żeby sprawy zaszły tak daleko.

Zdaje się, że wszyscyśmy wpadli przez Toma Harmana, dwudziestopięcioletniego syna Donalda z pierwszego małżeństwa, który natknął się przypadkiem na swoją macochę i Antony'ego w jakiejś zapadłej trattorii - „Nasza restauracja”, wyjaśnił Antony - gdzie miał okazję widzieć, jak Antony z uniesieniem całuje jeden po drugim, paluszki Felicji, i nie omieszkał donieść o tym ojcu.

Kiedy Felicja wróciła do domu, Donald zażądał wyjaśnień, na co Felicja wybuchnęła płaczem i wyznała, że jest zakochana w Antony'ym.

- Ona nie należy do ludzi, którzy potrafią kłamać - powiedział z dumą Antony - i Donald wyrzucił ją z domu. Uderzył ją, Anno. Nigdy bym go o coś podobnego nie posądzał. Wygląda na takiego przyzwoitego faceta. Ale miała siniaki na ramionach i czerwony ślad na twarzy... - Antony potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić tę myśl.

- Wyrzucił ją, Anno, tak jak stała. Nie wiedziała dokąd pójść, co robić, więc przyszła do mnie, do mojego mieszkania. Wszystko tam omówiliśmy zeszłej nocy i... O Boże... Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Ale chyba oboje zrozumieliśmy, że nie umiemy bez siebie żyć; chcemy być razem. - Zmusił się, żeby spojrzeć mi w oczy. - Chcę rozwodu, Anno, chcę się ożenić z Felicją.

- Przyszła do ciebie? - Nie dopuszczałam do siebie myśli o rozwodzie i powtórnym ślubie Antony'ego. - Do twojego służbowego mieszkania? To musiała być prawdziwa niespodzianka dla pani Haskin.

Pani Haskin jest dozorczynią i mieszka na poddaszu nad agencją Antony'ego, śledzi wszystkich członków rady nadzorczej, przebywających w Londynie w ciągu tygodnia i ma - zwyczaj zjawiać się o świcie w ich sypialniach z filiżanką herbaty.

- Felicja schowała się w łazience, kiedy przyszła pani Haskin - wyjaśnił Antony. - A potem, kiedy odeszła, szybko wyszliśmy.

- A dokąd to wyszliście?

- Ja musiałem iść do biura. Wiesz, miałem dziś rano wielką prezentację dla producentów zdrowej żywności, wiesz, reklama muesli. - Antony zawsze zakładał, że znam, chyba za sprawą jasnowidzenia, jego codzienne obowiązki zawodowe. - Felicja poszła do „Harrodsa”.

- Do „Harrodsa”?

- No, tak. Musiała sobie kupić trochę rzeczy. Przecież miała tylko to, w czym wczoraj wieczorem wyszła z domu, a ja nie miałem zamiaru pozwolić, by powróciła do St John's Wood, do tego bydlaka...

- Gdzie ona teraz jest?

- W drodze do nas. Och, proszę cię, Anno, bądź rozsądna. Nie było wyjścia. Wiesz dobrze, że ostatnio nie byliśmy... szczęśliwi, no... niezupełnie, więc pomyślałem, że gdybyśmy sobie usiedli i omówili wszystko jak... jak cywilizowane istoty ludzkie...

I właśnie wtedy wykrzyczałam mnóstwo niewybaczalnych rzeczy, od czego poczułam się jakby trochę lepiej, po czym wbiegłam do swojego pokoju i wrzuciłam parę niezbędnych rzeczy do walizki.

- Anno, przecież nie możesz tak po prostu odejść. Kiedy otwierałam wyjściowe drzwi, Antony stał w hallu, nadal trzymając w ręku szklanekę z whisky. Obok niego stał wózek dla lalek. Miałam nadzieję, że się o niego potknie.

- Nie możesz tak po prostu odejść. Co z dziećmi?

- Co z dziećmi? Nie pomyślałeś o nich, zdaje się, kiedy flirtowałeś z tą zdzirą.

- Ale co z obiadami? Szkołą? Kto będzie je odwoził do szkoły? I przywoził?

- Jenny Balfour - odparłam - a pani Simmons może się zająć domem. Jak wtedy, kiedy mnie zaciągnąłeś na jedną z tych twoich nudnych konferencji, żebym pełniła rolę wzorowej żony. Znajdziesz ją w spisie pod „P”, jak „Pomoc”. - I wyszłam z domu.

- Mam nadzieję, że będzie dobrze. Obawiam się, że to jednak zbyt skromnie. - Philip Gilham obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem. - Czy pani na pewno dobrze się czuje? Może jednak coś mocniejszego? Wygląda pani na przygnębioną.

- Naprawdę dziękuję. Nic mi nie jest. To tylko zmęczenie.

Dziwne, nie odczuwam już ani smutku, ani też złości. Jakbym się uwolniła od powłoki cielesnej. W ciągu tych paru ostatnich godzin wszystko stało się nierealne i jakoś nie umiem myśleć o przyszłości. Nie obchodzi mnie nawet, że mój niespodziewany przyjazd zburzy ład skrupulatnie zaplanowanego życia mojej matki. Mama nie znosi niespodzianek.

- Na Boga, Anno, jest bardzo późno. Co ty tu robisz o tej porze?

Kiedy przyjechaliśmy na dworzec Waterloo, Philip Gilham odprowadził mnie do taksówki i, chociaż byłam, jak wypada, powściągliwa, kiedy zaproponował mi wspólny lunch, oboje wiedzieliśmy, że dałam mu sposobność odszukania mnie, podając taksówkarzowi adres matki.

Zerkając przez uchylone drzwi, matka dostrzegła walizkę w mojej ręce.

- Wybierasz się dokądś, kochanie? Wyjeżdżasz? A gdzie Antony? - zapuszcza wzrok w głąb uliczki za moimi plecami. - Nie ma go z tobą?

- Odeszłam od Antony'ego.

- Odeszłaś? Właśnie przed chwilą?

- Wyjaśnię ci, jeśli mnie wpuścisz - odpowiedziałam chłodno.

- Tak, tak, oczywiście. - Matka zdejmuje łańcuch z drzwi. - Właśnie kończę nową powieść Jilly Cooper. Jest strasznie zabawna. Spodoba ci się, ale... och, nieważne... Mogę dokończyć później.

Sadza mnie na kanapie obitej kretonem i natychmiast znika w kuchni, żeby zrobić herbatę.

- Filiżanka herbaty dobrze ci zrobi - mówi, ale tak naprawdę rytuał parzenia herbaty potrzebny jest jej po to, by jakoś znieść to zakłócenie ustalonego porządku jej dnia.

- A teraz, kochanie... - Stawia na stolę tacę, pozornie pogodzona z obrotem spraw. - Teraz mów, co się stało.

Kiedy opowiadam, nie gram już żadnej roli. Wszystko jest prawdziwe, aż do bólu.

- Moja biedna córeczka. Och, Anno, kochanie, jakie to potworne... - Z oczu płyną mi łzy żalu. - Ale co ty teraz zrobisz? Co zrobisz?

Co zrobię? Nazajutrz rano, po nie przespanej nocy w pokoju gościnnym, z deską do prasowania w kącie dla odstraszenia gości przed dłuższym pobytem, nadal nie mam pojęcia, co zrobię.

Rozwód? Nie sądzę, bym go jeszcze kochała. Ale nie mam zamiaru porzucić moich dzieci.

Felicja

Nigdy w życiu tak nie zmarzłam. Szukam pod tym śmiesznym pretekstem ognia. O Boże, co ja tu robię?

Przysuwam niewygodne krzesło bliżej ognia, co jednak niewiele pomaga. Zdejmuję buty i siadam na krześle z podkulonymi nogami. Naprawdę, bardzo lubię psy, choć właściwie niewiele miałam z nimi do czynienia. Najbardziej lubię małe pieski, które można brać na ręce, co jest bardzo wygodne w podróży.

Ale nie miałabym ochoty brać na ręce żadnego z tych tutaj.

W pokoju są dwa labradory, jeden czarny, drugi żółty, i przyglądają mi się nieufnie. Żółty ma najeżoną sierść na grzbiecie. Dlaczego w tym domu nikogo nie ma? Gdzie jest Antony, na litość boską?

Chrząkam i szepczę przymilnie:

- Hej, dobre pieski.

Czarny labrador wydaje ciężkie westchnienie i kładzie się na podłodze. Żółty zaczyna warczeć, jak gdyby właśnie potwierdziły się jego najgorsze przeczucia.

Dobrze przynajmniej, że trzymają się z dala ode mnie. Krępy piesek o złośliwym pysku, ważący co najmniej tonę, zarzuca łapy na

oparcie krzesła obok mnie i czyni energiczne i, ostatecznie uwieńczone sukcesem, wysiłki, by usiąść mi na kolanach. Jego łapy, trudno nie zauważyć, są okropnie zabłocone.

- Larkspur, jak śmiesz?

Jakie piękne dziecko. To na pewno trzynastoletnia Sara. O ile pamiętam ta, o której Antony mówił, że sprawia najwięcej kłopotów.

- Złaż stamtąd natychmiast!

Nie mam złudzeń, że dziewczynka robi to nie z troski o stan mojej spódnicy; z jej tonu wynika, że przyłapała psa, jak się wyleguje na szczycie wyjątkowo paskudnego śmietnika.

- Ty musisz być Sara.

- Muszę? Skoro pani tak mówi - odpowiada obojętnie.

- Chodź tu. Niedobry pies.

Larkspur zsuwa się z moich kolan, zostawiając mi na spódnicy tyle ziemi, że wystarczyłoby na posianie słoneczników, i czołga się skruszony w stronę Sary.

- Jest bardzo posłuszny, prawda? - pytam, czując do siebie odrazę, za to, że zwracam się do tego dziecka, jakbym

- tak mógłby to ocenić ktoś postronny - miała zamiar prosić o pożyczanie dużej sumy pieniędzy.

Sara rzuca mi pogardliwe spojrzenie; prawie na pewno zaledwie pierwsze z tysiąca.

- Ona - odpowiada. - W tym domu są same suki. Słowa: „a dzisiaj przyjechała jeszcze jedna”, choć nie zostały wypowiedziane głośno, tak wyczuwalnie zawisły w powietrzu nad nami, że miałam wielką ochotę uderzyć tę miłą panienkę.

W pokoju pojawia się kolejny pies; ciekawe czy to już ostatni. Ten jest biały i bardzo stary, ma niewidome alabastrowe ślepia i podryguje na wykręconych artretyzmem łapach. Zmierza instynktem w stronę kominka, wpadając po drodze na moje krzesło, łapy załamują się pod nim i ze skowyttem przewraca się.

- Moje biedactwo - mówi Sara rzucając się w stronę psa i podnosząc go z podłogi. Pies warczy z niewdzięcznością i próbuje ugryźć ją w rękę, choć jego zęby, co widać wyraźnie, już od dawna nie mogą uczynić żadnej krzywdy.

- Ladysmith jest bardzo stara i całkiem ślepa - wyjaśnia Sara, zwracając się do obrazu nad kominkiem. - Zna wszystkie drogi na pamięć, więc tu nie wolno przesuwac żadnych mebli.

Patrzy na mnie oskarżycielsko, a ja posłusznie przesuwam krzesło na poprzednie miejsce. Kto by pomyślał, że Larkspur i ja jesteśmy tak samo wytresowani.

- Chodźcie pieski.

Wychodząc z pokoju Sara mruczy półgłosem do Ladysmith stosując to osobliwe natężenie głosu, doprowadzone do perfekcji przez trzynastoletnie dziewczynki na całym świecie, dające im pewność, że obrażany dorosły wszystko świetnie słyszy, a zarazem że brzmi to na tyle niewyraźnie, by sprowokowane mogły natychmiast otworzyć szeroko oczy udając niewiniątko.

- Co, ta wstrętna cudzołożnica przesunęła krzesło i biedna stara Ladysmith stłukła sobie nosek? Nie martw się, aniołku. Ona nie zostanie tu długo.

Po chwili, gdzieś w pobliżu Sara mówi czystym, donośnym głosem; chyba zdaje relację z naszego spotkania swojemu bratu i siostrze.

- Okropna. Po prostu straszna. Nie ma żadnego pojęcia o psach. Przestraszyła się Larkspur, która próbowała się tylko zaprzyjaźnić. Mam nadzieję, że nie przywlokła tu jakiejś zarazy... Farbowane włosy... tapeta na twarzy... paskudne londyńskie ciuchy...

Urażona spoglądam na moją nienaganną tweedową spódnicę od Jaegera (która została kupiona specjalnie na tę okoliczność i kosztowała mnie majątek), brązowe buty na płaskim obcasie, prążkowane pończochy, na ciemnozielony kaszmirowy sweter i pojedynczy sznur pereł. Jeśli to nie jest wytworne, to co u licha jest wytworne? Mam na sobie, jeśli chodzi o ścisłość, prawie dokładnie to samo, co nosiłam grając lady Jakałtam w komedii obyczajowej z wyższych sfer i nikt mi wtedy nie zarzucał, że źle wyglądam.

W drzwiach pojawia się dwójka młodszych dzieci, jakby chciały się na własne oczy przekonać o prawdziwości makabrycznej relacji Sary.

Mark, który, zdaje się, ma dziesięć lat i wygląda na nadaktywnego ruchowo (typ chłopca, który krąży wokół ludzi, pytając, czy chcą mocnej pięści, po czym wali ich w plecy), rzuca się na kanapę z takim impetem, że przesuwają ją parę centymetrów w stronę okna.

- Sądziłam, że wszystkie meble muszą stać dokładnie na swoim miejscu - odzywam się chłodno.

Nikt się nie kwapi z odpowiedzią na tę, trzeba przyznać, niemądrą uwagę.

Emily (ośmioletnia, bardzo wrażliwa, jak mówił Antony, podczas jednej z naszych długich intymnych kolacji we włoskiej restauracji. Boże, jakie to wszystko zdaje się odległe), sunie do pianina i kładzie się pod nim obok - mogłam się czegoś podobnego spodziewać - następnego cholernego kundla. Dziewczynka płacze, a pies ze współczuciem wylizuje jej twarz, co w myśli uznaję za raczej mało higieniczne, jednakże nie mam najmniejszego zamiaru wypowiadać tego na głos.

- Och, jaki piękny widok. - Do pokoju pośpiesznie wchodzi wreszcie Antony. Ma zamiar powiedzieć coś bardzo głupiego.

- Zaprzyjaźniliście się już? Poznałaś dzieci, kochanie? To świetnie. Trzeba dorzucić do ognia. Mark, czy mógłbyś?... Saro, bądź tak miła i postaw czajnik. Emmy - Wemmy... - Nic dziwnego, że dziecko jest znerwicowane, skoro tak je nazywają. - Co ty robisz pod pianinem, kochanie?

- Płacze - odpowiada Sara, wychodząc z pokoju - jak dzieci z rozbitych domów, naturalnie.

Antony patrzy na mnie z ironicznym uniesieniem brwi. Tym razem wydało mi się to mniej pociągające, niż w naszych włoskich restauracjach. Uważam, że jest straszliwie głupi. W tej chwili wolę Sarę, która, zdaje się czerpie swoją tajemną wiedzę z książek Toma Stopparda.

Ponownie zadaję sobie pytanie, co ja tu właściwie robię. To nie mój świat. W domu panuje lodowaty ziąb, a na dworze nie widać nic prócz paru mokrych drzew i czarno - białego konia, który nerwowo skubie trawę, strzygąc uszami.

Jak to się stało? Moje życie rozdarło na dwoje - odeszłam od męża, który mnie nigdy nie skrzywdził (no, poza tym ostatnim incydentem), porzuciłam Laure i Harry'ego, dwie najdroższe mi w świecie istoty. I (a kocham wygodę) zamieniłam mój cudownie ciepły i wytworny dom w St. John's Wood na to ogromne stylowe, lodowate domiszczce.

Założę się, że tu jest tylko jedna łazienka i, że położona jest w końcu jednego z korytarzy i, że ma zepsuty zamek w drzwiach, tak by za każdym razem, słysząc w pobliżu czyjeś kroki, trzeba było wołać ze środka „Przepraszam, zajęte”.

Spotykaliśmy się z Forester - Jonesami od kilku lat. Donald poznał Antony'ego na jakiejś uroczystości, zdaje się, że na lunchu wydanym przez Izbę Handlową, i nawet go polubił, choć nie rozumiem dlaczego, bo trudno o dwóch ludzi bardziej odmiennych niż oni. „Idę na lunch z tym Forester - Jonesem” - Donald informował za każdym razem. - „Wiesz, jest bardzo bystry” - słowo „bystry” w odniesieniu do mężczyzny jest w ustach Donalda dowodem najwyższego uznania, tak jak „energiczna” w przypadku kobiety, którą akceptuje. Myślę, że ja jestem energiczna - co za przygnębiająca myśl.

Annę poznałam dopiero, kiedy Antony zaprosił nas do swojego boksu w Ascot. Donald przedstawił to tak:

- Antony Forester - Jones zaprosił nas, żebyśmy poszli z nim na zawody o Złoty Puchar - powiedział raczej niechętnie. - Wolałbym od razu pójść do Moss Brothers.

Wystarczyło parę sekund, byśmy, Anna i ja, uznały, że wszystko nas dzieli. Miała na sobie jedwabną suknię bez wyrazu, której wprawdzie nic nie można było zarzucić, ale trudno też ją zauważyć; tymczasem ja włożyłam kostium khaki z ciemnoróżowymi dodatkami. Jej włosy były świeżo umyte i uczesane, ale przez kogoś, kto bierze za to trzy funty. Moje układał na szczytkę niezrównany Robert. Jej dłonie - pamiętam, co pomyślałam: „Jak kobieta może mieć tak mało szacunku dla siebie?” - miały krótkie nieforemne paznokcie, pociągnięte, dość nierozsądnie, ciemnoczerwonym lakierem; i trudno było nie zauważyć, że również opuszki palców miała zabrudzone lakierem.

Także rozmowa nie ujawniła żadnego pokrewieństwa dusz.

- Czyż konie nie są piękne? - zapytała Anna. Na razie nie przyglądałam się jeszcze koniom.

- Proszę spojrzeć na kapelusz tej kobiety - powiedziałam. - Musi być albo szalona albo ślepa.

Anna zaczęła nerwowo poprawiać swój granatowy kapelusz słomkowy z podniesionym rondem, w którym nawet Marilyn Monroe wyglądałaby na poskromioną.

- Trochę tu głośno - stwierdziła. - Antony mówił mi, że macie piękny dom. Czy jest też ogród?

- Tylko - odpowiadam - coś w rodzaju patio z jakimś zielskiem. Zdaje się, że pani lubi pracę w ogrodzie. - Bezpieczne pytanie: z

takimi rękami jej hobby musiało być albo ogrodnictwo, albo przetrząsanie gnoju w poszukiwaniu skarbu.

- Och, bardzo - i podryfowała, rozwodząc się na temat pór kiełkowania, przycinania i siania żonkilów pod drzewami jabłoni.

Naprawdę nie potrzebowałam w tym czasie żadnego romansu. Byłam bardzo szczęśliwa z Donaldem i dwójką naszych cudownych dzieci. Ale nawet gdyby było inaczej, Anna skutecznie odstręczyłaby mnie od Antony'ego. Nie mogłabym zainteresować się mężczyzną, który wybrał życie z tą kluchą bez wyrazu.

Od czasu do czasu jadaliśmy kolację z Forester - Jonesami w pied - a - terre Antony'ego nad jego biurem, raz czy dwa razy przyjechali też do nas na wieś. Było zawsze miło i nudno, i wcale bym się nie przejęła, gdyby na tym się skończyło.

Aż do dnia, kiedy pojawiłam się w studiu TV, żeby kręcić reklamę i okazało się, że zleciła ją agencja Antony'ego, który też przyszedł, żeby - jak się cynicznie wyraził - mieć pewność, że towar przez cały czas będzie na planie. Na drugi dzień zaprosił mnie na lunch. Tak bardzo chciałam powiedzieć „tak”, że przezornie powiedziałam „nie”. Tego wieczoru Donald nie wykazał większego zainteresowania tym, jak mi poszło w pracy. Powiedział jedynie, co mnie bardzo dotknęło:

- Chyba nie masz zamiaru, kochanie, udawać, że to prawdziwe aktorstwo? Ale to bez znaczenia, dopóki bawi cię ta praca.

Kiedy próbowałam mu wyjaśnić, że brytyjskie reklamy są lubiane na całym świecie, mruknął znad „Economisty”:

- Skoro tak mówisz, kochanie.

Tak więc następnego dnia bez skrupułów przyjąłam kolejne zaproszenie, tym razem na kolację. Nim dotarliśmy do kawy i brandy, przepadliśmy oboje.

Anna

Kiedy się poznaliśmy Antony był samodzielnym pracownikiem w jednej z tych agencji ogłoszeniowych, które zmieniają nazwy wraz ze zmianą zarządu. Pięć lat temu, kiedy został prezesem i dyrektorem zarządzającym firmy, jej nazwa rozrosła się do „Forester - Jones, Friend, Lock, Baker”; ale osiemnaście lat temu, kiedy byłam sekretarką Antony'ego, nazywała się krótko „Friend & Lock”.

Nie miałam zamiaru być sekretarką. Zawsze chciałam zostać dziennikarką: angielski był jedynym przedmiotem, z którego miałam dobre stopnie. Ale mój ojciec, rozsądny księgowy - który zmarł siedem lat temu, przezornie porządkując przedtem wszystkie swoje sprawy - uznał dziennikarstwo za zbyt ryzykowny zawód. „Wybierz wydział sekretarski - powiedział - a zawsze znajdziesz jakąś pracę”. Wielu rodziców radziło tak swoim dzieciom na początku lat sześćdziesiątych.

Z college'u dla sekretarek skierowano mnie do firmy „Friend & Lock”. Zaczęłam się wtedy ubierać na niebiesko, ponieważ mężczyzna, w którym byłam zakochana do szaleństwa, powiedział, że niebieski pasuje do koloru moich oczu.

- Ciekaw jestem, czy zdaje sobie pani sprawę - powiedział Antony, patrząc na mnie z uznaniem znad biurka - że ta sukienka w niezwykle sposób podkreśla kolor pani oczu.

Antony był starszy ode mnie o dziewięć lat i był wyjątkowo wyrafinowany, co mi bardzo imponowało. Miał w tym czasie długie kręcone włosy, sięgające kołnierza, podczas gdy „porządni” mężczyźni nadal strzygli się krótko, wynajmował mieszkanie w Chelsea do spółki z młodym adwokatem, który pił zielonego Chartreuse'a w takich ilościach jak inni młodzi ludzie piwo.

Przez ponad rok pracowaliśmy razem, razem jedliśmy, razem słuchaliśmy muzyki rockowej, nawet na weekendy wyjeżdżaliśmy razem; ale nie sypialiśmy ze sobą. Wychowano mnie w przekonaniu, że przyzwoita dziewczyna nie robi tych rzeczy. „Nie, nie - wykrzykiwałam, odpychając Antony'ego w samochodzie, to znów na kanapie w domu. „Nie, nie, bo przestaniesz mnie szanować”. Boże, jaką ja byłam kołtunką. Wreszcie Antony był zmuszony się oświadczyć. A wówczas powszechny obyczaj zezwolił mi również sypiać z nim.

- Czy było ci dobrze? Czy ziemia się poruszyła? - pytał Antony żartobliwie.

Choć rozczarowana, że ziemia pozostała nieruchoma, nie chciałam mu tego mówić. Aż do czasu, kiedy wygłupiałam się z cuchnącym nieziemsko żelem antykoncepcyjnym i zawodnym kapturkiem, uprawianie prawdziwego seksu było nawet mniej podniecające niż nasza gimnastyka w samochodzie.

Po ślubie przeniesiono mnie do księgowości, ponieważ szef uważał za niewłaściwe, by mąż i żona pracowali razem. Przez ponad dwa lata przepisywałam na maszynie faktury, sprzątałam, prałam i prasowałam, wydawałam nocne przyjęcia ze smakołykami udającymi francuską kuchnię i tanim algierskim winem.

Porzuciłam wszelką myśl o dziennikarstwie, czy nawet pisaniu tekstów reklamowych. Byłam zbyt zapracowana, aby zająć się robieniem kariery zawodowej. Moim zawodem stał się Antony. Kiedy Antony dowiedział się, że jestem w ciąży, natychmiast uznał, że Londyn nie jest odpowiednim miejscem na wychowywanie dzieci. Kupiliśmy więc White Walls, osiemnastowieczny dom pod Tisbury. Antony zapewne wyobrażał sobie siebie jako dżentelmena na włościach, który zajmuje się wędkowaniem, jazdą konną i polowaniem z ogarami. Tymczasem jednak musiał się zająć usunięciem spróchniałego sufitu, pokryciem dachu nową dachówką, położeniem tarasu na tyłach domu i otynkowaniem ścian w ośmiu pokojach. To był ogromny, stary dom, który, aby utrzymać go w dobrym stanie, wymagał całego zespołu różnego rodzaju fachowców oraz armii służby. Tymczasem Antony wszystko robił sam ze mną w roli pomocnika tynkarza i hydraulika i w ogóle popychadła, na które się krzyczy, gdy nie trzyma prosto drabiny i gdy w lodówce nie ma nic na kolację.

Kiedy trzy lata po Sarze urodził się Mark, Antony był już całkiem wyczerpany pracą fizyczną, uciążliwym codziennym dojeżdżaniem do Londynu i tym, że wszędzie się poruszamy z nosidełkiem i pieluchami.

- Może przeprowadzimy się z powrotem do miasta? - pytałam. - Może do Kentisk Town albo Irlington? Przecież stać nas na to.

- Bzdura - odpowiedział Antony - kocham wieś. Więc ja zostałam w Wiltshire, Antony zaś przeprowadził się do mieszkania w Londynie i przyjeżdżał do domu w piątki wieczorem, w garniturze. Stał się dorosłym intruzem w moim dziecięcym świecie Piotrusia Pana i Czerwonego Kapturka, miłych pogawędek z innymi matkami pod żłobkiem o przyzwyczajaniu naszych pociech do nocnika i o tym, kiedy przeszły z przecieranych zupek na stałe pokarmy.

Na początku starałam się jeszcze trzymać fason. Wyszukałam panią Simmons, która zajmowała się wszystkim, kiedy jechałam do

Londynu na zakupy i do fryzjera. Zostawiłam u Antony'ego i wychodziliśmy do teatru lub na kolację, i było prawie jak dawniej.

Kiedy urodziła się Emma, wszystko się zmieniło. Cały czas czułam się okropnie zmęczona. Kiedy Antony wracał do domu na weekendy, w salonie nie pachniały już świeże kwiaty z ogrodu, a dzieci nie były w porę kładzione do łóżek.

- Czy nie możesz uciszyć tych dzieciaków? - pytał rozdrażniony, potykając się o zabawki w salonie i plastikowe łódki w łazience.

W domu zawsze panował bałagan, choćbym nie wiem jak często sprzątała, stosy brudnej bielizny piętrzyły się w kuchni i w dodatku Em każdej nocy moczyła się do łóżka. Często płakałam i myślę, że załamałabym się nerwowo, gdybym miała na to czas.

- Dlaczego nie wyjedziesz na parę dni do Antony'ego do Londynu? Zaopiekuję się w tym czasie dziećmi - zaproponowała Jenny Balfour, moja sąsiadka. Jenny ma niezrównaną zdolność wywoływania poruszenia wśród miejscowej ludności wyrafinowanymi intrygami i dwuznacznymi komplementami. Już miałam zamiar podziękować za ten nietypowy dla niej wyraz życzliwości, kiedy dodała: - Widziałam wczoraj Antony'ego w mieście na lunchu w „San Fred” z bardzo atrakcyjną kobietą. Och, nie martw się, kochanie. Sądzę, że to tylko koleżanka. One wszystkie w reklamie są takie czarujące, prawda? Ale nie powinnaś się zanieczyścić, bo ten twój przystojniak zacznie się oglądać za innymi.

Ale ja oczywiście zanieczyściłam się. Utyłam w talii na kanapkach z boczkiem zjadanych w samotności, a moje ręce stały się szorstkie od pracy w domu i w ogrodzie. Ogród był osłodą mego życia na zapadłej prowincji, tak że po jakimś czasie moje kompozycje kwiatowe stały się poważną konkurencją na dorocznych pokazach. Pieklam ciasta na garden party i pomagałam Sarze sprzątać gnój w stajni. A kiedy odbierałam szczeniaki Sadie, czułam się tak dumna, jak gdyby to były moje własne dzieci. Wszystko to było prawdziwą rekompensatą życia na prowincji.

Nie sądzę, by Antony lubił przyjeżdżać do domu, do tych kanap pokrytych psią sierścią i do mnie, ubranej w stare, wygodne spodnie ze sztruksu, ale lubił przechodzić do wydawania mi poleceń.

- Przydałoby się chyba pomalować pokój dziecienny - mówił, sadowiąc się w swoim roverze w niedzielę wieczorem. Albo: - Gdybyś tak przekopła klomb pod oknem gabinetu, kochanie,

moglibyśmy tam posadzić w przyszłym tygodniu róże. - Rozglądał się beztrząsko wokół w te niedzielne wieczory, kiedy odjeżdżał od dzieci i ode mnie.

Powinam dać Antony'emu rozwód, jeśli rzeczywiście tego chce. Ale co ze mną? Czego ja chcę? Myślę, że chciałabym po prostu mieć swoje własne życie. Mam trzydzieści dziewięć lat. Może nie za późno zacząć jeszcze raz. Musi być coś, co mogę robić.

Felicja

Minęło sześć godzin od przygnębiającej sceny w bibliotece; leżę w łóżku, w sypialni urządzonej w nieznośnym stylu Laury Ashley. Jest zagracona i cała w falbankach, aż do bolesnej przesady. Właściwie mogłam się tego spodziewać, pasuje do sposobu ubierania się Anny. A mydło w łazience to oczywiście Crabtree & Evelyn o zapachu aż za bardzo naturalnym. Żeby być sprawiedliwym - sypialnia jest ładna i wygodna, ale nie mam w tym momencie nastroju do podziwiania gustu Anny. Natomiast szczerze nie cierpię jej dzieci. Wciąż sobie powtarzam: „Spójrz na to z ich punktu widzenia. Ich matka nagle ucieka w histerii do Londynu, a jej miejsce zajmuje, naprawdę nie można tego łagodniej określić, kochanka tatusia. Ale to nie było tak, naprawdę. Mieliśmy zamiar się rozstać, nie chcieliśmy rozbijać naszych rodzin. Niestety, mój wredny, wścibski pasierb, Tom, który mieszka w Nowym Jorku i przyjechał do Londynu z idiotycznym zadaniem zebrania jakichś danych (czy Amerykanie nie mają swoich własnych danych? Dlaczego zawsze muszą obserwować innych?), przypadkiem przyłapuje nas wpatrzonych w siebie w jakiejś trattorii i natychmiast gna donieść Donaldowi, jakie to ze mnie ziółko. W dodatku podano nam rozgotowany makaron. W każdym razie kolacja była paskudna. A potem, po scenie, o której wolałabym zapomnieć, Donald w nieznośny sposób urzędnika bankowego oznajmia mi, żebym już nigdy nie nachodziła jego domu zabezpieczonego skomplikowanym systemem alarmowym, ale ja nie mam dokąd pójść. Bardzo tęsknię za Laurą i Harrym, to wszystko jest jakimś koszmarem. W dodatku zapomniałam, jak upiorna jest wieś. Gdzieś na dworze wyją jakieś zwierzęta, w ścianie coś skrobie. Nawet, skądinąd sympatyczna, myśl o pieścotach Antony'ego, nie jest w stanie pomniejszyć ogromu nieszczęścia walącego się na ten dom.

Z drugiej strony, trzeba mi to przyznać, od chwili przyjazdu próbuję nawiązać jakiś kontakt z domownikami. Staralam się wywiązywać z najgorszych sytuacji i gwizdałam na wszystko, czym mi się odwzajemniano. Emily cały czas szlochała, Mark traktował mnie jak powietrze, a Sara postępuje wręcz wrednie. Na miejscu jej matki, byłabym nią poważnie zaniepokojona.

Zaczęło się od kolacji. Lodówka oczywiście była prawie pusta, ale po sprawiedliwości, czemu miałaby być pełna?

Ta kobieta musiałaby być jakąś świętą i głupią zarazem, żeby zostawiać kotlety jagnięce dla pięciu osób i zieloną sałatę kobiecie, która zniszczyła jej życie. Znalazłam jednak parę pomidorów i kawałek sera Cheddar.

- Wiem - powiedziałam promiennie do Sary, w nadziei, że drobne szczegóły domowego życia mogą nas jako kobiety nieco zbliżyć do siebie. - Zrobię makaron z serem. Będzie pyszny z plasterkami pomidora, co ty na to?

- Wspaniale zawołała Sara uradowana. - To brzmi naprawdę pysznie.

Dzięki Bogu dziewczynka jest głodna, myślę w duchu. I od razu staje się dużo bardziej przyjazna i pomocna.

Przygotowałam więc makaron z serem (musiałam zapytać Sary, gdzie stoi sól, bo oczywiście - wszystkie pojemniki bez etykietek. Sądziłam, że Anna jest taką wspaniałą gospodynią domową) i z triumfem postawiłam go na stole. Nawet wybiegłam na dwór i nazrywałam polnych kwiatów do wazonu - Mark dostaje od nich astmy, o czym nikt mnie nie uprzedza - i całość prezentowała się świetnie.

- Makaron - wykrzykuje Emily, a jej oczy wypełniają się kolejną porcją niewyczerpanego zapasu łez. - Nie będę jadła makaronu. Wygląda jak białe glisty, które wypełzają trupom z brzucha.

- No to ugotuję ci jajko - zaproponowałam z godnym podziwu opanowaniem.

- Och, kochanie, zapomniałem ci powiedzieć - odzywa się Antony. - Niestety Mark jest uczulony na ser, czy on też mógłby dostać jajko? Ale Sara i ja uwielbiamy makaron, prawda Sara? Hamm... - podnosi do ust łyżkę i dodaje z nerwową irytacją: - Pomidory. Kwas z pomidorów okropnie mi szkodzi na pęcherzyk

żółciowy. - Nigdy nie wspomniał o swoim pęcherzyku żółciowym w naszych trattoriach, a wszystko tam było oblane sosem pomidorowym.

Sara nałożyła sobie wyzywająco małą porcję i jadła drobnymi kęsami, z wyrazem zaciekawienia na twarzy, jak ktoś, kto właśnie po raz pierwszy w życiu je zupę z gniazd jaskółczych.

Ja zaś nałożyłam sobie prowokacyjnie dużą porcję i ochoczo chwyciłam za widelec. Umierałam z głodu. Pierwszy kęs wyjaśnił demonstracyjne zainteresowanie Sary. Niełatwo przełknąć makaron z serem i cukrem zamiast soli. Ale zmusiłam się i zjadłam wszystko, od czasu do czasu wydając pomruki „mmm” lub „aaa”, żeby zamanifestować, jak bardzo mi smakuje. Dlaczego po prostu nie powiedziałam: „O Boże, posłodziłam go!”, tego naprawdę nie wiem; ale chyba z powodu miny Sary.

Po kolacji, kiedy oni osowiali z powrotem poszli do tej okropnej, wyziębionej biblioteki, pozmywałam (bynajmniej nie zasypywana propozycjami pomocy) i dałam resztki makaronu Sadie, czarnej labradorce. Pożarła go dziwnie się czając. Patrzyłam zadowolona. Jednak jest ktoś w tym koszmarnym domu, komu smakuje moja kuchnia, pomyślałam ze wzruszeniem.

A teraz czekam, w cudzym pokoju na cudzego męża. Antony, mocno zbulwersował mnie propozycją, żebym się od razu przeniosła do sypialni jego i Anny. Po prostu nie umiałam, i nadal nie umiem pojąć, jak mógł mi to zaproponować. Nie przepadam wprawdzie za jego dziećmi, ale powinno się na to spojrzeć ich oczyma. Co nam się wydaje największą namiętnością świata, im będzie przypominało raczej pożeranie makaronu przez Sadie, i to w dodatku na prześcieradłach, na których niedawno spała ich matka. Szczerze mówiąc, w ogóle nie mam na to ochoty dzisiejszej nocy. To prawda, że Antony kocha się bardzo żarliwie, pogodnie i czule, dokładnie tak jak lubię; ale jestem dziś okrutnie zmęczona, w dodatku wszyscy mnie tu nienawidzą, a posłodzony makaron z serem już nigdy nie zamieni się w przysmak.

Słyszę, jak Antony skrada się w korytarzu. Pomyślałam, że Donald w St. John's Wood także mógłby to usłyszeć, gdyby dobrze wyteżył słuch. Drzwi skrzypią - efekt dźwiękowy godny najlepszego horroru w kinie nocnym - i po chwili Antony wsuwa się pod koc obok mnie.

- Kochanie, och, kochanie... nareszcie - mruczy, a jego dłoń przesuwa się po moim ciele, co zapewne sprawiłoby mi przyjemność, gdybym tylko mogła się na tym skupić. - Ty i ja razem, w moim własnym domu.

Głośno burczy mi w brzuchu, Antony udaje, że nie słyszy.

- Co to za śmieszny odgłos? - pytam, dość idiotycznie. Ale nie mam na myśli mściwych soków trawiennych, lecz cienki zawodzący głos, dochodzący z głębi domu.

- To tylko jeden z psów - odpowiada Antony, unosząc się na łokciu i odsłaniając przy tym nagie ramiona. - Nie, poczekaj... to chyba któreś z dzieci... Pójdę zobaczyć.

- Nie powinno cię być w tym pokoju - syczę. - Ja pójdę. Kwilenie staje się wyraźnie głośniejsze. Kiedy otwieram drzwi, widzę, że to Emily wraz z nieodłącznymi łzami. Kołysze się na klęczkach przed mahoniowym kufrem, jakiego wszyscy na wsi stawiają w hallu do przechowywania gry Monopoly i starych kartek z życzeniami bożonarodzeniowymi. Postawiła na niej wielkie zdjęcie Anny w tekturowej ramce pokrytej niezdarnie srebrną folią i postrzępionymi kwiatami pochodzącymi, bez wątpienia, ze stołu kolacyjnego.

- Boże, proszę cię - recytuje z monotonnym zaśpiewem - proszę, spraw, żeby mama i tata znów byli razem. Proszę, spraw, żeby Felicja dostała świnki i musiała stąd odejść. Proszę, żeby tata uważał, że ona jest za chuda. Jeśli spełnisz te życzenia, Boże, to ja... - milknie, aby wymyślić jakąś obietnicę, wystarczająco zdumiewającą, by Bóg zechciał jej wysłuchać. - Rzucę palenie. - Po czym intonuje wyjątkowo posepną wersję hymnu „Wszędzie jasność...”.

- Emily - przerywam jej - przykro mi, że jesteś tak nieszczęśliwa. Ja też jestem nieszczęśliwa i nie chciałam, żeby tak się stało. Wiesz, dorośli nie zawsze są w porządku. Idź teraz do łóżka, a jutro spróbujemy wszystko jakoś rozwiązać. Czy mam z tobą pójść i otulić cię?

Potrząsa małą rozczochraną główką i odchodzi zgarbiona, powłócząc nogami. Wracam do Antony'ego, czuję się jak Herod.

- Czy Emily pali? - pytam, starając się, by mój głos nie brzmiał potępiająco.

- Ona ma osiem lat! Oczywiście, że nie. I zawsze się złości na Annę za palenie. Czemu o to pytasz?

- Och, nieważne. - Bóg nie zyska wiele na tym interesie, mam nadzieję, że jest tego świadom. Przynajmniej odejdę stąd bez świnki. Antony znów mnie do siebie żarliwie przytula.

- Antony, przepraszam, ale naprawdę nie. Jak ty możesz nawet pomyśleć o seksie, kiedy twoje dziecko tak strasznie rozpacza, to mi się nie mieści w głowie. Korytarz jest pusty. Wracaj do siebie, na litość boską, i daj mi trochę pospać. Jesteś niesamowitym egoistą, wiesz, za chwilę przestanę nad sobą panować, więc lepiej idź. - Odchodzi w podobnym stylu co Emily - to widocznie ich cecha rodzinna. Ogarnia mnie przyjemna senność, lecz po chwili, znów rozbudzona gwałtownym przyływem wyrzutów sumienia (dziecko było potwornie rozdygotane...), wstaję i skradam się korytarzem w stronę, skąd dochodzą odgłosy szeptów. Przyłożywszy oczy do szpary w drzwiach, widzę Emily, usadowioną w nogach łóżka Sary, jej oczy w jakiś cudowny sposób są suche i błyszczą radosną świadomością perfekcyjnego przeprowadzenia trudnej misji.

- Czy dobrze płakałam? Zaśpiewałam też hymn, żeby to wszystko brzmiało jak w kościele.

- Wiem, słyszałam. Byłaś wspaniała. Chciałabym umieć tak płakać na zawołanie, to takie przydatne. No, jutro ciąg dalszy. Zadzwoń do mamy i powiem jej, że jesteśmy strasznie głodni. Zresztą to prawda; ta kobieta nigdy w życiu nie stała przy garnkach, to pewne. A ty musisz jakoś złapać tatę, kiedy będzie sam i powiedzieć mu, że jego malutka Emmy - Wemmy zmoczyła się do łóżka, bo nie ma mamusi.

- Ale przecież ja zawsze siusiam do łóżka, Saro, ty wiesz, że nic na to nie poradzę. Zresztą - dodaje świątoszkowato - mama mówi, żebym się tym nie przejmowała.

- Dobrze, to po prostu nasusiaj trochę więcej. Idź teraz spać i nie zapomnij wypić po drodze paru szklanek wody.

Anna

- Czas się skończył, pani Forester - Jones. - Kierowniczka do spraw zatrudnienia w Biurze Obsługi Sekretarskiej na South Molton Street przestaje opowiadać swojej koleżance, co Gary powiedział jej wczoraj wieczorem podczas filmu w Odeonie - znacznie bardziej rozrywkowy dialog niż ten mój, pomiędzy krajami członkowskimi Europejskiej Rady Ekonomicznej na temat ciężarówek

kontenerowych. - i wyszarpuje papier z maszyny. - Spójrzmy, jak sobie daliśmy radę.

Nie najlepiej daliśmy sobie radę; dziewczyna studiuje pilnie z krytyczną miną prymusa klasowego przepisany przeze mnie na maszynie tekst stenogramu, który podyktowała mi przed półgodziną. Licho wie, ile ma lat, ale wygląda najwyżej na szóstą klasę średniej szkoły. Śmieje się pobłaźliwie z błędów w maszynopisie.

- Trochę niedbale, pani Forester - Jones. Czy to przez stenografię, czy maszynopisanie?

- Prawdopodobnie przeze mnie. - Wstaję, poprawiam praktyczną spódnicę z tweedu i sięgam po równie praktyczną torebkę ze skóry. Powinnam była spakować coś bardziej eleganckiego do tej „pożegnalnej” walizki; nawet dzinsy byłyby lepsze, niż stać tak w moim średnim wieku i w moim stroju przedstawicielki klasy średniej naprzeciw tej wyzywająco wytwornej młodziutkiej dziewczyny.

Zaczęłam dzień całkiem nieźle - od przejrzenia rubryki „Creme de la Creme” w „Timesie”, ale szybko się zorientowałam, że pod wabiącymi ofertami kryje się jedynie mnóstwo nudnej odwiecznej papierkowej roboty. „Asystent dyrektora w West End PR Agency” zdradziło się w tekście poniżej, złożonym małym drukiem: „Niezbędna podstawowa umiejętność stenotypii i maszynopisania”. „Dziewczyna na piątki potrzebna do małego zespołu architektów. Wymagane poczucie humoru”, co oznaczało, ni mniej ni więcej, że oczekiwano od niej wesołego grymasu na twarzy, kiedy robiła herbatę; a „Wyjątkowa okazja pracy w zespole redakcyjnym Reading British Monthly Magazine” okazała się niespodzianie, kiedy do nich zadzwoniłam, nadzwyczajną okazją do siedzenia cały dzień przed komputerem i przepisywania zespołowych mądrości zespołu redakcyjnego na temat prania na sucho, pralni zwykłych i samoobsługowych oraz automatów pralniczych. Byłam gotowa to robić, ostatecznie ciekawsze to niż przepisywanie faktur, ale niestety nie miałam zielonego pojęcia, jak wygląda komputer. Sekretarka wydawcy poprosiła o podanie wieku, ale nawet ujęcie sobie trzech lat okazało się niewystarczające. Ogromnie mnie przeprosiła, ale szukają kogoś młodszego, kogo mogliby wyszkolić, a poza tym nie są w stanie zaproponować zarobków, jakich spodziewa się ktoś z moim... eee... doświadczeniem.

Mama znalazła w swojej gazecie Biuro Obsługi Sekretarskiej na South Molton Street. „Myślisz o powrocie do pracy? Zaczynij drugą karierę z nami” - zachęcało ich ogłoszenie, po czym następował spis oszałamiających propozycji pracy w księgowości.

- To coś dla ciebie, kochanie. - Mama wypycha mnie pośpiesznie z domu, dodając, że ponieważ ma dziś wieczorem brydża, czy mogłabym sobie coś kupić na kolację. I oto jestem tutaj - spałam najprostszy test ze stenografii i maszynopisania i pragnę tylko jednego - znaleźć się w domu w Wiltshire, gdzie jest moje miejsce i gdzie nie uważano by mnie za idiotkę, gdybym nie umiała napisać na elektrycznej maszynie QWERTYUIOP.

- W każdym razie dziękuję. - Ruszam w stronę drzwi.

- Och, proszę nie uciekać - odzywa się urzędniczka. - Nie jest aż tak źle. Tylko trochę niedbale, jak powiedziałam. Wkrótce nabierze pani wprawy. Niech pani zrobi intensywny kurs, można wieczorowo, a potem przyjdzie do nas jeszcze raz.

- Tak zrobię. Dziękuję, dziękuję bardzo. - Nie wolno mi stąd wyjść zbyt pośpiesznie. Nie wolno mi się załamywać nad filiżanką kawy w najbliższej kafejce. Muszę zadzwonić do Antony'ego, muszę zobaczyć dzieci.

Muszę wrócić do domu, w którym się czuję bezpiecznie, do świata, którym się opiekuję. Na pewno Antony wkrótce się przekona, jakim błędem było sprowadzenie tej kobiety do naszego domu. Aktorka! Ona nie ma pojęcia o życiu na wsi i załóżę się, że nigdy w życiu nie widziała Agi. Spędziłam parę przyjemnych chwil wyobrażając sobie, jak Felicja Harman ładuje w strugach deszczu węgiel do wiadra i walczy z moją wierną starą Agą, która bucha niespokojnie kłębamii dymu i trzaska ogniem. Przekona się jeszcze. Nie sędzę, by wytrzymała do rana.

Felicja

Mój pierwszy dzień w upiornym domu zaczyna się kiepsko. Wstaję, ruszam do łazienki i od razu wpadam na drzwi garderoby. W półśnie, oczywiście, ruszyłam do łazienki w St. John's Wood. Tutaj łazienka nie jest na ukos po lewej, a potem drzwi i w prawo. Znajduje się na wprost, a po drodze trzeba ominąć ten głupi stolik, na którym leży spódnica. Na pewno przywyknę.

Słucham ze smutkiem znanych odgłosów dzieci wstających do szkoły i zastanawiam się, co robią Laura i Harry. Powiedziałam im przed odejściem, tak spokojnie jak tylko możliwe, że ich ojciec i ja przechodzimy kryzys, ale nic się nie zmieni, jeżeli o nich chodzi. Skłamałam, oczywiście, by je choć na chwilę pocieszyć. Wszystko się zmieniło. Nie ma mnie tam.

Och nic, musisz sobie jakoś poradzić. Dzięki Bogu, jest środek roku szkolnego, a ja nie będę musiała ich wozić do tej głupiej szkoły. Muszę nad sobą panować i starać się wstawać w lepszym nastroju.

W kuchni entuzjastycznie witają mnie psy. Kłębią się wokół drzwi do ogrodu, więc je wypuszczam. Niebacznie schylam się, żeby podnieść z podłogi zwiędły liść i w ostatniej chwili reflektuję się, że to nie jest zwiędły liść. Bagatelizując sprawę rozwijam naręcze papierowego ręcznika i sprzątam podłogę. Należało się tego spodziewać, przy pięciu psach... Anna mogła je lepiej wychować. Mark obserwuje mnie, przerzucając z ręki do ręki piłkę tenisową. Harry na pewno by mi pomógł, a Laura powiedziałaaby: „Och, biedna mama, to okropne. Zrobię ci filiżankę herbaty”. A Mark po prostu przerzuca z ręki do ręki piłkę tenisową. Sądziłam, że Anna z tymi wspaniałymi, bujnymi biodrami lepiej się wywiązuje z macierzyńskich obowiązków. Psy wpadają z powrotem do kuchni i patrzą na mnie wyczekująco. Mam je nakarmić, czy co?

- Który z was to zrobił? - wykrzykuję wskazując oskarżycielsko na podłogę. Cztery z nich wracają pośpiesznie na swoje posłania, unikając mojego wzroku i podkulając pod siebie ogony. Stara Ladysmith rusza zdecydowanie w stronę drzwi; po chwili pechowo spada ze schodów do piwnicy.

- To Ladysmith - mówi Mark i są to chyba pierwsze jego słowa, skierowane bezpośrednio do mnie, i to w jakiej fascynującej sytuacji. - Ona jest bardzo stara, wie pani, i czasem już sobie nie radzi. To nie jej wina - jej nie wolno karać.

- Nie miałam zamiaru - odpowiadam krótko i, prawdę mówiąc, z niejakim lekceważeniem faktów.

Wchodzi Sara i od razu zaczyna wrzeszczeć.

- Patrz! Patrz! - woła wskazując (niezła zabawa) na kilka małych kupek żółtych żygowin obok lodówki. - Sadie znów ma atak!

Wszyscy - Antony i Emily zdążyli przybyć na kulminacyjny punkt dzisiejszego poranka - patrzymy na Sadie, która próbuje udawać, że jej tam nie ma.

- Musiała coś zjeść - wyjaśnia Sara. Za wszelką cenę chcę wymazać z pamięci ukradkowe łypanie Sadie podczas pożerania tego przeklętego makaronu z serem.

- Felicja nie wie o wątrobie Sadie - odzywa się Antony.

- Nie dawałaś jej przypadkiem czegoś wczoraj wieczorem? Ona jest na specjalnej niskotłuszczowej diecie.

- Mogłam jej dać do polizania jeden, czy dwa talerze - odpowiadam wykrętnie. - Skąd mogłam wiedzieć?

- Sara, gdzie mama trzyma tabletki Sadie?

- Prawdopodobnie tuż obok soli - wtrącam. Wśród nas jest tylko jedna osoba, która ma pojęcie, o czym mówię. Sztywnym wzrokiem wpatruje się w okno. Tabletki Sadie zostają szczęśliwie zlokalizowane, kiedy przygotowuję tosty i kawę, i siadamy do śniadania.

- Nie ma soku pomarańczowego? - pyta Antony płaczliwie.

- Jest w lodówce - odpowiadam dziarsko. Mam nadzieję, że nie spodziewa się, że będę wokół niego skakać.

Po chwili ciszy, która jest przeznaczona specjalnie dla mnie, Antony idzie do kuchni, otwiera lodówkę, i mówi:

- Nie ma.

- O, do jasnej anielki. - Podchodzę do lodówki, wydaję pudełko soku i stawiam je zamasyście przed Antonym. - Doprawdy to głupota ze strony producenta, naklejać na soku pomarańczowym etykietkę z pomarańczowym napisem obok pomarańczowego obrazka z pomarańczą. Nic dziwnego, to musiało cię zmylić.

Robi urażoną minę i pyta, gdzie jest jego szklanka.

- Sądzę, że dla odmiany byłoby dość zabawne trzymać szklanki w ogrzewanym kredensie na ręczniki. Jak myślisz, gdzie też może być twoja szklanka? Na półce za tobą obok innych szklanek.

Emily z demonstracyjną gorliwością podrywa się i przynosi mu szklankę.

- Moja mama zawsze nakrywa do śniadania poprzedniego wieczoru - odzywa się Emily.

- Jakże przezornie z jej strony... Jakiej rasy jest Larkspur? Czy to jakiś rodzaj mieszańca?

Próbuję być przyjazna, ale oni wszyscy, do jednego Forester - Jonesa, wycofują się urażeni.

- Larkspur jest bullterrierem - mówi Sara dobitnie.

- Naturalnie - dodaje.

To „naturalnie” dodawała do wszystkich odpowiedzi na wszystkie pytania, które do tej pory zadałam, od „Gdzie jest łazienka?” aż po „Czy myślisz, że jutro będzie padać?”. Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że jestem skończoną idiotką.

- Ona ma olśniewający rodowód - ciągnie Sara i dodaje (przybierając ten głupi ton, którego, zdaje się, wszyscy oni używają wobec psów) - i niedługo będzie miała szczeniaki, prawda, moja maleńka?

- Och, jest w ciąży? Wcale na to nie wygląda.

- Trudno, żeby już była w ciąży. Naturalnie. Jest jeszcze za młoda. Ale już niedługo - głupawy ton - pójdzie w odwiedziny do bardzo młodego przystojnego kawalera, prawda maleńka?

Czy ta rodzina kiedykolwiek mówi o książkach albo muzyce, albo chociaż o zakupach? Do tej pory wszystko sprowadzało się do psich brudów i seksu. O tej porze w zeszłym tygodniu dyskutowaliśmy z Laurą o książce, którą przeczytała. Och Lauro, tak strasznie mi przykro.

Po śniadaniu sprzątam na górze. Najwyraźniej do matki należy tu ślanie łóżek. Będzie parę zmian, wierzcie mi. Stwierdzam, bez żadnego zaskoczenia, że pościel Emily jest całkiem przemoczona. Sara rozmawia przez telefon w sypialni rodziców. Nie ma wątpliwości, o czym rozmawia.

- Wyobraź sobie, mamusiu, makaron z żółtym serem i cukrem. Oczywiście Markowi nie wolno tego jeść, a Emily... czy wiesz, co powiedział tata... Sadie miała atak żółciowy... tak, tak właśnie sobie pomyślałam... nie ma pojęcia o tym, jak działa Aga? Nie rozśmieszaj mnie... nazwała Larky kundlem... oczywiście, że starałam się pomóc, choćby tylko ze względu na tatę... straciła jedną z twoich skrzynek z sadzonkami, tę z góry... Nie wiem, myślę, że to była cobeja jakaś tam.

Litania wypowiedzianych z satysfakcją wyrzekań ciągnie się w nieskończoność. Schodzę na dół z naręczem mokrej pościeli. Nie ma to jak być zabawką w rękach namiętności, twierdzą zawsze. Drogę do pralki tarasuje jakaś kobieta szwendająca się po kuchni. Już mam zamiar zapytać ją, kim jest i co tutaj robi, ale ona jest szybsza i

pierwsza zadaje mi to pytanie. Oczywiście - to musi być pani Simmons, pomoc domowa Anny.

- No... - odpowiadam. - Tymczasem tu mieszkam.

- Och - wykrzykuje wesoło - jak to dobrze dla pani Forester - Jones. Tak między nami, zawsze sobie myślę, że jest trochę samotna. Pani jest jej dawną przyjaciółką, tak?

- Uhm... Pani Forester - Jones pojechała na parę dni do Londynu...

- A pani przyjechała jej pomóc. Nie ma nic lepszego jak przyjaciel w potrzebie, zawsze to mówię.

Wchodzi Antony, który nie dostrzega drobnej pani Simmons, stojącej za lodówką.

- Naprawdę nie potrafię zdecydować - mówi wesoło - czy twoja lewa pierś jest piękniejsza niż prawa, czy vice, ho, ho, versa. Chodźmy szybko na górę i... o, pani Simmons, zapomniałem, że to pani dzień. Jak miło panią widzieć... co słyhać?... mamy okropną pogodę, prawda?

Wszyscy troje patrzymy w okno. Ogród tonie w nieskazitelnym promieniach słońca.

Anna

- Biuro pana Forester - Jonesa - odzywa się przyjazny głos Sally, sekretarki mojego męża. - Czy mogę wiedzieć, kto mówi.

Och, niech ona przestanie. Od dziesięciu lat wymieniamy grzecznościowe dowcipy i mówimy głupstwa przez telefon.

- Tu Anna Forester - Jones.

- Och, pani Forester - Jones. Bardzo przepraszam. W pierwszej chwili nie poznałam pani. Zaraz sprawdzę, czy pan Forester - Jones jest wolny. - Wolny? Na ogół Sally proponuje, że mnie od razu przełączy, ale teraz jestem już kimś obcym, kogo się taktownie spławia, jeśli szef nie chce z nim rozmawiać. Szef, jednak, jest wolny.

- Anna? - na dźwięk jego głosu, nerwowego i niepewnego, ręce zaczynają mi się pocić, serce podskakiwać i walić; identyczne objawy, jak osiemnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy usłyszałam jego głos, ale tym razem nie są one wyrazem radości.

- Antony?

- Tak, tak, oczywiście. Co to jest? Mam zebranie, wiesz.

- Chciałam... tylko... jak się czujesz? I co z dziećmi?

- W porządku. Dzieci czują się dobrze. To znaczy czuły się, kiedy rano wychodziłem z domu. Czy masz do mnie coś ważnego? Bo jeśli nie, to myślę, że po tym, co wczoraj powiedziałaś... dając aż nazbyt jasno do zrozumienia, co do mnie czujesz, byłoby lepiej, gdybyśmy przez jakiś czas się nie widzieli i nie rozmawiali.

- Ale przecież dzieci!

- Dzieci mają się znakomicie przy Felicji - odpowiada Antony, oficjalnym tonem prezesa firmy, który zmierza do rychłego zakończenia naszego zebrania. A kiedy przesywa mnie myśl: „O Boże, ona wciąż tam jest, mała!”, dodaje brutalnie: - Wiesz, świetnie sobie radzi z dziećmi. Polubiły ją instynktownie.

Ale nawet on reflektuje się, że to już za wiele dla porzuconej żony, więc szybko dodaje na pociechę:

- Proszę, nie myśl, że próbuję trzymać dzieci z dala od ciebie, Anno. Daj im tylko kilka tygodni, aż wszystko się ułoży, a potem porozmawiamy, jak najlepiej to załatwić. Jeśli potrafisz stworzyć im dom, i jeśli ja, naturalnie, wyrażę na to zgodę, zamieszkają z tobą, a ja będę je odwiedzał w weekendy i święta. W przeciwnym razie zostaną ze mną, ale ja nie odmówię ci, oczywiście, kontaktu z nimi.

Kontaktu? On musiał to oczywiście powiedzieć do swojego agenta.

- A tymczasem, Anno, gdzie mogę cię zastać? U twojej matki?

- Tak - odkładałam słuchawkę. - U mojej matki.

Telefon dzwoni, kiedy wchodzę do domu. To Sara. Dzięki Bogu, to Sara.

- Mamo?

- Kochanie...

- Och, mamó - woła - och mamó, dlaczego odeszłaś tak i zostawiłaś nas z tą okropną kobietą.

Sara ma rację. Powinnam była zostać i walczyć o swój dom, jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla moich dzieci. To poczucie winy jest prawie natychmiast przytłumione przez uczucie małej radości z powodu słów, jakimi Sara określiła Felicję.

- Co w niej takiego okropnego? - dopytuję z ożywieniem i Sara opisuje całą serię wydarzeń, które były prawdziwą farsą.

- Posłodzony makaron? - dziwię się i myślę: „Och, mądra mała Sara!”, a ona dodaje zadowolona z siebie:

- Oczywiście starałam się pomóc.

- To dobrze, kochanie. I nadal pomagaj. Niedługo będę w domu.
- ... a Sadie miała straszny atak, była okropnie chora - ciągnie

Sara.

A więc mało tej głupiej kobiecie, że karmi moją rodzinę jedzeniem, które doprowadza ją albo do wymiotów albo do alergii, to jeszcze tak bezmyślnie daje resztki biednej Sadie.

- Słuchaj, ja myślę, że pani Harman nakarmiła ją resztkami z waszej kolacji... - i właśnie mam zamiar wyjaśnić że pani Harman nie ma pojęcia o psach i gotowaniu, że nie można się tego po niej spodziewać, skoro cały czas spędza w Londynie, biegając po teatrach i zostawiając rodzinę pod opieką obcej osoby, kiedy nagle słyszę straszną wiadomość, że Felicja Harman nie tylko struła mojego męża, dzieci i psa, ale także wykończyła moją *Cobaea scandens*.

- Kretynka... cholerna, cholerna kretynka! - czuję, jak łzy napływają mi do oczu i tylko pogodne słowa Sary:

- „Nie słyszałam tego mamó!” (O Boże, sędzę, że ona się na swój sposób bawi), przywołują mnie do porządku.

- A jak się czuje Emmy? - Wzorowa matka bierze górę nad pobłażliwym dorosłym i choć przykro mi z powodu mojego najmłodszego dziecka, myślę, że niełatwo jest prezentować się elegancko z zasiusianymi prześcieradłami i znów doznaję niegodziwego uczucia przyjemności, wyobrażając sobie, jak Felicja Harman przejmuję najbardziej niewdzięczny z moich codziennych obowiązków.

- Zsiusiała się do łóżka, naturalnie - odpowiada Sara - a ja jej powiedziałam, że musi dać pani Harman swoje prześcieradła... i koce...

Wyrażam współczucie dla Em i obiecuję ich szybko odwiedzić.

- Wcześniej, mamó - zapewnia Sara. - Zostaw to mnie.

Dlaczego po tej rozmowie jestem odrobinę weselsza i myślę bardziej optymistycznie? Widocznie nie jestem dobrym człowiekiem, jak zawsze uważałam, ale kimś, kto jest zdolny do niegodziwego i głębokiego pragnienia widzieć Felicję Harman sterroryzowaną przez moje psy, lekceważoną przez moje dzieci i, co czuję jako pewnik, wreszcie wyrzuconą z domu przez mojego męża.

Postanawiam napisać jej parę praktycznych rad, co robić i czego nie robić, które mogą jej być pomocne.

- Czy musisz używać mojego biurka, kochanie? Czy nie możesz tego robić w swoim pokoju? - pyta matka przerywając mi pisanie.

- Na czym? Na desce do prasowania? - Ta dziecinna uwaga tak bardzo podsyca moje cierpienie, że wchodzę na górę ze wspaniałym zakończeniem: obraźliwą sugestią, że Felicji mogą się przydać moje „Przepisy łatwe do wykonania” w książce „Wykwintna Kuchnia”. Chociaż, o ile pamiętam, kiedy ostatnio byliśmy na kolacji u Harmanów, jedzenie było wyśmienite.

A może zatrudniała kogoś do gotowania. Albo kupiła potrawy w sklepie Marks & Spencer? Wszystkiego się można spodziewać po tej kobiecie.

Felicja

Antony przyjechał do Londynu. Na zebranie zwołane nieoczekiwanie, bo jakiś Amerykanin przesunął datę swojego przyjazdu o tydzień.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że prawdziwe przyczyny były inne, po pierwsze: potrzebuje czasu, żeby wypracować sobie odpowiedni sposób, jak patrzeć w twarz Pani Simmons, po drugie: Aga zastrajkowała. Myślę, że jest skończonym łotrem. Musiałam być chyba szalona, żeby zburzyć swoje, całkiem znośne, życie z powodu paru wspólnych talerzy fettucini, kapryśnie uniesionych brwi, i oczywiście, faktu, że Antony słuchał tego, co mówię bardziej niż Donald. No i faktu, że go kocham; chociaż w ciągu minionej doby nie mogę przypomnieć sobie dokładnie, dlaczego.

- Aga wygasła - straszna wiadomość obiegła dom lotem błyskawicy. Każdy, kogo spotkałam, informował że Aga wygasła, a ja za każdym razem odpowiadałam, że trzeba wobec tego ponownie napalić. Reagowali, jakbym zaproponowała spacer po ogrodzie w poszukiwaniu lekarstwa przeciwko rakowi.

- Nie można tak po prostu rozpaść na nowo Agi, kochanie - powiedział Antony. - Te stare piece są strasznie wybuchowe, Anna zawsze kogoś sprowadza.

- Potrzebny jest fachowiec - mówi Sara. - Naturalnie.

- To potrwa około tygodnia - wtrąca Mark.

- Biednym psom będzie strasznie zimno dzisiaj w nocy - mówi Emily, po policzkach ciurkiem spływają jej łzy.

To wszystko są, rzecz jasna, brednie. Ja również jestem wybuchowa i niech mnie diabli, jeśli dam się pokonać jakiejś kupie żelastwa, która jest w końcu przeznaczona do spalania węgla i na pewno to robi, jeśli podejździe się do tego fachowo.

- Wszyscy z kuchni z wyjątkiem Marka - rozkazuję.

- Dlaczego mnie? - pyta Mark urażony.

- Wydajesz mi się jedyną osobą w tym domu z odrobiną zmysłu praktycznego. Przede wszystkim domyślałam się, że musimy wygarnąć ze środka żarzące się resztki węgla.

- Spalony węgiel, chociaż praktycznie już zgasł, okazuje się potwornie gorący.

Mark wpada na świetny pomysł, żeby przynieść w cynowym wiadrze zimnej wody, która, kiedy zalewamy nią rozżarzone węgle skwierczy i dymi gwałtownie. W swoim entuzjazmie Mark niefortunnym ruchem przewraca wiadro i woda wylewa się na podłogę. Rzucił mi niespokojne spojrzenie.

- Nic nie szkodzi - mówię pokrępowiająco - zrobiłeś świetną robotę. Kto by się przejmował odrobiną wody? - Prawie na pewno Anna, sądząc po wyrazie twarzy Marka.

Sześć godzin później małeńki nieśmiały płomyk, który rozbłysnął między podpałkami, gazetami, gałązkami i mnóstwem innych rzeczy, które Mark i ja uznaliśmy za łatwopalne, przeniósł się na węgiel i zaczyna z trzaskiem płonąć. To nasza siódma próba. Twarze mamy umorusane, moja spódnica ocieka wodą od klęczenia na mokrej podłodze, a Mark poparzył sobie rękę w nadgarstku. Jesteśmy z siebie niezmiernie zadowoleni. Mark wciąż powtarza:

- Oni do tej pory zawsze kogoś wzywali.

Podczas naszej drugiej próby, zdaje się, Antony wszedł do kuchni ze swoim bajaniem o nieoczekiwanym zebraniu w Londynie.

- Naprawdę, myślę, że marnujecie czas - powiedział. - Czy mam wam znaleźć numer telefonu? Podłoga jest chyba trochę ubabrana, prawda? Mark, synu, czy wyjdiesz mi pomachać na pożegnanie? Emmy i Sara są już przed domem.

Zdaje się, że kiedy Antony wyjeżdża do Londynu, cała rodzina gromadzi się przy furtce machając z ożywieniem, dopóki samochód nie zniknie z oczu. Nie mam wątpliwości, że to rytuał wymyślony przez Annę dla zamanifestowania, jaką to stanowią harmonijną najmniejszą komórkę społeczną. Trzymać mnie tu na deszczu, jak

gdyby to rodzina królewska opuszczała swoją rezydencję... Niedługo potem, jak wygasła Aga, zaczęło padać. Kolejna rzecz znamienita dla wsi. Tu jest prawie zawsze kiepska pogoda. W Londynie przychodzi i odchodzi, zmienia się jak na zawołanie.

Do kuchni wchodzi Sara. Jest wyraźnie zirytowana naszym sukcesem z Agą.

- Prawdopodobnie zgaśnie w nocy - mówi. - Czy ktoś nakarmił psy?

- Zdaje się, że to ty masz bzika na ich punkcie - odzywa się Mark, poczciwy Mark. - Swoją drogą, może uszło twojej uwagi, ale Felicja i ja byliśmy dość zajęci.

- W takim razie ja będę musiała je nakarmić - odpowiada Sara, przynosząc ze spiżarni cały asortyment puszek.

- Lepiej mi powiedzcie, co one jedzą, na wypadek, kiedy jesteście w szkole.

Sara wyjaśnia z mnóstwem swoich „naturalnie” i ciężkimi westchnieniami. Przypomina mi to uderzająco, jak Pewien przystojny młodzieniec próbował mi wytłumaczyć, jak działa komputer.

Ruszam na poszukiwania pani Simmons. Skoro Antony tak otwarcie uciekł z domu, zdaje się, że to ja muszę spróbować załagodzić sprawę. Odnajduję ją na piętrze, kładzie na łóżku Emily czystą pościel.

- Pomogę pani, pani Simmons - chwytam za drugi koniec prześcieradła i zaczynam je podgarniać pod materac.

- Dziękuję pani, poradzę sobie sama. - Małeńkie usta pani Simmons praktycznie zupełnie zniknęły. Zręcznie wyszarpuje prześcieradło z moich rąk.

- Pani Simmons, wiem, że jestem winna pani wyjaśnienia. Otóż... więc... pan Forester - Jones i ja...

- Płacą mi za sprzątanie, proszę pani, i nadal będę sprzątać, kiedy pani Forester - Jones wróci do domu i oczywiście sytuacja się zmieni, proszę pani...

Milknie, zostawiając aż nadto czasu, aby jej słowa dotarły do mnie w całej swojej grozie. Wspaniale. Mam zostać sama i prowadzić ten ogromny dom bez żadnej pomocy.

- Pani Simmons, pomówmy szczerze. To oczywiste, że mnie pani potępia, nie mogę mieć pani tego za złe. Ale nie mogę prowadzić tego domu sama, a poza tym uważam, że dzieci potrzebują kogoś

znajomego, na kim mogą się oprzeć. Pan Forester - Jones musiał pojechać do Londynu...

Pani Simmons prycha pogardliwie.

- Nigdy nie należał do tych, co stawiają czoło kłopotom - mówi. - Kiedy w czasie burzy wysiadło światło, a w zielonej łazience ze zbiornika wyciekała woda, też musiał jechać do Londynu. Czym się tym razem tłumaczył? Podejrzewam, że ważnym zebraniem. - To ostatnie zdanie wypowiada tonem jadowitego sarkazmu. - Biedna pani Forester - Jones, zawsze z dziećmi na rękach. Zawsze zaharowana. Wszystko tylko dla rodziny, całymi godzinami w ogródku, i te wszystkie psy, wspaniale gotuje, i w ogóle, a on może sobie przywozić tych swoich eleganckich gości w weekendy i udawać prawdziwego dżentelmena z prowincji. A teraz, na co jej przyszło? Inna kobieta zajmuje jej miejsce.

Chyba powinnam w tym momencie unieść się dumą i oświadczyć, że wypraszam sobie, by do mnie w ten sposób mówiono. Ale wciąż czuję niesmak na wspomnienie gafy, popełnionej przez Antony'ego (podobnie jak, nie mam co do tego wątpliwości, pani Simmons) i po prostu nie jestem w stanie tak jej potraktować.

- Oczywiście, postąpi pani tak, jak pani uważa, ale proszę nie podejmować decyzji, zanim się pani nie zastanowi, jak pani odejście wpłynie na dzieci.

Znów wydaje prychnięcie, mamrocze „Wszystkich świętych...” i wychodzi z pokoju. To oczywiste, po czyjej stronie jest jej sympatia; nawet przed moim pojawieniem się, z pewnością niewiele się troszczyła o Antony'ego. Dziwne, wydaje się, że wszyscy, którzy z nim pracują w Londynie przepadają za nim.

Pani Simmons wychodzi o czwartej, mówiąc, że przyjdzie we wtorek. Na trochę, dodaje zagadkowo. Dopóki nie okaże się, jak stoją sprawy.

Godzinę później myszkuje w szopie - nie mam nic specjalnego do zrobienia - gdzie odkrywam ogromną zamrażarkę, pełną starannie opakowanych w folię paczuszek. Chociaż nie ma tam pysznego „Bejama” czy „Findusa”. Wyjmuję paczkę z etykietką: „Zapiekanka z mięsa i ziemniaków. Paźdz. 82. Piec dwadzieścia minut od momentu rozmrożenia”. To będzie odpowiednie na dzisiejszą kolację. Muszę koniecznie zorganizować zakupy i wymyślić jakiś sensowny jadłospis.

Kiedy wracam do domu, zaczepia mnie dość młoda kobieta o wesołej twarzy z nieciekawą fryzurą.

- Pani mnie nie zna - mówi - ale pomyślałam, że wpadnę. Jestem Dorothy Maxwell, żona tutejszego pastora. Jak dzieci to wszystko znoszą?

- Och... to pani wie..?

- Spotkałam panią Simmons przed pocztą. Obwoływacz Miejski, jak ją z Gerrym zawsze nazywamy. - Śmieje się niepohamowanie z tego dowcipnego przezwiska. - Proszę nie myśleć, że przyszedłam po to, by panią krytykować. Gerry, to znaczy mój mąż, zawsze mówi, i ja się z nim zgadzam, że nie naszą rzeczą jest oceniać. Ten, który jest w niebie kieruje naszymi czynami i choć nam, śmiertelnym, może się wydawać, że robi to nie najlepiej, wszystko jest częścią Planu Bożego. Tak czy inaczej proszę tylko pomyśleć o Marii Magdalenie. - Wolałabym myśleć o niej w innych okolicznościach. - Czy mogę być w czymś pomocna? Dzieciom może się to wydawać trochę dziwne na początku; brakuje im matczynej kuchni, prawda? - Ale wszystko się wkrótce ułoży, zobaczy pani, panno... Niestety nie wiem, jak się pani nazywa.

- Jestem Felicja Harman, pani...

- Ma pani dzieci?

- Tak, dwoje... są w Londynie z moim mężem. Strasznie się wszystko pogmatwało.

- Na końcu tunelu zawsze majaczy światełko - odpowiada Dorothy Maxwell (nie widzi, że to nie ma absolutnie żadnego związku) - a jeśli pani kiedykolwiek będzie miała naprawdę kiepski nastrój, drzwi Gerry'ego stoją zawsze otworem. Niech pani po prostu wpadnie i wyrzuci wszystko z siebie. - Nie mam najmniejszego zamiaru, ale uśmiecham się z wdzięcznością i przenoszę ciężar ciała na drugą stopę.

W rzeczywistości, ta rozmowa bardzo mi nie odpowiada. Nie uważam, że żona pastora powinna rozmawiać z kobietą, która bądź co bądź dopuszcza się cudzołóstwa, w taki sposób, jak gdyby chodziło o porzucenie drutów na rzecz haftowania, albo jakąś inną trywialną zmianę w życiu. Naprawdę nie sprawia mi przyjemności wykład z siarki i ognia piekielnego, kiedy stoję tam trzymając zamrożoną zapiekankę z mięsa i ziemniaków (głównie dlatego, że zaczęła mi przymarzać do dłoni), i wydaje mi się że ona doprowadza tolerancję

do absurdalnych rozmiarów. Za chwilę poprosi mnie, żebym pomogła przy dyżurach w żłobku.

- No muszę uciekać - mówi Dorothy Maxwell - bo spóźnię się do moich podopiecznych w żłobku. Chciałabym prosić o wielką przysługę, ale proszę o absolutną szczerą. - Z przekonaniem kiwam głową, aby pokazać do jakiej Absolutnej Szczerości jestem zdolna. - Za trzy tygodnie odbędzie się u nas uroczystość kościelna. W tym roku dochód przeznaczamy na Centrum Zakonne Sióstr Safony, które powstaje w Swindon. To świetny cel, nie uważa pani?

Nie, nie uważam, ale ponieważ byłoby grubiaństwem wyjaśniać, dlaczego myślę, że lesbijki powinny się zamknąć i robić to dalej, jak inni, poprzestają jedynie na uniesieniu brwi w zachwycie.

- Droga Anna co roku robiła stoisko z przekąskami i chciałabym wiedzieć, czy pani...?

Oczywiście nie przewidziałam, że przejście męża Anny będzie się wiązało z przejściem jej stoiska z przekąskami.

- Co dokładnie miałabym przygotować?

- No cóż, wszyscy są zawsze tacy głodni podczas festynów, prawda? A więc prowadzimy stoiska z przekąskami, wie pani - ruloniki szynki, koreczki z sera i cebuli, wszystko po 25 pensów za porcję. W zeszłym roku zarobiliśmy prawie dwadzieścia pięć funtów. Proszę o tym pomyśleć, kochanie, i zawiadomić mnie, i proszę nazywać mnie Dotty - dodaje nieuchronnie - tak jak wszyscy. Dotty z imienia, i Dotty z natury.

- Chętnie pomogę, jeśli pani naprawdę uważa... - muszę być niespełna rozumu, ale ta kobieta, trzeba przyznać, jest pełna dobrej woli, a ja muszę znaleźć jakieś zajęcie.

- Wspaniale, wspaniale - wykrzykuje Dotty i wsiada do swojego austina, który jest wypełniony po brzegi długimi gałązkami. Prawdopodobnie ma zamiar je rozdać mamom, żeby w czasie dyżurów były nim swoje berbecie. - Dzisiaj wyplatanie koszy - wyjaśnia Dotty - układanie kwiatów w przyszły czwartek. Ach, prawda, muszę z panią porozmawiać też o kościelnych dyżurach kwiatowych. Zadzwoń, dobrze?

Kiedy wchodzę do domu, dzwoni telefon. Czyżby to już Dotty? Nie, to Antony, który wyraźnie czuje się winny.

- Przepraszam, że musiałem wyjechać w takim pośpiechu - mówi - ale powinienem wrócić jutro wcześniej rano. Na szczęście ten jankes

musi jutro lecieć na lunch do Madrytu. Co słyhać? Czy rozmawiałaś z panią Simmons?

- No, w pewnym sensie... właściwie to zagroziła, że odejdzie.

- Ona nie może odejść. To w ogóle nie wchodzi w grę. Musisz ją jakoś przekonać.

- Dlaczego ty jej nie przekonasz? Gdybyś nie wpadł do kuchni zapominając...

- Nie roztrząsajmy tego w tej chwili - odpowiada Antony pośpiesznie. - W porządku, zobaczę jutro, co się da zrobić. Co z Agą?

- Och... - odpowiadam niedbale - Mark i ja już dawno ją rozpaliliśmy. Nie mam pojęcia, po co ta cała wrzawa. Mark spisał się wspaniale, muszę przyznać.

- Tak, słucham? Muszę kończyć, kochanie, przepraszam, ale mnie wzywają, zobaczymy się jutro rano. Kocham cię, kocham, kocham. Nie, nie ciebie głupcze, mówię do mojej dziewczyny. Pa, kochanie. Buzi, buzi.

Moja dziewczyna, też coś. Buzi, buzi, też coś. I nawet nie powiedział, że dobra robota z Agą.

Naprawdę nigdy się nie zniżałam do podsłuchiwania czy śledzenia; jestem prostolinijna i wybuchowa z natury i zawsze wykrzykuję wszystko, co mi leży na sercu. Ale przypadkowo odkryłam, że kiedy się stoi w drzwiach bielizniarki słyhać każde słowo wypowiedziane w bawialni. Stoję tu, wybierając parę suchych ręczników, i dobiegają mnie niewyraźne głosy Sary i Marka, grających w złośliwą i kłótniową grę Monopoly, kiedy nagle słyszę, jak otwierają się gwałtownie drzwi do bawialni.

- Tatuś przyjeżdża jutro - woła Emily - a pani Simmons zagroziła, że odchodzi.

- Skąd wiesz? - pyta Sara.

- Słyszałam rozmowę taty z panią Straszna Chudzina, (domyślałam się, ponuro, że to dowcipne przezwisko jest pomysłem bystrej Sary), podniosłam słuchawkę - mówi Emily z niejaką dumą - akurat w odpowiednim momencie, tak że nie słyszeli kłopotliwych.

- Świetna robota. Co jeszcze mówili?

- Pani Straszna Chudzina powiedziała, że Mark spisał się wspaniale z Agą. Potem tata powiedział trzy razy, że ją kocha, tak, nazwał ją swoją dziewczyną, tak, i jeszcze powiedział buzi - buzi, naprawdę.

- Obrzydliwe - mówi Sara. - I to w jego wieku.

- Dlaczego właściwie on ją tak lubi? - pyta Emily. - Tak niegrzecznie odezwała się do niego przy śniadaniu, i nawet nie nakryła do stołu. Zapadła cisza.

- Założę się - mówi Sara - że właśnie to mu się w niej podoba. Mężczyźni lubią kobiety z temperamentem - dodaje wyniośle.

Irytuje mnie, kiedy słyszę, jak moje prywatne życie poddawane jest drobiazgowej analizie przez trzynastolatków, nie mogę się powstrzymać od lekceważącego szerokiego uśmiechu; cała półka Sary jest wypełniona książkami Georgette Heyer, zauważyłam wczoraj.

- A więc dlaczego ożenił się z mamą? Ona nie jest z temp... jak to powiedziałaś?

- Mogła być w młodości.

- Felicja powiedziała, że świetnie się spisałem, tak? - pyta Mark.

- Cokolwiek powiedziała, nadal jest wrogiem. Twoja kolej. Ha! Hotel na Leicester Square...

Mój drugi poranek w White Walls (nie rozumiem, jak mogli tak nazwać dom, tym bardziej, że nie widziałam tu dotychczas żadnej białej ściany) jest już na wstępie bardziej udany niż pierwszy, bo odnajduję drogę do łazienki bez bolesnego kontaktu z drzwiami garderoby. Schodzę do kuchni i znów powód do zadowolenia: podłoga jest czysta. Psy podskakują radośnie na mój widok, a ja je wypuszczam. Muszę przyznać, że podoba mi się, jak witają człowieka. Wykrzykuję „przestań” do Larkspur, która dokucza biednej starej Ladysmith. Ku mojemu zdziwieniu, natychmiast przestaje. Nagle ogarnia mnie poczucie pewności siebie, które wędnie natychmiast w momencie wejścia dzieci do kuchni.

Emily ma minę kogoś, kto z uporem, poszukuje powodu do płaczu. Mark znów podrzuca tę cholerną piłkę tenisową, którą wreszcie udaje mu się wrzucić do rondla z mlekiem, stojącego na piecu. Nie sędzę, by to zrobił naumyślnie (choć z tą zgrają nigdy nie wiadomo), co nie przeszkadza mi myśleć naiwnie o narzędziach tortur. Sara patrzy z nadzieją na podłogę i zawiedziona krzywi się lekko, widząc, że nie ma tam nic, co przyniesie kolejną, ożywczą awanturę.

Z ponurą miną dolewam mleka do rondla i stoję obok na wszelki wypadek, dopóki się nie zagotuje, po czym zalewam nim kaszkę Emily. To rodzaj pożywnej kaszki która wygląda, kiedy się jej

przyglądam uważnie, jak resztki zmiecione z podłogi spichlerza z dodatkiem szcurzego łajna i pokruszonych starych zębów, ale skoro im smakuje, niech jedzą.

Z bezbłędną synchronizacją w czasie, Emily deklamuje: - Nie lubię kaszki z gorącym mlekiem, pani Str... Harman.

- Wczoraj wieczorem mówiłaś, że lubisz.

- Tak, wieczorem lubię gorące, a rano zimne.

- A więc, do licha, weź czystą miskę, nasyp kaszki, i nalej sobie... zimnego... mleka.

Musiałam mówić dość ostrym tonem. Emily znalazła wreszcie powód do płaczu.

- Twój ojciec niedługo przyjedzie - odzywam się pokrzepiająco.

- Och tatuś przyjeżdża, naprawdę? - dziwi się Sara.

- Oj, Sara, przecież wiesz, mówiłam...

Emily gwałtownie milknie, bo Mark kopie ją ze złością w goleń. Łzy zamieniają się we wzburzony wodospad, i naturalnie ten właśnie moment Antony wybiera, by wejść do kuchni.

- Emmy - Wemmy... kochanie... co się stało mojej maleńkiej córeczce?

- Nalała mi do kaszki gorącego mleka - chlipie Emily w jego ramię.

- A Mark ją kopnął - dodaję uzupełniając. Owszem, doceniam, że pomógł mi przy Adze, ale człowiek powinien się bronić, kiedy go atakują.

- Przyniosłem pocztę ze skrzynki - mówi Antony, taktownie zbywając milczeniem incydent (uderza mnie wspomnienie przemówienia pani Simmons) i nietaktownie rzucając długą kopertę na stół kuchenny. - Ten dla ciebie, kochanie.

- To od mamusi - mówi Emily. - Dlaczego mama pisze do ciebie?

- Prawdopodobnie przysyła ci trochę przepisów - mówi Sara szczerze.

Rozdzieram kopertę, autorka nie kryje intencji obrażenia mnie. List jest protekcyjny, wprost żenujący; uświadamiam sobie, że to bezpośredni efekt wczorajszej rozmowy telefonicznej z Sarą. Antony czyta nad moim ramieniem.

„Psy trzeba karmić raz dziennie - pół puszki Waitrose i dwie garści WINALOT - u. Sadie jest na specjalnej diecie z powodu

wątroby; tylko pokarm dla kotów WHISKAS RABBIT, który zawiera mało tłuszczu. PROSZĘ nie dawać jej nic innego.

Ladysmith z powodu zębów karmić tylko MR DOG - iem.

Sadzonki wymagają codziennie rano spryskiwania, a w razie upału - również wieczorem. Proszę zwrócić szczególną uwagę na Cobaea scandens.

Emily nie jada makaronu, Mark jest uczulony na sery. Proszę nie trzymać na diecie Sary.

Dołączam listę jej pozaszkolnych zajęć. Rocket powinien codziennie pobiegać, jeśli dzieci zapomną, pani musi go wyprowadzić. Trzeba zamówić nowe podkowy; numer kowala jest w spisie pod K jak „koń”.

Proszę nie dopuścić, by Aga wygasła. Ładować dwa razy dziennie. („Co to znaczy ładować?”, pytam z lękiem, ale Antony czyta szybciej i warczy: „Na litość boską - i tak już mamy za dużo psów”.) Węgiel jest w szopie, tam gdzie wirówka i zamrażarka.

Proszę się opiekować troskliwie Larkspur; kiedy przyjdzie pora, trzeba zadzwonić do pana Barrowa (w spisie pod literą B) z Norfolk i umówić się na pokrycie przez jego psa dziewiątego lub dziesiątego dnia. Proszę mnie zawiadomić, szczeniaki będą warte po 250 funtów. Obiecałam Sarze, że będzie mogła jednego zatrzymać.

Proszę nic nie mówić Emily o jej moczeniu, tylko zwyczajnie zmieniać pościel. Doktor twierdzi, że nie wolno dopuścić, by miała poczucie winy.

Tarniówka musi być w tym miesiącu zabutelkowana. Niech Higgins usunie torf z asparagusa.

Proszę spróbować zrobić tak mało szkód, jak tylko to możliwe. Książka „Wykwintna kuchnia” (na półce obok Agi) zawiera wspaniałe i proste przepisy, ty podła wiedźmo.

Przeczytawszy list podnoszę głowę i patrzę chłodno na Sarę.

- Cobaea scandens, jak się domyślam, była w tej skrzynce, - która spadła mi z góry?

- Tak, wydaje mi się, że to ta - odpowiada Sara pogodnie.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to beznadziejnie głupie miejsce na trzymanie skrzynek!

W nocy, kiedy Antony wyszedł ode mnie (gderając w złości, że to jest naprawdę śmieszne... dzieci doskonale wiedzą... poza tym to jego dom...) przypominam sobie o instrukcjach Anny i powtórnie czytam

list. Dziś rano zrozumiałam go dosłownie; potoki napastliwych słów, mających na celu sprawić mi jak najwięcej kłopotów i doprowadzić do rozpaczliwej bezradności.

Teraz, po chwilach miłości z jej mężem, odczuwam je jako głęboki krzyk rozpacz. Zabrałam jej Antony'ego, co już samo w sobie jest wystarczająco okropne. Ale zabrałam jej także dzieci, psy, cały jej sposób życia. Nawet te paskudne rośliny, nagle staje mi przed oczyma obraz Anny i dzieci siedzących wokół kominka i planujących Larkspur szczeniaki.

Emily zapytałaby z pewnością „Czy mogę popatrzeć, jak się rodzą, mamusiu?” A Anna powiedziałaby: „Chyba tak, kochanie, jeśli nie będzie jej to przeszkadzało. Zobaczymy”. Emily: „To nie będzie bolało, prawda?”, Anna: „Jestem pewna, że nie. Ale nawet gdyby, to przecież szczeniaki są tego warte”.

Potem widzę, jak Anna głaszcze Emily po głowie, a Emily wyciąga stopy w stronę ognia, wiedząc, że mama miała naprawdę na myśli to, że przeszłaby wszystko, byleby tylko wydać Emily na świat.

Ja zniszczyłam ten ciepły, bezpieczny świat. Szczęśliwa Felicja zdobyła, co chciała, a Anna tkwi w mieszkaniu matki w Londynie, bez dzieci, bez psów, a nawet bez ogrodu.

Anna posiadała te rośliny w pierwszych tygodniach zapowiadających wiosnę. Snuła spokojne, pogodne plany, gdzie je przesadzi, kiedy będą dość mocne. Tymczasem jakaś fajtłapa z Londynu, zrzuca je, bo, uczciwie mówiąc, była zmęczona i zdenerwowana i niewiele ją obchodziła skrzynka wypełniona ziemią z jakimś zielskiem powtykanym w nią.

Wstaję i wkładam szlafrok (muszę kupić sobie coś bardziej praktycznego. Janet Reger, fantastyczna w ogrzewanych korytarzach St John's Wood, nie chroni od przeciągów w tym chłodnym domu) i schodzę na dół, do kuchni. Psy otwierają zaspane oczy i tulą uszy, zadowolone, że coś się dzieje. Ogon Sadie dudni o drzwi kredensu.

- Uspokój się Sadie. Pobudzisz wszystkich.

Otwieram tylnie drzwi; kiedy skrzynka spadła, wsypałam ziemię z roślinkami z powrotem do środka (sycząc gniewnie o głupocie zamieniania kuchni na szklarnię) i wystawiłam ją na zewnątrz. Niektóre z nich mogły być jeszcze żywe.

Stawiam skrzynkę na stole kuchennym, patrzę na dramatyczną plątaninę korzeni, liści i wysuszonej ziemi.

Niektóre już uschły, żałuję że tak mało wiem o roślinach. W Londynie po prostu szłam do sklepu Cliftona i kupowałam sadzonki z białymi i niebieskimi cętkami i przesadzałam je do skrzynek w oknach. Próbuję rozplątać korzenie. Kiedy wchodzi Sara, łzy zawodu, winy i smutku spływają mi po twarzy.

- Co tu się dzieje? A, to pani. Myślałam, że to włamywacze.

Obserwuje przez moment moje nieudolne próby ratowania resztki dzieła jej matki.

- Mama zazwyczaj używa starego widelca - mówi. - Przyniosę więcej ziemi.

Przynosi ziemię i parę pustych pojemników po margarynie z małymi dziurkami w denkach i przygląda się, jak niezdarnie rozdzielam roślinki i rozsadam je do ziemi.

- Trzeba je podlać - mówi, biorąc ode mnie skrzynkę. Skropiwszy delikatnie rośliny wodą, stawia pojemniki znów na górze i informuje, że idzie spać. W drzwiach odwraca się jeszcze i mówi:

- Czy pani chce, żebym pokazała, jak się ładuje Agę rano? To całkiem łatwe.

Mój trzeci poranek tutaj jest naprawdę piękny. Bez trudu pokonuję drogę do łazienki, za oknami świeci łagodne słońce, ale nade wszystko - Sara ostatniej nocy, jakby zaczęła rozumieć, no może nie od razu moje trudne położenie, ale że jestem jednak czymś więcej, niż kobietą o kamiennym sercu, która z zimną krwią niszczy jej rodzinę. Kiedy będzie mi pokazywać, jak ładować Agę, muszę postępować dyplomatycznie i spróbuję nawiązać z nią jakiś kontakt. Podłoga w kuchni nie jest w tak dobrym stanie jak wczoraj. Wprawdzie wątroba Sadie, miło widzieć, działa bez zarzutu, - nie można jednak pochwalić poczynań Ladysmith. Sprzątam i rozsypuję obficie środek dezynfekujący.

Dzieci wychodzą z przestronnej spizarni niosąc pudełka kaszki, słoiki dżemu domowej roboty i marmolady oraz paczkę pokrojonego chleba razowego, który kupiłam wczoraj w miejscowym sklepie, świadoma, nawiasem mówiąc, ciekawskich spojrzeń współklientów.

Emily informuje mnie, że to Zły Chleb.

- Więc zapisz mi nazwę Dobrego Chleba - mówię uprzejmie (nic nie jest w stanie zepsuć tego poranka) - to go kupię. Myślę, że sadzonki się przyjmą - rzucam w stronę Sary. - Dziękuję za pomoc dziś w nocy.

- Naprawdę? Niestety nie miałam czasu sprawdzić - posyła mi promienny uśmiech.

- Och, ee, noo... miałaś mi pokazać, jak ładować Agę.

- Zdaje się, że to Mark jest tutaj specjalistą od Agi, prawda? - uśmiecha się jeszcze bardziej promiennie, po czym dodaje, że zje śniadanie w ogim.

Uczucie zawodu z powodu zmiany zachowania Sary miesza się z irytacją z powodu idiotycznego skracania w tej rodzinie całkiem zwyczajnych słów. Dlaczego nie mogą mówić „ogród” jak wszyscy? Mają okropną skłonność do czytania w bibliotece, jedzenia tui zamiast ratatui, a jeśli pogoda jest dość ładna, idą grać w tenisa.

Czuję w tym wszystkim rękę Anny. Zdaje się, że to ona uważała to za takie sympatyczne.

Antony wchodzi do kuchni, kiedy Mark pokazuje mi, jak ładować Agę; niezbyt skomplikowane zajęcie, jak się okazuje, po prostu bardzo brudne.

- Dzień dobry, dzień dobry - mówi pogodnie. To efekt pracy w reklamie. Z pewnością myśli, że jeśli coś warto powiedzieć, warto powiedzieć to dwa razy.

- Dobry - odpowiadam. - Świetnie, że jesteś, przyniesiesz węgiel.

- Wręczam mu wiadro. Waha się, spogląda na dłonie, które są, jak zawsze, pięknie wypielegnowane, wreszcie niechętnie bierze wiadro.

- Dla ciebie, kochanie, wszystko - mówi łobuzersko.

- Nie chcę wszystkiego, jedynie trochę zwykłego węgla. Wraca po paru minutach, z wiadrem napełnionym tylko do połowy, i stawia je przede mną ze wspaniałomyślną miną szejka naftowego podającego gońcowi Rolexa.

- Postaw na piecu. Tutaj - mówię, otwierając drzwiczki pieca. - Nie sądzę, że to wystarczy.

- Pójdę i przyniosę trochę więcej, dobrze, tatusiu? - proponuje Emily zeskakując z krzesła.

- Och, Emmy - Wemmy, to miło z twojej strony. Dziękuję, kochanie.

- Bzdura - mówię dziarsko. - Ona jest za mała, żeby taszczyć węgiel. Po prostu idź i przynieś węgiel, Antony, i przestań robić przedstawienie.

Postanawia obrócić wszystko w żart i wychodzi śmiesznie pokwękując.

- Ale popamiętasz mnie - dodaje, wywracając do mnie oczami... - Zemszczę się.

Wolałabym, żeby nie mówił tak przy dzieciach. Sara wraca z ogrodu i patrzy na mnie w sposób trudny do określenia. Podejrzewam, że ma mi za złe, że tak dyryguję jej ojcem; ale to nie wszystko - na ułamek sekundy, czuję... Nie wiem... Czuję, jakby mnie przyjęła do swojego klubu. Chociaż na chwilę.

Antony postanawia odwiedzić ich do szkoły i wszyscy Wychodzą, bez pożegnania. Domyślam się, że to ja mam ich odebrać ze szkoły. Antony wręczył mi kluczyki do starego renaulta Anny, więc decyduję się pojechać po zakupy, żeby Jakoś przetrwać przedpołudnie i kupić trochę niezbędnych rzeczy. Prowadzenie samochodu Anny, odkrywam zmieszana, wydaje się aktem większej zaborczości, niż spanie z jej mężem. Samochód jest bardzo osobistą rzeczą; w tym są porozrzucane przedmioty - okruchy życia Anny. Stare spisy zakupów, do połowy opróżniona paczka ekstra mocnej gumy miętowej, pudełko papierosów Silk Cut, latarka oraz kolekcja kaset, Mozart, Brahms, Piosenki z Auvergne; nie tego się spodziewałam. Gdyby mnie w ogóle zajmował jej muzyczny gust, podejrzewałabym, że raczej przepada za lekkim Muzakiem.

Samochód jest straszny. Sprzęgło wymaga natychmiastowego przeglądu, a hamulce są tak słabe, że na światłach omal nie wpadam na furgonetkę. Muszę go od razu oddać do warsztatu.

Centrum handlowe w Salisbury ma mnóstwo parkingów i jest pełne dobrych starych przyjaznych nazw. Wędrując od „Bootsa” do sklepu W.H. Smitha, zaglądając do „Benettona” (o Boże, jakbym chciała, żeby Laura była tu ze mną) i kupując Dobry Czarny Chleb w supermarkecie Sainsbury, po raz pierwszy od momentu wyjazdu z Londynu czuję się jak u siebie. Zastanawiające: czyżbym była tak bardzo powierzchowną osobą, że tak łatwo mnie pociesza wydawanie pieniędzy?

Mijając M&S, odruchowo wchodzę do środka (nie dam rady dalej łądować węgla w kaszmirach i perłach) wchodzę i kupuję parę męskich sztruksowych spodni - znacznie lepiej skrojonych niż damskie - oraz dwie koszule w ładny nieregularny wzór. Również męskie.

Po powrocie do domu przebieram się i schodzę do Antony'ego, który pali cygaro i rozkoszuje się przedobiednią cherry pod francuskimi oknami biblioteki.

- Kochanie, czy myślisz, że to dobry pomysł pożyczać ubrania Anny? Zawsze starasz się być taktowna w stosunku do dzieci...

- Jeśli idzie o ścisłość, to są moje rzeczy. Kupiłam je dziś rano w Salisbury.

- Naprawdę? To tak do ciebie niepodobne.

- Naprawdę nie mogę dalej ładować węgla w kaszmirowym swetrze i perłach.

- No, tak... ale przebierzesz się do obiadu w coś bardziej sexy, dobrze?

- Jeśli nie będę zbyt zmęczona - odpowiadam nadąsana. Chcemy połączyć przyjemne z pożytecznym, co?

Kiedy mam zamiar jechać po dzieci, zaczyna padać, więc wybiegając, szybko chwytam z wieszaka w przejściu kuchennym brudnoniebieską kurtkę z ładną podszewką w kratkę.

Dwoje starszych dzieci patrzy na mnie spode łba, a oczy Emily napęniają się łzami.

- To jest kurtka mamy - mówi oskarżycielsko.

A zatem mam na sobie kurtkę. Jest dość praktyczna, podoba mi się.

- A czy przypadkiem nie masz na sobie również spodni mamy? - pyta Sara.

- Po raz setny mówię, że są moje, moje, moje. Przepraszam za kurtkę. Czy sądzicie, że mama miałaby coś przeciwko temu?

Sara wsiada do samochodu i opuszcza szybę.

- Czemu poprzestawać na zwykłej kurtce? Jestem pewna, że można by jej ukraść coś, co naprawdę ją zmartwi.

Jedziemy do domu w milczeniu.

Anna

Czekam i czekam, aż Antony zadzwoni i powie, jak strasznie się pomylił i poprosi, żebym wróciła do domu. Nie stać mnie teraz niestety na nic innego prócz apatycznego sprzeczenia się z matką.

- Dlaczego nie dzwonisz do swoich przyjaciół? - wciąż pyta.

Ale ja nie chcę się spotykać z moimi przyjaciółmi. Straciłam kontakt ze wszystkimi ludźmi, których kiedyś znałam, a ci których z

Antonim poznaliśmy na wsi, znają mnie jako część pewnej całości! Anna - i - Antony, mile widziana, atrakcyjna para na ich przyjęciach. Ciekawe, czy teraz jest to Felicja - i - Antony?

Każdego ranka, matka spogląda z nadzieją znad filiżanki herbaty i pyta, czy sprawdziłam tę lub tamtą ofertę pracy i czy skontaktowałam się już z adwokatem. Wyczerpała już swoje zasoby macierzyńskiej czułości tej pierwszej nocy, a teraz wyraźnie pragnie mieć mnie znów na drugim końcu linii telefonicznej i żebym zwolniła jej pokój gościnny.

- Niepotrzebnie unosisz się dumą. Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do Antony'ego? - spytała dziś rano, dając mi do zrozumienia że jej również zależy na tym, by Antony przybiegł z bukietem kwiatów i zabrał mnie z powrotem do Wiltshire.

Oczywiście dzwoniłam do Antony'ego. I za każdym razem Sally bardzo przepraszała, ale pan Forester - Jones był właśnie na zebraniu lub gdzieś na chwilę wyskoczył. - „Powie, że pani dzwoniła, pani Forester - Jones”.

Aż wreszcie wczoraj beznamiętnym głosem sekretarki poinformowała mnie, że pan Forester - Jones prosił, by powtórzyła, że skontaktuje się ze mną jutro.

Wraz z drugą pocztą dostaję list. Mama wyszła na zakupy! „Kupię ci trochę tych bułeczek z rodzynkami od Nathana, a poza tym zjadłaś już biszkopty w czekoladzie”. - Patrzyła krytycznie na moje pulchne ramiona, ciasno opięte delikatnym jedwabiem podomki, którą mi pożyczyła. - „Wiesz, że nie powinnaś. Strasznie się tuczysz”.

Był to kolejny problem, od którego wolałam uciec. Niektórzy ludzie nie mogą jeść, kiedy są nieszczęśliwi. W zamian za cierpienie otrzymują premię w postaci cudownej smukłej figury i pojawieniem się interesujących gości policzkowych. Ale ze mną jest inaczej. Ja pocieszam się nieustannym podjadaniem przysmaków dzieciństwa, jak bułeczki z rodzynkami, biszkopty i tosty z miodem. Widzę na wadze łazienkowej mamy, że przybyło mi siedem funtów. Sięgając bezwiednie po kawałek ciasta i kolejną filiżankę neski, otwieram list. Nie jest od Antony'ego, lecz od adwokata z Piggot, Smiley & Garrat, który informuje, że działa na polecenie pana Antony'ego Forestera - Jonesa i prosi uprzejmie, by go możliwie szybko poinformować, kto jest moim adwokatem.

Ale ja nie mam adwokata. Potrzebowałam go jeden jedyny raz, kiedy Rocket uciekł z wybiegu i stratował wypielegnowany trawnik sąsiadów. A potem zrezygnowałam z usług Piggotta, Smileya & Garratta, którzy teraz, jak widzę, nie są po mojej stronie płotu.

Ten chłody oficjalny list jest początkiem końca mojego małżeństwa. Jak Antony mógł tak postąpić? Dlaczego sam do mnie nie zadzwonił? To przez tę sukę. To ona nie pozwoliła mu ze mną rozmawiać. Jest przestraszona. Wie, że nie ma nic do zaproponowania Antony'emu poza atrakcyjnością nowego ciała. Nowe ciało? Patrząc ponuro na miękkie fałdy tłuszczu w miejscu, gdzie znajduje się moja dwudziestoczterocalowa talia, mamrocze: „Dziwka... dziwka...”, ale to są tylko rytualne przekleństwa. Znam Antony'ego zbyt dobrze, żeby uwierzyć, że ktoś może nim manipulować, zwłaszcza jeśli tym kimś jest kobieta.

On musi być albo zły albo dotknięty. To pewnie przez to, co powiedziałam, wymyślając mu tamtego ranka. Co ja takiego powiedziałam? Nie pamiętam dokładnie, ale... zaraz, zaraz... Przypominam sobie złośliwą dygresję o jego matce: starej wiedźmie z włosami ufarbowanymi na niebiesko. „A cóż w niej takiego wspaniałego, z tymi pustymi butelkami po dżinie walającymi się po domu?”. A potem nastąpiła długa litania zaniedbanych obowiązków rodzicielskich: „Gdzie byłeś, kiedy Marka zabrano do szpitala... kiedy Sara wygrała Nagrodę Traskera z biologii... kiedy lekarz zasugerował, że dobrze byłoby wspólnie omówić problem Emily?”.

Ale to były zwykłe wymówki, jakie nie raz robiłam mu w naszych poprzednich kłótniach, bez wprowadzania do akcji adwokatów, a nawet bez chłodnego milczenia między nami. Czy to może...? Boże, już wiem. Chcąc zadać Antony'emu cios, sięgnęłam odruchowo po najpotężniejszą broń, i wypomniałam mu incydent z Kuwejtu. Istniała między nami niepisana umowa, że nigdy nie będziemy do tego wracać, a ja ją zламаłam.

Dziesięć lat temu Antony był w Kuwejcie, aby sfinalizować transakcję z tamtejszym koncernem naftowym. Po powrocie tuląc się do mnie i płacząc, udreńczony wyjaśniał, dlaczego nie może się ze mną na razie kochać. Musiał za dużo wypić, a uprzejmy gospodarz, chcąc go rozerwać, przysłał mu do hotelu call girl, która zaraziła go chorobą weneryczną. Był tak zawstydzony, tak pewny, że mu nie wybaczę (i

prawdopodobnie nie przyszło mi łatwo, jeśli w ogóle, wymówić słowo Kuwejt), tak wdzięczny, że nie chciałam tego omawiać.

Zapłaciłam za potajemną wizytę u nieznanego lekarza na Harley Street (nie miałam ochoty na przyjęciu u Jenny nadzieć się na znaczący uśmiech lekarza z naszej przychodni pod literą G i T), który mnie zapewnił, że jestem „czysta jak łza” i poradził wystrzegać się kontaktów seksualnych z mężem, dopóki nie będzie równie zdrowy jak ja.

Co ja takiego powiedziałam przed wyścigiem z White Walls? To było coś o jego plugawych, przypadkowych praktykach seksualnych i... tak... ściśle mówiąc ostatnie słowa, które wypowiedziałam, brzmiały: „Czy naprawdę ci się wydaje, że choć raz sprawiło mi przyjemność kochanie się z tobą, po tym jak przywlokłeś do domu tę plugawą zarazę? Czy zdajesz sobie sprawę, jak ja się czuję? Że nie mogę znieść, kiedy mnie dotykasz?”.

Podarłam list od adwokata na drobne strzępy, cisnęłam do kosza na papiery, oklejonego ozdobnym papierem w pączki różane, po czym poszłam do łóżka. Znalazłam buteleczkę pastylek nasennych w apteczce i teraz połknęłam dwie, żeby na jakiś czas zapomnieć o całym świecie.

Matka powróciwszy do domu z zakupami, weszła do łazienki, zauważyła, że apteczka jest otwarta i że brakuje w niej buteleczki z pastylkami i pognęła do pokoju. Zaczęła mnie szarpać, próbując wyciągnąć mnie z łóżka.

- Wstawaj, wstawaj - krzyczała. - Musisz wstać i chodzić, cały czas chodzić, tak zawsze mówią. Anno, na litość boską! Wstań. Zrobię ci kawy... Zadzwońię do szpitala... O Boże, do którego szpitala? Zadzwońię pod 999...

- Mamo, co się stało? Czyś ty oszalała? - Jestem zatwardziałą przeciwniczką wszelkich tabletek, tak że jedna aspiryna powala mnie z nóg, nie mówiąc o dwóch magadonach, więc z trudem przytomnieję, cały czas odpierając jej ataki, i próbując zachować pozycję embrionalną i otulając się kocem.

- Czy niedobrze się czujesz, mamo? - przyglądałam się jej z niepokojem, kiedy ciężko opada na brzeg łóżka w nogach.

- Ja, czuję się świetnie. Tobą się zdenerwowałam. Och Anno, Anno, myślałam, że zrobiłaś to...

- Że co zrobiłam?

- Że połknęłaś pastylki nasenne; w apteczce nie ma buteleczki.

- Och, mamó, coś ty? - Wciąż jestem zbyt nieprzytomna, zbyt pochłonięta sobą, by zauważyć, że drży. - Chyba nie sądziłaś, że wzięłam za dużo? Czy myślałaś, że próbowałam skończyć z tym wszystkim, czy może wołałaś o pomoc? - Żałuję, że zażartowałam; mama kryje twarz w dłoniach i zaczyna cicho pochlipywać. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widziała, jak płacze. Wyciągam rękę i dotykam jej ramienia. - Nie płacz, kochanie. Wszystko w porządku. Wzięłam tylko dwie tabletki, żeby zapomnieć.

Mama strąca moją rękę z ramienia. Jest rozzłoszczona, tak samo, jak wtedy, kiedy miałam pięć lat i wybiegłam na ulicę tuż pod koła nadjeżdżającego samochodu, a ona w ostatniej chwili złapała mnie i dała mi klapsa.

- Tak bardzo się martwię o ciebie, Anno, czy nie widzisz tego? Co masz zamiar zrobić ze swoim życiem? Co z dziećmi? Nie możesz ich tak zostawić, wiesz o tym. I gdzie będziecie mieszkać? - Łzy wysychają na jej policzkach, a w głowie pojawia się szorstka nuta. - Nie zmieścimy się w tym maleńkim domu, a poza tym... nie możesz zostać tu na zawsze...

Nie chcę myśleć o tym, co powinnam zrobić ani też Podejmować żadnych decyzji. Chcę spać, przestać istnieć, Przynajmniej na tydzień. Tłumaczę to mamie, która pyta:

- A więc jesteś chora?

Mama jest typem purytanki, która nie pozwoli sobie na czytanie przed południem lub relaks w fotelu, kiedy w zlewie są brudne naczynia.

- Panuje grypa - mówi, szukając racjonalnej przyczyny dla mojego wylegiwania się w łóżku w biały dzień.

Trudno ją przekonać, że od nieszczęścia człowiek może się czuć gorzej niż od grypy, więc wymieniam parę symptomów, wszystkie prawdziwe, żeby było jej łatwiej.

- Wciąż czuję się taka zmęczona, a serce tak dziwnie mi wali i mam ochotę na słodycze...

- Och, nie mów bzdur, Anno - oburza się. Zawsze byłaś łakoma. - Ale zaciąga zasłony i wsuwa brzeg koca pod materac gestem, który jest energiczny i czuły zarazem.

* * *

- Dzwoni Antony.

Nakrywam głowę kocem i próbuję się odwrócić do ściany.

- Nie chcę z nim rozmawiać.

Mama znów ściąga ze mnie koc, równie stanowczym gestem.

- Och, na litość boską, Anno, weź się w garść!

Ma ochotę powiedzieć to od ponad tygodnia. Za każdym razem, kiedy na palcach wchodzi do pokoju z lekko strawnym posiłkiem na tacy i pokrzepiającym: „Jak się czujesz?”. Wiem, że przełyka to zdanie niemal krztusząc się nim.

- Antony chce wiedzieć, czy dostałaś list. Anno, jaki list? Nie widziałam żadnego listu.

Wskazuję na kosz na papiery, gdzie leży porwany na drobne strzępy list od adwokata, a ona syczy coś poirytowana i wychodzi.

Wracając po paru minutach, mówi:

- Powiedziałam mu, że nie czujesz się najlepiej i nie możesz podejść, powiedziałam, że masz gripę i to samo mówię dzieciom, za każdym razem, kiedy dzwonią. Anno, zachowujesz się naprawdę beznadziejnie. Nie jesteś jedyną żoną, którą mąż zdradza...

- To nie tylko to - mamroczę. - Ona mieszka tam, w moim domu, z moimi dziećmi...

Matka patrzy rozwścieczona.

- Oczywiście, że mieszka. Bo ciebie tam nie ma. Ktoś musi się nimi opiekować. Gdybyś nie uciekła w nocy w takiej hysterii, ona prawdopodobnie wróciłaby do męża, do St. John's Wood, czy gdzie tam on mieszka. Po prostu musisz działać, Anno. Nie możesz tak leżeć z nadzieją, że wszystko się samo ułoży.

Ale ja nadal leżę, a kiedy tace przestają się pojawiać, czekam aż matka wyjdzie z domu i wtedy wlokę się do kuchni po chleb i ser i inne łatwe do przygotowania przekąski.

Parę dni później w kuchni pojawia się moje ulubione ciasto owocowe, które mama piekła na specjalne okazje, kiedy byłam dzieckiem. A więc wie, że robię wyprawy do jej kredensu. Zjadam całe ciasto na raz, robi mi się niedobrze i wymiotuję. Potem czuję się trochę lepiej, jakbym się pozbyła czegoś więcej z organizmu, niż tylko ciężkiego ciasta owocowego. Następnego dnia rano dostaję dwa listy. Pierwszy od Antony'ego - bardzo krótki i rzeczowy. Przykro mu, że jestem chora i ma nadzieję, że czuję się już lepiej. Przykro mu także z powodu urzędowego listu adwokata, ale byłby wdzięczny, gdybym znalazła czas na odpowiedź. Oni oboje, to znaczy Antony i Felicja -

niech ją diabli, że się wtrąca - sądzą, że najlepiej załatwić wszystko bez emocji i urzędowo, a później, ma nadzieję, będziemy mogli omówić przyszłość dzieci, jak cywilizowane istoty ludzkie. Szkoda, że nie był tak cywilizowany, by trzymać swoją kochankę z dala od naszego domu. Drugi list jest od Philipa Gilhama, który pyta, czy nie zechcę zjeść z nim kolacji w czwartek wieczorem. Owszem, zechcę. Philip Gilham nie jest częścią mojej przeszłości. Nic nie wie ani o Antonym, ani o moich dzieciach, ani też o mnie. Przede wszystkim zaś, nic nie wie o Felicji Harman. Przyjemnie będzie zjeść kolację z panem Gilhamem. Przyzwoita kolacja dobrze mi zrobi na początek.

Mam dwa dni na wzięcie się w garść, jakby to określiła mama. Przymierzam czarną suknię. Ciasna, ale jeszcze ujdzie. Mama jest zdziwiona, widząc mnie na nogach i ubraną. Mówi, że się cieszy, że się wzięłam w garść.

Philip Gilham prezentuje się nawet lepiej niż go zapamiętałam. Zastanawiałam się, dlaczego tak atrakcyjny mężczyzna miałby się mną zainteresować.

- Anno - mówi - pozwoli pani, że będę się tak do niej zwracał? To świetnie. Co mogę zamówić pani do picia?

- Najlepiej kieliszek białego wina, dziękuję. - Zdaje się, że oboje poddajemy ocenie nasze poprzednie spotkanie.

Siedzę plecami do ściany. Mam szparę w sukience na plecach, bo zamek się nie dopiął, którą zamaskowałam szeroką szarfą, znaną w szafie mamy. Planowałam, że wyskoczę popołudniu na miasto i kupię coś bardziej odpowiedniego (ściśle mówiąc - coś większego) i właśnie kiedy znalazłam moją książeczkę czekową, zadzwonił Donald Harman z pytaniem, czy bym nie zjadła z nim jutro lunchu.

- To jest sytuacja nie do przyjęcia i pani i ja musimy porozmawiać, co zamierzamy z tym zrobić.

W pierwszej chwili nie mogłam sobie uprzytomnić, że to mąż kobiety, która śpi z moim mężem. Zgodziłam się pójść z nim na lunch.

Zdaje się, że w najbliższych dniach będę jadła sporo ciepłych posiłków, przychodzi mi na myśl, kiedy znów ubieram się do wyjścia (muszę wpaść do Jaegera lub innego domu mody, żeby zamienić tę ponurą spódnicę i żakiet na coś bardziej eleganckiego), ale żeby kupić coś na spotkanie z Donaldem. Jest mało prawdopodobne, by Philip Gilham zaprosił mnie jeszcze na kolację.

Na wspomnienie minionego wieczoru zalewam się gorącym rumieńcem zakłopotania. Kolacja była świetna, a wino - raczej sporo wina - wyśmienite. Philip był uprzedzająco uprzejmy. Przesadnie zachwycał się czarną sukienką i przez to jego notowania nieco spadły, bo wystarczyło jedno spojrzenie wokół, by się przekonać, że to co jest odpowiednie na wieczór w Tisbury, w ogóle nie nadaje się na kolację w londyńskiej restauracji.

Wciąż patrzył mi w oczy.

- Czy pani wie, że mają najbardziej niezwykły odcień błękitu? - spytał.

Wypytuje mnie o różne rzeczy jak na rozprawie sądowej, a kiedy docieram do Felicji, przechyla się do tyłu w krześle, odgrywając pantomimę zdziwienia.

- On musi być niespełna rozumu. Jakże mężczyzna, który ma panią, może spojrzeć na inną kobietę?

Nawet po tej ilości wina, wiedziałam, że to głupie pytanie. Przemyślałam to sobie już wcześniej i doszłam do wniosku, że gdybym była mężczyzną i miała wybierać między spasioną, wiecznie zaharowaną żoną, a piękną i smukłą aktorką z blaskiem w oku i błyskotliwą w rozmowie, rzuciłabym tę grubą.

Opowiedziałam o tym wszystkim Philipowi, a on pocieszył mnie, że wszystkie porzucone żony czują się podobnie, przynajmniej wszystkie, z którymi miał do czynienia. Wyznałam też, jaki mam problem z Piggott, Smiley & Garratt, na co zaproponował mi, taką miałam zresztą nadzieję, reprezentować mnie w sprawie Forester - Jones przeciw Forester - Jones.

- Pozwolimy im wydać trochę pieniędzy - zapewnił, a ja poczułam z przykrością, że to przestaje być prywatną sprawą między Antonym i mną, lecz staje się oficjalną sprawą rozwodową z udziałem adwokatów.

- Proszę mi zaufać Anno - powiedział Philip w taksówce w drodze do domu. W drodze do jego domu, jak sobie nagle uświadomiłam. Adres, który podał taksówkarzowi, nie brzmiał jak Caldecott Menes.

Nie byłam pewna, czy rozmawia ze mną prywatnie, czy też służbowo, ponieważ poczułam, jak jego dłoń powoli wsuwa się pod szarfę w poszukiwaniu zapięcia zamka, a po chwili wślizguje się pod sukienkę i sunie w górę w stronę lewej piersi. W pierwszej chwili

pomyślałam jedynie: „O Boże, ale ma długie łapy”, a zaraz potem poczułam wielkie zdumienie, że przytrafia się to właśnie mnie.

Mam trzydzieści dziewięć lat, jestem mężatką, no... w pewnym sensie, i zaprzestałam obściskiwania się w taksówkach dziewiętnaście lat temu. Zdziwiło mnie, że to wciąż się jeszcze praktykuje. Myślałam, że kobiety się już wyzwoliły w pewnych sprawach, i że można wrócić do domu po kolacji we dwoje bez konieczności płacenia seksualną przysługą. Prawdopodobnie powinnam była zaproponować, że za siebie zapłacę. Kłopot w tym, że nie znałam nowych reguł.

Okazało się, że nie ma żadnych nowych reguł. Obowiązywała ta sama procedura, co za moich panińskich czasów, z wyjątkiem jednej różnicy.

Nie byłam nieśmiałą dziewczicą i zorientowałam się, że Philip Gilham jest podniecony. Przycisnął mnie do siebie, a moje ciało nadawało wyraźne sygnały uległości. Mamrotał, że od pierwszej chwili, kiedy cisnęłam w niego walizką, miał się ochotę ze mną kochać: „Byłaś tak cudownie bezradna” - mówił, jednocześnie próbując zsunąć ze mnie sukienkę. Nagle rozsądek wziął górę nad moim ciałem. Pragnęłam Philipa Gilhama, nie o to szło, jednakże nie pisałam się na żadne rozbierane randki przed zrzuconiem co najmniej piętnastu funtów.

Zesztywniałam w ramionach Philipa, kiedy wyobraziłam sobie siebie nagą, z ciężkim biustem, grubą talią i udami pełnymi dołeczków. I bez tego byłam wystarczająco zakompleksiona.

- Przepraszam, Philipie - odpycham go jak dawniej innych mężczyzn w taksówkach. - Przepraszam, ale nie mogę dziś do ciebie jechać.

- Wybacz mi, Anno - odpowiedział. - To Antony, prawda? Jest jeszcze za wcześnie. Co za nietakt z mojej strony.

Ale to wcale nie przez Antony'ego, niech go diabli. Ciekawe, ile kobiet odmawia tylko dlatego, że wstydzą się swojego ciała.

Od pierwszej chwili, kiedy Donald ściska moją dłoń - boleśnie mocno - mówiąc: „Cóż panią skłoniło do takiego odejścia, Anno? To było prawne samobójstwo”, jest oczywiste, że to spotkanie w sprawach interesów; raczej w celu omówienia przyszłych strategii niż wzajemnego pocieszania się i szlochów nad przeszłością.

- W jaki sposób kobiety najczęściej reagują, kiedy pańska żona wprowadza się do ich mężów? - odpowiadam złośliwie.

Donald ma na sobie granatowy garnitur w prążki, śnieżnobiałą koszulę, nieciekawy granatowy krawat, z gustownym emblematem pośrodku na znak, że przynależy do porządnej amerykańskiej korporacji. Wygląda bardziej angielsko niż ktokolwiek inny na Throgmorton Street; ściślej mówiąc, jak Amerykanin w wytwornym garniturze.

Ale kiedy przyglądam mu się z bliska, widzę, że wygląda także, jak nieszczęśliwy mężczyzna.

- Przepraszam. - Kładę przelotnie dłoń na jego dłoni. - To nie była mądra uwaga, ale czuję się trochę zraniona. Pan chyba też.

Donald szybko cofa rękę, jak gdybym miała zamiar ją pochwycić i obsypać pocałunkami i stara się ukryć wszelkie objawy emocji, chowając się za wielką kartą dań, ozdobioną frędzlem. Każda potrawa zaopatrzona jest w cały poemat prozą na temat jej nadzwyczajnej świeżości, a ja zastanawiam się - nad wodnistym koktajlem z krewetek i wysuszonymi kotletami z jagnięcia - dlaczego jakoś żywności zdaje się pogarszać wprost proporcjonalnie do rozmiarów menu. Dziwię się też, że dochodzę do tak wielkiej trywialnej prawdy w tak poważnym momencie.

Donald nie wiedział, że Felicja i Antony mieli romans, nie miał pojęcia nawet o tym, że jest nieszczęśliwa.

- Miała dom, dzieci, wydajemy... znaczy, wydawaliśmy sporo przyjęć - była w tym dobra - a kiedy czuła znudzenie, zawsze miała te swoje rólki.

Kiedy to mówi, przenika mnie mimowolny prąd sympatii dla Felicji, gdyż, o ile pamiętam, Antony mówił, że była popularną aktorką, zanim poślubiła swojego amerykańskiego bankiera.

Donald zřęcznie zmienia temat i pyta o mojego męża:

- A co z Antonym? Często mu się to zdarza?

- Jak dotąd nie, o ile wiem. A Felicji?

- Nie sędzę. Ale skąd możemy to wiedzieć, Anno? To spadło na mnie, jak grom z jasnego nieba. Myślę, że na Panią też.

Przyznaję, że byłam równie oszołomiona, zresztą jestem nadal, nawet bardziej, więc kiedy Donald sugeruje, żebyśmy "rozegrali to chłodno i poczekali, aż minie ta niedorzeczna namiętność", pytam:

- Ale, czy przyjąłby pan z powrotem Felicję? W końcu to właśnie pan wyrzucił ją z domu, przez co wszystko się tak potoczyło. Wygląda na zawstydzonego. - Tak, tak. Oczywiście, że ją przyjmę.

Nie należy, jak podejrzewam, do mężczyzn, którzy regularnie biją swoje żony, raczej takich, co trzymają emocje mocno w ryzach, ale kiedy już wybuchają, to z wielką gwałtownością.

- Nie wiem, dlaczego, ale to Tom mi o tym powiedział, co znacznie pogorszyło sytuację. Wydawał się... no, pomyślałem, że wydaje się zadowolony.

- Trudno oczekiwać, by ją specjalnie lubił - wtrącam. - Zdaje się, że opuścił pan jego matkę dla Felicji. - Donald kiwa głową.

- No właśnie. Prawdopodobnie uważa, że pan poświęcił jego dzieciństwo i szczęście matki dla jakiejś nic nie wartej dziwki. I Felicja właśnie potwierdziła, że miał rację, a pan się mylił. Nic dziwnego, że jest pan zły.

Donald sprawia wrażenie poruszonego tą amatorską analizą psychologiczną, ja zresztą też.

- Tak - mówi - ma pani chyba rację. Nienawidziłem jej za to, że dała się tak upokorzyć. Ale to nieprawda, że jest niewiele warta. Jest tylko strasznie nerwowa, to wszystko. Obawiam się, że to wszystko też mogło być przez nerwy.

Zamyślam się - strasznie nerwowa? A więc moje dzieci są pod opieką szalonej kobiety, jak mówi Donald, zmartwiony, że Laura i Harry nie znoszą kobiety, którą zatrudnił z agencji opieki.

- Pani ma dwoje, prawda? - pyta. - Chłopca i dziewczynkę? Kto się nimi zajmuje?

Odpowiadam, że mam troje dzieci, które nadal są w Wiltshire i pozostają pod opieką jego neurotycznej żony. Och, w takim razie, zapewnia mnie Donald, Felicja niedługo wróci do St. John's Wood.

- Ona nie przepada za dziećmi, w każdym razie nie za obcymi, więc niech pani będzie spokojna, Anno, i przestanie mówić te nonsensy o rozwodzie. Niedługo będzie po wszystkim.

Nie podzielam jego optymizmu. Czytałam list od adwokata Antony'ego i nie wynikało z niego, że to nonsens, który niebawem minie. Mówię o tym Donaldowi i pytam jeszcze, co się stanie z moimi dziećmi, podczas gdy my będziemy czekać spokojnie z założonymi rękami. Widzę twarz mojego syna, bladą i zamkniętą, tak wygląda,

kiedy coś go gnębi i nie wie, jak mi o tym powiedzieć. Odsuwam wstrętne kotlety i wybucham płaczem.

- Anno, niech się pani uspokoi. - Donald rozgląda się zakłopotany po restauracji, gdzie inni mężczyźni, w takich jak on garniturach w prążki przerwali dyskusję o reakcji Komisji Monopolów na ostatnią ofertę przejęcia i koncentrują całą uwagę na naszym stoliku.

- Proszę się uspokoić... Wiem, że nie jest pani lekko. Mnie też. Harry wciąż pyta o matkę, a Laurze powiedziałem, że Felicja wyjechała trochę odpocząć... cholernie trudno jest podołać temu wszystkiemu i jednocześnie mieć na głowie nigeryjskiego ministra finansów.

- Ale co możemy zrobić?

- Tak jak powiedziałem - nic. Byłoby szaleństwem niszczyć życie naszym dzieciom. Chcę, by Laura i Harry uczyli się w amerykańskim college'u, więc źle by się stało, gdyby przez to całe zamieszanie musieli przenosić się do angielskiej szkoły. Zostawimy dzieci tam, gdzie są, w znanym środowisku, w tych samych szkołach, gdzie mają przyjaciół, a potem, kiedy ci nieodpowiedzialni ludzie opamiętają się, dla dzieci nie będzie to taki straszny wstrząs.

- A jeśli się nie opamiętają? Co wtedy?

- Opamiętają się - zapewnia Doland z przekonaniem. - A tymczasem, Anno, mam wspaniały pomysł. Może by się pani do mnie wprowadziła? - Widząc, jak zakłopotana oblewam się rumieńcem od szyi aż po czubek głowy, dodaje szybko: - Nie, nie. Nie to mam na myśli. Nie, nie. Proszę mnie źle nie zrozumieć... - rumieniec przybiera postać cętkowanej pulsującej czerwieni, a Donald znów zapewnia: - Pani jest atrakcyjną kobietą, Anno, żeby nie było nieporozumień, ale to platoniczna oferta. Nie ma pani gdzie mieszkać i szuka pani pracy, a ja nie mam nikogo do opieki nad dwójką dzieci. Założę się, że świetnie radzi sobie pani z dziećmi i że bez trudu podoła od czasu do czasu oficjalnej kolacji, kiedy muszę kogoś zaprosić do domu.

- No, nie jestem pewna... - Nie jestem pewna, czy poradzę sobie kiedykolwiek z czymkolwiek, a zwłaszcza z tym gwałtownym Amerykaninem.

- A więc postanowione. - Donald odpręża się i zadowolony z siebie zaciąga się cygarem, kolejny interes załatwiony pozytywnie. - Będzie pani u mnie pracowała, a ja będę płacił pani trochę ponad

maksymalną stawkę i, ma się rozumieć, będzie też pani miała pomoc domową i własny pokój.

- Uśmiecha się nagle szeroko, i po raz pierwszy chwytam uwodzicielskie spojrzenie, w którym zakochała się Felicja.

- Och, zapewniam panią, Anno, że wszystko będzie jak należy.

- Ależ oczywiście. Nie myślałam, że... nie pomyślałam ani przez chwilę... - Tak bardzo pragnę przekonać go, że nie zrozumiałam jego propozycji dwuznacznie, że nawet nie wiem kiedy, kiwam potakująco głową, tym samym zostając gospodynią domową męża kochanki mojego męża.

Felicja

Jestem już od trzech tygodni w tym domu, i potwornie tęsknię za dziećmi. Pojechałam do Londynu, żeby się z nimi spotkać i oczywiście codziennie do nich dzwoniłam, ale za każdym razem odkładając słuchawkę, czułam się coraz podłej. Harry bez przerwy mówił o jedzeniu, co nietrudno było zinterpretować jako objaw poczucia zagrożenia, Laura zaś cały czas mnie przeproszała za to, że przyjmowała mnie jako coś oczywistego. Doprowadzała mnie tym do szaleństwa, ale nie mogłam się załamywać, bo jeszcze bardziej bym im zaszkodziła.

Anna skontaktowała się ze mną i w chłodnej rozmowie ustaliłyśmy, że podrzucę dzieci do jej matki. Znalazłam się w dość ponurej dzielnicy Londynu, gdzie chyba nigdy przedtem nie byłam. Kiedy stamtąd odjeżdżałam, spojrzałam w lusterko samochodowe i pomyślałam: „Nieźle wyglądasz. Jesteś całkiem ładną kobietą, Anna nie zrobiła ci nigdy nic złego; no, dobrze jest nudziarą, ale czy to powód, żeby niszczyć jej życie tak bez reszty?”.

Ten dom mnie naprawdę zatrwożył. Był odpychająco pretensjonalny; czyste zasłony we wszystkich oknach, ale nikomu nie przeszkadzała rozbita butelka po mleku. A ja dziś w nocy wracałam do mężczyzny i elegancji. Prawda, że lodowato chłodnej elegancji, ale także przestronnych pokoi, starego ogrodu, a nade wszystko nie do widoku rozbitej butelki po mleku.

Nadal mam klucze od frontowych drzwi, więc wchodzę do domu. Do domu Donalda. Czekał na mnie, żeby przekazać dzieci w moje ręce z chłodną grzecznością.

- Wrócę o piątej - powiedział.

- Donald - odzywam się. - Chciałabym porozmawiać...

- Do widzenia, kochanie - mówi. - Cześć Harry. Bądź grzeczny. Do zobaczenia. - I wyszedł.

- A więc co będziemy robili? - pytam siedząc z Laurą na kanapie tak blisko jak tylko możliwe, i Harrym na kolanach. - Och, dzieci, tak bardzo się cieszę, że was widzę. Jak się czujecie? Obcięłaś włosy, Lauro. Wyglądasz prześlicznie?

Harry był znacznie cięższy, niż kiedy go ostatnio trzymałam na kolanach. Wyraźnie utył.

Zabrałam ich na zakupy. Laura poinformowała, że jedna z jej koleżanek kupiła sobie jakieś fantastyczne zabawki w „Monsoon”, więc czy moglibyśmy tam pójść popatrzeć. A Harry opowiadał o elektronicznym robocie tak zaprogramowanym, że nie wychodził poza krawędź stołu. Tak więc wydałam całkiem sporą sumę pieniędzy, a potem poszliśmy do McDonalda. Czułam nudności, widząc, jak Harry pożera łączywie hamburgera z serem, dużą porcję frytek i wypija koktajl mleczny, na koniec zaś wpycha w siebie placek z jabłkami.

Laura poprzestała na najmniejszym hamburgerze.

Zorientowałam się, ku mojemu przerażeniu, że rozmowa jest wymuszona i zadaję im nudne pytania typu: „Jak w szkole?”. Tak bardzo się obawiałam, że powiem coś nieodpowiedniego, że wszystko, brzmiało sztucznie.

Kiedy wróciliśmy do domu, Harry natychmiast pomknął do kuchni. Słyszałam, że otwiera drzwi lodówki. Już chciałam go powstrzymać, kiedy Laura zapytała:

- Mamo, kiedy wrócisz do domu?

- Lauro - odparłam - kochanie... to jest nadal mój dom w odniesieniu do was. Ale nigdy już nie będę miała wspólnego domu z waszym ojcem. Jest dobrym i miłym człowiekiem, ale nie czuliśmy się ze sobą szczęśliwi.

Czy mówiłam prawdę? Brzmiało to niby stary jak świat banał, wypowiedany z końcem każdego małżeństwa, ale było w tym sporo prawdy. Patrząc w przeszłość uświadamiam sobie, że chociaż nie byliśmy zupełnie nieszczęśliwi, nigdy nie uśmiechaliśmy się do siebie. Nie wymienialiśmy szybkich uścisków mijając się na schodach. Nie miałam ochoty dzielić się z nim nowinami, tym bardziej, że nie umiał ich wysłuchać nawet do połowy.

Antony i ja, kiedy jesteśmy razem, ozywamy pośród kłótni i krzyków. Byłam dziełem słynnej pary teatralnej i wyrastałam wśród awantur. Jak daleko sięgnę pamięcią, moi uwielbiani rodzice ubliżali sobie nawzajem. Najzabawniejsze były śniadania. Matka ubrana w bladobłękitne woale, z białą koronką opadającą z wątlých nadgarstków patrzyła na ojca zakochanym do szaleństwa spojrzeniem ogromnych błękitnych oczu.

- Harry - szczebiotała - ta toaleta, naprawdę boska. Kawy, mój aniele? Oczywiście musiałeś schrzanić moje wejście wczoraj wieczorem.

- Felicja - rewanżował się ojciec - czy wiesz, że twoja matka była nigdyś najpiękniejszą kobietą w Londynie? Ja tylko próbowałem ci pomóc, najdroższa. Po piętnastu minutach grobowej ciszy poważnie się zastanawiałem, czy nie zastrzelić tej energicznej panny.

- Co ty mi imputujesz? Jeszcze nigdy nie zapomniałam tekstu. Kiedy kobieta wchodzi do pokoju i słyszy, że jej mąż wyznaje przez telefon miłość jej najlepszej przyjaciółce, to chyba oczywiste, że milczy oniemiała. Czułam, że publiczność... Gdzie miód? Dziękuję kochanie... Czułam, że publiczność cierpi wraz ze mną.

- Rzeczywiście? A mnie się wydawało, że patrzą na zegarki.

- Niestety nigdy nie potrafiłeś interpretować reakcji publiczności, prawda, kotku? To przedstawienie „Króla Leara” w Edynburgu... Boże, jakże ci wtedy współczułam...

I darli tak ze sobą koty, nie szczędząc wysiłku, a ja rechocząc wesoło między nimi, uczyłam się od najmłodszych lat, że jeżeli ludzie kochają się, dużo krzyczą. Nic więc dziwnego, że unikanie kłótni przez zrównoważonego Donalda denerwowało mnie.

Wracając do domu z dziećmi Anny, które siedziały osowiałe z tyłu, pomyślałam ze smutkiem, że lepiej było zostać w Wiltshire. Wydałam mnóstwo pieniędzy, jeszcze bardziej unieszczęśliwiłam Laureę, i nic nie uczyniłam dla Harry'ego, z wyjątkiem napchania go paskudnym jedzeniem.

Anna

- Anno - to Felicja. Mam nadzieję, że nie zaproponuje znów przywiezienia dzieci. Nie mogłam się doczekać, kiedy je zobaczę, ale nasze spotkanie stało się zupełną klęską. Nędzny domek matki wydaje się jeszcze mniej gościnny dla dzieci niż dla dorosłych lokatorów.

Wszystkie stoliki i stoliczki ustawione są tak, że co i rusz ktoś je potrącał, zrzucając bibeloty i ozdoby, a mama całe przedpołudnie pracowicie wsuwała pod kubki maty w kwiatowy deseń i zmiatała niewidzialne pyłki z krzeseł, natychmiast, kiedy któreś z dzieci wstało, żeby pójść do łazienki. Za każdym razem, kiedy Mark naśladował Miss Piggy, pytała: „Czy musisz tak strasznie hałasować?”. Mark jest teraz pochłonięty naśladowaniem zabawnych głosów.

Dotarła do mnie bolesna świadomość, że moje dzieci mają się aż za dobrze beze mnie. Cieszyłam się, jasne, że się cieszyłam, kiedy się dowiedziałam od Emmy, że przestała siusiać w łóżko, ale zraniło mnie, że Felicja dokonała dla mojego dziecka czegoś, czego ja nie byłam w stanie zrobić przez wiele lat.

Wyglądali tak dobrze, są nadal rodziną. Wkładając naczynia do zlewu, matka mówi:

- Nie wygląda na to, że dzieje im się jakaś krzywda. Mark wcale się nie zmienił, a dziewczynki wyglądają nawet lepiej niż zwykle.

Nie wiedziałam, czy potraktować to jako pocieszenie, czy krytykę. Podejrzywałam to drugie, ale to nie był odpowiedni moment, żeby się sprzeczać z matką.

- Tak, wygląda na to, że mają się dobrze - zgodziłam się.

A potem Mark wszedł do kuchni z brudnym kubkiem i zaczął bezmyślnie opowiadać o Felicji i Antonym we dwoje. Fel i tata przyszli w zeszłą sobotę popatrzeć, jak gra w krykieta; Fel i tata byli w Londynie w teatrze i mówili, że sztuka była dobra; tym samym oświadczał, ni mniej ni więcej, że Fel i tata dobrze żyją ze sobą.

Przykro mi było słuchać tego. Pragnęłam, by Fel i tata czuli się tak podle jak ja, ponieważ wiedziałam, że nie będę mogła zabrać dzieci z tego bezpiecznego świata do Londynu, nawet gdybym znalazła mieszkanie.

Nie mam powodu do dumy - zachowałam się podle dziś po południu. Sara nieustannie opowiadała o tym, że Larkspur będzie miała szczeniaki i w końcu powiedziałam:

- To że została pokryta, nie musi koniecznie oznaczać, że będzie miała szczeniaki. To się zdarza, wiesz.

Zrzedła jej mina. Ciekawe, czy powiedziałam tak, bo to prawda, czy też dlatego, że poczułam, iż Sara bardziej przejmuje się psem i tymi przekłętymi szczeniakami niż mną.

Prawdopodobnie te odwiedziny przygnębiły ich tak jak mnie i Felicja dlatego dzwoni...

- Pomyślałam, że muszę pani powiedzieć - mówi rzeczowo, spokojnym, energicznym głosem, jak zawsze, kiedy ze mną rozmawia - że Larkspur została właśnie pokryta...

Dzwoni, żeby mi to powiedzieć? Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Oto do czego doszłam, siedzę tu, oszalała z niepokoju o moje dzieci, męża, moje życie, a ta kobieta bredzi mi o psach.

- Dzieci mi już mówiły - odpowiadam stanowczo. Po prostu nie chcę już słyszeć o żadnych psach. I nie mogę się oprzeć, by nie dodać: - Chyba powinna pani wiedzieć, że wprowadzam się do Donalda.

- Do Donalda! - Z jej tonu wnioskuję, że moja nowina jest bardziej intrygująca. - Jak to wprowadza się pani do Donalda?

Wyjaśniam, że Donald potrzebuje kogoś, do prowadzenia domu, ja potrzebuję pracy, a Laura i Harry opieki, nim ona i Antony opamiętają się.

- Myślałam, że będzie pani zadowolona, słysząc, że ktoś zaopiekuje się pani dziećmi.

Zapewnia w popłochu, że codziennie rozmawia z nimi przez telefon i że bardzo za nimi tęskni.

- Bronimy się, tak? - mówię odkładając słuchawkę.

- Wyjaśnijmy to sobie, pani Forester - Jones - pan Dwyer patrzy na mnie błagalnie znad splecionych dłoni. - Ma pani zamiar zamieszkać z panem Harmanem, a jego żona, pani Harman, mieszka obecnie z pani mężem, panem Forester - Jonesem?

- Brzmi to może trochę dziwnie - odpowiadam - ale w rzeczywistości nie żyjemy we wspólnocie małżeńskiej. Pan Harman zatrudnił mnie, ale będziemy mieszkać w osobnych pokojach. Mówiąc inaczej - decyduję się na bardziej dosadną angielszczyznę - nie śpimy ze sobą, nie zastępuję mu żony.

- Och litości, pani Forester - Jones, proszę nie myśleć, że coś sugeruję, ale nic nie poradzę na to, że jako prawnik, zastanawiam się, czy... no, czy to jest odpowiednie dla pani i pana Harmana pozostawać w takiej zażyłości. To może dać drugiej stronie podstawę do zarzutu, że dochodzi do cudzołóstwa i, ponieważ to pani opuściła mężowski dom i w efekcie porzuciła swoje dzieci, musimy się zastanowić, czy... no, czy będzie rozsądne obejmować posadę w domu pana Harmana.

Z panem Dwyerem skontaktował mnie Philip Gilham, który zadzwonił nazajutrz po szamotaninie w taksówce, żeby jeszcze raz przeprosić za swoje zachowanie. Nie wiedział, co go naszło, twierdził, poza tym, że wydawałam mu się niepokojąco atrakcyjna i bardzo chciałby się znów ze mną spotkać, jeśli potrafię mu wybaczyć. Zapewniłam, że oczywiście wybaczyłam mu i że to, że byłam tak niepokojąca było w równym stopniu moją winą.

Roześmiał się uprzejmie i powiedział, że w tych okolicznościach chyba rozumiem, że nie może reprezentować mnie w sprawie rozwodowej; to była zła wiadomość, ponieważ bardziej niż kochanka, potrzebowałam prawnika.

Z tego, co mówił pan Dwyer, zrozumiałam, że będę miała prawo do połowy White Walls i prawdopodobnie rodzaju zapisu w uznaniu za szesnaście lat wiernej służby; ale mało prawdopodobne, by przyznali mi alimenty, ponieważ uważano, że kobieta w wieku trzydziestu dziewięciu lat może zarobić na swoje utrzymanie.

- Będziemy oczywiście walczyli o to, argumentując, że pani zajmowała się dziećmi i domem pana Forester - Jonesa, nie mogąc, tym samym, rozwijać swoich zdolności. Pani mąż będzie naturalnie płacił alimenty na dzieci.

- Ale zostaną z nim?

Pan Dwyer zaciska potępiająco usta.

- Sądziłem, że pragnie pani, by to pani przyznano dzieci. Miotany sprzecznymi uczuciami doznaje ulgi, kiedy wyjaśniam, że przyszedłam raczej po poradę niż wszczynanie sprawy rozwodowej, ponieważ mam nadzieję, że do rozwodu nie dojdzie. Wyraźnie uspokaja go fakt, że mam prawidłowe instynkty macierzyńskie, ale rwie się do walki.

- Nie zacznę działać, dopóki nie otrzymam od pani poleceń - odpowiada smętnie.

Felicja

Dziewczynki uparły się nazywać mnie Feliks. Antony optymistycznie interpretuje to, jako czułe przekręcenie mojego imienia. Ja jednak nie mam wątpliwości, sądząc z bezczelnych spojrzeń na mój biust, że (zainspirowane przez Sarę) dają mi do zrozumienia, że na górze jestem zbudowana jak facet. Jest to na tyle prawdziwe, że czuję się upokorzona.

Ale mam też sukcesy, jak naszą wspólną, moją i Emily, tajemnicę. Około dwóch tygodni temu, kiedy zagniewana zmieniałam jej pościel, zręcząc przy tym okropnie, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że stoi w drzwiach; zapomniałam, że jest przeziębiona i nie poszła do szkoły.

- Sprawiam pani kłopot, prawda?

Już chciałam powiedzieć zjadliwie, że skądże znowu, całe życie o tym marzyłam... ale jedno spojrzenie na jej zrozpaczoną twarz wystarczyło, bym się powstrzymała.

- Jasne, że to żaden kłopot, Emily. Po prostu chciałabym pomóc, a nie wiem jak. To musi być dla ciebie okropne.

- Kiedy koleżanki zapraszają mnie do siebie na noc, muszę odmawiać... a jak w zeszłym roku był obóz jeździecki, udawałyśmy z mamą, że mam grypę.

- Może spróbujemy temu jakoś zaradzić?

- Lekarz powiedział, że wyrosnę z tego i że nie wolno mnie denerwować.

- Czy będzie cię denerwować, jeśli będę cię budzić godzinę po zaśnięciu? Pójdiesz zrobić siusiu i może wytrzymasz do rana.

- Myśli pani, że to pomoże?

- Mnie pomogło, kiedy byłam w twoim wieku - wyznałam wspaniałomyślnie. - Miałam okropną niańkę, która się mną zajmowała, kiedy rodzice byli w teatrze. Twierdziła, że to z powodu mojej podłości i mama przestanie mnie kochać, kiedy się dowie.

- Dowiedziała się?

- Tak, kiedy pani Brigshaw odeszła. Moja mama była na nią wściekła.

- Co powiedziała?

- Naprawdę nie mogę powtórzyć - (Moja matka wyzwała ją od starych nikczemnych sodomitek. Kochanie, musisz mi zawsze o wszystkim mówić. Nie ma takiej rzeczy, przez którą mogłabym przestać cię kochać, przecież wiesz. Od tej pory któreś z rodziców zawsze budziło mnie, kiedy wracali z teatru. I po paru tygodniach mój wstydlivy problem stał się czymś nieistotnym, co miało miejsce dawno temu, kiedy byłam malutka). - W każdym razie można by spróbować.

Emily wahała się, rzucając na mnie nerwowe spojrzenia.

- Obawiasz się, że Sara tego nie pochwali - stwierdziłam.

- Ona na pewno pomyślałaby, że to dobry pomysł, gdyby to zrobiła mama.

- Tak, ale twoja mama nie wie o tym tyle, co ja. Możemy to utrzymać w tajemnicy.

Twarz Emily rozjaśnia się.

- Wiem - mówi - to będzie taka gra. Będę więźniem w kwaterze gestapo, a pani może być kimś z ruchu oporu, kto się skrada, żeby mnie ocalić.

Te dzieci oglądają stanowczo za dużo filmów w telewizji; zresztą moje też, muszę przyznać samokrytycznie.

- Jak pani sobie życzy, mamselle.

Emily zachichotała i spojrzała za siebie wzrokiem winowajcy. Dobrze wiedziałam, że możemy w ten sposób rozmawiać tylko dlatego, że Sary nie ma w domu.

Od tej pory każdej nocy około dziesiątej sunęłam na górę. „Cherie - szeptałam nad głową Emily - masz teraz szansę”.

Po paru dniach znużyła nas gra w Cherie i jej podłych przyjaciół z gestapo, jak też różne wariacje tej gry. Nieźle nam szło „Przychodzę do wolnej białej squaw”. Obecnie zaś jestem Gene Hackmanem, który wyjawia swemu kumplowi, gdzie ukrył narkotyki. I tak się bawimy. Ale Emily miała kilka suchych nocy i ustaliłyśmy, że po trzech pod rząd zabiorę ją do Salisbury i kupię najpiękniejszą koszulę nocną w mieście. Sara domyśla się czegoś, ale tylko domyśla.

I druga rzecz - pani Simmons zgodziła się przychodzić codziennie, a nie tylko w czwartki i piątki. Pomyśleć, że jeszcze trzy tygodnie temu, zastanawiałam się, co robić z czasem; Anna musiała być szalona, że nie mówiła, jaka jest wyczerpana. Pani Simmons szybko zmieniła zdanie. Zorientowała się, co robię dla Emily i udobruchała się do tego stopnia, że powiedziała:

- Mówiłam pani Forester - Jones, że takie rzeczy nie mijają same z siebie.

Nauczyłam Antony'ego, jak układać naczynia w zmywarce i jak ją obsługiwać. Świetnie sobie radzi, ale musi popracować nad nawykiem układania sztućców do góry.

Sumiennie przedarłam się przez prawie wszystkie polecenia Anny. Prócz tarniówki. Nie mogę jej znaleźć, a gdyby nawet, nie wiem, co z nią zrobić. Oczywiście powinna być już rozlana do butelek, w przeciwnym razie zmieni się gdzieś w kałużę.

Powiedziałam Higginsowi (ogrodnikowi wynajętemu na dwa dni w tygodniu, by mógł sobie palić fajkę gdzieś w spokojnym miejscu) o torfie na asparagusach. Odparowuje cios bezczelną propozycją posadzenia większej ilości brukselki w pobliżu domu. Protestuję przeciw temu głupiemu pomysłowi powołując się na Annę. Rocket dostał śliczne nowe podkopy, ale już sama myśl przebywania z nim sam na sam na dworze, nie mówiąc już o dosiadanu go, doprowadza mnie do skurczów żołądka. Nie muszę się jednak tym przejmować, bo Sara się na nim włóczy całymi godzinami. Larkspur ma od wczoraj cieżkę. Lepiej o tym nie mówić. Zadzwoiłam do pana Barrowa, który zwracał się do mnie per „panno” i umówiliśmy się, że przyjadę do niego na przedmieścia Thetford w przyszłą środę o dziewiątej rano.

- Najlepiej rano - powiedział pan Barrow. Złęłam się, że zechce mi wyjaśnić dlaczego, więc odwróciłam jego uwagę prosząc o wyjaśnienie, jak dojechać. Ledwie odłożyłam słuchawkę, uświadomiłam sobie, że żeby dotrzeć do Norfolk na dziewiątą, Larkspur i ja będziemy musiały wstać przed świtem.

Mnóstwo czasu poświęcam na gotowanie. Częściowo z powodu mojej kłęski kulinarnej pierwszego dnia wmuszam w nich obfite, kilkudaniowe kolacje, jak gdybym tuczyła gęsi. Jagnięcina, tuńczyk, pasztety, kremy, egzotyczne warzywa... Napasieni, chwiejnym krokiem odchodzą od stołu, jak w czasie świąt.

I oczywiście przygotowuję stoisko z przekąskami na jutrzejszy festyn. Nie miałam zamiaru dłużyć przy pospolitych rulonach szynki z cebulą, więc przygotowałam paszteciki, trochę jambon persille, i dwie rolady - z serem i awokado. Poza tym trochę smakowitych pieczarek faszerowanych.

Sara obserwuje moje poczynania sardonicznym spojrzeniem.

- Och, oni nie będą tego jedli - mówi - naturalnie.

Dzień naszej uroczystości kościelnej. Ogarnięta paniką, zrywam się dziesięć po szóstej. Schodzę do kuchni (podłoga czysta, więc chwalebę psy. Nie po raz pierwszy łapię się na tym, że mówię do zwierząt jak do ludzi. Tu musi coś wisieć w powietrzu.) i nakładam na tace moje wyroby. Obawiam się, zabraknie. Jeżeli w zeszłym roku zarobili dwadzieścia funtów - po dwadzieścia pięć pensów za porcję, to ile porcji...? Biorę papier i ołówek, żeby to obliczyć. Osiemdziesiąt porcji... czy tu jest osiemdziesiąt porcji? Na pewno wystarczy... Z drugiej strony...

Kiedy Antony pojawia się w kuchni - „Dzień dobry. Dzień dobry.” - właśnie robię pastę śledziową.

- Och, cudownie, śledzie na śniadanie - woła Antony.

- Nie ruszaj, to na to cholerne stoisko, w które się dałam tak głupio zrobić.

- Kochanie, nigdy nie sprzedasz tego wszystkiego, wystarczyłoby dla pułku wojska. A swoją drogą, czy to trochę nie za wyszukane dla tych kmiotków?

- Jeśli coś zostanie, zjemy na kolację.

Antony sceptycznie przygląda się moim wyrobom i wiem, co myśli: jambon persille, który przeleży gorące popołudnie na otwartym stole, będzie wyglądał niezbyt apetycznie, a może nawet okaże się niebezpieczny.

Wpada Emmy i wskazuje kciukiem do góry, kiedy nikt nie patrzy. Najwidoczniej należy się jej najcudowniejsza koszula nocna w Salisbury.

- Och, Felicja, jakie pyszności. Czy wystarczy? Mogłabym wszystko zjeść sama.

Sara wchodzi w trakcie zachwyków Emily i piorunuje ją wzrokiem. Ale Emmy jest zbyt uszczęśliwiona, niech Bogu będą dzięki, żeby to zauważyć.

W południe mój stół jest już prawie pusty. Sara i Antony (myślę rada z siebie) chyba nie doceniają wyrafinowanych gustów współczesnych ludzi na prowincji. Przecież oni oglądają telewizję, podróżują, mają dostęp do szerokiego wyboru egzotycznych potraw oferowanych przez supermarkety, żona zwykłego farmera zdaje się świetnie obeznana z roladą z awokado. W rezultacie tak dużo ludzi prosiło o przepisy, że sprytna Dotty zaproponowała, by sprzedawać je po dziesięć pensów.

Poznałam koszmarną kobietę imieniem Jenny Jakaśtam. Dotty i Gary słusznie nazywają panią Simmons Obwoływaczem Miejskim, ale ona przynajmniej jest szczerą w swoich zainteresowaniach miejscowymi wydarzeniami. Jenny uśmiecha się cały czas słodko, więc się jej rewanżujesz tym samym, ale kiedy unosisz jej słowa do domu i zastanowisz się nad nimi, zaczynasz żałować, że jej nie dołożyłaś.

- Hej - mówi - jestem Jenny. - Wręcza mi dwadzieścia pięć pensów, bierze pasztecik z dynią i próbuje. - Wspaniałe. A więc umie pani również gotować?

- Również? Jak co?

- Jak to, co robi pani tak dobrze, że Antony porzucił przez to Annę.

Właściwie odczułam ulgę, że ktoś wreszcie poruszył ten temat. Wszyscy poprzedni klienci, choć ochoczo zajadali moje przekąski, czuli się nieswojo. Bez wątpienia było to dziełem łaskawej Dotty, która krążyła między nimi wypowiadając tę swoją chrześcijańską formułkę: „Nie naszą sprawą jest oceniać”. Ale ja na ich miejscu, krytykowałabym ile wlezie.

- Sądzę, że... czy ludzie o tym mówią?

- Trochę rozmawiamy na kobiecych spotkaniach. Założę się, że wczoraj rano paliły panią uszy. W czasie haftowania poduszek na klęczniki u pani Grainers. Biedna, poczciwa Dotty była mocno zmordowana przekonywaniem nas do tego swojego: „Musimy się wszyscy modlić za siostrę, która zbłądziła”. Ale muszę przyznać, że pani Simmons zaskoczyła mnie nieco, prawiąc, że każdy ma w sobie coś dobrego. Haftuje teraz wyjątkowo upiorny klęcznik - mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała się na nim modlić.

- Proszę posłuchać, ja nigdy nie miałam zamiaru...

- Nikt nigdy nie ma zamiaru, co nie? Ile kobiet wstaje rano z myślą: „Dzisiaj zrujnuję życie jakiejś kobiecie i zniszczę bezpieczny świat jej dzieci?” Choć muszę przyznać, że Anna na to zasłużyła.

- To znaczy?

- Wszyscyśmy wiedzieli, że Antony jest podrywaczem; przystawiał się do mnie w czasie zabawy sylwestrowej, ale nie miałam na to ochoty, dziękuję bardzo. I proszę spojrzeć, jak się roztyła. Już dawno jej mówiłam, żeby przeszła na dietę i zrobiła coś z włosami. - Jenny z zadowoleniem odrzuca swoje wspaniałe włosy i wyraźnie wciąga i tak już Płaski brzuch. - Antony, kochanie, jakie wspaniałe paszteciki robi twoja nowa pani!

Odwracam głowę i widzę, że nadchodzi Antony, ma fałszywy wyraz twarzy, co jednak wydaje się usprawiedliwione w tych okolicznościach. Jenny sunie roześmiana do jakiegoś starszego farmera, który na jej widok truchleje i zaczyna się nerwowo rozglądać.

- Boże, jak ja nie cierpię tej kobiety - syczy Antony.
- Naprawdę? Mówiła, że się do niej przystawiałeś w sylwestra.
- Bzdura. Była całkiem pijana i zwałała się na każdego faceta, który był na tyle nieostrożny, żeby usiąść. Nie zwracaj najmniejszej uwagi na jej gadanie. Anna tak zawsze robiła.

- Mniejsza o to, lepiej zamknij się, kiedy liczę zyski.

Licząc zamówienia na przepisy, które rozdałam, zarobiłam siedemdziesiąt osiem funtów. Prawie cztery razy więcej niż Anna w zeszłym roku. Co za przyjemność. Nie pamiętam, bym się czuła tak zadowolona od czasu, kiedy krytyk w „Observerze” powiedział, że jestem tyle olśniewająca, co zdyscyplinowana.

Siedząc przy kolacji wokół stołu (mogłam przygotować jedynie jajecznicę), po raz pierwszy sprawiamy wrażenie rodziny: „Czy widzieliście kapelusze pani Grainger? Wyglądał jak jeden z jej kłęczników... Percy Grainger oszukiwał w wyścigach z jajkiem na łyżce... Nie mówisz poważnie, że pani Grainger ochrzciła jednego ze swoich synów imieniem Percy?... Owszem, czemu nie?”.

Mark zarzekał się, że słyszał, jak stary pan Braker pytał Higginsa, co to za Zakon Safony. Na co Higgins odpowiedział po namyśle, że to brzmi dla niego jak nowa smażalnia kebabów. Głośno rechoczymy, gdy Sara nagle reflektuje się, że śmieje się w tym samym pokoju, co ja, milknie, zaciska usta i wychodzi. Wracamy do punktu wyjścia.

Anna

- Anna, co za niespodzianka!

To Jenny Balfour, ostatnia osoba, którą człowiek chce spotkać, kiedy jego życie legło w gruzach.

- Mogę się przysiąc? - Rozgląda się wokoło po kobietach, które zjechały do Londynu na zakupy i dodaje figlarnie: - Czekasz na kogoś?

Chciałabym, żeby tak było. Weszłam do restauracji na parterze u Harrodsa do reszty zniechęcona zakupami: całe przedpołudnie spędziłam wlokąc się od sklepu do sklepu, gubiąc się w domach towarowych i nie znajdując nic do włożenia, chyba że chciałabym wyglądać jak jedna z bohaterek „Dynastii” albo wstąpić do guerillas. Za dwa dni miałam się wprowadzić do Donalda i rozpaczliwie potrzebowałam strojów, które choć w pewnym stopniu nadałyby mi wygląd osoby, mogącej sprostać rodzinie Felicji Harman. Miałam

przykrą świadomość, że wszystko, co przywiozłam z Wiltshire było albo zbyt ciasne, albo zbyt nudne.

Stawiając tacę na stole, Jenny siada przyjaźnie blisko.

- Wyglądasz świetnie, muszę przyznać.

- Dziękuję - odpowiadam krótko, nie mam zamiaru z niczego się zwierzać.

- Umieram z ciekawości, jakie masz plany... - Jenny rzuca na mnie chciwe spojrzenia. - Powiem ci, że całe miasteczko jest podniecone wydarzeniami w White Walls. Naturalnie po tym, jak Antony tak nikczemnie postąpił, wszyscy są po twojej stronie; ale ona jest dość atrakcyjna, prawda, aktorka... Felicja, jak jej tam?

- Harman.

- O, właśnie. Felicja Harman. Wprost urocza, ale nie bardzo pasuje do naszej małej miejsciny.

Bąkam coś dyplomatycznie o ludziach, którzy są inni niż się wydają i Jenny dopada tej myśli chwytając ją z entuzjazmem w swoje szpony.

- Racja. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam tę kobietę, byłam trochę zszokowana, choć powiem ci kochanie, wszyscyśmy wiedzieli, że Antony musiał ci zrobić coś niewybaczalnego, że uciekłaś z domu, zostawiając dzieci... - milknie, żebym mogła opowiedzieć, jaka to nikczemność Antony'ego zmusiła mnie do ucieczki, ale ponieważ nadal jedynie wpatruję się w milczeniu w filiżankę z kawą, kontynuuje: - Więc kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłam, Pomyślałam sobie: „ta aktorka nie zagrzeje tu dłużej miejsca”, ale była, kochanie, we własnej osobie na festynie kościelnym i całkiem energicznie handlowała egzotycznymi pasztecikami i przekąskami z awokado... Naturalnie Antony jest całkiem zbzikowany na jej punkcie, ale on zawsze uganiał się za ładnymi buziami. - Na twarzy Jenny pojawia się głupi, samochwalczy uśmiech. - Teraz mogę ci już powiedzieć, Anno, że nieraz miałam kłopoty przez niego - mówi dalej bezlitośnie. - Oczywiście można zrozumieć Dotty, jest zawsze tak bezgranicznie tolerancyjna wobec wszystkich, ale biedna pani Simmons dała się całkowicie nabrać. - „Pani Harman stara się, jak może” - powiada tym swoim cierpkim tonem. Więc, moja droga, jeśli ona tak się stara, że kradnie cudzego męża, to ja... - W tym momencie przepraszam ją i odchodzę.

Ja też, podobnie jak całe Wiltshire, byłam zła wiadomości z White Walls i, bezpiecznie zamknięta w łazience w dziale z odzieżą dziecięcą, rozmyślam nad nowinami wyłuskanymi z plotek Jenny.

Moje dzieci, wydaje się, nigdy nie czuły się lepiej, kochana Em „wyglądała wręcz olśniewająco na przyjęciu urodzinowym córki Jenny, ubrana w jakąś nową sukienkę. Mój mąż jest najwyraźniej opętany, skoro wyciął jeżyny, naprawił światło na werandzie i kupił sobie nową sportową marynarkę; trzy rzeczy, do których bezskutecznie próbowałam go nakłonić przez ostatnich parę lat.

Felicja pomimo swej wytworności zajmuje się ogrodem, chodzi na spacer z psami i niech ją, zarobiła siedemdziesiąt osiem funtów na kościelnym festynie. To prawie cztery razy tyle, co ja na moich przekąskach w zeszłym roku. Nigdy w życiu nie czułam się tak niepotrzebna i samotna. Chciałabym, żeby Sara była ze mną i chroniła mnie przed kupnem takich strojów jak kolekcja Lindy Evans („O Boże, mamusiu, nie możesz tego nosić!") i nakłoniła mnie do kupna czegoś „młodszego", a zarazem odpowiedniego w sklepach typu „Way in" lub „Hennes", gdzie czuję się nieśmiało bez towarzystwa nastolatki. Sara powiedziałaaby: „Hej, mammo, ta spódnica wspaniale będzie pasować do twojej jedwabnej bluzki i marynarki w paski", kupiłabym jej jakiś ciuszek i parę nowych espadryli i byłoby cudownie. Posiadanie córki to wielka przyjemność.

Ale Sary nie ma tu. Jest w domu z Markiem, Em i Antonym - i tym wychudzonym wieszakiem na ubrania (chcę zapomnieć, że w ogóle istnieje). Po prostu nie wiem, co się z nami wszystkimi stanie, jeśli dam Antony'emu rozwód. Tak naprawdę to nic już nie wiem z wyjątkiem tego, że klozet w „Harrodsie" nie jest najlepszym miejscem do podejmowania życiowych decyzji. A więc w zamian podejmuję parę błahych: kilka ładnych sukienek u Laury Ashley i kilka drobiazgów w M & S. To powinno mnie jakoś doprowadzić na Acacia Road.

Dom jest utrzymany w tonacji kremowej i białej, dobre tło dla Felicji. Wyobrażam sobie, jak schodzi po schodach z pomalowanymi na biało poręczami z sosnowego drzewa, jak lekko stąpa po grubym kremowym dywanie i siada na obitej bladożółtą materią sofie. I widzę też siebie, jak rozlewam lakier do paznokci na dywan lub roznoszę po nim psie łajno.

Trudno uwierzyć, że w tym domu są dzieci. Moje obróciłyby go w ruinę w ciągu tygodnia.

Salon znajduje się na parterze, obok jadalni wyłożonej białymi kafelkami i pełnej białych kwiatów. Na pierwszym piętrze są dwie podwójne sypialnie z łazienkami - jeden zestaw dla mnie. Jest to właściwie ładny salonik z łóżkiem, na którym się piętrzą poduszcзки, z szezlongiem, telewizorem, dwoma fotelami. Kiedy Donald stawia walizki, rozlega się gwałtownie walenie w sufit.

- Dzieci są na górze - wyjaśnia zbytecznie. - Może wejdzie pani, żeby je poznać.

Piętro urządzone jak studio o białych ścianach i ze świetlikami w dachu. W jednym końcu są dwa kwadratowe pokoje i maleńka kuchenka; w drugim końcu dwoje dzieci w ślicznych ubraniach gra w skomplikowaną grę planszową z kobietą o wyglądzie myszki, ubraną w krempliny o zjadliwych barwach. Nie pasuje do tego miejsca, tak samo jak ja w moim niebieskim kostiumie i tradycyjnych pantoflach... Moja matka zwykła mawiać: „Nigdy nie poniesiesz klęski, mając dobre buty i dobrą torebkę”, ale właśnie ją ponoszę. Kiedy wchodzimy, wszyscy troje zrywają się na równe nogi, pani Myszka ucisza dzieci w nerwowym pośpiechu.

- Cześć dzieciaki - mówi Donald, a one podbiegają i rzucają mu się w objęcia. - To jest Laura - mówi obejmując w pół wysoką, smukłą dziewczynę o jasnych włosach, ubraną w dzinsy i koszulę w kratę. Ma dopiero jedenaście lat, ale wygląda jak aktorka, która gra w amerykańskim westernie i właśnie zeszła z planu. - A to Harry. - Przyciąga chłopca blisko do siebie i mierzwi mu włosy. Harry też jest starannie ubrany, ale koszula ledwo mu się dopina, a bermudy są ciasnawe. - A to Pani Jamieson, która była tak miła i zajmowała się tymi bestiami. - Donald patrzy na dzieci z wyrazem ślepej miłości.

- Przywitajcie się z Anną, dzieciaki.

- Dzień dobry, Anno - Laura łaskawym gestem wyciąga miękką dłoń. Wygląda niepokojąco dorośle, a kiedy patrzy mi prosto w oczy - obmyślając taktykę - myślę: „oto druga Felicja”.

- Będzie pani mogła sobie odsapnąć, pani Jamieson - mówi Donald. - Pani Forester - Jones była tak uprzejma i zgodziła się zatroszczyć o nas i wprowadzić tu trochę dyscypliny.

Donald wyraża się górnolotnie, dobiera słowa i spoglądam na niego nerwowo. Pomaga włożyć płaszcz pani Jamieson i wciska jej w dłoń zwitek banknotów.

- A więc zwalnia mnie pan - mówi.

Czyżbym żywiła dla niej współczucie, kiedy wychodzi z pokoju?

- Nie musi się pani nami opiekować, Anno - odzywa się Laura nazajutrz rano podczas śniadania. - Umiemy się sobą zajmować.

Kuchnia jest słoneczna, pomalowana na biało, z francuskimi oknami wychodzącymi na patio z mnóstwem kwiatów. Białych kwiatów. Boże, kwiaty harmonizują barwą z całą resztą. Pod ścianą ustawiono starannie maszyny, eleganckie jak na kosmodromie. Czuję głęboką tęsknotę za nieładem White Walls. Pragnę potknąć się o psa, ale zamiast tego wpadam na Laure, która pedantycznie ustawia na stole pół tuzina kaszek śniadaniowych w ładnych opakowaniach, po czym błyskawicznym ruchem wydobywa rogaliki z zamrażarki i wkłada je do kuchenki mikrofalowej.

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Czy woli pani Oat Toasties czy Cheeries?

- No, sama nie wiem...

- Placek z jabłkiem czy pikantny przekładaniec z cynamonem?

- Tylko grzanekę...

Znika w największej lodówce, jaką w życiu widziałam i wyklada na stół kromki białego chleba i kilka rodzajów dżemu w jaskrawych kolorach.

To oczywiście, że dzieci Harmanów, no, przynajmniej Laura, nie potrzebują opieki.

Do takiego wniosku doszłam już wczoraj wieczorem. Donald odpoczywał w salonie popijając whisky, a ja rozpakowywałam walizki, kiedy Laura i Harry zniknęli w kuchni, włożyli parę pakunków do kuchenki mikrofalowej i wyprodukowali posiłek na cztery osoby - niezbyt smaczny, to prawda, ale jednak.

- Czy pani mieszka na wsi, Anno? Ile ma pani dzieci, Anno? Jak się nazywają, Anno? - Wolałabym, żeby nie dorzucali mojego imienia na końcu każdego zdania. Odpowiadałam na pytania i sama też parę zadałam.

Laura, jak się dowiedziałam, chodzi do szóstej klasy i lubi swoją szkołę, Harry do drugiej, jego nauczycielka nazywa się Mary - Anne Colby, a jego doradczyni, Suzanne.

- Doradczyni? - zdziwiłam się.

- Jasne - wyjaśnia Laura. - Każdy z nas ma doradcę, który zajmuje się wszystkimi sprawami poza nauką. No wie Pani, problemy życiowe i tak dalej.

- Ach tak. - Domyślam się, że jeśli to niezależne dziecko miało jakieś problemy, dobrze się z nimi kryło.

Kiedy dzieci posprzątały ze stołu i włożyły naczynia do zmywarki - wyglądały na dobrze wyszkolone - Donald i ja usiedliśmy po obu stronach kominka w salonie jak stara para małżeńska. Tylko że ktoś taki jak Donald, smukły i swobodny, w dresach (najlepszego gatunku), nigdy by się nie ożenił z kimś takim jak ja, konwencjonalnym i tradycyjnym, w granatowej plisowanej spódnicy, w bluzce starannie zapiętej pod samą szyję i cielistych rajstopach.

Donald zapytał, czy zechcę rano odprowadzić dzieci do szkoły, żebym wiedziała, skąd odbierać Harry'ego po południu.

- Choć Laura kończy o trzeciej, ma zwykle jakieś dodatkowe zajęcia muzyczne lub dramatyczne, a ja nie lubię, kiedy Harry wraca sam.

- Oczywiście. - Cieszę się, że na coś się wreszcie przydam w tym samowystarczalnym domu.

Szkoła amerykańska przypomina bardziej uniwersytet niż szkołę angielską. Laura jest pochłonięta rozmową w grupie koleżanek, które wyglądają na starsze od mojej Sary. To jest chyba campus, mnóstwo tu międzynarodowego towarzystwa. Donald mówił, że sporo przyjaciół jego dzieci mieszkało przynajmniej w trzech różnych krajach i ma tyle samo przybranych rodziców.

Kiedy z hałasem wbiegają po schodach, słyszę, jak ktoś pyta:

- Hej, Laura, kim ona jest? Czy to twoja nowa macocha?

- Och, nie. Jest tylko pomocą - odpowiada Laura.

- Proszę pytać panią Parsons o wszystko, co pani chce wiedzieć - powiedział Donald wychodząc rano do banku. - Pracuje u nas, od kiedy Felicja i ja sprowadziliśmy się tutaj i wie o prowadzeniu domu więcej niż ja.

- Więcej niż Laura? - pytam.

- Oczywiście, dużo więcej niż Laura. - Donald patrzy na mnie przenikliwie. - Proszę się nie przejmować Laurą, Anno. Od kiedy Felicja odeszła, ona jest... Sądzę, że najlepiej określa jej stan słowo

„zdruzgotana”. Wygląda na to, że nie mogąc się z tym pogodzić, przejęła rolę Felicji; tak jakby trzymała w rezerwie jej miejsce.

- Sądziłam, że to ja mam się tym zająć?

- Naturalnie, to właśnie będzie pani robiła i jestem bardzo wdzięczny. - Donald wkłada płaszcz i uspokajająco klepie mnie po ramieniu. - Ona ma dopiero jedenaście lat, Anno. Potrzebuje czasu. Wszystkim nam jest piekielnie trudno.

- Wiem - odpowiadam. - Przepraszam.

- W porządku. Proszę się teraz zająć domem i nie przejmować, jeśli w lodówce nie ma nic na obiad. Zawsze mogę kupić coś na wynos.

Co za niezwykła deklaracja. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który zaprzętałby sobie głowę myślami, jak jedzenie trafia na jego talerz. Antony robił czasem uwagę: „Zastanawiam się, czy nie przesadzasz z imbirem”, ale było nie do pomyślenia, by się dopytywał, czy kupiłam jego obiad w delikatesach, wyjęłam z zamrażarki, czy też spędziłam cały dzień mieszając i marynując, by otrzymać ten pikantny smak, którego tak nie lubi.

Ale dlaczego albo z zamrażarki, albo na wynos? Czyżby Felicja nigdy nie zajmowała się gotowaniem? Rozglądając się po kuchni widzę, że nie trzeba tu robić nic z wyjątkiem naciskania guzików. Kredensy na żywność są pełne pudełek z mieszankami, do których dodaje się jajko, by wykazać się zdolnościami kulinarnymi, słoików tuczających ciasteczek i dżemów. W lodówce jest masło, mleko, jaja i soki owocowe, i coś jeszcze, tak nieapetycznego, że szybko zatraskuję drzwi zastanawiając się, co to może być. To maleńka kostka z odrobiną zwisającego z niej mięsa. Dziecięcy ząb włożony do lodówki na pewno przez Harry'ego Harmana, aby zachował świeżość do czasu targu zębów. Na wspomnienie tych wszystkich razów, kiedy wpatrywałam się z czułością w zęby mleczne moich dzieci, znów na moment odczuwam sympatię dla Felicji. Zdaje się, że ja też nie lubię cudzych dzieci.

Długonoga blondynka układa satynowy żakiet na oparciu krzesła w kuchni. Wygląda jak aktorka... od komedii muzycznych. Siedząc na stole i paląc papierosa blondyna informuje, że jest Su Parsons. Aha, sprzątaczką. Wygląda całkiem inaczej, niż się spodziewałam.

- Nazywam się Anna Forester - Jones - odpowiadam - będę prowadzić dom i opiekować się Laurą i Harrym.

Spłoszona jej badawczym spojrzeniem dodaje głupio: - Felicja... to znaczy... pani Harman mieszka w Wiltshire z moim mężem i trójką dzieci.

Twarz pani Parsons rozjaśnia uśmiech.

- Naprawdę? Czytałam o takich historiach w gazetach. Znów się zapędzam w wyjaśnieniach, dlaczego ja jestem tu, a Felicja tam.

- Będę pełniła rolę tymczasowej pani domu, dopóki pani Harman nie wróci.

- Naprawdę? - Pani Parsons wypuszcza kółka dymu, by pokazać, że nie robi na niej żadnego wrażenia ta nieprawdopodobna opowieść. - Nie spodziewałam się, że pani jest w tym typie. Oczekiwałam kogoś bardziej... nie chcę pani urazić, bardziej sexy, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Doskonale wiem, co ma na myśli i nic mnie to nie obchodzi.

- Weźmy taką Fel - mówi, kiedy zastanawiam się, jak ją powstrzymać - ma coś w sobie, prawda?

Zrobiłabym wszystko, by uniknąć tej rozmowy. Należę do ludzi, którzy przepraszają, kiedy ktoś na nich wpadnie wózkami w supermarkecie, i kulę się nędznie, kiedy Antony wrzeszczy: „Gdzie są czyste skarpetki, Anno, do cholery jasnej?!”, jak gdybym wyniosła je do ogrodu i spaliła. I dlatego, jestem zdumiona, nie mniej niż pani Parsons, słysząc swój apodyktyczny głos:

- ...i dopóki pani Harman nie wróci, ja ją tu zastępuję, a pani ma wykonywać wszystkie moje polecenia, albo poszuka sobie pracy gdzie indziej.

Pani Parsons wzrusza ramionami, wkłada plisowany fartuszek i proponuje, że robi to co zwykle. Sprząta okruszyny z lśniących blatów i jednocześnie informuje, że właściciel sklepu spożywczego, pralnia zwykła i chemiczna przyjeżdżają raz w tygodniu, wina dostarczają raz na miesiąc, a kwiaty co parę dni. Mam nadzieję, że wszyscy oni nie wpadają na siebie w drzwiach. Podchodząc do francuskiego okna, przyglądam się kwiatom uważnie i dostrzegam, że są w doniczkach.

- Czy nic tam nie rośnie w gruncie?

- Felicja uważa, że kwiaty doniczkowe łatwiej uprawiać - odpowiada pani Parsons.

Felicja zdaje się odkryła też, że łatwiej jest zrezygnować z gotowania.

- Gdzie pani Harman kupuje jedzenie?

- Rzadko robi zakupy - wyjaśnia pani Parsons. - Wie pani, jacy są Amerykanie. Niewiele gotują, w każdym razie niecodziennie. Kupują wszystko gotowe na wynos. Na początku, kiedy zaczęłam tu pracować, Fel prowadziła kuchnię angielską. Gotowała kolacje, ale panu Harmanowi nie zależało na tym. Więc zaczęła chodzić do centrum z mrożonkami raz w tygodniu, gdzie zaopatruje się w „Kolacje dla smakoszy”, a poza tym pizzę, hamburgery, lody i inne rzeczy dla dzieci. Radzą sobie z tym same, kiedy wracają ze szkoły.

- To znaczy, że ona nie gotuje?

- Oczywiście, że gotuje. I to jak - mówi pani Parsons gotowa do obrony Felicji. - Żeby pani widziała kolacje, które przygotowuje dla gości pana Harmana. Ten stół, kiedy go nakryje, wygląda jak na zdjęciu w magazynie ilustrowanym.

A więc... posiłki pani Harman są tylko na pokaz, jak wszystko w niej. Pytam o najlepsze sklepy w okolicy i spisuję listę zakupów. Być może nie mam w sobie tego czegoś, co ma Felicja, ale przynajmniej zadbam, by dzieci dostawały przyzwoite, pożywne jedzenie.

Kiedy wracamy ze szkoły, Harry bierze mnie za rękę. Jest naprawdę miłym dzieckiem, pomimo tego zęba.

- Przygotowałam ci podwieczorek.

- O, jak fajnie. Co będzie?

- Ryba. Wędzony łupacz. Bardzo smaczny.

Harry podejrzanie pociąga nosem, jak gdybym podsuwała mu talerz z trucizną. - Nie lubię ryby.

- Powinieneś jeść rybę - mówię zachęcająco. - Mama nigdy nie każe nam jeść ryby.

Jego usta zaczynają drżeć, a ja opowiadam pogrzbipiająco o proteinach i witaminach i jak urośnie, jeśli będzie jadł ryby, i będzie wysoki, silny i przystojny.

Harry odpowiada, że nie chce być wysoki, silny i przystojny. Chce pizzę, najchętniej z tuńczykiem i pomidorami, i lody czekoladowe na deser.

- Ale takie jedzenie jest tuczące... - zaczynam i od razu tego żałuję, bo Harry podrywa się i wybiega z kuchni, jak burza.

- Ja nie jestem gruby - wykrzykuje zapłakany, gramoląc się po schodach. - Mama nie uważa, że jestem gruby...

- Harry!...

- Idź sobie, idź sobie. - Stojąc u szczytu schodów wydaje z siebie buntowniczy szloch i stłumionym głosem dodaje: - A poza tym nie masz prawa. Sama jesteś gruba i... brzydka.

Wrzucam rybę do zlewu. W tym bezdusznym domu nie ma nawet kota, który by zjadł resztki.

Godzinę później do kuchni wchodzi Laura.

- Cześć, Anno, gdzie Harry?

- W swoim pokoju - odpowiadam, nakładając Laurze jedzenie na talerz. - Nie zjadł podwieczorku. Jest wędzona ryba gotowana w mleku.

Laura bierze talerz z moich rąk i kiedy myślę: „dzięki Bogu z nią nie będzie kłopotu”, przechodzi przez kuchnię, wrzuca wszystko do zlewu i włącza młynek do rozdrabniania resztek. Drugi posiłek podzielił los pierwszego.

- My nie jadamy ryby - mówi - lubimy swoje własne podwieczorki. Dziękuję, Anno. Lepiej pójdę na górę i zajrzę do Harry'ego.

- Cześć wszystkim - Donald wchodzi, zdejmując płaszcz i krawat i odkłada teczkę. - Jak poszło dzisiaj? - Rozgląda się wokoło. - Gdzie są dzieci?

Byłoby rozsądnie powiedzieć, że świetnie i że dzieci są na górze i zadowolone oglądają telewizję, ale ja odczuwam potrzebę zyskania dorosłego sojusznika.

- Miałam podły dzień, dziękuję, a dzieci odmówiły jedzenia podwieczorku, który im ugotowałam.

- O, to ładnie z pani strony, Anno - Donald, wytrawny dyrektor, zawsze podchwytuje rzeczy pozytywne i bagatelizuje negatywne. - Felicja nie przejmuję się tym... Mówi, że życie jest zbyt krótkie, żeby tracić czas na gotowanie potraw, których nikt nie chce jeść.

- Naprawdę? Pewnie dlatego Harry ma nadwagę - odpowiadam nierozważnie.

- Ona powiedziała, że jest gruby - w drzwiach pojawia się, w zapowiedzi wesołej sceny, Laura z Harrym tuż za jej plecami.

Zniżając się do poziomu dziecka, wyjaśniam Donaldowi, że Harry nie zjadł ryby, a Laura zachowała się wyjątkowo niegrzecznie i wyrzuciła swoją do zlewu, i widzę natychmiast, że Donald nie jest dorosłym sojusznikiem, ale przede wszystkim ojcem.

Obejmując ich czule ramionami, mówi:

- Anno, porozmawiamy o tym później, jeśli można. A teraz, dzieciaki, chodźcie. Dość już tego. Przepróście Annę, pójdziemy na górę i opowiecie mi, co słyhać w szkole.

- Przepraszam - mówi automatycznie Harry.

- Ja nie - Laura patrzy na mnie buntowniczo. - Nie miała prawa tak mówić o Harrym.

- Czy pan zje kolację, czy mam ją od razu wrzucić do zlewu? - pytam Donalda, kiedy schodzi na dół.

- Jestem pewien, że kolacja jest wyśmienita, Anno. - Je ze znużeniem grymasnie dłubiąc w rybie i daje mi wykład o psychologicznych konsekwencjach kompleksu na punkcie tuszy.

Nie chce mi się kłócić, więc przez parę następnych dni bez słowa podaję dzieciom świeże warzywa, sałatki i owoce przyrządzając kuszące, niskokaloryczne posiłki. Bóg świadkiem, że w tym domu nie mam nic innego do roboty. Nie rozumiem, czym Felicja wypełniała dni. Chyba w łóżkach obcych mężów.

Laura i Harry nawet na widok zwykłych kotletów jagnięcych zaciskają usta, a kiedy Donald wraca do domu, jęczą i narzekają i udaje im się zakomunikować, że są głodzone.

Wreszcie Donald mówi:

- Proszę im pozwolić jeść to, na co mają ochotę. Są wystarczająco zdrowi, a ja nie mogę wracać do takiej atmosfery każdego wieczoru.

Po wygranej batalii o jedzenie, dzieci z entuzjazmem przystępują do wojny: „Nie będziesz mi rozkazywała, kiedy mam iść spać?”, a potem szybko rozpoczynają następną: „A ja nie posprzątam pokoju”. Łatwiej jest ustępować, a Donald cieszy się, że jesteśmy tacy zgodni.

Kłopot z opiekowaniem się obcymi dziećmi polega na tym, że nie można im przyłożyć.

- Lauro, czy masz do prania jakieś brudne rzeczy? - Nie wiem. - Bezczelne wzruszenie ramion.

Gdyby to była Sara, wrzasnęłabym: „No to, do cholery, sprawdź!”, i nic by się nie stało, bo Sara wie, że ją kocham. Nie mogę ryzykować awantury z tymi dziećmi. Przy najdrobniejszej próbie wprowadzenia dyscypliny, natychmiast dzwonią do Felicji („Ona zawsze się mnie czepia mamą”) lub intrygują z Donaldem.

- Proszę im okazać trochę wyrozumiałości. Ma pani własne dzieci i wie, jakie potrafią być trudne w tym wieku.

Pan Dwyer byłby rad ze stosunków między mną a Donaldem Harmanem, jestem, jak to określiła jego córka, tylko pomocą domową. Nie tarzamy się w łóżku zażywając rozkoszy cudzołóstwa; prawie się nie spotykamy. Donald wychodzi z domu o siódmej trzydzieści, albo na służbowe śniadania, albo „żeby trochę popracować, zanim ten przekłety telefon zacznie dzwonić” i rzadko wraca przed dziewiątą wieczór - „Przy pięciogodzinnej różnicy czasu nikogo nie mogę zastać w Nowym Jorku wcześniej”. Jeśli zaspakaja swoje potrzeby seksualne, to na pewno nie na Acacia Road. Jest kobieta imieniem Marcia, która czasem dzwoni i pyta o niego władcym tonem posiadaczki. Domyślam się, że to ona zabawia go wieczorami, kiedy nie wraca na nudne kolacje, które ze mną dzieli przy wypolerowanym białym stole w kuchni Felicji.

Felicja

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, że to nasza „trzymiesięczna” rocznica? - Antony mruczy za moimi plecami, kiedy przyglądam się sobie krytycznie w lustrze.

- Jestem tutaj już od trzech miesięcy? To niemożliwe.

- Trzy miesiące co do dnia, i jak wspaniale to uczcimy.

- O Boże, mam nadzieję, że wszystko się uda. Jedzenie będzie znakomite, o to jestem spokojna. Na pani Simmons też można polegać - ma zrobić jarzyny i podawać do stołu, więc będę się mogła zająć panem Kappermanem. Myślisz, że mu się spodoba? Taka wspaniała rola, kochanie, jesteś genialny.

- Jeśli mu się nie spodoba, to znaczy, że jest z kamienia.

- Och, dzięki, kochanie, ale muszę się ubrać. Wyjdź stąd i daj mi się skupić. Co z winem?

Pan Kapperman jest amerykańskim przemysłowcem, którego firma sponsoruje tasiemcowy serial telewizyjny. Przyjechał tu z reżyserem w poszukiwaniu Angielki w arystokratycznym typie, pięknej ale chłodnej, inteligentnej i zmysłowej zarazem. Czytałam jeden z odcinków i choć wiem, że wszyscy śmieją się z mydlanych oper, ale bohaterka jest naprawdę skomplikowaną, ciekawą postacią i marzę, żeby ją zagrać. Honorarium też się wydaje astronomiczne. Większość zdjęć ma być kręcona w Anglii, a więc nie musiałabym dużo wyjeżdżać. Po prostu zbyt wspaniale, żeby się mogło udać. Ale uda się, wiem że się uda.

A wszystko dzięki Antony'emu, jego sprytowi. Poznał tego Kappermana na jakimś przyjęciu w Londynie i udało mu się go przekonać, że Felicja Harman to jedyna kobieta w Anglii, będąca uosobieniem Flame Hathaway. Niestety będę się musiała pogodzić z tym imieniem, nie można mieć wszystkiego. „Flame, Flame, ty czarujący diable” - mówię Półgłosem do lustra. - „To wcale nie jest zabawne” - dodaję surowo.

Antony zwabił Kappermana, jego żonę i reżysera, Sola Venture'a, do nas na weekend. Naprawdę nie wierzę, że są to amerykańskie nazwiska, oni je muszą sobie wymyślać.

Sceneria jest wprost wymarzona. White Walls to klasyczny przykład osiemnastowiecznej architektury, z oryginalnym wychodkiem trzydzieści jardów od domu. Dzieci trzymają w nim rowery. Okolica też jest piękna; stare sady, sędziwe drzewa morwowe, niespodziewane widoki trawiastych horyzontów prześwitujące poprzez sady. Jeśli w tej scenerii nie umiem wyglądać arystokratycznie i zarażeni zmysłowo, nie zasługuję na tę rolę.

- Och, Felly, wyglądasz jak księżniczka. - Emmy też wygląda ładnie. Ma na sobie swoją najlepszą sukienkę, podchodzi do mnie i staje naprzeciw lustra. Naprawdę bardzo lubię Emmy; ma taką dobrą naturę i jest wrażliwa.

Ale to Laura powinna podziwiać mnie w sukni od Josepha. Wchodzi Sara, ma na sobie stare dzinsy i dosyć okropny podkoszulek z Sex Pistolsami, a mimo to udaje jej się wyglądać niezwykle atrakcyjnie.

- Tyle zamieszania z powodu paru forsiastych Amerykanów - mówi z kpina. - Mam nadzieję, że nie zdenerwują Larkspur, może się oszczędzić lada chwila.

- Trzeba ją trzymać w kuchni, tam będzie miała spokój.

Dziewięć tygodni temu Larkspur i ja wstałyśmy o czwartej rano. Byłam w okropnym stanie, na dworze panowały nieprzeniknione ciemności. Zastanawiałam się, jak Larkspur zareaguje na wsadzenie jej w środku nocy do samochodu. Ale przywitała mnie z szaloną radością, stała możliwie spokojnie, kiedy wkładałam jej obrożę i smycz i z wielką ochotą wybiegła truchtem na dwór.

Sara wstała, żeby się pożegnać (nie ze mną oczywiście). Przypadkowo słyszałam jej szept: „Och, maleńka, mam nadzieję, że on ci się spodoba”, co, nie wiem czemu, smętnie mnie nastroiło.

Jechałam przez cztery godziny trasą M4, wokół North Cilcral do A10 na Newmarket i dalej na wschód. Kiedy zaczęło świtać, poczułam niepokój, że jadę przez jakiś obcy kraj, że jeśli się zatrzymam, żeby zapytać o drogę, ludzie będą mi odpowiadali w języku, którego nie znam. Nie załatwiłam reperacji sprzęgła, kolana całkiem mi zdrętwiały do czasu, kiedy dotarłam do Thedford i zaczęłam jechać zgodnie z instrukcją pana Barrowa. O ósmej czterdzieści pięć byliśmy w Appletree Close i czekałyśmy w samochodzie z Larkspur na moich kolanach, która wyglądała spokojnie przez okno. O dziewiątej mówię:

- No dobra, miejmy to już z głowy.

Wysiadamy i dzwonię do drzwi. Larkspur stanęła na dwóch łapach, czule drapiąc mnie po kolanach, jej ślepia błyszcząły ufną życzliwością. Czułam się jak zdrajca.

Osiem godzin później wreszcie pokonałam ostatni zakręt i ujrzałam przez zamglone od zmęczenia powieki bramy domu. Moje kolano drżało za każdym razem, kiedy zmieniałam biegi, ręce mi się trzęsły i pękała mi głowa. Larkspur spała zadowolona na siedzeniu obok. Coś jej się śniło, ruszały się jej gałki pod powiekami i od czasu do czasu skamlała; zapewne przeżywała raz jeszcze triumf dzisiejszego poranka. „Pierwsze, co zrobię, kiedy będziemy w domu - pomyślałam - to zadzwonię do Barrowów i zapytam, jak się ma ten biedny pies”.

Forester - Jonesowie w komplecie oczekiwali nas przed domem, kiedy zatrzymałam się na podwórzu i zaciągnęłam hamulec ręczny.

- Larkspur, kochana, jak się czujesz?... Czy ona wyszła za mąż, Felly? Czy zakochała się od pierwszego wejrzenia?... Biedna Larkspur, myślę, że jesteś wyczerpana, prawda?...

- Mniejsza o Larkspur - warknęłam. - Potrzebuję wyjątkowo dużego drinka i spokoju. Antony, ten cholerny samochód. Jeśli jutro nie zostanie naprawiony, spalę go. Nigdy w życiu nie byłam tak zmęczona...

Chwiejnym krokiem poszłam do biblioteki, a Antony nalał mi pełną szklanekę whisky.

- Było aż tak okropnie?

Rozejrzałam się uważnie, ale dzieci towarzyszyły Larkspur w kuchni.

- W chwili, kiedy otworzyli drzwi i zobaczyła ich psa, wpadła w szal. Warczała, wściekała się i kłapała zębami. Więc pan Barrow powiedział, że trzeba ich zabrać na spacer, żeby się trochę poznały. Antony, ludzie przechodzili na nasz widok na drugą stronę ulicy. Ugryzła mnie raz w nogę, kiedy stanęłam na drodze. To wcale nie było zabawne. - Pomyślałam, że mógłby przestać się tak szczerzyć, będę miała jutro okropne siniaki. - Proszę, przestań się śmiać kochanie, to było okropne. Spodziewałam się, że puścimy ich do ogrodu i tam sobie pobiegają. Myślałam, że to będzie piękne i naturalne. - Łyknęłam sporo whisky.

- Moja biedna myszka. Sara i ja przygotowaliśmy kolację, więc...

On cały czas opowiadał o genitaliach swojego psa. Wciąż powtarzał: „Nie chcemy, żeby Teddy nabawił się ruptury, prawda, Teddy”. Szczerze, a kiedy było po wszystkim Larkspur zerwała się z obroży i zaatakowała go. Muszę do nich zadzwonić, był cały we krwi...

Kiedy zadzwoniła na drugi dzień, pani Barrow była dziwnie uprzejma.

- Och, wszystko w porządku, pani Harman. Trochę jeszcze kuśtyka, ale powieka przestała już krwawić. Ta suczka ma dużo werwy. Proszę nas zawiadomić, kiedy szczeniaki się urodzą, George przyjedzie i wybierze jednego.

Od tej pory Sara i Emily (w pewnym stopniu także Mark) każdego dnia przyglądały się badawczo Larkspur.

- Jest według mnie trochę grubsza, jak myślisz? Zauważyłaś, że nie porusza się już tak szybko? To znaczy, że instynktownie chroni... czy widziałaś Felly, że jej sutki są nabrzmiące?

- Nie wiem - odpowiadam krótko. Nie przyglądałam się im również przedtem.

Sumiennie poinformowałam Annę przez telefon. Choć to ona sama wydała mi te wszystkie polecenia, miała tupet przerwać mi gniewnie. Na pewno straciła zainteresowanie dla psów, a kiedy powiedziała mi swoją nowinę, wiedziałam już dlaczego. Wprowadza się do Donalda; „Po prostu nie radzi sobie. Sądziłam, że się pani ucieszy, że ktoś zaopiekuje się pani dziećmi”.

- Rozmawiam z dziećmi codziennie i byłam u nich__

- Bronimy się, co? I wcale się nie dziwię. Bronimy się? Oczywiście, że się broniłam.

Jakiś samowolny układ hormonów sprawił, że wbrew naturze opuściłam swoje dzieci, zanim one, zgodnie z naturą stały się gotowe do opuszczenia mnie. Okropnie jest rozmawiać z Harrym przez telefon. „Tak okropnie jest bez ciebie, mamó” - powiedział ostatnio. - „Tata wraca w złym humorze do domu. Przyprowadził tę panią do gotowania i zajmowania się nami. Nie lubię jej, tak dziwnie pachnie, a wszystko, co dostajemy do jedzenia, jest gotowane. Nie pozwala mi oglądać telewizji”.

Jeszcze gorzej rozmawiać z Laurą.

- Nie denerwuj się, mamó, wszystko będzie dobrze. Wiem, że nie odeszłabyś, gdybyś nie musiała. To naprawdę nasza wina, wszyscy przyjmowaliśmy cię za coś oczywistego. Przepraszam, mamó, nie wiedziałam, że byłaś nieszczęśliwa. Proszę cię, czy mogę do ciebie przyjechać i zamieszkać z tobą?

- Lauro, kochanie, nie mów tak, oczywiście, że to nie wasza wina. Niedługo uporządkuję wszystkie sprawy. Spodoba się wam tutaj...

Ale jak ja mam uporządkować wszystko? Jeśli sprawa trafi do sądu, komu zostaną przyznane dzieci? Czy solidnemu Donaldowi, stronie niewinnej... Czy cudzołożnej żonie, której syn w wieku czterech lat spędził wiele dni w szpitalu z powodu jej niedbalstwa.

Pięć tygodni po wizycie u Barrowa zabrałam Larkspur do weterynarza. Wydawała mi się złowieszczo szczupła. Myśl o szczeniakach brudzących na podłodze w kuchni nie pociąga mnie zbyt, ale gdyby się okazało, że próżne były wszystkie te starania, byłabym wściekła. Weterynarz był wesoły i denerwujący.

- Nic nie ma, pani, eee..., pani Harman.

- Jest pan pewny?

- Kiedy została pokryta? W dziewiątym?... To za wcześnie. Zawsze radzę, żeby między dziesiątym a czternastym. Nie, nie jesteś w ciąży, panienko.

Larkspur i ja szłyśmy, gromadząc po drodze dzieci.

- Co powiedział weterynarz?

- Sara, przykro mi. Uważa, że ona nie jest w ciąży. Emily zaczęła płakać, a Sara patrzyła w okno.

- Pewnie bierze pigułki - rzucił Mark. Nikt się jednak nie roześmiał.

Niech pokręci tego weterynarza, myślę nakładając na rzęsy rozsądną warstwę tuszu. Tego dnia, kiedy oglądał Larkspur, pani Simmons poszła na urlop. Wróciła po tygodniu.

- Sara urosłaś co najmniej jeden cal. Mam dla was po czekoladzie. A ty, Emmy, nie zjedz wszystkiego od razu. Mark... mój Boże, patrzcie na Larkspur. Gdzieś ty się włóczyła, kiedy pogasły światła, niegrzeczna dziewczynko?

- Och, pani Simmons, czy pani myśli, że będzie miała szczeniaki?

- Wygląda jak bania, proszę tylko spojrzeć.

- Ale weterynarz powiedział...

- Weterynarze - mruknęła pani Simmons. - Nie są lepsi niż doktorzy.

Samochód Kappermana podjeżdża pod dom. Szofer Kappermana.
- o Boże, gdzie ja go położę spać? - wysiada, otwiera bagażnik i wyładowuje masę bagażu. Jak długo zamierzają się tu zatrzymać?

Antony i ja otwieramy frontowe drzwi, promieniejąc gościnną uprzejmością.

- Panie Kapperman! Jak miło pana widzieć... jaką piękną pogodę przywiózł pan ze sobą... Pozwoli pan, że przedstawię - Antony zawiesza głos, aby z dostateczną czcią wymówić moje imię - Felicja Harman.

Niewiele można zrobić z powitaniem: „Dzień dobry. Bardzo miło pana poznać”, ale myślę, że poradzę sobie z przedarciem się przez ogień zmysłowości z twardym ostrzem intelektu. I oczywiście, jestem uosobieniem uprzejmości!

- Panie Kapperman... panie Venture, jak to miło, proszę wejść... Sprowadzę kogoś (kogo?), aby pomógł szoferowi wnieść bagaże.

- Małą chwilkę, kochanie - mówi pan Kapperman - nie wszystko trzeba zanosić do naszych pokoi, ale nie chciałbym zostawiać tego na noc w samochodzie. Po wizycie u państwa jedziemy do naszych dobrych przyjaciół do Edynburga. Dlatego mamy tyle bagażu. Tutaj będziemy potrzebowali tylko tego i tego. Nasz szofer zatrzyma się hoteliku w miasteczku - dodaje ku mojej uldze.

- W takim razie - odzywa się Antony - moja córka zaprowadzi panów do ich pokoi, a potem napijemy się drinka w salonie.

- Och, bo zemdleję z wrażenia - mruczy pod nosem Sara niegrzecznie. Na szczęście ani państwo Kappermanowie ani jej ojciec

nie usłyszeli tego; ale sądząc po błyskawicznym spojrzeniu, które rzuca jej Sol Venture, on zarówno usłyszał, jak i docenił. Spędziłam zaledwie parę sekund z panem Kappermanem, ale już nabrałam podejrzania, że mógł być irytującym towarzyszem podróży. Do przedpokoju wpada Larkspur. Pan Venture błyskawicznie chowa się za plecami pana Kappermana.

- To jest pit bull - woła. - To niebezpieczne psy.

- Naprawdę - mówi Sara - ona jest całkiem bezpiecznym staffordshire.

- Mimo to lepiej, żeby była w kuchni - odzywam się.

- Sara, proszę zabierz ją, a ja zaprowadzę panów na górę.

W drodze do swoich pokoi, wykrzykiwali o autentyczności wszystkiego, z jeszcze większym entuzjazmem zachwycali się nowoczesnością łazienek. Wreszcie schodzą na dół - my jesteśmy Antony i Felicja, oni są Morris, Lady i Sol.

- Tak naprawdę nazywa się Patricia - wyjaśnia Morris - ale nazywam ją Lady, bo nią naprawdę jest. Prawdziwa Lady.

- Cóż za wspaniały pomysł, Morris - mówię ku mojej dozgonnej hańbie. Moja pochwała zyskuje jednak aprobatę wszystkich z wyjątkiem Sola, który patrzy sardonicznie przed siebie i Sary, która stoi niewidoczna dla wszystkich prócz mnie, i robi swoją słynną pantomimę na znak, że czuje mdłości.

Pograżamy się bez reszty w długiej rozmowie o drzewach angielskich. Antony zapewnia, że to, pod którym siedzimy, zostało posadzone w 1800 roku, choć nie mam pojęcia, skąd może to wiedzieć.

Sol patrzy lękliwie w górę; prawie na pewno zastanawia się, jak długo gałąź będzie spadać, nim zwali się na niego.

- A co robiliście po naszym spotkaniu? - pyta Antony. - Czy widzieliście może jakieś przedstawienie?

- To i owo - mówi Morris i dodaje tonem znawcy: - Widzieliśmy bardzo dziwny teatr wczoraj wieczorem. Bardzo dziwny.

- Kochanie - odzywa się Lady z wyrzutem - to nie był teatr, to była opera.

Kiedy Antony prowadzi ich do jadalni, wymykam się sprawdzić, co w kuchni; Emmy i Mark siedzą przy stole i jedzą kolację, a kochana pani Simmons krząta się wokół nich. Obserwowali przybycie Kappermanów przez okno bawialni.

- Nie przywieźli za dużo bagażu, Felly? - pyta Emmy.
- Wszystko w porządku. Potem gdzieś jeszcze jadą. Gdzie ja położyłam łyżeczkę do pasty z wędzonego łososia? O, jest tutaj. Emmy, czy mogłabyś włożyć tosty?
- Kto to jest ten pedał? - pyta Mark.
- Co za okropne wyrażenie. Zdaje się, że masz na myśli pana Venture'a. Jest bardzo ważnym reżyserem w Ameryce, więc...
- Więc żadnych dowcipów o pedałach, rozumiem.
- Mam nadzieję, że w ogóle nigdy żadnych dowcipów na ten temat. Gotowe Em?
- Wszystko idzie jak po maśle. Kappermanom ogromie się podoba jadalnia (no dobrze, Lady podoba się umiarkowanie, a Morris zgodnie kiwa głową, kiedy ona się wypowiada), widok z okien jadalni: „Spójrz na konia pod tamtym drzewem - jak z obrazu Stubbsa” (nawet Rocket sprzyja mi dzisiaj) i byłabym zdziwiona, gdyby im nie smakowało moje jedzenie. Pasta w plastrach łososia zostaje przyjęta z prawdziwym entuzjazmem.

Morris z pełnymi ustami mówi:

- Na Boga, Lady, spróbuj tego. Felicja, wznoszę za ciebie toast.

Antony'ego rozsadza duma, wszyscy podnoszą kieliszki w moją stronę, a Morris i Sol wymieniają krótkie spojrzenia. Jestem pewna, że mają zamiar dać mi tę rolę.

Podchodzi Emmy. Zastanawiam się, czego chce, jest wyjątkowo ładna, kiedy wieczorne światło pada na jej twarz. Czeka cierpliwie, aż uwaga wszystkich skupi się na niej. Myślę, nie po raz pierwszy, że to dziecko zmarnuje się jeśli nie pójdzie do teatru.

- Felly, Sara mówi, że Larkspur już dawno odeszły wody i w ogóle nic się nie dzieje. Chyba trzeba zadzwonić po weterynarza. Czy możesz przyjść i zobaczyć?

Przeklęta Sara. Jest gotowa na wszystko, żeby mi tylko pobruździć?

- Jedna z naszych suczek spodziewa się szczeniaków - wyjaśniam z czarującym wzruszeniem ramion, które mówi: „ach, te dzieci”. Emmy, nie mogę teraz przyjść. Jestem pewna, że nic złego się nie dzieje, to jest całkowicie naturalny proces.

- Ale Felly...

- Zmykaj, kochanie - mówi Antony łagodnie.

Ale Emmy nie zmyka, bo Lady, oczarowana kolejną osobliwością z życia angielskiej prowincji, pyta:

- Gdzie jest piesek, który będzie miał szczeniaki, w służbówce lokaja? Czyżbyście mieli lokaja?

Emmy wyjaśnia, że ludzie mieli lokajów w dawnych czasach, ale my nie mamy i że jest w komórce z dala od innych psów. I dodaje, że gdyby Felly przyszła tylko zobaczyć, Sara i ona przestałyby się martwić.

Morris decyduje przyjąć opcję humorystyczną:

- Sądzę, Felicjo, że jesteś potrzebna na oddziale porodowym, ale wracaj do nas szybko. Ten pokój wymaga obecności pięknej kobiety. - Oczywiście Lady zwięzają się nieznacznie. - Proszę się więc pośpieszyć.

Waham się: wiem, że Antony uważa, że powinnam zostać. Ale coś, w nieustępliwości Emmy każe mi się zastanowić, czy nie powinnam tam zajrzeć. W końcu to potrwa tylko chwilę.

Anna

- Wydaje pani przyjęcie? - Su Parsons zastaje mnie ślęczącą nad książkami kucharskimi, jak dziecko, które chce zgłębić tajniki trygonometrii w podręczniku.

- Fel miała parę świetnych kolacji. Zrobiła raz homara a la thermidor i kurczaka w brzoskwiniach. Wyglądało jak z obrazka.

- Jestem pewna.

Dziś rano Donald oznajmił, że w piątek musi wydać oficjalną kolację.

- Czy może się pani tym zająć, Anno? Będzie nas dziesięcioro. Przyjechał nasz wiceprezes. Będę zabierał ich na kolacje, do teatru i tak dalej, ale muszę też zaprosić ich do domu, żeby poznali paru naszych najważniejszych klientów.

- Myślę, że mogę - odpowiadam, chociaż odwykłam od przyjmowania gości. Przy Antonym, który spędzał w domu tylko parę nocy w tygodniu, najprościej było rewanżować się towarzysko za pomocą barbecue latem oraz zimnym bufetem zimą, ale kiedy mieszkaliśmy w Londynie, moje kolacje cieszyły się powodzeniem. - Oczywiście, że mogę.

- To świetnie, Anno. I rozumie się samo przez się, że byłbym rad, gdyby pełniła pani rolę pani domu i towarzyszyła mi w teatrze.

Od tej chwili zastanawiam się, czy mam wpadać w panikę z powodu mojego wyglądu czy kolacji.

Donald poradził, żebym wzięła Su Parsons do podawania i sprzątanania i ten aspekt wieczoru również napełnia mnie złowieszczyimi przeczuciami. Patrząc na jej obcisłe spodnie z żółtej satyny i szkarłatne getry, ośmielałam się spytać:

- A co pani włoży w piątek wieczorem?

- Och, nie musi się pani obawiać. Fel podarowała mi czarną suknię z dużym dekoltem i biały fartuszek, do tego mam czarne rajstopy ze szwem i śliczne pantofle na wysokim obcasie - odpowiada urażona i patrzy lekceważąco na moją tweedową spódnicę i buty z niewyprawionej skóry. - Ważniejsze, w co pani się ubierze. - I gwałtownym ruchem włącza odkurzacz.

- Co, grapefruit na gorąco? Jaki oryginalny pomysł. - Kiedy wręczyłam Donaldowi spis potraw na przyjęcie piątkowe, aby mógł wybrać odpowiednie wina, zapomniałam uprzedzić, że to pieczony grapefruit. Mam nadzieję, że pasuje do schłodzonego Pouilly Fuisse, ale obawiam się, że nie za bardzo widząc, jak goście obracając w ustach kawałki grapefruta. Antony zawsze tak robił, żeby sprawdzić, czy w potrawie nie ma ziarnka imbiru. Było, jeśli idzie o ścisłość.

Po tym następuje wołowina bouruignon. Su, drobiąc na swych szpilkach i ukazując więcej nagiego biustu niż dziewczyny z Playboy'a, podaje to z małymi młodymi kartofelkami i świeżymi brokułami. Jarzyna jest smaczna, ale wołowina ma smak gulaszu ze szkolnej stołówki. To jest skomplikowany przepis - marynowałam mięso przez parę dni w winie z ziołami.

- Jakie to smaczne. Czy to ten wasz słynny angielski gulasz? - wypytuje z uśmiechem Nancy Schulberg.

- Nie, to jest wołowina bourguignon - odpowiadam również z uśmiechem, w myśli robiąc uwagę, że następnym razem pan Carrier niech przyjdzie osobiście i wypróbuje ten swój marny przepis.

Panie zostawiają zgrabne stosiki mięsa i sos na talerzach.

Panowie, czy to zahipnotyzowani okazałym biustem Su, czy też nawykli do prostej szkolnej kuchni, pochłaniają wszystko.

- Już od wielu lat nie jadłem tak znakomitego gulaszu

- komplementuje potrawę nigeryjski minister finansów.

- W Charterhouse podawano gulasz w każdy czwartek, ale daleko mu do gulaszu pani Harman.

- Forester - Jones... wołowina bourg... - bąkam w proteście.

Ważny klient po mojej lewej stronie nazywa się Bob McMahon i wraz z żoną Maddie prowadzi międzynarodową sieć hoteli i centrów konferencyjnych. Uznałam, że lubię pana McMahona.

- Proszę się nie denerwować - dodaje mi otuchy. - To jest wyśmienite bez względu na to, jak się nazywa. A kelnerka jest wręcz rewelacyjna, gdzie pani ją znalazła?

- W kuchni, kiedy się tu wprowadziłam - odpowiadam lakonicznie. Jeśli mają tu padać jakieś komplementy, wołałabym, żeby dotyczyły mnie, a nie Su za moim pośrednictwem. - Ona jest pomocą pani Harman.

Bob McMahon mimochodem się uśmiecha, wiem, że ma na końcu języka jakiś frywolny komentarz. - Cieszę się, że pan tego nie powiedział. Ponownie się uśmiecha.

- Ja też. Zresztą nie jest tak, jak pani myśli. Trochę przesadna jak na mój gust. - Podnosi rękę w przeproszającym geście. - Przepraszam, poddaję się. Nie można powiedzieć o tej dziewczynie nic, co by nie brzmiało dwuznacznie. „Przesadna” Su Parsons, być może, ale jestem świadoma, że gładka czarna suknia z głębokim dekoltem jest bardziej odpowiednia na to przyjęcie niż moja od Laury Ashley. Jestem jedyną kobietą w towarzystwie ozdobioną gałązkami jak tapeta, mało tego - jestem też jedyną, której sukienka płącze się wokół kostek.

- Czy mam podawać deser, proszę pani? - Su wchodzi z półmiskiem wczesnych soczystych truskawek i moim pracochłonnym creme brule.

- Dziękuję, Su. Chyba można podawać.

Bob McMahon jest właśnie w trakcie opisywania jednego ze swych centrów konferencyjnych: - ...i naturalnie posiadamy cały najnowocześniejszy sprzęt audiowizualny ze Stanów - kiedy dyskretne postukiwanie za moimi placami przechodzi w uporczywe walenie, po czym następuje dźwięk, który brzmiał jak rozbijanie szczególnie odpornej kasy pancernej przez nierozważnego włamywacza.

- Przepraszam na chwilę... proszę wybaczyć. - Wstaję, podchodzę do stolika pomocniczego i widzę, że Su wali bezskutecznie w karmelową powierzchnię creme brule trzonkiem noża od chleba.

- Nie mogę tego cholerstwa rozłupać - syczy przez zęby. - Nie zwracając uwagi na pytające uniesienie brwi Donalda, błyskam najsympatyczniejszym uśmiechem, na jaki mnie stać.

- Pani Parsons pomoże przy truskawkach. Za chwilę wracam.

W kuchni okazuje się, że Su miała absolutną rację. Cholerstwa nie da się rozłupać, nawet za pomocą elektrycznego noża do mrożonek. Lepkie cętki na sukni od Laury Ashley - wynik działania „na siłę” i popłochu. Nawet gdyby udałoby mi się rozłupać masę mogłabym dotkliwie poranić wiceprezesa, ważnych gości i ich żony, kiedy będą próbowali przez uprzejmość pogryźć kawałki ostrego jak szkło karmelu. Zanurzam ostrze do mrożonek we wrzątku, po czym ostrożnie wsuwam pod warstwę masy karmelowej i podważam ją jak pokrywę wjazdu. Teraz mój krem wygląda jak pudding z kaszy manny, który Sara z taką dumą przyniosła do domu po pierwszej lekcji gotowania. W lodówce nie ma żadnego kremu, więc wlewam na wierzch dwa kubeczki jogurtu truskawkowego.

Su patrzy oniemiała, kiedy wręczam jej talerz i proszę, by podała do stołu.

- Co to za paskudztwo na wierzchu? - pyta głośnym szeptem.

Mam nadzieję, że Donaldowi krem z jogurtem truskawkowym wyda się równie oryginalny, co grapefruit na gorąco. Siadam i kieruję moją uwagę na sąsiada po prawej.

- Właśnie dyskutowaliśmy na temat wpływu Bejarta na Magny Marina - mówi wprowadzając mnie grzecznie w temat rozmowy. Marzę tylko o jednym, by znów być w White Walls i oglądać serial „Policjanci z Miami”, ale mówię uprzejmie:

- I do jakich wniosków państwo doszliście?

Przez resztę wieczoru rozmowa wędruje od baletu (Bejart i Marin okazują się choreografami) przez percepcję wszystkich obecnych rzeźb Indian południowoamerykańskich w Tate Gallery („Mocna metafora” - oświadcza żona nigeryjskiego ministra finansów) do roli krytyki we współczesnym kinie. Niewiele miałam do powiedzenia także na ten temat, ponieważ ostatnim filmem, jaki widziałam, było ET i to nie w całości, bo Emmy wciąż wybuchała płaczem. A kiedy Nancy Schulberg wyraża uznanie dla wystroju mojego cudownego domu („Biel jest taka odprężająca w świecie pełnym emocji”), proponuję, byśmy się napili kawy.

Na górze, przechodzimy do polityki i, ośmielona kieliszkiem brandy, mówię, że trudno mi traktować poważnie Neila Kinnocka, bo zaczesuje włosy na łysinę.

Maddie McMahon zachowuje się tak, jakbym rzuciła jej linę ratowniczą; prawdopodobnie jej też zdawało się, że Bajart i Marin to francuscy rewolucjoniści.

- Rzeczywiście - mówi - to jest takie publiczne manifestowanie próżności, prawda? Mamy już zamiar pograć się z entuzjazmem w psychologiczne aspekty tego fascynującego zjawiska, kiedy obie jednocześnie dostrzegamy pasmo jasnorudych włosów z nadzieją zaczesanych w poprzek łysej głowy wiceprezesa Charlesa Schulberga.

- Jaka śliczna sukienka - szybko zmienia temat Maddie. - To Laura Ashley, prawda?

- Przepraszam, Donald - bąkam zbierając szklanki na tacę. - Przepraszam.

- Za co? - Donald wygląda na szczerze zdziwionego.

- No, kolacja... i w ogóle...

Donald nalewa nam jeszcze po jednej brandy.

- Kolacja była w porządku, grapefruit był naprawdę niespodzianką, ale ten deser z mrożonym jogurtem smakował po prostu pysznie, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek jadł coś podobnego.

- I nie sądzę, by jadł to pan kiedykolwiek w przyszłości - opowiadam o pancernym puddingu i Donald siada na kanapie, śmiejąc się i uklepując poduszkę za plecami.

- Proszę podejść - kładzie przyjaźnie rękę na moim ramieniu. - Niech pani się przestanie denerwować, Anno. Za bardzo się pani wszystkim przejmuje... nami wszystkimi.

Odkłada kieliszek z brandy i całuje mnie, a ja się poddaję, rada, że próba ogniowa się powiodła. Odsuwając mnie odrobinę Donald mówi:

- Zawsze się zastanawiałem, kogo mi przypomina Charles Schulberg, myślałem, że Roberta Robinsona, ale, oczywiście, że Neila Kinnocka.

Śmiejąc się padamy sobie w ramiona. Wszystko wydaje się takie proste i zwyczajne, a kiedy wchodzimy na górę Donald mówi:

- Myślę, że sypialnia gospodarza... dalej od dzieci. Laura Ashley leży na podłodze, kałuża barw natury, zakłócająca oryginalny biały wystrój pokoju. Donald leży w łóżku, czekając na mnie. Wygląda młodziej i szczuplej bez garnituru.

- Och, Donald - przysuwam się blisko do niego, żeby nie patrzył zbyt długo i przeciągle na moje ciało. - Och, Donald, przepraszam...

Zdejmuje rękę z mojego uda i opada na poduszkę.

- Na litość boską, a teraz za co przepraszasz?

- Nie jestem szczupła... jak Felicja...

- Och, Anno - dłoń Donalda zagina się z uznaniem na mojej piersi - wspaniale w tobie jest właśnie to, że nie jesteś ani trochę podobna do Felicji.

Donald jeszcze śpi, kiedy wymykam się do swojego pokoju i kładę w łóżku, rozmyślając nad tym, jak sobie poradzimy z wyrazem twarzy przy śniadaniu. Trudno wyglądać jak poważny bankier i jego bardzo porządna gospodyni nad chłodnym sokiem pomarańczowym, jeśli spędziło się pół nocy na cielesnych uciechach w ciepłym, skotłowanym łóżku.

Czuję się promienna i pełna życia, po raz pierwszy od wielu lat. Seks z Antonym stał się wygodnym nawykiem. Z Donaldem jest jak orzeźwiająca kąpiel w falach przybrzeżnych po treningu w sali gimnastycznej. Inną zaletą kochania się z Donaldem jest, że on nie wkłada piżamy. Bawelniany komplet od „Marksa & Spencera” zawsze mnie odstręczał; ciekawa jestem, czy Antony wkłada piżamę, kiedy jest w łóżku z Felicją.

- Dobry, Anno, dzień dobry Laura. Dobry Harry, miło, że wszyscy już jesteście na nogach.

Na jego twarzy nie ma śladu rozpusty. Jest rześki i pełen energii. O Boże, mam nadzieję, że nie żałuje minionej nocy, albo co gorsza, że za dużo wypił i nic nie pamięta.

- A teraz słuchajcie, dzieciaki... zabieram Annę wieczorem do teatru, a więc, Lauro, przyprowadzisz Harry'ego ze szkoły, a Anna zadzwoni po panią Jamieson, żeby się wami zajęła.

- Och nie, tato, tylko nie ona... czy musimy, Anno? Jestem nedorzecznie zadowolona, że Laura woli mnie niż Pannę Myszkę.

Przyjeżdżamy do teatru trochę wcześniej. Donald bierze mnie za rękę i przyciąga do siebie.

- Cudownie było, Anno. Czy możemy to powtórzyć? Niebawem dołączają do nas Nancy i Charles Schulbergowie i, ku mojej radości, Maddie i Bob McMahanowie, i zajmujemy swoje miejsca, pośrodku na parterze.

Jestem wręcz zdumiona, że taki dosadny sadystyczny pornus jest dozwolony.

- Jakie cudowne? Takie podniecające. Czy nie podoba się wam ta szczerść młodych ludzi? - entuzjazmuje się Nancy Schulberg popijając szampana w czasie przerwy. Zdobywam się na nieszczerę kiwnięcie głową, a Maddie mruczy:

- Fura plugastwa, prawda? Obie chichoczemy.

Po teatrze w restauracyjnej łazience damskiej ze ścianami wyłożonymi różową i zieloną taftą jak w burdelu z przełomu stulecia, Maddie wręcza mi jakąś paczkę.

- To są foldery i reklamowe komunikaty prasowe dla naszego ostatniego Centrum Konferencyjnego - wyjaśnia. - Wydaje mi się, że nie są najlepsze. Czy mogłaby pani rzucić na to okiem i ocenić.

- Och, ale ja nie umiałabym...

- Niech pani przestanie, Anno - odpowiada - mówiła pani wczoraj, że zna się pani na reklamie. A poza tym szuka pani jakiegoś zajęcia. Dlaczego nie spróbować? Proszę przeczytać, może się pani zorientuje, cośmy tu sknócili.

- Och, ale ja nie...

- Na litość boską, Anno. Niech pani tylko przeczyta, to wszystko... a jeśli wpadnie pani coś do głowy, proszę zadzwonić.

Biorę paczkę. Ale tylko przez grzeczność.

Część druga

Felicja

Przyszła mi do głowy bardzo kusząca myśl. Dotyczy młodych kartofli pozostałych z wczorajszej kolacji i francuskiego majonezu. Nie bardzo jednak mogę ją w tej chwili zrealizować; jestem unieruchomiona.

Leżę na kanapie w bibliotece otulona pledem podróżnym. Larkspur leży na swoim zwykłym miejscu - wciśnięta między mnie a oparcie kanapy. Łeb trzyma na moim ramieniu i chrapie. Jej śliczna córeczka układa mi się na brzuchu, więc ją delikatnie przesuwam. Jestem w ciąży, wprawdzie dopiero w czwartym miesiącu, ale Kitten waży ponad dwanaście funtów, a to zbyt wielki ciężar dla płodu. Jej oficjalne imię z Klubu Hodowli Psów brzmi Headow Dancer (wymyślane, dodaję pospiesznie, przez Sarę i Emmy. Aczkolwiek, muszę przyznać, że kiedy biegnie przez wysoką trawę, podnosi łapy, żeby sprawdzić dokąd sunie, wprost przezabawnie. Mam na jej punkcie zupełnego bzika i to od momentu, kiedy ją po raz pierwszy ujrzałam.)

- Ale narobiłaś zamieszania tej nocy, kiedy przyszedłaś na świat - mówię czule.

Na dźwięk mojego głosu psy leniwie poruszają ogonami, a ja dalej udaję, że rozwiązuję krzyżówkę w "Timesie". Za chwilę zasnę. Cudownie jest być w ciąży - lekarze surowo mi przykazali nie przejmować się niczym i często się kłaść

z uniesionymi do góry nogami. Jest mi ciepło, wygodnie i czuję się tak bezgranicznie szczęśliwa teraz, kiedy wyszłam za Antony'ego.

Jego dziecko porusza się lekko. O tych cudownych wczesnych ruchach płodu każdy mówi, że to jelita lub nerw albo coś innego, ale ty wiesz, że to nieprawda, bo znasz swoje dziecko lepiej niż oni.

Byłam nie tylko rozzłoszczona, kiedy zostawiłam Kappermanów w jadalni, żeby zajrzeć do Larkspur, ale także przestraszona, bo nigdy w życiu nie widziałam porodu. Moje własne dzieci przyszły na świat za pomocą cięcia cesarskiego ("Nie liczyłbym na to, że przez pani szczelinę miednicową przedostanie się choćby pomarańcza" - powiedział mój lekarz położnik, dając do zrozumienia, że jestem drobna i delikatna, co przyjąłam jak komplement.)

Jasne, że widziałam poród w telewizji; przewlekły poród z mnóstwem wrzawy, schludny, perfekcyjny poród na filmach dokumentalnych. Jako młoda aktorka grałam nawet rolę pielęgniarki,

która kazała bohaterce dramatu kostiumowego przestać przeć, bo jeszcze nie ukazała się główka dziecka. Ale to wszystko nie miało nic wspólnego z praktyką; choć więc nie wiedziałam dużo, wiedziałam, że Larkspur nie będzie leżała na grzbiecie jęcząc.

Kiedy weszłam do komórki Larkspur siedziała i wyglądała na znudzoną. Sara i Emmy zaś zachowywały się, jakby cierpiały bóle porodowe. Sara była tak zdenerwowana, że po raz pierwszy mówiła do mnie po ludzku.

- Och, Felicja, w książce jest napisane, że jeśli nic się nie dzieje po dwóch godzinach od pierwszych skurczów, trzeba wezwać weterynarza.

Patrzyłyśmy na Larkspur, która ziewnęła i położyła się.

- Kochanie, ona nie ma skurczów. Przyjrzyj się... nic się nie stanie w najbliższych godzinach.

"Powiedziałam do ciebie po raz pierwszy «kochanie», a ty nie zareagowałaś" - pomyślałam.

- Słuchaj, muszę wracać, to niegrzecznie tak zostawiać gości. Zawołajcie mnie, jeśli... o, jest Mark, Mark, bądź tak dobry i zawołaj mnie w razie czego.

Larkspur wstała, spojrzała ze zdziwieniem. Sapnęła, zgarbiła się i napięła, po czym mały czarny tobołek spadł na podłogę. Był lśniący jakby owinięty w plastikową folię; nigdy w życiu nie widziałam tak profesjonalnego przedstawienia.

Piesek nie poruszał się. "Boże - pomyślałam - co za parszywe szczęście. Muszę zabrać stąd dzieci".

- Sara, czy możesz zabrać Marka i Emmy i sprawdzić, czy w kuchni wszystko w porządku? - powiedziałam, dając jej znaki.

Sara nic jednak nie zauważyła. Patrzyła na Larkspur, która ściągnęła ze szczeniaka błonę i zaczęła go energicznie wylizywać.

"Biedactwo - myślałam - nie zdaje sobie sprawy..." W tym momencie szczeniak kichnął, pisnął i podniósł łepkę, który się chwiał niepewnie. Stałam wzruszona, ze łzami w oczach. Ale nie musiałam się przejmować, bo oczy Sary także błyszczały. Mark patrzył na nas zdziwiony.

- Przecież to było ładne. Dlaczego ludzie płaczą ze szczęścia?

- My wiemy, prawda, Felly? - powiedziała Sara, a ja zastanawiałam się, gdybym ją teraz przytuliła. Nie zaryzykowałam.

- Co to? - zapytałam rzeczowo.

Sara podniosła wiotką tylną łapkę i odparła:

- A niech to, piesek.

- Czy to możliwe, że wszystkie szczeniaki będą chłopcami, to znaczy pieskami, i nie będziemy mogli zatrzymać jednego dla siebie?
- dopytywała się Emmy.

- Larkspur jest zbyt inteligentna, żeby urodzić same psy.

- Hej, patrzcie! - zawołał Mark. Pani Simmons wsunęła głowę do środka.

- Zaniósłam kotlety, pani Harman, ale pan Forester - Jones wygląda... - zniżyła głos - trochę spięty, jeśli wie Pani, co mam na myśli. Och, jaki słodki, dzielna suczka.

- Sara, zawołaj mnie, kiedy będzie następny. Muszę wracać, szlag by to...

Kiedy wróciłam do jadalni, było jasne, że utraciłam łaskę towarzystwa, bo byłam niegrzeczną dziewczynką.

Lady uśmiechała się blado, Sol mrugał do Morrisa nerwowo, a Antony opowiadał zabawną historię na dowód, jak świetnie zna członków Rodziny Królewskiej.

Morris rzucił mi miazdzące spojrzenie.

- Byłaś dłużej, niż się spodziewałem, Felicjo.

- Och Morris, tak bardzo mi przykro. Sytuacja awaryjna, naprawdę, trochę się zdenerwowałam. Ale Larkspur ma ślicznego synka...

- Sol i ja omawialiśmy możliwość kręcenia u nas niektórych zdjęć, kochanie - powiedział Antony. - On uważa, a ja jestem pewien, że ma rację, że autentyczny stary dom będzie dużo lepszy niż...

- To wspaniale - odpowiadam. - To byłyby te sceny z przeszłości z jej poprzedniego wcielenia, kiedy była powiernicą Beau Brummela?

Jak to wszystko banalnie brzmiało, po tym, co przed chwilą widziałam.

Mięso jagnięcia po walijsku nacierane czosnkiem i rozmarynem wszystkim bardzo smakowało; podobnie jak młode kartofelki i przyrządzony według przepisu Bejama groszek z miętą, który, o czym bezwstydnie poinformowałam, zbierałam rano. Antony krążył z niekończącymi się zapasami wybornego wina; na twarz Morrisa powrócił śmiech. Głaskał moje kolano pod stołem. Wybaczył mi, a ja miałam okazać wdzięczność.

Larkspur nastawiła uszy i spojrzała na swoje szczenię, jakby nie mogła w to uwierzyć. Miała dokładnie takie samo uczucie, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Laure i Harry'ego. Czy rzeczywiście sprawiłaby mi przyjemność praca z tym nadętym zarozumiałcem? Wyraźnie miał zamiar wtrącać się we wszystko; współczułam biednemu Solowi.

- Widzę to tak, Felicjo - mówił Morris - wewnętrzna motywacja tych scen musi być bardzo mocna. Ta dziewczyna, poszukująca swojej tożsamości poprzez stulecia, a zarazem, pamiętajmy, bardzo współczesna kobieta, musi do nas przemawiać autentycznym głosem Anglii Cromwella... - Sol wyglądał na zaniepokojonego - Anglii rewolucji przemysłowej, Dickensa i...

Sara wsuwa głowę zza uchylonych drzwi.

- Felly, szybko, albo przegapisz.

- Już idę, wracam za moment, nakładajcie sobie, proszę.

Drugi szczeniak rodził się dłużej niż pierwszy. Kiedy ukazały się łapki, Larkspur jakby straciła zainteresowanie do porodu. Sara chwyciła za poradnik "Twoje pierwsze szczeniaki", który się natychmiast otworzył na rozdziale "Możliwe komplikacje w trakcie porodu".

- Piszą, że może będzie konieczne...

- Nie, popatrz, jest.

To była suczka. Miała białą łatkę na klatce piersiowej, w tym samym kolorze, co łapki.

- Czy możemy zatrzymać tego, Felly?

- Tak sądzę, jeśli Sara się zgodzi... jaki piękny.

Sara podniosła się i przytuliła do mnie. O mało się nie rozplakałam.

- Tak się cieszę, że byłaś tutaj, tak bardzo się bałam, że się coś złego stanie. Przykro mi za tych Amerykanów.

- Nie masz pojęcia, jacy są nudni.

- Czy będziesz z nimi pracowała?

Czy chciałam tego? Chyba nie. Wątpiłam, czy Morris w ogóle brałby pod uwagę możliwość zatrudnienia aktorki, która jest bardziej zafascynowana szczeniakami niż Morrisem J. Kappermanem, wybitnym dowcipnikiem i gawędziarzem. Wzięłam do ręki "Twoje pierwsze szczeniaki" i zaczęłam przeglądać.

- Chyba lepiej wrócę do nich... mój Boże, jakie to ciekawe, nie wiedziałam, że to tak wygląda.

Antony był wyraźnie wzburzony. Sol i Lady wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Morris był nadąsany.

- Morris... nie gniewasz się na mnie, prawda? Tajemnica narodzin, wiesz, to nie może czekać. Może jeszcze mięsa? - Morris chciwie chwycił widelec.

- Czy wiecie, że one naprawdę zjadają łożysko? To takie praktyczne, natura; tam jest mnóstwo witamin, które trzymają je na nogach, zanim znów będą mogły polować.

Morris znów odłożył widelec i oznajmił, że nie sądzi, by mógł coś jeszcze zjeść, dziękuje. Unikałam wzroku Antony'ego.

Dzieci pomogły mi posprzątać ze stołu i wnieść letni pudding. Prawdopodobnie to może ugłaskać serce Morrisa, myślałam nieprzytomnie, ale w ogóle mi na tym nie zależało.

- Mówię wam - powiedziała Sara - ale tam atmosfera... a mina taty. Jest na ciebie wściekły, to przeze mnie.

- Bzdura, oczywiście, że to nie twoja wina. Pudding letni nie miał szansy wypróbować swojego magicznego działania. Morrisa poproszono do telefonu, kiedy Lady właśnie nakładała sobie pudding, elegancko udając, że spędziliśmy razem uroczy wieczór, a jej mąż dawał wyraźnie do zrozumienia, że jest już zmęczony.

- To był mój szofer - powiedział wracając Morris - żeby przekazać mi treść rozmowy telefonicznej z Londynem. Niestety muszę natychmiast wracać na ważne spotkanie. Przykro mi, ale - dodał nawet nie usiłując wyglądać na zmartwionego - że będziemy musieli was, przyjaciele, opuścić. Może innym razem...

- Och, ale Morris - Antony podniósł się - dopiero zaczęliśmy omawiać...

"Nie trać czasu, kochanie - pomyślałam - statek tonie, a orkiestra gra dalej".

Morris wyszedł z jadalni w towarzystwie Antony'ego i drepczącego za nimi Sola. Zostałam sama z Lady, która ze spokojem polewała obficie śmietanką pudding.

- Czy to dzbanuszek "Księżniczka Anna"... przepiękny... Pokpiłaś to, kochanie.

- Och, Lady, ogromnie mi przykro. To musiało wam się wydać bardzo niegrzeczne. Ale...

Lady rzuciła mi bystre nowojorskie spojrzenie,

- Wiem z doświadczenia, że ludzie robią to, co chcą robić. Myślę, że podjęłaś dziś wieczór decyzję i coś mi mówi, że dobrą decyzję. Kiedy będę tu znów, zadzwonię do ciebie, zjemy razem lunch.

- Obawiam się, że Morris jest rozgniewany.

- Poradzę sobie z nim. Będę po prostu udawała, że się go boję. On uwielbia, kiedy kobiety się go boją, potem czuje się winny... a potem idzie do Cartiera. To raczej ty będziesz miała problemy ze swoim, kiedy odjedziemy.

- Poradzę sobie z Antonym. Umiem głośno krzyczeć. Lady spałaszowała pudding, wstała od stołu i pocałowała mnie serdecznie.

- Lepiej już pójdę i pomogę mu się spakować. Kieruje potężnym konsorcjum, a nie wie, że buty kładzie się na dno walizki. Trzymaj się, moja droga.

Poszła na górę, a ja, trochę uspokojona tą rozmową, ruszyłam do hallu. Sol osamotniony siedział na ogromnym krześle, które było dla niego dużo za duże, z walizką u stóp.

- Sol, czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Byłbym wdzięczny za dużą whisky. Droga powrotna do Londynu będzie zdaje się jednym wielkim piekłem.

Nalałam dwie szklanki whisky.

- Sol, jestem ci winna przynajmniej przeprosiny. Czy mogę coś zrobić?

Patrzył na mnie nieśmiało, wyraźnie się wahał.

- Czy myślisz, że mógłbym zobaczyć szczeniaki? Moja mama prowadzi hodowlę pekińczyków w Iowa, wiesz...

Pomknęliśmy cichcem do komórki i wpadliśmy na Sarę, która właśnie stamtąd wybiegała.

- Och, Felly, dzięki Bogu. Urodził się następny, ale ona w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Jest nadal oblepiony.

Sol wręczył mi swoją szklankę, ukląkł, i zręcznie rozplątał szczeniaka z błony.

- Proszę bardzo, szanowna pani. - Położył szczeniaka przed Larkspur, która zaczęła go wylizywać. - Czy to jej pierwszy poród? Czasami są zdezorientowane.

Sara spojrzała na niego z najwyższym uznaniem.

- Sol, skąd pan wiedział, co trzeba zrobić? To było wspaniałe.

- Robiłem to dziesiątki razy. Moja mama hoduje Pekinczyki.
 - Umył ręce, wziął szklanekę z whisky i wypił przynajmniej połowę.
 - Jeśli chcesz znać moją szczerą opinię, nie zagrasz tej roli.
- Morris uważa, że kupił sobie prawo do decyzji w sprawach artystycznych...
- Chciałam zapytać... jak zamierzasz zmieścić w jednej scenie Beau Brummella, Dickensa i Oliviera Cromwella.
 - To proste. Dickens będzie pisał o Cromwellu i Brummelu i myślał o nich w scenach z przeszłości.
 - Boże, jesteś mistrzem w swoim zawodzie. Zarechotaliśmy i znów łyknęliśmy whisky.
 - Możesz mi wierzyć, Felicjo, widziałem cię w paru rolach i naprawdę chciałbym z tobą pracować. Ale nie w tym filmie, kochanie, to będzie chała nie z tej ziemi. Rodzi się kolejny szczeniak.
- Larkspur poradziła sobie tym razem jak prawdziwa profesjonalistka, po czym położyła się tak, by czwórka jej szceniaków mogła ssać mleko.
- Widziałem to tyle razy - powiedział Sol - i za każdym razem jestem poruszony.

Anna

"Biedny Antony" - zwykłam myśleć, kiedy jechał do pracy do Londynu zrzędząc z irytacją o jakimś nudnym lunchu, który miał tego dnia w Boulestin. - "Jakie mam szczęście - myślałam z wdzięcznością, kiedy sprzątałam, gotowałam, pełam, robiłam pranie, kładłam tapety, robiłam za szofera i dogadzałam naszym dzieciom - że mogę siedzieć w domu w tym ślicznym miasteczku i nic nie robić".

Ale idiotka ze mnie. Dlaczego nikt mi nigdy nie powiedział o tym podnieceniu, o nagłym przyplywie adrenaliny do mózgu, kiedy się dostaje pieniądze za pracę, którą się kocha. To daje nawet więcej przyjemności niż seks, ale nie będę taka podła, żeby mówić o tym Donaldowi.

Moją pierwszą reakcją, kiedy przejrzałam foldery hoteli "Delphic" i Centrów Konferencyjnych Inc. było zdziwienie, że pominęli coś tak oczywistego? Materiały reklamowe były nawet dobre, ale koncepcja ogólna nie. Mieli zamki z wieżami i stare rezydencje i nadali nowoczesny charakter ich otoczeniu. Foldery przedstawiały stoły z jasnego drewna i podobne krzesła, pokojówki w

sypialniach i obsługę ubraną w jaskrawogranatowe i czerwone uniformy, jak gdyby mieli serwować przekąski w British Airways.

- Czy wy przypadkiem nie niszcycie zabytku? - zapytałam Maddie i Boba nieśmiało. - Czy nie powinniście wykorzystać tych połączeń parków, ogrodów otoczonych żywopłotami, wież z zegarami, wybrukowanych dziedzińców? Oferując tradycyjną angielską gościnność w historycznej scenerii... coś w tym rodzaju?

Teraz, oczywiście, zażądałabym badania rynku na poparcie moich pomysłów albo od razu przekonałabym klienta, że on sam to wymyślił, ale wtedy paplałam z entuzjazmem, żeby umeblowali pokoje antykami ("Można kupić całkiem tanio sprzęty ze szlacheckich dworów na aukcji - na przykład w poniedziałki na Lots Road), ubrali obsługę w uniformy lokajskie, a pokojówki w czepce i nigdy nie mówili o wydawaniu kolacji, jeśli można to nazwać bankietem.

Nie na darmo spędziłam piętnaście lat na meblowaniu i renowacji White Walls - dużo wiedziałam, jak modernizować stare domy tak, by nie pozbawić ich uroku. Wymieniłam nawet centra ogrodowe, specjalizujące się w hodowli starych róż angielskich i ciemierników ("Trzeba się udać do Johna Coke'a w Hampshire; ale jest otwarty tylko od marca do września"). McMahonowie byli pod wrażeniem. Przemyśleli to wszystko i powiedzieli:

- Niech pani to napisze, a my to wydrukujemy i przedstawimy reszcie zarządu - powiedział Bob.

Donald był zachwycony, kiedy mu powiedziałam o moim sukcesie.

- To duże pieniądze, Anno. Widziałem ich zestawienia bilansowe i plany budżetowe. To świetny start, jeśli uda ci się wkraść w łaski "Delphica".

Zabrał mnie na kolację, żeby uczcić mój sukces.

- Noś czarny kaszmir - poradził. - Jest sexy, ale wytworny. Musisz dbać o prezencję.

Od samego początku zajął zdecydowane stanowisko w sprawie moich ubiorów.

- Ta rzecz w kwiatki, no, sukienka, którą miałaś na sobie na naszym pierwszym przyjęciu, nie nadaje się. Weź to, Anno.

Wcisnął mi w rękę czek na sporą sumę, a kiedy zaczęłam protestować, że nie mogę go przyjąć, bo czułabym się jak utrzymanka, powiedział stanowczo (i dość obraźliwie, jak potem pomyślałam), że

jeśli mam pełnić rolę pani domu, chce, żebym była tak dobrze ubrana jak inne żony w towarzystwie.

Opowiedziałam, jak bardzo nienawidzę sklepów i o moich ponurych doświadczeniach z zakupami przed wprowadzeniem się na Acacia Road, a on polecił mi najelegantszy sklep w Beauchamp Place i drugi na Brompton Road.

- A skoro już o tym mowa, może zmienisz też uczesanie?

- Ale, nie wiem... gdzie.

- Robert - Donald wyglądał na zdumiewająco dobrze zorientowanego. - Robert na Grafton Street jest jednym z najlepszych fryzjerów w Londynie.

Jaka ja głupia, to przecież oczywiste; ponieważ Roberta łatwiej zastać nad "Financial Times" niż "Vogue", musiał wymieniać nazwy ulubionych sklepów i jej salonu fryzjerskiego.

Wierzę, że wybrała najlepsze. Sprzedawczyni w sklepie na Brompton Road wzięła mnie zdecydowanie w swoje ręce i nie pozwoliła mi zniszczyć misternej linii fałdek uzyskanych przez zebranie sukni w talii szerokim paskiem. Pokazała, jak podciągać wąski podwójny pasek skórzany (pięćdziesiąt pięć funtów za pasek?!) wokół bioder. Przejrzałam się w lustrze i zobaczyłam, że od razu wglądam szczuplej. To było fantastyczne. Kupiłam trzy suknie, torebkę i pantofle na płaskim obcasie. I pasek. Nigdy w życiu nie wydałam na siebie takiej sumy pieniędzy.

Wycięłam fotografię z "Harpers & Queen" z podpisem: "Fryzury Roberta" i pokazałam ją Robertowi. Patrzył z powątpiewaniem na zdjęcie i powiedział, że pamięta, ale. czy to na pewno jestem ja. Odparłam, że wiem i że to oczywiście nie ja, ale tak właśnie zawsze chciałam wyglądać. Robert wyraził nadzieję, że nie pogniewam się za szczerłość, ale nawet kosztowna fryzura autorstwa mistrza międzynarodowej sławy (to on), trwała ondulacja i zmiana koloru nie gwarantują, że atrakcyjna dojrzała kobieta zmieni się w osiemnastoletnią modelkę.

- W każdym razie dziękuję za "atrakcyjną" - odparłam i powiedziałam, żeby robił, co uważa.

Rachunek opiewał na sumę trzydziestu pięciu funtów, a Sandra w salonie "Hair Flair" w Salisbury nigdy nie zażądała ode mnie więcej niż dziesięć funtów. Ale z "Hair Flair" nigdy nie wyszłam

odmłodzona o dziesięć lat, wyglądałam jedynie jak kobieta, która właśnie wyszła od fryzjera.

- Hej, wyglądasz cudownie.

- Dzięki, Donald. - To przypominało taki film, gdzie zaniedbana bohaterka zdejmuje okulary i natychmiast się przemienia w Audrey Hepburn.

Przyglądał mi się, zdumiony, kiedy podawałam potrawkę, którą rano wstawiłam do piekarnika.

- Wyglądasz inaczej. Jakoś młodziej. - Musiał widzieć ten sam film.

- Skróciłam włosy i kupiłam parę rzeczy - opowiedziałam mu o Robercie i o sprzedawczyni w "Plantation", na co Donald powiedział, że Felicja przepadała za tym sklepem i zawsze przysięgała, że Robert jest najlepszym fryzjerem w Londynie. Usiłowała mnie nawet namówić, żebym chodził się do niego strzyc.

- Ale ja sądziłam, że nie chcesz, żebym wyglądała, jak Felicja.

- Ależ to niemożliwe - rzekł szybko, natychmiast sobie uświadamiając błąd taktyczny. - Felicja ma jasne włosy i jest szczupła a...

- Okay. Powiedz to. Jestem gruba...

- Nie miałem zamiaru tego powiedzieć, kochanie. Chciałem powiedzieć, że jest chłopcą, a ciebie nikt nigdy nie mógłby wziąć za chłopca.

Powoli rozpiął mi bluzkę i osunęliśmy się na posadzkę. Zastanawiałam się, czy psychoterapeuci, którzy namawiają, by dla urozmaicenia uprawiać seks poza sypialnią, kiedykolwiek poczuli na plecach zimny dreszcz w wyniku kontaktu z posadzką komfortowej kuchni. Potrawka stygła na talerzach, a my byliśmy na dole, potem wzięliśmy razem prysznic, co było dużo bardziej zabawne niż w pojedynkę, znów się kochaliśmy, po czym zamówiliśmy panią Jamieson do dzieci i wyszliśmy na kolację.

- Rozciągać mięśnie nóg; wicie, że mięśnie kurczą się z wiekiem!

Rozciągałam mięśnie do granic możliwości, zgodnie z poleceniami gibkiej dziewczyny, która namawiała grupę nie tak smukłych i nie tak młodych kobiet, by skręcały swoje kończyny w bolesnych pozach.

Zapisałam się do grupy Lotty Berk w obawie, że studia tańca i kursy aerobiku będą okupowane przez młode sylfidy, poruszające się w rytm dźwięków pop - music. Nigdy nie umiałam poruszać się w rytm żadnej muzyki. "Czy to walc?" - pytałam mojego partnera na szkolnych zabawach. "Nie, to Elvis" - odpowiadał i szedł poprosić do tańca kogoś innego.

- Zmiana... na kolanach. Zmiana... miednica w przód, miednica w tył, napiąć pośladki i miednica w przód... w tył... w przód... w tył. Dobrze.

Przypomniał mi się ostatni trening na podłodze kuchennej i nie zdziwiłam się, kiedy gibka dziewczyna zapewniła nas, że to ćwiczenie znakomicie wpłynie na nasze życie seksualne. Mojemu zrobiło fatalnie. Ledwie się mogłam poruszać, kiedy wyszłam z zajęć, nie mówiąc już o próbie jakiegokolwiek wysiłku.

Lekarz Donalda polecił mi wysokoenergetyczną, biogeniczną dietę i po paru miesiącach wyszczuplałam tak znacznie, że mogłam się wcisnąć w czarną kaszmirową suknię, którą podziwiałam z zawiścią w Beauchamp Place.

Na Laurze zrobiło to wielkie wrażenie.

- Hej, Anno, wyglądasz fantastycznie. Bardzo schudłaś. Czy ja i Harry też możemy przejść na dietę?

Przestałam kupować im pizzę i hamburgery, i siekaliśmy surowe warzywa, gotowaliśmy na wolnym ogniu groszek i hodowaliśmy na parapecie okiennym kiełki fasoli. Wniosło to do tej kuchni element humanizmu i przypomniało mi o moich sadzonkach w domu.

Drastyczna zmiana w sposobie odżywiania dzieci była w znacznie większym stopniu udziałem Suzanne Girshon, ich szkolnego pedagoga, niż mojej smukłej figury.

Parę miesięcy po moim przybyciu do St. John's Wood, zadzwoniła do mnie Mary - Anne Colby, nauczycielka Harry'ego mówiąc, że jest bardzo zaniepokojona jego stanem. Zasugerowała, że "obecnie sprawia trudności wychowawcze" i zastanawiała się, czy w domu są jakieś kłopoty, o których pan Harman lub ja możemy poinformować ją lub Suzanne Girshon. Czwartek, zaproponowała, będzie najlepszym dniem dla Suzanne, która jest strasznie zapracowana. Donald był również strasznie zapracowany.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, kochanie, gdybyś mogła się tym zająć. Chociaż, muszę przyznać, że jestem bardziej zaniepokojony Laurą.

To był dobry moment na szczerą rozmowę. Powiedziałam Donaldowi, że jeśli Harry ma jakieś kłopoty, to są one wynikiem postępowania Laury, która traktuje go jak małe dziecko i wpycha w niego masę podłego jedzenia.

- Pozwala mu nawet wygrywać w warcaby, przez co robi mu tylko krzywdę, bo inni ludzie nie będą mu dawali wygrywać.

Donald wyglądał na zniecierpliwionego.

- Och, daj spokój, Anno. Nie zaczynaj znowu. Prawdopodobnie żaden moment nie był odpowiedni, żeby szczerze rozmawiać z nim o dzieciach. Widział je takimi, jakimi chciał je widzieć, a nie jakimi były. Domyślam się, że Felicja cały czas odgrywała jego wizję szczęśliwej amerykańskiej rodziny. Ale kto wie, może byli szczęśliwi, zanim odeszła.

Suzanne Girshon, Mary - Anne Colby i ja siedziałyśmy w świetlicy, "centrum socjalnym szkoły", wokół wesołego jaskrawoczerwonego stołu. Zapytałam, czy Harry ma kłopoty z nawiązywaniem kontaktów.

- Ma sporo trudności w grupie rówieśniczej - uściśliła Suzanne. - Po rozmowie z nim doszłam do wniosku, że jest chorobliwie nieśmiały z powodu zaniżonego poczucia własnej wartości.

Zgodziłyśmy się, że to może być wynikiem rozstania jego rodziców, że obecny upadek rodziny wywiera znaczną presję na nauczycieli i pedagogów i że rozwody rodziców są przyczyną powszechnej psychicznej i fizycznej alienacji dzieci. Omówiłyśmy dokładnie manię macierzyńską Laury i Suzanne obiecała porozmawiać z jej wychowawczynią.

- Myślę, że ona pomoże zrozumieć Laurze, że jej nadopiekuńczość, choć spowodowana miłością, jest w rzeczywistości destruktywna.

W końcu przeszłyśmy do spraw nadwagi Harry'ego i zgodziłyśmy się, że może być jednym ze źródeł jego problemów.

- Zauważyłam, że jest skrepowany, kiedy przebiera się w strój gimnastyczny - powiedziała Marry - Ann.

- Dzieci z nadwagą jedzą, żeby sobie zrekompensować zmartwienia - stwierdziła Suzanne.

Zaproponowały, żebym dawała Harry'emu lunch do szkoły i obiecały, że spróbują trzymać go z dala od Sloppy Joe, ulubionego szkolnego dania - hamburgera obłożonego mięsem po meksykańsku.

Parę tygodni później Suzanne przyszła do mnie, kiedy czekałam na Harry'ego i powiedziała, że Harry lepiej sobie radzi w grupie, a Mary - Ann powiadomiła, że częściej zabiera głos na lekcjach. Nie mogłam sobie wyobrazić, by którykolwiek z nauczycieli moich dzieci poświęcał tyle czasu i uwagi na zgłębianie psychiki swych uczniów i zrobiło to na mnie duże wrażenie. Obie, Suzanne i Mary - Ann, uznały poprawę Harry'ego za efekt rozmowy wychowawczynie z Laurą. Laura nie wspomniała mi o tym, ale stała się sympatyczniejsza w domu i zdawała się powoli rezygnować ze swej roli małej mamy.

Zastanawiam się, czy zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że Felicja już nie wróci do domu.

Często rozmawiała z matką przez telefon w tym czasie. Jednego wieczoru, przyszła do kuchni i powiedziała:

- Znudziło mi się zajmować Harrym. Jest wystarczająco duży, żeby się sam sobą opiekował.

- Jasne.

Otworzyła lodówkę, wyjęła z niej sałatę, zaczęła kroić pomidory i, patrząc na mnie przez ramię, rzekła:

- Przyjmowaliśmy ją jako coś oczywistego.

- Kogo, kochanie?

- Mamę. - Z zawziętością kroić pomidory. - Pozwalaliśmy, żeby wszystko robiła i w ogóle jej nie pomagaliśmy. Inaczej nie zostawiłaby nas, prawda?

Pomyślałam o mrożonych posiłkach, o nie posłanych łózkach, o Su Parsons i o sznurze samochodów dostawczych, a potem uważniej przyjrzałam się Laurze i zobaczyłam, że płacze.

- Z całą pewnością odeszła nie z waszej winy - zapewniłam ją i zmusiłam się, żeby dodać: - Sądzę, że mama lubiła pracować dla was, bo was kocha.

Felicja

Moje wspomnienia o panicznej ucieczce Kappermana przerywa powrót Sary i Emily ze szkoły. Jeżdżą teraz do St. Berengera i z powrotem niezwykle skomplikowanym systemem połączeń.

- Ta baba jest wstrętna - woła Sara. - Boże, jak ja jej nie cierpię.

- Kogo nie cierpisz, kochanie?
- Tej cholernej panny Davenport i jej cholernych czasów. Fel, czy muszę wybierać francuski. To takie nudy.
- Języki obce bardzo się przydają. Tata zmartwi się, jeśli zrezygnujesz z francuskiego.
- Od kiedy to weterynarzom potrzebny jest francuski?
- Założę się, że francuskim weterynarzom - odpowiada Emmy.
- Bardzo zabawne... poważnie, Fel, dlaczego nie mogę skoncentrować się na przedmiotach, które mi są naprawdę potrzebne.
- Kochanie, założmy, że poproszono cię o konsultację na torach wyścigowych pod Paryżem, których nazwy w tej chwili nie pamiętam. Czy nie przydałoby się wiedzieć, jak jest po francusku zapalenie pęciny?
- Masz na myśli ścięgno? Pani Davenport nie uczy nas takiego francuskiego, niczego pożytecznego. Il y a quelque jolies fleurs dans la jardin - recytuje wściekła wykrzywiając się. - Któregoś dnia powiem jej, gdzie ma położyć te swoje jolies fleurs.
- Nie śmieć się, Emmy, tylko ją prowokujesz... czy to nie jest le jardin?
- Kto tak sapie? Hej, czy Kitten może leżeć na twoim brzuchu? Czy nie zmiążdży naszego straszego braciszka?
- Nic nam nie będzie, nie denerwuj się.

W tej ciąży znałam poczucie głębokiego bezpieczeństwa, jakiego nie miałam ani przy Laurze, ani przy Harrym. Wtedy cały czas się niepokoiliam; teraz uświadamiam sobie, że Donald, w typowy dla wszystkich amerykańskich ojców sposób, był w dużej mierze odpowiedzialny za to, że przez dziewięć miesięcy myślałam o sobie jak o kredensie, w którym na rozklekotanej półce chwieje się niebezpiecznie waza dynastii Ming.

Kiedy tylko potwierdzono moją pierwszą ciążę, pobiegłam na miasto i kupiłam wszystkie fachowe książki, które wpadły mi w rękę. Wciągały mnie z nieodpartą mocą, jak książka "Czarownice z Salem" wciąga w wietrzny wieczór kobietę, która jest sama w domu. Kartkując obsesyjnie książki, zaczęłam wątpić, czy ciąża jest rzeczywiście naturalnym stanem. Po przeczytaniu opinii ekspertów miałam wrażenie, że poród został dopiero wynaleziony, a oni są właśnie w trakcie doskonalenia procesu narodzin.

Czy jadłam wystarczająco dużo szpinaku, dość protein? Nadmierna ilość alkoholu mogła być szkodliwa, przeczytałam i natychmiast poczułam wyrzuty sumienia z powodu kieliszka wina, który piłam codziennie do kolacji. Rezygnowałam z aspiryny, kiedy bolała mnie głowa i denerwowałam się, kiedy się przeziębiłam, czy to przypadkiem nie odra.

Donald cały czas denerwował się ze mną. Obserwował mnie z lękiem na przyjęciach ("Myślę, że Felicja nie powinna jeść krewetek w swoim stanie"). Poprosił ginekologa, żeby mu dał posłuchać przez stetoskop, jak bije serce dziecka, a potem powiedział, że jego zdaniem bije trochę za szybko. Pod koniec nie mogłam się odwrócić w łóżku bez włączenia światła i jego pomocy. Było dla nas wielką ulgą, kiedy Laura, a potem Harry przyszli na świat i okazało się, że wszystko jest w porządku; choć oczywiście Donald był rozczarowany, że musiałam mieć cesarskie cięcie. Oczekiwał, że będzie mi pomagał przy porodzie i wydawał polecenia pielęgniarce.

- Właśnie myślałam o dniu - powiedziałam do Sary - kiedy urodziła się Kitten. Nic dziwnego, że Larkspur przyszło to tak łatwo; nie spędziła ciąży na czytaniu o możliwych komplikacjach podczas porodu.

- Jesteś teraz dużo spokojniejsza niż wówczas. - Pewnie dzięki ciąży... to taki przyjemny stan.

Ale to nie tylko ciąża; jestem dziś całkiem inną osobą niż tamta defensywna, krucha kobieta, która przybyła tu dwa lata temu.

Przestałam denerwować się sprawami, które nie są ważne. Pani Simmons i ja staramy się, jak możemy, ale nie mam zamiaru zaharowywać się kosztem mojej urody i spokoju, jak robiła to Anna.

Poprzestałam na sporządzaniu listy rzeczy, które wymagają zrobienia. Trzeba wyprać zasłony w żółtym pokoju i naprawić balustradę na zakręcie schodów, która nie jest niebezpieczna, bo wszyscy o niej wiemy. Farba odłazi na zewnętrznej ramie okien w salonie i trzeba opielić stary ogród ziołowy. Nic pilnego, myślę leniwie, co nie może poczekać. Zrobimy to po narodzinach dziecka.

Również z gotowaniem się uspokołam. Wspominam ze zdumieniem i odrobiną wstydu moje różnorodne wysiłki kulinarne w Londynie; wygodne posiłki dla dzieci w mikrofalowej kuchence, przeplatane cotygodniowymi popisami wstrząsającego wirtuozerstwa.

Produkty z naszego ogrodu figurują obficie we wszystkich moich menu. Higgins, dzięki Bogu, poszedł sobie palić fajkę gdzie indziej. Zastąpiła go Chris, młoda absolwentka szkoły ogrodniczej, która dzieli swój czas między nas, Jenny i Manor.

Wykonuje mnóstwo roboty, głównie dlatego, że ją kocha. Jej jedyną wadą jest nadmierny entuzjazm.

- Czy zna pani ten okropny kawałek między wychodkiem a furtką do ogrodu warzywnego? - pyta. - Czy nie sądzi pani, że wspaniale by tam wyglądała dróżka wysadzana szczodrzeńcami?

- Cudowny pomysł. Jak długo potrwa, zanim wyrośnie?

- Och, zanim naprawdę będzie ładnie wyglądało, około dwudziestu lat.

- Nigdy tego nie zobaczę...

- Och, Felicjo, jest pani naprawdę śmieszna... to kosztowałoby grosze, gdybyśmy wyhodowały je same od nasionka i posadziły przy starej ceglanej ścieżce.

W zeszłym tygodniu chciała posiać rdest; w przyszłym zapewne przedstawi kosztowny projekt ogrodu bagiennego na tym wilgotnym skrawku ziemi nad strumieniem. Snucie planów z Chris nad kubkiem kawy jest jedną z największych przyjemności dnia. Nic dziwnego, że ogrodnicy żyją tak długo; przecież nie mogą umrzeć i nie zobaczyć roślin, które posiali.

Sara i Emily idą odrabiać lekcje, Emily z głośnym narzekaniem, jaka to nuda, a Sara wymądrzając się nieznośnie sposobem starszych sióstr, że niech poczeka, a dopiero zobaczy, co to jest nauka.

Sara, ta dziewczyna, która traktowała mnie kiedyś z chłodną wrogością, stała się moją najbliższą przyjaciółką. Dzisiejsze piętnastolatki wydają się o tyle doroślejsze niż my w ich wieku; nie ma rzeczy, których nie mogłabym jej powiedzieć, ani takich, mam nadzieję, z których ona nie mogłaby się zwierzyć mnie. A wszystko ma swój początek tamtego wieczoru, kiedy straciłam szansę na zostanie gwiazdą opery mydlanej...

Kiedy Antony wrócił po pożegnaniu się z Kappermanami i Solem, byliśmy wszyscy w kuchni. Pani Simmons krzątała się mówiąc:

- Nic już pani dziś nie będzie robić, pani Harman. Na pewno jest pani wykończona. Jutro rano posprzątam.

Dziewczynki, Mark i ja posprzątałyśmy w jadalni, ale kuchnia wyglądała jak pobożowisko.

- Dzieci do łóżek, już po dziesiątej, a jutro trzeba wstać do szkoły.

- A ty co będziesz robić, Felly? - spytała Emily.

- Naprawdę nie mogę zostawić takiego bałaganu pani Simmons... szybko się z tym uporam.

- Pomożemy ci - zaproponowała Sara. - I tak jestem za bardzo podekscytowana, żeby zasnąć. O, cześć, tato. Zdażyłeś, żeby nam pomóc, masz szczęście.

- Tato, tato - skamlała Emily - chodź do szczeniaków. Zobaczysz, którego wybraliśmy. Ona ma śliczną, białą...

- Po raz setny mówię, Emily, że nie zostanie tu żaden cholerny szczeniak. Idź do łóżka, proszę, chcę porozmawiać z Felicją.

- Nie możemy iść do łóżka - wyjaśniła rezolutnie Sara. - Obiecaliśmy Felly pomóc w sprzątaniu. A mama już dawno przyrzekła nam szczeniaka.

- Nigdy więcej nie chcę słyszeć słowa "szczeniak", czy to jasne? Niewiele brakuje, a wyjdę i utopię wszystkie. Przestań ryczeć, Emmy, wiesz, że nie to miałem na myśli. Ale naprawdę... zwabiam do domu najpopularniejszego reżysera telewizyjnego w Ameryce, z panem Forsą we własnej osobie, a ty uważasz za stosowne w ten sposób z nim rozmawiać. - Głos Antony'ego przechodzi w dyszkant. Zdaje się, że mnie naśladuje: - Może jeszcze kawałek łożyska, ty stary nudny jankesie?

- O, bzdura. Nic takiego nie powiedziałam, ja po prostu...

- Prawie. Było mi niedobrze. Myślę, że zdajesz sobie sprawę, że Sol Venture zadba o to, żebyś już nigdy nie dostała żadnej roli. Ci faceci potrafią być bardzo mściwi.

- Uspokój się i przestań myśleć takimi schematami. Jeśli chcesz wiedzieć, był zachwycony szczeniakami... powiedział, że...

- Chryste, czyś ty go tutaj przyprowadziła? Musiał pomyśleć, że jesteś obłąkana. I miał rację. Czy nie potrafisz nic zrobić właściwie, ty idiotko? Ty niczego nie traktujesz poważnie. Bawisz się w żonę, bawisz się w panią domu, nie nadajesz się na matkę, a teraz nie potrafisz zdobyć roli, którą ktoś ci wręcza w pudełku przepasanym różową wstążką.

Mark wyszedł z kuchni, a Emmy gramoliła się z płaczem na jedno z psich posłań. Sara starannie powiesiła ścierkę do naczyń, którą trzymała w ręce, podeszła do mnie i złożony w ręce oparła się o kredens. Nic wielkiego, dotykała mnie ledwie łokciem, ale mnie po raz trzeci już napłynęły łzy do oczu.

- Tak naprawdę źle to oceniasz, tato - powiedziała.

- Nie wtrącaj się, Sara, to nie twoja sprawa. Idź spać. - To moja sprawa. Zamknij się, zamknij się na chwilę i posłuchaj! Przyprowadziłeś tu Felicję, przez ciebie mama odeszła z domu. A teraz, kiedy dziś wieczorem próbowała nam pomóc... to moja wina, że wyszła z tej głupiej kolacji. Bałam się, że Larkspur umrze - głos jej się załamał. - Przeraziłam się, że coś się stanie. Potrzebowałam kogoś dorosłego, nie rozumiesz? A Felly była wspaniała. - Wybuchnęła płaczem, objęłam ją troskliwie ramieniem i podałam kawałek papierowego ręcznika. Obróciła się i płakała mi w obojczyk. Pomyślałam niedorzecznie, że musi uginać nogi w kolanach.

- Już dobrze - powiedziałam. - Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni. Tata naprawdę nie myśli tego, co powiedział, prawda Antony?

Antony mruknął coś, co przy odrobinie dobrej woli można by zinterpretować jako niepewną próbę odwrotu.

- I powiem ci coś jeszcze - dodała Sara, wydmuchując nos. - Mama Sola hoduje pekińczyki i on pomógł Larky urodzić jednego szczeniaka, i powiedział, że chciałby kiedyś pracować z Felly.

- Przez uprzejmość, jak sędzę.

- I powiedział, że tak naprawdę Kapperman nie miał zamiaru dać mi tej roli, że potwornie przeszkadza i że to może się skończyć kłapą.

- Muszę przyznać, że ten Morris był momentami nie do zniesienia - powiedział Antony wstrzemięźliwie.

- I jest strasznym kłamczuchem - rozległ się pogardliwy głos Emily.

- Zejdź z posłania psa, Emmy, a w ogóle to co ty sobie myślisz?

- Przypadkiem podniosłam słuchawkę, kiedy rozmawiał przez telefon z tym szoferem. Chciałam zadzwonić do Sandry w sprawie lekcji - dodała szybko. Sara uśmiechnęła się lekko. - I jego szofer powiedział, że bardzo przeprasza, że go niepokoi, sir, ale nie jest pewien, o której ma ich jutro zabrać. A Morris powiedział, że mniejsza o jutro, niech przyjeżdża zaraz i zabierze go z tego

przeklętego domu. Tak powiedział - zakończyła triumfalnie. - Nie było nic o telefonie z Londynu.

- Nie mogę powiedzieć, że mam mu za złe - odparł Antony.

- Och, bądź sprawiedliwy, kochanie. Gdyby nie był takim zarozumialcem, wydałoby się mu to raczej zabawne. Lady, jeśli chcesz wiedzieć, zachowała się bezbłędnie.

Emmy ośmielona faktem, że przestaliśmy krzyczeć na siebie, wzięła Antony'ego za rękę.

- Chodź zobaczysz szczeniaki, tatusiu. Larkspur może się poczuć urażona, jeśli nie przyjdiesz.

- Dobrze, Emmy. Ale nie chcę słyszeć o zatrzymaniu żadnego szczeniaka. To moje ostatnie słowo.

Potem Antony i ja leżeliśmy przytuleni do siebie po bardziej namiętnych chwilach niż kiedykolwiek przedtem.

- Co powiedziałaś w kuchni? - spytałam.

- Kochanie, wiesz, jaki jestem, kiedy przestaję panować nad sobą...

- Ale było w tym coś z prawdy - powiedziałam smętnie. - Ja naprawdę nigdy nie gotowałam porządnych obiadów dla moich dzieci, tak jak Anna. A dom, chociaż zawsze wyglądał pięknie, nie był prawdziwym domem. Dziwiłam się, dlaczego Anna ma takie zniszczone ręce... ale dzieci przynajmniej ją kochają - lamentowałam.

- Kochanie, co ty wygadujesz? Laura i Harry też cię kochają, przecież wiesz. I patrz, jak świetnie dajesz sobie radę z moimi. Sądziłem, że z Sarą nigdy się nie dogadasz.

- Antony, czy naprawdę nie rozmyślisz się co do szczeniaka? Tak okropnie namaciliśmy w ich życiu, osiagając to, czego chcieliśmy; szczeniak to naprawdę niewiele w porównaniu z tym.

- A więc mam się poddać?

- Kiedy te maleństwa rodziły się, Sara uścisnęła mnie.

Uważam, że mam obowiązek stworzyć dzieciom prawdziwy dom.

Około trzeciej nad ranem, wstałam i ukradkiem ruszyłam na dół, gdzie zaczęło się nowe życie. "Ktoś powinien sprawdzić, czy Larkspur dobrze się czuje" - pomyślałam sobie. Ale tak naprawdę chciałam popatrzeć na naszą małą suczkę. Jak mogłam się tego domyślić Sara była w komórce.

- Och Saro, będziesz jutro wykończona.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Czy nie są cudowne? - Patrzyła na mnie nieśmiało. - Czy zrobić ci kakao?

- Genialna myśl. I położmy sobie na wierzch górę bitej śmietany. Zostało mnóstwo z mojej wspaniałej kolacji.

Buchnęliśmy śmiechem, a Sara poszła zrobić kakao. Wypuściłam Larkspur, ale kiedy jeden ze szczeniaków zapiszczał przez sen, natychmiast wróciła wylękciona. Ma więcej instynktu macierzyńskiego niż ja, pomyślałam ze smutkiem.

Popijałyśmy kakao w napiętej ciszy. Miałam wiele do powiedzenia, ale nie wiedziałam, jak zacząć.

Z pewnością Sara czuła to samo. Podniosła jednego szczeniaka i powiedziała:

- Postanowiłam zostać weterynarzem, kiedy dorosnę. Sol był naprawdę wspaniały. Chciałabym umieć robić to samo. - Położyła szczeniaka z powrotem. Larkspur sprawdziła go troskliwie i zasnęła.

- To ciężka praca, wiesz... nie wszystkie szczeniaki, które się rodzą z pomocą...

- Ja to wszystko wiem, ale jestem mocna z biologii i przedmiotów ścisłych; Pani Harmsworth powiedziała, że powinnam pomyśleć o medycynie, ale ja wolę zwierzęta od ludzi.

- Masz na myśli, że zwierzęta nigdy cię nie zawiodą?

- Felly, czy pamiętasz tę awanturę, którą tata zrobił Markowi, kiedy zbił butelkę z mlekiem? Po tym jak się zachowywał, można było sądzić, że to butelka z benzyną. Ale kiedy mama zostawiła nas, a ty przyjechałaś, tata zachowywał się, jakby się nic nie stało... "Czy się już zaprzyjaźniliście?"... i wszystkie te głupoty. Czy ktokolwiek pomyślał, jak my się czujemy?

- Och, kochanie, cały czas. A uważasz, że jak ja się czułam wobec moich dzieci? I tak bardzo się starałam dogadać z tobą. Czy pamiętasz, jak mi pomagałaś przy tych przeklętych sadzonkach? Byłam taka szczęśliwa, kiedy wstałam na drugi dzień rano...

- Nienawidziłam cię tamtego ranka. Czułam, że niełojalnie postąpiłam wobec mamy, przykro mi. Problem polegał na tym, Felly - Sara postawiła swój kubek i patrzyła w okno - że cały czas cię lubiłam. Cały czas zastanawiałam się, dlaczego mama nigdy nie odwrzaska tacie, tak jak ty, a potem myślałam o biednej mamie w Londynie i nienawidziłam cię jeszcze bardziej.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, że tata i ja nigdy nie chcieliśmy, żeby się tak stało. Zakochaliśmy się w sobie, co zapewne nie było mądre; ale żadne z nas nie chciało zostawić swoich dzieci. Wszyscyśmy wpadli przez mojego pasierba. Donald i ja mieliśmy potworną scenę i potem... to było naprawdę jedyne miejsce, gdzie mogłam przyjść.

- Co będzie dalej?

Dziwiłam się, jak otwarcie można rozmawiać z tą inteligentną dziewczyną, która ma dopiero trzynaście lat. Zaryzykowałam:

- Pewnego dnia twój tata i ja będziemy chcieli się pobrać. Obawiam się, że to oznacza dwa rozwody.

Sara podniosła następnego szczeniaka, a kiedy Larkspur wstała i z niepokojem obserwowała ją, ukryła twarz w sierści zwierzęcia.

- Och, Larky - rzekła. - Nie mogę tego znieść. - Łzy lały jej się z oczu. - Felly, czy nie moglibyście po prostu zostać przyjaciółmi? Mogłybyśmy się nadal widywać. Londyn nie nadaje się dla mamy, rozumiesz, w ogóle. Co się z nią stanie jeśli... jeśli tata się z nią rozwiedzie?

- To może okazać się dla niej dobre na dłuższą metę. - Jak może się okazać dobre? - patrzyła na mnie przenikliwie. - Mówisz tak, bo byłoby ci wygodniej, gdyby tak się stało.

- Być może. Ale zaledwie po trzech miesiącach w tym domu jest dla mnie oczywiste, że Anna nigdy nie miała minuty dla siebie. Z tego, co mówi Antony, była ambitna i bardzo dobra w swoim zawodzie, kiedy się poznali. Potem ze wszystkiego zrezygnowała; jeśli chcesz znać moją szczerą opinię, wasza matka została stłamszona i nikt jej nawet nie doceniał.

Patrzyła na mnie niepewnie.

- Docenialiśmy ją.

- Jestem pewna, że czasem, kiedy o tym pomyślałaś, mówiłaś jej, jaka jest wspaniała. Ale może byłoby lepiej, gdybyście sami posłali łóżka, nie sądzisz? A czy kiedykolwiek zaproponowałaś: "Mamo, wyglądasz na zmęczoną, zrobię kolację?"

- Podle się czuję, kiedy tak mówisz.

- Niepotrzebnie; dzieci zawsze traktują pracę matki jako oczywistość, od tego jesteśmy.

Sara uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

- Ciebie nigdy tak nie traktowano, prawda?

- Nie, bo krzyczę i wściekam się, jak miałaś okazję zauważyć. Słuchaj, w przyszłym tygodniu zaczynają się ferie. Będziesz mogła spędzić je z matką w Londynie.

- Och, ale... nie mogę zostawić szczeniaków... Czy mama nie mogłaby przyjechać tutaj?

- Nie będzie chciała. Pomyśl, to byłoby dla niej koszmarem. A ja obiecuję opiekować się szczeniakami pod twoją nieobecność. No, chodźmy spać.

- Chyba pojedę na kilka dni. - Uklękła obok szczeniaków. - Och, tak strasznie bym chciała, żeby tata pozwolił nam zatrzymać jednego, to nie w porządku.

Jeszcze parę dni temu, żądna uznania, powiedziałabym: "Spokojnie, załatwimy to jakoś". Ale tej nocy byłam przekonana, że to Antony zasłużył sobie na wdzięczność za swoją wspaniałomyślność. Stojąc na szczycie schodów, Sara powiedziała szorstko:

- Chyba słyszałaś, jak cię opisałam tego wieczoru, kiedy tu przyjechałaś, to było przeznaczone dla ciebie.

- Tapeta na twarzy i paskudne londyńskie ciuchy, tak?

- Chodziło o to, Felly... Weszłam do biblioteki i pomyślałam: "Cholera, ale ładnie wygląda. Dlaczego mama nigdy się tak nie ubiera"?

- Rozumiem, Saro, doskonale rozumiem. Dobranoc, kochanie.

Nazajutrz rano, kiedy wszyscy byliśmy w kuchni, Antony oznajmił:

- Wczoraj wieczorem powiedziałem Felicji parę rzeczy, nieprawdziwych i nieprzyjemnych. Ale ona była tak miła i wybaczyła mi. Żeby to uczcić - dramatycznie zawiesił głos - myślę, że w tym domu przydałby się jeszcze jeden pies.

- Och, tato! - Sara rzuciła mu się na szyję, Mark klepnął go po plecach, a Emmy podskakiwała piszcząc. Siedziałam obok i patrzyłam rozpromieniona.

- Chciałbym - zwrócił się do mnie Antony - żeby moi klienci przyjmowali moje prezentacje z takim aplauzem. A teraz chodźcie pokazać mi, którego chcecie zatrzymać.

Rozmawiali o szczeniakach całą drogę do szkoły. Emmy pytała, dlaczego kobiety rodzą dzieci leżąc na plecach.

- Żeby doktorzy mężczyźni mogli im mówić, co mają robić - wyjaśniła Sara.

- Ja nie chcę lekarza mężczyzny - zapewniła Emmy.
- Będę miała lekarkę i będę kuciała tak jak Larkspur.
- Będziesz strasznie głupio wyglądać - powiedział Mark.
- Nie zobaczysz tego, głupku - odgryzła się Emmy, zgrabnie kończąc rozmowę w chwili, gdy zatrzymałam się przed szkołą Marka.
- Pewnie cię zainteresuje wiadomość - powiedziałam do Antony'ego po powrocie - że twoja młodsza córka zamierza rodzić swoje dzieci kucając.
- To brzmi całkiem rozsądnie. Dziś nic się nie dzieje Londynie, co wymagałoby mojej obecności, mogę zostać domu. - Wyciągnął rękę, a ja ją ujęłam. - Kochanie, między nami wszystko w porządku, prawda? Tak bardzo chcę, żeby...
- Wszystko będzie dobrze. Tak bardzo się cieszę z powodu Sary. Antony, nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale dziś w nocy...
- Wiem, powiedziałaś jej, że się pobierzemy. Pytała o to, kiedy oglądaliśmy szczeniaki. Myślę, że miałaś rację, to był dobry moment. Ale Bóg raczy wiedzieć, kiedy to się stanie, wygląda na to, że Donald i Anna nie zgodzą się tak łatwo.
- Kłopot w tym, że Sara nie bardzo chce jechać do Anny na ferie, to nam nie pomoże. Nie chce zostawić szczeniaków i jest tak bardzo związana z wsią.
- To po matce.
- Anna wcieliła się w typ żony, który ci wówczas odpowiadał. Myślę, że ona cię jeszcze zaskoczy.
- Przyjmie pewnie jakąś drobną pracę na jakiś czas. Najlepiej byłoby dla niej, gdyby poznała jakiegoś porządnego faceta i wyszła ponownie za mąż. Nam też by to ułatwiło.
- Co za cynizm. Nie była zbyt szczęśliwą żoną, harując tutaj, z mężem w Londynie, który życzył sobie, by bardziej dbała o ręce. Czy pamiętasz, jak po raz pierwszy zabrałeś mnie na kolację?... Przestań, kochanie, pani Simmons zaraz tu będzie... Powiedziałeś, że przyjemnie jest jeść z kimś, kto nie ma ziemi za paznokciami. A potem nagle zapytałeś, czy robię własny dżem, a kiedy powiedziałam, że po prostu go kupuję...
- Pomyślałem: "O Boże, ale sexy. Kupuje dżem, zamiast sterczeń godzinami w kuchni, gorliwie mieszając, wekując i nalepiając etykiety. Nigdy więcej nie chcę widzieć dżemu z nalepką: "Jeżyna. 1982".

To chyba nie był dobry moment, żeby mu powiedzieć, że właśnie kupiłam "Domowe przetwory" Rosamond Richardson; kartkując książkę znalazłam przepis na "Sok z owoców czarnego bzu", co brzmiało smakowicie i oczywiście nic nie kosztowało.

Anna

- Anno, Anno, przepłynąłem trzy długości. - Harry pada obok mnie na posadzkę przy basenie, ocierając twarz ręcznikiem w paski. Nabrał pewności siebie i schudł; to teraz inne, dużo bardziej radosne dziecko.

Przychodzimy tu prawie od roku. Na początku oboje byliśmy zrozpaczeni. Pływanie w moim wydaniu było równie nieskoordynowane, co taniec. Harry siedział godzinami dygocząc na brzegu basenu, otulony ręcznikiem.

Twierdził, że się boi wody, ale wiem, że bardziej obawiał się pokazać w kąpielówkach.

- Czy słyszałaś, Anno? Przepłynąłem trzy baseny.

- Okay, nie ma się czym chwalić. - Ja przepłynęłam tylko dwie długości do tej pory, ale nie mam zamiaru dać się pokonać dziewięciolatkowi. - Tylko poczekaj do środy, a zobaczysz. Właśnie odkryłam, jak oddychać przy kraulu. Nie zdziw się, jeśli przemknę co najmniej sześć razy tam i z powrotem.

- Ciekawe, kto tu się chwali. Anno, czy jutro po szkole mogę przyprowadzić Jacka do domu? Laura idzie do Sally, a Jack zdobył nową kasetę z Raidersami.

- Jasne że tak. Ale obiecaj, że odrobisz lekcje i dasz mi spokój.

Mam teraz tyle pracy, że nie mogę nadażyć; moja piękna sypialnia na Acacia Road pełni również rolę biura. Bob, Maddie i ja urządziliśmy poszczególne hotele "Delphic" w stylach różnych epok. Parę miesięcy temu McMahonowie powierzyli mi również reklamę. Szło dużo łatwiej niż sądziłam. Dziennikarze, jak się zorientowałam, nie chcą być zapraszani na drogie lunche, ani też otrzymywać elaboratów o moich klientach. Dogadzałam im ekskluzywnymi opowieściami o przyjęciach sławnych gości hoteli "Delphic", a oni w rewanżu, przedstawiali mnie innym małym spółkom potrzebującym obsługi prasowej.

Moja praca byłaby niemożliwa bez Su, która pracowała jak tajfun - szybko i sprawnie dzięki nowoczesnemu sprzętowi i ostremu

traktowaniu. Przyjęła na siebie obowiązki codziennego prowadzenia domu, a nawet organizację częstych przyjęć Donalda.

Mniej więcej dwa miesiące temu spostrzegła, jak próbuje jedną ręką napisać prasowe zatwierdzenie, drugą zaś utrzczyć pastę rybną, i zapytała, dlaczego traci czas na takie bzdury.

- Dlaczego pani po prostu tego nie kupi, Anno? Fel, zawsze, kiedy nie wyrabiała się z czasem, korzystała z wyrobów "Bute Catering".

- No, sama nie wiem. - Donald miał bzika na punkcie tych przyjęć. To była część jego pracy, nieodzowny warunek jego kariery zawodowej, więc srebra i kryształy musiały błyszczeć, a menu należało ułożyć dobrze i z fantazją: "Ten pomysł z pieczonym grapefrutem, Anno, nie powtarzaj tego, kochanie".

- Proszę mi to zostawić - powiedziała Su.

Nazajutrz wieczorem, kiedy ostatni gość wyszedł, Donald pocałował mnie czule i powiedział, że byłam wspaniała.

- Wiem, że się napracowałam, ale ci faceci wciąż się tułają po drogich restauracjach, oni naprawdę przepadają za domową kuchnią.

Nie wydało mi się ani konieczne, ani też roztropne wspominać o "Bute Company". Byli kosztowni, ale mogłam sobie teraz na to pozwolić. W zeszłym miesiącu zarobiłam ponad tysiąc funtów.

Na dzieci wyraźnie korzystnie wpływało to, co kiedyś uważałam za ich zaniedbywanie. Im bardziej byłam zajęta, tym bardziej stawały się zaradne. Harry nawet sam ściele łóżko metodą "wcisnąć wszystko razem".

W dniu, kiedy przyszedł z drukarni folder Centrum Konferencyjnego w Tadworth Castle - mój pierwszy samodzielny wyczyn - Laura zapukała do moich drzwi.

- Pomyślałam, że możesz mieć ochotę na filiżankę herbaty. Hej, Anno, co to?

- Folder. Zrobiłam go dla Maddie i Boba McMahonów, tych przyjaciół taty, którzy mają hotele.

- Ty to zrobiłaś? - Laura przeglądała folder z podziwem, zaczynając od końca, jak zauważyłam zirytowana. Dlaczego ludzie zawsze czytają takie rzeczy od końca, skoro są przeznaczone do czytania od początku. - Co to znaczy, że zrobiłaś go?

- Napisałam tekst i wybrałam zdjęcia, ktoś inny opracował całość graficznie.

- Hej - powiedziała Laura. - Będę redaktorem graficznym, kiedy skończę szkołę. Artystą grafikiem. Może przyjdę do ciebie pracować.

- To wspaniale - powiedziałam szczerze. Ostatnio miałam znacznie lepsze stosunki z tymi dziećmi niż z trójką moich własnych. Przyjeżdżały do mnie często, oczywiście, ale te spotkania były sztuczne, inne niż gdybyśmy razem mieszkali. Z każdą wizytą łączy się tyle skomplikowanych uzgodnień, a oni zawsze starają się zapomnieć o czymś, co jest im absolutnie niezbędne do szkoły w czwartek.

Felicja i ja opracowałyśmy skomplikowany system wymiany, przywożenia i odwożenia, i przy tej okazji nastąpił mój pierwszy powrót do White Walls. Pojechałam po dzieci. Sądziłam, że zastanę dom zmieniony nie do poznania, urządzone na wzór domu na Aciacia Road, ale wyglądał tylko gorzej, jakby wymagał gruntownego sprzątnięcia.

Czasem umawiałyśmy się w hotelu, i tam się wymieniałyśmy dziećmi. Pewnego razu Em zelektryzowała gości w foyer hotelowym, pytając:

- Mamo, czy kiedy będziesz wychodzić za Donalda, będę mogła zostać twoją druhną?

Felicja ostro na mnie spojrzała, kiedy odparłam stanowczo:

- Ja nie wyjdę za Donalda, kochanie.

Em mówi ostatnio dużo narwanych rzeczy. Jej spryt wydaje mi się czasem wyrachowany - pewnie widzę to, bo mało z nią przebywam. Biedna, mała Em. Mam nadzieję, że to nie objaw braku poczucia bezpieczeństwa... zespół rozbitego domu. Bardziej prawdopodobnie, że jest po prostu w takim wieku lub, że Felicja starając się traktować Sarę jak dorosłą osobę, pozostawia Emily rolę małego dziecka w rodzinie.

Laura i Harry byli początkowo nieznośnie zazdrośni o swoje rzeczy.

- Nie pozwalaj Markowi dotykać moich samolotów - mówił Harry odjeżdżając z matką, a Laura pewnego razu skarżyła się:

- Oni używali mojej pasty do zębów.

Donald nie jest lepszy. Tak jakby nie dostrzegał żadnych wad w swoich dzieciach, w moich zaś - żadnych zalet.

- Czy nie przydałoby się, żeby ta dziewczyna (Sara) umyła włosy? Wyglądają niechlujnie. Co się dzieje z tym dzieckiem (Emily),

że nie tyka makaronu. Wszystkie dzieci uwielbiają makaron. Dlaczego ten chłopiec (Mark) jest taki ruchliwy, czy nikt go nigdy nie nauczył siedzieć i czytać książkę?

Zauważyłam natomiast, że je aprobuję, kiedy wszystkie dzieci są razem i moje wymyślają zabawy. Dziewczynki spędzają cały dzień na przymierzaniu ubrań, a Mark uczy Harry'ego kopać piłkę. Choć Donald nie ma najmniejszej ochoty baraszkować z Harrym w Rosent's Park, kiedy obaj chłopcy wychodzą, ma tragiczną minę ojca wykluczonego z zabawy.

- Mark ma nos ojca - powiada, dając do zrozumienia, jak przykrą rzeczą jest mieć w swoim domu małego chłopca, który przypomina mu o kochanku jego żony.

Jak się tego obawiałam, biały wystrój domu na Acacia Road jest zbyt ryzykownym tłem dla moich dzieci nawykłych do swobody; spędziłam cały wieczór uparcie siedząc na jednej z białych kanap, na którą Mark rozlał trochę kakao.

- Głupi idiota - powiedziała Su następnego dnia szorując solidnie płamę. Pomyślałam, że mówi o Marku, ale chodziło o Donalda. - Czy on nie rozumie, że to tylko dzieci?

Przygotowuję coś smacznego i zabieram ich na wycieczki, kiedy są u mnie, ale rezygnuję z wychodzenia na zakupy, czym Felicja przekupuje Laurę i Harry'ego, kiedy przyjeżdża do Londynu.

- Nie można kupić miłości dziecka - mówię z zadowoloną miną do Donalda, ale wiem aż za dobrze, że nie mogę dać swoim dzieciom tego, co jest mi naprawdę potrzebne. Zwykłego życia rodzinnego, które niegdyś miały w White Walls.

Najgorsze było Boże Narodzenie. Tak wiele zaplanowałam. Pasterkę u Św. Pawła, bilety na pantomimę w Palladium, oglądanie oświetlonych wystaw na Campden Square. Tymczasem Sara zapytała nieśmiało:

- Mamo, czy miałabyś coś przeciwko temu... ? - tłumaczyła, że nie chcę zostawić Kitten (co za absurdalne imię dla psa) i że Em bardzo chce pójść oglądać krowy.

- Krowy?

- No wiesz, mamo, krowy.

Kiedy się poznaliśmy, Antony przeczytał mi wiersz Thomasa Hardy'ego o istniejącej w Wessex tradycji oglądania krów w wigilię Bożego Narodzenia, które podobno klękają na cześć narodzin

Chrystusa. Pomyślałam, że to wspaniały pomysł i kiedy dzieci podrosły, stało się to również naszą tradycją.

Przypomniałam sobie, jak wiele lat temu, Em, chwytając mnie za rękę wyszeptała z przejęciem: "Och, mammo, ona klęka... naprawdę", kiedy jedna z krów pana Parkera podnosiła się, obserwując nas uparcie, bez wątplenia zdziwiona zamieszaniem.

Nawet będąc starym człowiekiem, pisał Hardy, idę popatrzeć na bydełko, w nadziei, że to prawda. Moja mała Em pewnie czuła coś podobnego, a w St. John's Wood nie było krów. Wyobraziłam sobie, jak dzielę z matką indyka oglądając w telewizji stare filmy.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu - zapewniłam. - Będę mogła spędzić wigilię z babcią.

A jednak miałam. Miałam jak cholera. I wiedziałam, czyja to wina.

Pokonałam drogę w dwie godziny, dokładnie powtarzając sobie w myśli wszystkie mądre rzeczy, które powiem Felicji i głupie, bezmyślne, podłe, które powie ona. Kiedy dotarłam na miejsce kipiałam z furii. A jej, oczywiście, nie było. Szukałam sznurka do dzwonka, który był chyba urwany, kiedy pojawiła się pani Simmons.

- Och, kochana pani Forester - Jones. Nie może być! Jej miły głos na domiar rozsadzającej mnie furii - tego było już za wiele. Pociągnęłam nosem i zaczęłam bezmyślnie manipulować chusteczką, ale nie umiałam ukryć łez. Pani Simmons udawała, że ich nie widzi.

- Właśnie idę zrobić herbatę, może napije się pani ze mną. Pani Harman jest na dole w ogrodzie.

Zdaje się, że do niej pani przyjechała, bo dzieci są w szkole, a pan Forester - Jones w biurze. Kiwnęłam głową i ruszyłam za nią do dobrze znanej mi kuchni. Nawet przez łzy zauważyłam, że panował w niej bałagan. Za moich czasów blaty nie były zastawione skrzynkami, a po podłodze nie walały się psie piłki i poduszki.

Wokół mnie biegał malutki szczeniak, zostawiając po sobie z podniecenia małe kałuże.

- To Kitten - poinformowała pani Simmons. - Sara go uwielbia.

To tylko podsyciło moje łzy. Pani Simmons zaczęła się taktownie krzątać - postawiła czajnik i przygotowała kubki. Wyraziła nadzieję, że dbam o siebie, bo bardzo schudłam, ale wyglądam elegancko, tak elegancko, że ledwie mnie poznała.

- Pani Simmons...

- Tak, kochanie?

- Czy dzieci w porządku? - Nie miałam zamiaru o to pytać, nie uświadamiałam sobie, nim to powiedziałam, że tak naprawdę przyjechałam tylko po to, żeby się dowiedzieć o dzieci.

- Świetnie, jak ryby w wodzie. Byłam tak bardzo wzburzona, kiedy pani... kiedy pani odeszła... a poza tym pani Harman, wydawała mi się taka miejska, jeśli rozumie pani, co mam na myśli, nie mogłam sobie jej wyobrazić mieszkającej tutaj. Byłam gotowa odejść w pierwszym tygodniu, a potem pomyślałam: "Thelma, ktoś musi pilnować dzieci".

Tyle lat minęło, a ja nie wiedziałam, że pani Simmons ma na imię Thelma. Jak ładnie ze strony Thelmy Simmons, że została tu, przez co znalazła się w kłopotliwej sytuacji, dla dobra moich dzieci.

- Ładnie z pani strony, pani Simmons. Machnęła ręką.

- Och, nic takiego, pani Forester - Jones. Zresztą niepotrzebnie się martwiłam. Pani Harman traktuje je jak własne.

Spojrzała na mnie nerwowo, niepewna, czy właśnie to chciałam usłyszeć. Oczywiście chciałam, żeby moje dzieci były szczęśliwe i miały dobrą opiekę, ale miałam trudności ze zrewidowaniem wyobrażeń o Felicji, tej wrednej dziwki, która ukradła mi męża, odciągała ode mnie dzieci i zagmatwała moje życie.

Do kuchni weszła Felicja.

- Pani Simmons, czy to pani? Wydawało mi się, że słyszę głosy... och, Anna, Anno?

Zdjęła z rąk ogrodowe rękawice, odłożyła sekator na kredens i odwróciła się do mnie. Wyglądała inaczej niż wtedy, kiedy spotkałyśmy się przy okazji podwożenia dzieci. Miała na sobie przybrudzone spodnie sztruksowe i sweter Antony'ego, stary sweter z wielbłądziej wełny, w którym było tak ciepło i wygodnie.

- Anno... czy coś się stało? Dzieci? Wszystko w porządku?

- Tak, tak. Są w szkole. Tak, ja... chciałabym z panią porozmawiać, Felicjo.

- No to ja biorę się do roboty - powiedziała pani Simmons. - Dziś podłogi na górze, tak, pani Harman?

- Dziękuję, pani Simmons. - Felicja naląła do kubków herbatę. - Weźmy herbatę i chodźmy usiąść wygodniej.

Ruszyła w stronę biblioteki, usiadła w jednym ze skórzanych foteli, a ja w drugim. O Boże, jak tam było zimno. Już miałam przysunąć fotel bliżej ognia, gdy Felicja zawołała:

- Proszę nie przesuwaj fotela. A ja w tej samej chwili:
- Och, zupełnie zapomniałam.

Obie zaczęłyśmy się śmiać, speszone, a Ladysmith podniosła się powoli z dywanika przed kominkiem, podeszła chwiejnie do mnie i położyła łeb na moich stopach na znak rozpoznania.

- Biedna stara psina, biedna stara Lady - szeptałam.
- O czym chciała pani ze mną porozmawiać, Anno? Zapaliłam papierosa. Potrzebowałam trochę czasu do namysłu, aby przypomnieć sobie te wszystkie miażdżące słowa, które sobie powtarzałam w samochodzie. Ale patrząc na skromną, pospolitą kobietę siedzącą naprzeciw mnie, w moim salonie, nie wydawały mi się już odpowiednie.

- Tak naprawdę przyjechałam, żeby powiedzieć, że pani nienawidzę...

Felicja wpatrywała się w kubek.

- Tak, mogę to zrozumieć.
- Ale - ciągnęłam ostrożnie - ale teraz już nie. Opowiedziałam jej, jak samotna czuję się w Londynie bez Sary, Emmy i Marka, że uważałam, że ona umyślnie izoluje Sarę ode mnie i o nie udanych planach na święta Bożego Narodzenia.

Felicja odpowiedziała:

- Och, Anno, bardzo mi przykro - dodając natychmiast, że rozumie, że "przykro" to naprawdę nieodpowiednie słowo, ale wie, co mam na myśli, ponieważ ona to samo odczuwa wobec swoich dzieci.
- Laura wciąż mówi, jaka jest pani zdolna, jak świetnie pani gotuje, gdzie razem chodzicie. No i oczywiście Harry... jak mogłam nie wiedzieć, w czym problem? Że potrzebował specjalnej diety?

- A ja nie umiałam dać sobie rady z problemem Em.

Ta szczerza rozmowa, która w niczym nie przypominała wcześniej ułożonego scenariusza, uświadomiła mi, że czasem łatwiej poradzić sobie z obcymi dziećmi niż z własnymi, i mnóstwo innych spraw, również irytujący zwyczaj Antony'ego ucieczki w przeczuciu wszelkich dramatów domowych - nim nastąpił, był już na M3, w połowie drogi do Londynu.

Zapytała, czy zjem z nią lunch, a kiedy powiedziałam, że nie mogłabym przełknąć nawet listka sałaty, wyjęła butelkę wina i dwa kieliszki. Mniej więcej w trzech czwartych butelki, zapytała, dlaczego nie zgadzam się na rozwód, a ja wyjaśniłam, że nie chcę niczego formalizować, bo mam nadzieję... Donald i ja mamy nadzieję... że ona i Antony mogą się jeszcze rozmyślić.

Patrząc na mnie ostrożnie znad kieliszka, Felicja mówi:

- Nie, Anno. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wiem, że Antony jest strasznym egoistą. Znam wszystkie jego wady, ale kocham go. Doskonale do siebie pasujemy.

Zastanawiałam się, dlaczego tak trudno mi w to uwierzyć i nagle dotarło do mnie z całą jasnością, że dlatego, iż ja nie chciałam już mieszkać w tym chłodnym domu; że wścibska Jenny Belfour w sąsiedztwie i cotygodniowym stołowaniem męża. Co więcej, nie mogłam zrozumieć, że to wszystko odpowiada tak inteligentnej kobiecie jak Felicja Harman.

- A Donald? - powiedziałam - Donald chce, żebyś wróciła.

Felicja potrząsnęła głową.

- Nie, wcale nie chce. Donald potrzebuje ozdoby dla swego wytwornego domu, atrakcyjnej pani domu za stołem, która potwierdzałaby jego dobry gust. - Spojrzała na mój kostium od Armaniego, który włożyłam dziś rano, żeby z nią stoczyć walkę. - Myślę, Anno, że kogoś takiego jak ty...

Wiedziałam, że spodziewa się zwierzeń, że wyjawię, co mnie łączy z Donaldem, ale kiedy uparcie milczałam, ciągnęła zmieszana:

- Prawie nie sypialiśmy ze sobą... Donald miał kłopoty... po tym okropnym wypadku Harry'ego.

Pytanie o okropny wypadek Harry'ego mogło się wydać natrętne; poza tym w tej chwili byłam pod wrażeniem faktu, że Donald Harman miał łóżkowe kłopoty z Felicją i absolutnie żadnych ze mną.

Wpatrywałam się zamyślona w szklanekę z winem w oczekiwaniu, że Felicja powie coś więcej, ale milczała drapiąc za uchem Ladysmith. Zobaczyłam, że płacze i powiedziałam:

- O Boże, jakie to wszystko pogmatwane. Felicja pociągnęła nosem.

- Możesz przyjechać do nas na wigilię, wiesz o tym. Podziękowałam i powiedziałam, że nie sędzę, by Antony tak sobie wyobrażał dobry nastrój świąteczny. Kiedy wychodziłam,

zauważyłam moją starą znoszoną kurtkę na wieszaku. Felicja spojrzała ze skrucą.

- Och, Anno, mam nadzieję, że nie przeszkadza ci.

- Co takiego?

- Kurtka puchowa. Pożyczyłam ją sobie. Jest taka praktyczna.

- Skądże znowu. Miałam ci właśnie zaproponować, żebyś ją wyrzuciła. - Wyobraziłam sobie, jak się pojawiam w "Delphicu" lub idę do teatru z Donaldem w takim łażu. - Nie jest mi już potrzebna.

Felicja wyglądała na niedorzecznie zadowoloną.

- Naprawdę? To świetnie. Próbowałam kupić sobie taką kurtkę, ale są dużo ładniejsze, kiedy się je trochę podniszczy - prawda?

- Tak, chyba tak. - Patrzyłam na kurtkę bez przekonania. - Czym mogę się zrewanżować? Wiem. Mam suknię od Josepha, czarna z granatowymi pasami. Spodoba ci się.

- Pojechałaś spotkać się z Felicją? - Donald patrzył na mnie z niedowierzaniem. - Na litość boską, Anno! Po co? - On i Antony, zdaje się uważali to za kwestionowanie ich męskości, jeśli kobiety nie wyrywały sobie nawzajem z zazdrości włosów i nie wydrapywały oczu.

Wyjaśniłam, jak się czułam z powodu świąt.

- Tobie dobrze, Donaldzie, będziesz z Tomem w Nowym Jorku, ale to moje pierwsze Boże Narodzenie bez dzieci.

Powiedziałam również, że Felicja i Antony są zdecydowani pobrać się i nie widzę żadnego sensu w dalszym zwlekaniu z rozwodem.

- No nie, Felicja jest naprawdę inteligentna. Po prostu cię przekabaciła.

- Nie, nie, to nie Felicja. - Opowiedziałam mu, jak wracając do Londynu, zdecydowałam, że cokolwiek się stanie, nigdy nie wrócę do Antony'ego i mojego dawnego życia w White Walls. Jednakże w głębi duszy przyznawałam Donaldowi rację. Dałam Felicji wszystko, czego chciała - obietnicę rozwodu i spokojnych świąt - w zamian za czarną suknię. Ale zapewniłam Donalda, że nigdy nie czułam się bardziej szczęśliwa.

- Cieszę się, kochanie. - Sądził, że to on jest przyczyną mojej nowej szczęśliwości i, w pewnym sensie miał rację. Po tym jak przez lata byłam traktowana jak mebel, sprawiało mi przyjemność jego pożądanie.

Ale tym, co naprawdę kochałam, była moja praca.

Felicja

"Galaretka z morwy, 1985" - piszę starannie na małej etykietce. Miałam niewiele pracy dziś rano, więc wyjęłam trochę morwy, którą zamroziłyśmy tej jesieni i zrobiłam cztery funty wspaniałej ciemnoczerwonej galaretki. Podziwiam z dumą półkę w spiżarni, gdzie morwa pięknie się prezentuje obok złocistego dżemu morelowego.

Kiedy moi znajomi przyjeżdżają z Londynu, pogwizdują z zazdrości:

- Tyle znakomitych przetworów... twój własny ocet malinowy... jak ty to robisz?

- Bardzo prosto, wsypuję trochę malin do butelki z octem - odpowiadam z zapałem.

- I wyglądasz wspaniale - mówią wszyscy. Wyglądam rzeczywiście dobrze. Felicja ze wsi jest innym, dużo bardziej wartościowym egzemplarzem dawnej londyńskiej Felicji.

Po pierwsze - utyłam. To zrozumiałe, jestem przecież w piątym miesiącu ciąży. Ale nawet przedtem, zanim zaszłam w ciążę, ważyłam ponad sto dwadzieścia funtów. Trzy lata temu byłam bliska histerii, kiedy po wakacjach we Włoszech strzałka wagi przekroczyła sto dziesięć funtów. W tej chwili nawet nie pamiętam, dlaczego szczupła figura była tak ważna. Zdaje się, że ubranie leżało ładniej. Co za bzdura.

Prawie się teraz nie maluję, chyba że gdzieś wychodzimy, a moja cera jest dużo ładniejsza. Zrezygnowałam ze wszystkich kosztownych amerykańskich mazideł, bez których, wydawało mi się, moja skóra zginie. Tymczasem kremy, które nie pochodzą z "Body Shop" lub "Beauty without Cruelty", są równie dobre i w dodatku tańsze. Nadal czeszę się u Roberta w Londynie, to mi przypomina, że muszę się umówić na przyszłą środę rano przed lunchem z Anną.

Nie mam zamiaru pojawić się przed tą damą z niechlujną fryzurą. Anna bardzo schudła, przynajmniej dwa razy tyle, co ja utyłam. Ona też chodzi do Roberta; ostrzygła się na krótko, bardzo w stylu: "Znam swoją wartość, więc żadnego nieładu". Ma też jakby dłuższą szyję (częściowo dlatego, że przestała wciągać ją przepraszająco w

ramiona) i Bóg raczy wiedzieć, ile wydaje na stroje. Wiem, oczywiście: tyle ile ja kiedyś wydawałam.

I jeszcze jedno. Teraz pójdę na górę i położę krem odżywczy na tym, co jeszcze pozostało z moich paznokci. Kiedy ostatni raz widziałam Annę, jej ręce wyglądały tak jakby ich jedynym zajęciem było pieszczenie mężczyzny.

Myślę jednak, że dam spokój moim paznokciom do jutra. Dziecko znów się porusza, całkiem energicznie. Będę sobie leżeć i uśmiechać się do niego.

Anna

Bob i Maddie poprosili, żebym przyszła na zebranie jutro o trzeciej. - Przepraszam, że tak późno cię zawiadamiam, ale czym prędzej chcemy to omówić.

Nim zdążyłam zapytać, co takiego chcą czym prędzej omówić, Maddie odłożyła słuchawkę.

Kiedy weszłam do sali konferencyjnej, Maddie, Bob i paru członków zarządu, których już poznałam, siedzieli tam z przerażająco poważnymi twarzami. Czy zrobiłam jakieś błędy w folderach Tadwortha lub nieprawidłowo wyceniłam listę nazwisk dla kompleksu Fairland Hall. Ale to zbyt błahy powód na zwoływanie zarządu. Prawdopodobnie skrytykują slogan, który wydrukowałam na wszystkich materiałach informacyjnych, co bardzo drogo kosztowało. Byłabym gotowa walczyć. Wiedziałam, że slogan jest dobry.

- Zebraliśmy się, żeby omówić sprawy reklamy - zabiera głos Bob. - No tak, to koniec. (Agencje reklamowe mają swoją własną obsługę prasową.) Ale Bob mówi dalej, że firma tak świetnie prosperuje, że może sobie pozwolić na reinwestowanie części zysków na rozwój. Pieniądze przeznaczą na reklamę w najlepszych gazetach i czasopismach, biorą nawet pod uwagę ekskluzywne filmy reklamowe i chcą, żebym ja się tym zajęła.

- To w końcu naturalny efekt twojej znakomitej pracy nad naszymi publikacjami i tworzeniem dobrej opinii firmy... - uśmiecha się do mnie z zachętą. - Co ty na to, Anno?

Gdybym powiedziała, co naprawdę czuję, przypomniałoby to radość dziecka w okresie świąt Bożego Narodzenia, więc tylko wybąkałam coś o wdzięczności za nową szansę i wzruszające zaufanie. Nie jestem w stanie zorientować się w dalszych dyskusjach

na temat "poniżej i powyżej kosztów", ale uświadamiam sobie, że przecież mogę kogoś poprosić o wyjaśnienie niezbędnych rzeczy - na początek, żeby mi wytłumaczył, co znaczy "ponyżej i poniżej kosztów".

Podczas lunchu Maddie mówi:

- Wiemy, że miałaś propozycje z paru innych firm, między innymi dlatego oferujemy ci tę pracę, bardzo chcemy zatrzymać cię w "Delphicu".

Zapewniam ją, że lojalność wobec "Delphica" jest dla mnie najważniejsza.

- Cieszę się - mówi Maddie. - Bob i ja zastanawialiśmy się...

Na pewno poprosi o jakąś przysługę. Zrobię wszystko... zawdzięczam im tak wiele.

- Nad czym?

- Zastanawialiśmy się z Bobem, czy któregoś dnia nie będziesz chciała założyć własnej spółki.

- Daj spokój, Maddie - odpowiadam ze zdumieniem - jeszcze parę godzin temu nawet nie marzyłam o prowadzeniu kampanii reklamowej.

Maddie uśmiecha się.

- Wiem, że jeszcze za wcześnie na to, ale wciąż będziesz zdobywać doświadczenie, nawiązywać nowe kontakty i poza tym masz dryg do tej pracy. Jeśli ta kampania powiedzie się, Bob i ja moglibyśmy być zainteresowani w wyłożeniu kapitału założycielskiego firmy Anna Browning Company.

O pierwszej w nocy leżę w łóżku, wpatrując się z niewzruszonym uporem w pajęczynę w rogu pokoju. Nie mogę tego zrobić, nie rozumiem nawet ich żargonu... O drugiej w nocy wiem, że jedyną sensowną rzeczą jest zadzwonić rano do Maddie i powiedzieć, że strasznie mi przykro, ale... O trzeciej nad ranem wstaję, parzę kawę i karzę siebie ostro: Jeśli oni sądzą, że możesz... w końcu to ich pieniądze. O czwartej nad ranem, żalując, że wypaliłam trzy papierosy, wracam do łóżka i kiedy już zaczynam zasypiać, przypomina mi się Sol Venture. znajomy Felicji. Zastanawiam się, czy nie jest za wielki do reklamówek telewizyjnych. Co za szczęście, że mam jutro (o Boże - dzisiaj) lunch z Felicją; będę mogła poprosić ją o informacje i zapytać, czy nie zajmie się dziećmi w czasie świąt Wielkanocnych.

Felicja

Anna zaproponowała, żebyśmy się spotkały w "The Caprice". Kiedy wchodzę, uderza mnie, że wszyscy wyglądają gwałtownie i dziwnie szybko się poruszają. Sądzę, że dwa lata temu strzelałabym oczami w poszukiwaniu twarzy, które powinnam pamiętać lub tych, które powinny pamiętać mnie. Chyba nikogo tu nie znam.

Sol Venture i ja spostrzegamy siebie w tym samym momencie.

Sol! Ty perfidna małpo... dlaczego nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz?

- Sam nie wiedziałem, kochanie, do wczoraj. Czy to może było dziś rano? Z tą różnicą czasu zupełny zamęt. Miałem zamiar zadzwonić do ciebie wieczorem. Czy nie jesteśmy piękni i wspaniali? Och, Felly, wyglądasz na taką szczęśliwą.

- Bo jestem, nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo. Może przyjedziesz do nas na noc?

- Jutro niestety wracam, mam tyle spraw. Pewnie słyszałaś o "Wiecznym szukaniu"? Sol uśmiecha się zjadliwie.

"Wieczne szukanie" to straszny, wymyślony przez Kapermana, tytuł tego tasiemcowego serialu, w którym miałam szansę zagrać. Sol zrezygnował z pracy nad nim niedługo po tym nieszczęsnym przyjęciu. Zadzwonił żeby mi wszystko opowiedzieć.

- To wariat, Felly. On nie rozumie, dlaczego Beau Brummel nie może spotkać Lily Langtry w Cowes... wciąż mówi o licencji artysty, kochanie, nie ma żadnego pojęcia o historii. Więc, kiedy powiedział, czy nie byłoby wspaniale, gdyby Karol Dickens poszedł na dno wraz z "Titanikiem"... no, możesz sobie wyobrazić, powiedziałem: "Żegnaj Morris, miło było cię poznać". Jak pieski?

- Wspaniale, dziękuję. A kto będzie na tyle szalony, żeby się tego podjąć.

- Och, podobno nie widać końca kolejki, tyle forsy, rozumiesz? On wybierze najgorszego, daję ci na to słowo.

(Jakiś czas potem dowiedziałam się, z pewnym rozbawieniem, że "Wieczne szukanie" zostało zdjęte po dwóch odcinkach. Zyskując szydercze recenzje i nie przynosząc żadnego zysku. Wytknęłam to wszystko Antony'emu z jadowitym uśmiechem.)

Mam właśnie zamiar wdać się w przyjemne plotki o poczynaniach Morrisa, kiedy w wejściu dostrzegam Annę. Prawie wszyscy na sali też ją dostrzegają.

Ma na sobie tę suknię od Josepha Tricota. Uniwersalną, boską, zawsze modną, wygląda w niej świetnie. Teraz bym się w nią nawet nie wcisnęła, myślę bez przykrości.

Anno, jak się masz. To mój dawny przyjaciel, Sol Venture ze Stanów. Wpadł na mniej więcej dziesięć minut, jak się zdążyłam zorientować. Sol, to Anna Browning, eks - żona mojego męża.

- Cześć Anno. To nadzwyczajne, ma pani na sobie prawie taką samą sukienkę, jak Felicja, kiedy ją poznałem dwa lata temu.

Śmiejemy się obie i mówię:

- Dokładnie tę samą, okazało się, że dużo lepiej leży na Annie, więc zamieniłam ją na jej kurtkę puchową. Właśnie pastwiliśmy się nad "Wiecznym szukaniem". Wiesz, to ten film, w którym mogłam zagrać.

Twarz Anny przybrała wyraz znawcy.

- Oczywiście, kiedy tylko usłyszałam, że ma go reżyserować David Sarke... czy to prawda, Sol, że dźwiękowiec rzucił się na niego z nożem?

- Niezupełnie, słyszałem, że...

I pograżyli się w pogawędce, jakim niegdyś ja też często się oddawałam. Słuchałam ich z wielką przyjemnością i bez większego zainteresowania. Wreszcie Sol mówi:

- Nie wiedziałem, że pani pracuje w telewizji. Felicja nigdy mi nie mówiła...

- Właściwie to nie pracuję w telewizji. Zaczęłam od materiałów konferencyjnych, coś w tym rodzaju, teraz mam się zająć obsługą prasową i telewizyjną... szczerze mówiąc, tak dużo jest nędznej reklamy...

- Podpisuję się pod tym obiema rękami. Anna patrzy z wyrachowaniem na Sola.

- To naprawdę niezwykły przypadek spotkać pana, coś się u nas kroi, co być może... Na jak długo pan przyjechał? Czy moglibyśmy się spotkać?

Anna wyciąga kalendarz, Sol także. Zachowują się, myślę z czułością, jakby odprawiali jakieś obrzędy.

- Niestety jutro wracam, a może pani będzie w Stanach?

- W Nowym Jorku, przed Wielkanocą. Nic mnie nie powstrzyma, żeby nie wpaść na zachodnie wybrzeże.

- Z wyjątkiem - dodaję praktycznie - dzieci, które masz na święta.

- Ach, prawda, Felicjo. Między innymi dlatego chciałam się z tobą spotkać.

- Muszę iść. Ktoś na mnie czeka - mówi Sol. - Zadzwoń do ciebie wieczorem, Felly. Niech pani się ze mną skontaktuje, kiedy będzie pani już znała termin przyjazdu. Spotkamy się w Los Angeles. Bardzo się cieszę... Czy mógłbym poprosić panią o pewną przysługę. Potrzebuję drugiego kalendarza z notesem, a ceny u nas są astronomiczne. Nie zdążę już dzisiaj, więc może pani mogłaby... czarny świetnie nadaje się do biura, ale do domu wolałbym w kolorze czerwonego wina.

- Ależ oczywiście - odpowiada Anna. - Będę miała pretekst, żeby wpaść do tego sklepu, czuję się tam jak w raju.

Kiedy zostajemy same (Jedno niecierpliwe spojrzenie Anny, a kelnerka staje przy naszym stoliku. Doskonale wie, z kim ma do czynienia.) mówię:

- Dziś Nowy Jork, jutro Los Angeles. Wiedziałaś, że dobrze ci się wiedzie, Anno, ale to wszystko wygląda bardzo poważnie. A co to znaczy, że coś się kroi... i po co ci Sol?

- Och, Fel. - Anna rozgląda się uważnie i przyciszonym głosem mówi: - To po prostu fantastyczne... ale nie wolno ci o tym słówka pisać, to wszystko jest dopiero na etapie rozmów. Musisz dać słowo honoru.

Jedną ze wruszających cech nowej Anny, której jedno spojrzenie stawia głównego kelnera na baczność, jest to, że nadal używa szkolnego żargonu. Bez trudu mogę sobie wyobrazić, jak mówi: "Jejku, ale kapitalny rysunek, dostaniesz pionę".

- Z ręką na sercu, niech raczej skonam - mówię, też używając żargonu.

- To zdumiewające spotkanie z Solem tutaj. Miałam zamiar prosić cię, żebyś mnie z nim skontaktowała. Pamiętasz, mówiłam ci o Maddie? Och, Felicjo - niecierpliwi się,

kiedy patrzę nieprzytomnym wzrokiem - ta piękna kobieta, którą poznałam u Donalda. Ona i jej mąż prowadzą sieć hoteli "Delphic". Mają slogan: "Wiemy, czego potrzebujesz wcześniej niż ty sam". To

ja go wymyśliłam, świetny, prawda? "Delphic", rozumiesz, czyli profetyczny. W każdym razie... - jeszcze bardziej ścisza głos i pochyła głowę. Ja też pochylam głowę. Mój nos za chwilę znajdzie się w sałatce z pomidorów z mozzarellą. Wyglądałybyśmy bardzo osobliwie, gdyby choć jedna osoba w restauracji nie mamrotała do drugiej w taki sam ukradkowy sposób.

- W każdym razie, Fel, oni planują - zaraz będę musiała zacząć czytać z ruchu ust - cykl naprawdę dobrych reklam telewizyjnych. Rozmawiali z paroma osobami, ale Maddie mówi, że proponowały beznadziejnie oklepane pomysły. Gdybym ci powiedziała, o jakie chodzi agencje, Fel, nie uwierzyłybyś. - W ogóle mnie to nie obchodzi, ale mów. - A więc poprosili mnie o parę szybkich pomysłów i zaproponowanie reżysera. Oczywiście natychmiast pomyślałam o Solu. Jest absolutnie świetny... problem tylko, czy on w ogóle bierze pod uwagę kręcenie reklam. Pieniądze nie są problemem, a my chcemy coś naprawdę super.

- Może być zainteresowany. Nasze reklamy są dużo lepsze niż amerykańskie - odpowiadam normalnym głosem. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku nerwowo podskakuje, a Anna syczy:

- Ciszej, na litość boską.

- Przepraszam. Powiedział, że zadzwoni wieczorem. Czy chcesz, żebym go spytała?

- Dzięki, lepiej nie. Nie chcę, żeby to się już od początku źle zaczęło - mówi Anna, dość nietaktownie. - Czy jesteś zupełnie pewna co do Świąt Wielkanocnych. Czy piątka dzieci to nie za dużo?

- Jasne, że nie. Sara i Laura są takie rozsądne, a ja uwielbiam, kiedy dom jest pełen dzieci.

Zaczynamy omawiać szczegóły. Próbuję opowiedzieć jej o nowym ogródku ziołowym, który zakładam, ale ona myślami jest daleko stąd.

Jestem całkiem wyczerpana, kiedy wracam do White Walls. Czuję się wszędzie brudna - ten koszmary Londyn. Śpię, kiedy dzwoni Sol. Sara musi podejść i krzyknąć na mnie, a ja ziewając podchodzę do telefonu.

- Felly, nie wiedziałem, czy chcesz ze mną rozmawiać przy Annie, choć ona wydaje się sympatyczna; czy myślisz, że nie zapomni o kalendarzu? Słuchaj, za mniej więcej dwa miesiące kręcę kawałek, do którego potrzebuję pięknej kobiety w ciąży.

I o kim sobie od razu pomyślałem? Czy jest jakaś szansa?

- Och Sol, jak miło, że pamiętasz o mnie. Do tej pory będę w siódmym miesiącu, czy to wystarczy?

- Po prostu fantastycznie. Wy, kobiety w ciąży poruszacie się w szczególny sposób, nieco przechylone do tyłu. Takiego efektu nie można osiągnąć za pomocą poduszki.

- A gdzie to kręcisz? Nie sędzę, by chcieli, żebym latała w zaawansowanej ciąży i nie sędzę, żebym ja tego chciała.

- We Francji. Tydzień w Chateaux i całkiem niezłe honorarium. Zgadzasz się?

- Brzmi fantastycznie. A czy można spytać, co cię tu sprowadza?

- Tak tylko między nami, poproszono mnie, żebym się rozejrzał za paroma reklamami.

- A więc nie pogardzasz reklamą?

- Niektóre twoje reklamy były lepsze niż wiele naszych filmów. W zasadzie interesują mnie, ale nie opony samochodowe, co mi dziś zaproponowano. Może pewnego dnia trafi się coś bardziej interesującego.

"Przed Wielkanocą" - pomyślałam i miałam wielką ochotę powiedzieć mu. Ale powstrzymałam się. Przyrzekłam Annie nie rozmawiać o tym, a poza tym byłam potwornie śpiąca.

Anna

Wchodzę do restauracji i widzę, jak Felicja radośnie gawędzi z jakimś młodym mężczyzną i, jak na potwierdzenie, że życie jest serią zbiegów okoliczności, młodym mężczyzną okazuje się Sol Venture. Rozmawiamy o strasznym filmie epickim Kappermana - dobrze, że Felicja nie zagrała w nim - i Sol i ja tak dobrze się rozumiemy, że daje mi swój numer telefonu, prosi, żeby zadzwonić i zgadza się spotkać ze mną w Los Angeles, kiedy będę w Stanach w końcu marca z promocyjną podróżą "Delphic".

Felicja dość irytująco przerywa, apodyktycznie przypominając mi, że będę miała dzieci na święta Wielkanocne. Ale ledwie proponuję, żeby zatrzymała je na święta w White Walls, jej twarz rozjaśnia prawdziwa radość.

Felicja stała się wzorową matką. Kiedy Sara - a może to Laura - powiedziała mi parę miesięcy temu, że Fel spodziewa się dziecka, moją pierwszą reakcją była myśl: "Dzięki Bogu, że to nie ja", a drugą,

że być może była to jedna z przyczyn odejścia Antony'ego. Miałam podwiązane jajowody po Em - troje małych dzieci było dla mnie aż za nadto - a Antony zawsze bardzo lubił dzieci. Z ojcostwem mu do twarzy, pod warunkiem, że nie musi wykonywać żadnych ojcowskich robót, jak zmienianie pieluch lub wstawanie o drugiej w nocy, żeby zajrzeć do dziecka. I zawsze zdawał się bardziej czuły, kiedy byłam w ciąży.

Felicja wygląda ślicznie, ale to co nosi na sobie przypomina moje stare okropne bluzy robocze. Ależ to jest jedna z moich roboczych bluz.

- Taka wygodna - mówi Felicja z zapalem, zamawiając sałatkę z pomidorów i mozzarelli, mięso mieszane z grilla i "jeśli można kartofle".

- Wiedziałam, Anno, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Nie znoszę wydawać pieniędzy na ciążowe ciuchy, które będę nosiła przez parę miesięcy. Potrzebuję każdego pensa na mój ogródek ziołowy...

I jest już z głowy, opowiadając monotonnym głosem o biedrzeńcach i stuliznu lekarskim i Bóg raczy wiedzieć, jakich jeszcze nie znanych mi roślinach, a ja prawie nie mogę dojść do słowa, żeby jej opowiedzieć o "Delphic" i zapytać o Sola.

Za każdym razem, kiedy udaje mi się odciągnąć ją od pikowania sadzonek, mówi tak głośno, że wszyscy - a znam tu parę osób będą wiedzieli o kampanii reklamowej "Delphic", zanim opowiem o niej Bobowi i Maddie. Zdaje się, że to przez życie w domu pełnym dzieci.

"Biedna Felicja - myślę, kiedy paple radośnie o swoim ogródku - niedługo kolejny głos będzie się od niej czegoś domagał".

Felicja

Jest Lany Poniedziałek. Wczoraj w nocy Antony i ja siedzieliśmy do późna wymyślając zagadki, które były naprawdę bardzo trudne. Antony nalegał, żeby się rymowały i musieliśmy także uwzględnić stopień trudności w zależności od wieku dziecka, dla którego była przeznaczona. Siedzieliśmy przy stole kuchennym, popijając wino, i do północy zdążyliśmy już do końca dzieciennic.

- Posłuchaj tej - mówi Antony - jest świetna: "Zgaduj, jeżeli masz ochotę, wystarczy spojrzeć za wychodek".

- Nie może równać się z moją: "Spacer przez trawę i przebiśniegi zawiedzie cię nad jego brzegi".

- Za łatwa. Posłuchaj mojej: "Patrz, gdzie strumienia ciemna pręga, odpowiedź brzmi: otwarta księga".

- Antony, ty wariacie, kocham cię.

- Staraj się pamiętać, że mówisz do jednego z najlepszych mózgów od reklamy. A teraz szybko do łóżka. Jak tam nasze dziecko?

- Dość energiczne. Myślę, że on lubi wino.

- Ona.

- Czy ty absolutnie nalegasz na dziewczynkę?

- Nalegam absolutnie na to, co cię uczyni szczęśliwą. Coraz trudniej objąć was oboje... och, kochanie...

Teraz zażywam popołudniowego odpoczynku. Indyk jest w lodówce, rano obrałam kartofle do pieczenia, a dziewczynki nakryły do stołu. Wszystko jest gotowe.

Jak długo znają się nasze dzieci, Antony? Chyba półtora roku.

Laura i Sara, ku mojemu zdziwieniu, już przy pierwszym spotkaniu się polubiły. Zniknęły na górze na dwie godziny i zeszły zamieniwszy się ubraniami - odpowiednik braterstwa krwi. Denerwowałam się, jak Emmy się dostosuje, ale ona bardzo zgrabnie z tego wybrnęła. Dreptała wokół nich, podziwiając raz jedną, raz drugą, a kochana Laura, od samego początku traktowała ją jak młodszą siostrę.

Z chłopcami było trudniej. Mark na początku lekceważył Harry'ego, był taki gruby. Chciałam obwinić za to Annę; ale domyślałam się, że Laura rekompensowała mu moją nieobecność karmiąc go jak nadopiekuńcza matka. Ale to minęło, Harry wyszczuplał i okazało się, że ma talent do krykieta. Ciekawa jestem, co Donald na to. Dla niego nie istnieje żadna gra poza baseballlem. Mark i Harry spędzili dzisiejszy ranek wbijając paliki w trawnik, a potem grali. Teraz są w bawialni z Kitten i robią tyle hałasu, jakby mieli co najmniej tuzin kul do krykieta.

Antony zabrał dziewczynki na spacer. Jakie łatwe jest życie na wsi. Jakie mamy szczęście. Kładę ręce na brzuchu. Już niedługo, moje maleństwo.

Anna

- Zrób coś dla mnie, kochanie. - Powiedział Donald Przed moim wyjazdem do Stanów. - Zadzwoń do Toma i sprawdź, czy u nich wszystko w porządku. Nie miałem od niego wiadomości od czasu, jak zaczął pracować w Real Estate w Newark.

Patrząc na Toma, śpiącego obok mnie pod brzoskwiniową narzutką z emblematem Helmsley Palace Hotel, dochodzę do wniosku, że jest w porządku. Całuję go czule w kark. Wygląda na delikatnego i słabego. Przypomina mi się Mark, kiedy miał pięć lat, jak się bawił w kąpieli i natychmiast odpędzam tę kazirodczą myśl.

Tom jest podobny do ojca, ale nie ma nic z jego stanowczości. Donald umie manipulować pokojem pełnym ludzi tak, by się mu przyporządkował; pochlebając mężczyznom, flirtując z kobietami, zostawiając każdego z ciepłym uczuciem satysfakcji, co przynosi Donaldowi korzyści zawodowe.

Ale Tom ma dopiero dwadzieścia siedem lat.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że mogłabym być twoją matką? - powiedziała idiotycznie, polując na komplement, kiedy trzymaliśmy się za ręce pod stołem w czasie lunchu.

- Nie, chyba że byłaś niezwykle rozpustną nastolatką - odparł Tom.

Teraz staję się rozpustną czterdziestolatką. Nie miałam zamiaru iść z Tomem do łóżka, ale nie miałam też zamiaru iść do łóżka z jego ojcem. Zdaje się, że wchodzi mi w zwyczaj niedotrzymywanie umów, czym sobie nagradzam lata stagnacji w Wiltshire. Prawdopodobnie...

Zadzwoiłam wczoraj do Toma między rozmowami z grupą amerykańskich autorów przewodników, a lunchem z recenzentem rubryki kulinarnej w "New York Times", który zastrzegł sobie "Arizonę".

- Ale ja chciałam zaprosić pana do "Sandra". Wszyscy mówią, że to najlepsza restauracja w mieście.

- Była opisywana w zeszłym tygodniu - odpowiada redaktor rubryki kulinarnej. Najwyraźniej woli, by go zobaczono przy budce z hot dogami niż w restauracji z ostatniego tygodnia.

Rozpoznałam Toma w chwili, kiedy wszedł do foyer hotelowego. Tak musiał wyglądać Donald przed trzydziestu laty; nieśmiały i ujmująco nieświadomy swej urody. Było w nim coś z Dustina Hoffmana z filmu "Absolwent", kiedy poprosił portiera, żeby go połączył z moim pokojem, a ja pragnęłam w tym momencie wyglądać

tak ładnie jak Anne Bancroft, kiedy szłam w jego stronę i kładłam rękę na jego ramieniu.

- Tom. Drgnął, powiedział portierowi, że już nie trzeba, po czym odwrócił się i wyciągnął rękę.

- Anna?

- Zgadza się. Anna Browning. - I zdziwiona, nie mniej niż Tom, pocałowałam go serdecznie. To chyba przez to, że tak bardzo przypominał mi Donalda. Byliśmy oboje zakłopotani moją wylewnością.

Uśmiechnęłam się po macierzyńsku, jak miałam nadzieję.

- W porządku. Praktycznie jestem twoją macochą. Ale nie miałam żadnych macierzyńskich uczuć, kiedy położył ręce na moich ramionach i też mnie pocałował.

Nie pamiętam, gdzie jedliśmy lunch. Tom wybrał restaurację i, jestem pewna, że redaktor rubryki kulinarnej w "New York Times" również tam nie chciałby być widziany. Zjedliśmy mnóstwo pikantnych potraw wietnamskich i rozmawialiśmy o Donaldzie i Phyllis, matce Toma, która, jak twierdził, wciąż jeszcze kochała ojca.

- Nigdy jej tego nie wybaczę, wiesz... ukradła mi ojca.

- Och, przestań, Tom. Nikt nikogo nie ukradnie wbrew jego woli.

- Ukradła też twojego męża, prawda?

- A on nie miał nic przeciwko temu. - Nie myślałam tak przedtem, ale wiedziałam, że to prawda. Moim życiem były dzieci, dom, wieś; życiem Antony'ego była jego agencja, przyjaciele i koledzy, z którymi się spotykał w ciągu tygodnia w Londynie. My spotykaliśmy się w piątki wieczorem, jak znajomi, którzy kiedyś, dawno temu dzielili wspólne wzruszenia.

- Czy mój ojciec jest dobrym kochankiem?

- Słucham? - To oczywiste, że Tom nie powiedział tego, co usłyszałam.

Parę razy przeczesał ręką włosy rozbrajającym, chłopięcym gestem.

- Okay, okay, nie powinienem o to pytać. Ale mój ojciec nie słynie ze swoich mnisich zwyczajów, a ty jesteś taka ładna... trochę się zagalopowałem... zapomnij o tym, proszę. Było impertynencją pytać o to.

- Owszem - próbowałam spojrzeć z potępieniem, ale zamiast tego uśmiechnęłam się. - Nie jestem pozeraczką serc. Nie testuję

umiejętności wszystkich napotkanych mężczyzn. Spałam tylko z dwoma mężczyznami w życiu: Antonym i twoim ojcem.

- Przypuszczam, że nie masz ochoty, by było ich trzech? - zalał się rumieńcem, a jego ręka, kiedy sięgał po moją, drżała: prędzej dowód pożądania niż wyuczonej roli.

Nie było powodu odpowiadać "nie", pomyślałam, kiedy jechaliśmy windą na górę.

Jeszcze raz pocałowałam go w kark, a potem, opadając powoli na łóżko, przesuwając ustami po jego ciele.

- Hej, Anno, co robisz?

Jak można ocenić, czy mężczyzna jest dobrym kochankiem? To co jedną kobietę doprowadza do ekstazy, drugą pozostawia obojętną. Wiem jednak, że Tom Harman podnieca mnie, bo nie próbuje niczego narzucać - "zrób to, zrób tamto, odwróć się" - ani nie popada w rutynę, jakby programował pralkę automatyczną - "dotknij tu, pieść tam, teraz". Tuląc mnie mocno, udo do uda, mówi: "Och, Anno, to było najpiękniejsze przebudzenie w moim życiu", zamiast "Jak ci było?", co według mnie zawsze znaczy: "Byłem wspaniały, prawda?".

Znów mnie całuje.

- Och, Anno, jesteś bardzo piękna. Czy wiesz o tym? Podczas następnych piętnastu godzin z Tomem Harmanem w pokoju 1158 hotelu Helmsley Palace, czuję się z minuty na minutę piękniejsza. Miłość, dochodzę do wniosku, jest lepszym środkiem odmładzającym niż kosmetyki Lotte Berk czy Elizabeth Arden.

- Nie będziesz już sypiać z moim ojcem, prawda, Anno? Nie po tym.

Tom patrzy z nieszczęśliwą miną, jak się pakuję. Zatrząskuję drugą czarną walizkę z kompletem. Już w dzieciństwie pragnęłam mieć komplet walizek do podróży samolotem.

Jestem gotowa rozproszyć jego obawy, kiedy przychodzi mi do głowy, że to będzie jednostronna umowa. Tom, przypuszczalnie, nie ma zamiaru czekać cnotliwie do naszego następnego transatlantyckiego spotkania.

Uśmiecham się zagadkowo i bąkam, że to niezbyt rozsądna prośba.

Tom patrzy jeszcze smutniej.

- Ale zobaczymy się jeszcze? - rozchmurza się. - Słuchaj, na Boże Narodzenie jedziemy całą grupą do Gstaad. Anno, może przyjedziesz? Powiedz, że przyjedziesz, proszę.

Boże Narodzenie. Dzieci będą chciały zostać na wsi, żeby znów iść do tych cholernych krów.

- Dobrze, przyjadę do Gstaad.

Nowy Jork bardzo mi się podobał, ale Los Angeles jeszcze bardziej. Wielu ludziom rzędy krzykliwych tablic reklamowych i tanich moteli mogą się wydawać paskudne, ale one prowadzą do Beverly Hills... Hollywood. Nieważne, że siedziba studia Twentieth Century Fox jest teraz ekskluzywną rezydencją i że większość innych studiów tłucze tanie opery mydlane; jeśli ktoś był wychowany na amerykańskich filmach, tak jak ja, to wszystko i tak wydaje się magiczne. Jak inni fani, zrobiłam wycieczkę szlakiem rezydencji wielkich gwiazd i obejrzałam drogę podjazdową do rezydencji Doris Day, ale nie miałam na to zbyt wiele czasu.

Kiedy winda do biura Sola wiezie mnie na górę, wracam wspomnieniami do Anny Forester - Jones, która pochłipywała dwa lata temu w pociągu do Londynu. Z satysfakcją przeglądając się w lustrze przezornie umieszczonym na ścianie windy, mówię do siebie: "Anno Browning, już nigdy żaden mężczyzna nie doprowadzi cię do łez".

Sekretarka Sola wydaje się dziwnie przygaszona. Prawdopodobnie dlatego, że musi pracować w Lany Poniedziałek, ale ja czuję drgnienie niepokoju. Chyba nie rozmyślił się co do naszego interesu? Wszystko omówiliśmy przez telefon. Przyjechałam już tylko po to, żeby zawrzeć osobiste kontakty i zdobyć jego podpisy na dokumentach, zanim Jutro odleczę do domu. Cholerni Amerykanie - myślę niesprawiedliwie i bezpodstawnie - a jeśli się rozmyślił...

- Pan Venture czeka na panią, pani Browning. Proszę wejść.

Sol wpatruje się w okno. Kiedy się odwraca i podnosi na mnie znad biurka obojętne spojrzenie, widzę, że jego oczy są zaczerwienione.

- Sol? Czy źle się czujesz? Wyglądasz nie najlepiej. Coś się... ?

- Godzinę temu dzwoniła Sara. Nie było cię w hotelu, więc zadzwoniła do mnie.

O Boże. Któreś z dzieci.

- Felly straciła dziecko.

Och, Felicja, jak ja cię kiedyś nienawidziłam, ale nawet wówczas nie życzyłam ci...

- Nie, Sol, nie! To nieprawda... jak...?

- Sara mówiła bez sensu. Jakiś wypadek. - Waha się i patrzy na mnie ze smutkiem. - Wciąż powtarzała, że to nie była wina Marka.

Felicja

Rosie, natarczywie serdeczna kobieta po histerektomii, zatrzymuje się obok mojego łóżka.

- Czy jest już pani trochę lepiej? - pyta miło. - To jej sposób bycia miłą, ale ja wolałabym, żeby odeszła. - Szkoda, że nie było pani u nas w zeszłym tygodniu... leżała tu wyjątkowo urocza kobieta z wypadaniem macicy. Zorganizowała wspólne śpiewanie po południu.

No to dzięki Bogu, że mnie tu wtedy nie było. Wątpię, czy mogłabym znieść tę wyjątkowo uroczą kobietę, która by mnie namawiała do śpiewania jakichś ballad. Dobrze chociaż, że jestem na oddziale ginekologicznym, byli na tyle taktowni, że nie położyli mnie w sali z matkami i niemowlętami. Mimo to, za każdym razem, kiedy słyszę płacz niemowlęcia niesionego przez korytarz do karmienia, czuję ból.

To nie musiało się stać. Gdyby można było cofnąć czas tylko o trzy dni, wystarczyłoby, żebym wstała o minutę później z drzemki, a dziecko nadal byłoby...

- Żadnych łez, kochana - mówi Rosie apodyktycznie - trzeba starać się dojrzeć jasną stronę.

- Proszę wracać do łóżka, pani Thompson. Inne pacjentki potrzebują odpoczynku, nawet jeśli pani nie. Proszę, szybko.

Jestem tu dopiero od dwóch dni, ale już wiem, że siostra należy do ludzi, którzy zjawiają się zawsze, kiedy są potrzebni. Wygląda bardziej na księżową niż pielęgniarkę; skrupulatna, opanowana, z twarzą, która nie wyraża żadnych uczuć. Tak się wydaje, dopóki nie spojrzysz się jej w oczy, które tak wiele widziały.

Kiedy Rosie wraca do łóżka, komunikując po drodze wszystkim mijanym pacjentkom straszną wieść, siostra mówi do mnie:

- Nie ma nic gorszego, niż mówić komuś, żeby dojrzał jasną stronę czegoś, co nie ma jasnej strony. Ale pani sobie z tym poradzi, kochanie, obiecuję. Były tu kobiety, które sądziły, że nigdy już nie

będą szczęśliwe... a po dwóch latach wracały do nas i opuszczały szpital ze ślicznymi zdrowymi dziećmi.

- Ale ja mam już trzydzieści pięć lat. Siostra uśmiecha się.

- Pani jest jeszcze młodziutka. Na sąsiednim oddziale leży kobieta, która ma czterdzieści jeden lat. Urodziła wspaniałą córeczkę. Ma pani jeszcze dużo czasu na następne, jeśli pani rzeczywiście tego chce. Przyszłam panią prosić o przysługę. Leży tu dziewczyna, ma dopiero dwadzieścia lat; dziś w nocy poroniła i strasznie rozpacza. Młode kobiety trudniej sobie radzą z nieszczęściami - po raz pierwszy spotyka je cios. Jeśli pani jest w stanie, czy mogłaby pójść do niej? To takie ważne porozmawiać z kimś, kto przeżył to samo...

Naprawdę nie mam ochoty, ale pielęgniarka należy do ludzi, którym trudno odmówić.

Kiedy niepewnie wsuwam głowę do środka, widzę puste łóżko. W drugim łóżku leży dziewczyna, ma twarz zamazaną łzami, odwraca apatycznie głowę i mówi:

- Powiedziałam im już, że nie chcę tu żadnego kapelana, jeśli z tym pani przychodzi. Nienawidzę Boga.

- Nie mam nic wspólnego ze szpitalem, jestem pacjentką. Ja też straciłam dziecko, pielęgniarka sądziła, że może...

Patrzy na mnie i mówi:

- Przykro mi. Nie mogę tego znieść, a pani? Oni wciąż powtarzają: "Proszę się nie martwić, będzie następne". Jak gdybym zgubiła kolczyk lub inny drobiazg. Ale ja nie chcę drugiego. Chcę tego. - Znów zaczyna płakać.

- Wiem. W mojej sali jest okropna kobieta, która bez przerwy mi radzi, żebym dojrzała jasną stronę sytuacji. Chciałabym mieć dość siły, żeby jej przyłożyć.

Uśmiecha się. To nikły uśmiech, ale jednak.

- Niech pani wytrzyma do jutra, a przyjdę i pomogę pani. W którym miesiącu pani była? Ja dopiero w drugim, a jakiś lekarz idiota powiedział, że to było prawdopodobnie naturalne odrzucenie przez organizm uszkodzonego płodu. Świetny pomysł traktowania pacjentów.

- Na początku szóstego - patrzę w okno i znów płaczę.

- Boże - nachyla się niezgrabnie do swojej szafki i wydobywa z niej torebkę.

- Zapali pani?

- Nie jestem pewna, czy tu wolno...

- Do diabła z przepisami. - Podsuwa mi paczkę i zapalamy.

- Już się ruszał - mówię.

- On? To był chłopiec? Proszę mi mówić po imieniu, nazywam się Suzy, a pani?

- Felicja.

- Ładne imię. Cholerni mężczyźni, nie mają o tym pojęcia, co nie? Było za wcześnie, żeby określić płeć mojego dziecka. Czy zrobiłaś już wszystkie zakupy dla dziecka? - unosi się na poduszce i krzywi z bólu. - Cholera, czuję się, jakbym miała w środku jeża. Najlepiej jest przy siusianiu, co nie?

- Wiem. Mój mąż przyniósł mi wczoraj wieczorem butelkę sherry. Masz ochotę?

- Jasne. I przynieś kubek do zębów, bo mam tylko jeden.

Dwadzieścia minut później obie się śmiałyśmy, chociaż komuś postronnemu mogłoby się wydać, że to płacz.

W pokoju cuchnie jak w knajpie. Uśmiechamy się nerwowo do pielęgniarki, kiedy zagląda do środka.

- Trzeba tu przewietrzyć, zanim doktor Amberton przyjdzie na obchód i, na litość boską, schowajcie gdzieś tę butelkę. Zastanawiałam się, pani Holdbrook, czy nie ma pani ochoty przenieść się do głównej sali. Łóżko obok pani Forester - Jones jest wolne, więc może...

- A kim jest ta pani Forester - Jones? Czy to jakiś wścibski babsztyl?

- Wyobraź sobie, że to ja - mówię ze skruchą.

- Och, przepraszam. Hej, to świetnie. Mam już dość tego pokoju.

- Ale będzie pani musiała poskromić swój język, pani Holdbrook

- uprzedza siostra - pacjentka, która leży naprzeciw pani Forester - Jones bardzo łatwo się gorszy.

- Co takiego? Język?

- Trzeba było siebie słyszeć wczoraj w nocy.

- Wszystkim wymyślałam, tak?

Siostra uśmiecha się i wychodzi. Spryciara.

- Jak to się stało? - pyta Suzie obcesowo. - Sądziłam, że od piątego miesiąca wszystko idzie jak po maśle.

Dolałam do kubków sherry. Już niewiele zostało.

- Spadłam ze schodów - odpowiadam. - To było takie głupie. Suzie to nie musiało się stać.

Nuciłam sobie "Znów przyszły szczęśliwe dni", kiedy wstałam z popołudniowej drzemki. Kiedyś śpiewałam to Laurze i Harry'emu podczas kąpieli. Zatrzymałam się u szczytu schodów z myślą, że niedługo będę to śpiewała kolejnemu roześmianemu dziecku. Chłopcy wyszli z bawialni i grali na półpiętrze w rodzaj domowego francuskiego krykieta.

- Pobrudzicie ściany, Mark - powiedziałam.

- Nie martw się, Felly, domowe zasady, tylko toczymy piłkę. Jeśli piłka opuszcza podłogę, przegrywasz.

- Naprawdę lepiej grać na dworze. Właśnie wrócił tata z dziewczynkami. Zobaczysz, Mark, będzie wściekły.

- Dobrze, ostatni raz.

Mark starannie potoczył piłkę w stronę Harry'ego.

Kitten wyskoczyła z bawialni i chwyciła ją w zęby. Miała jeszcze niezbyt mocne szczęki i Mark bez trudu odebrał jej piłkę.

- Szybko, Harry - krzyknął, rzucając ją w moim kierunku. Odbiła się od kuferka, przed którą Emmy swego czasu odprawiała modły i potoczyła się w dół schodów. Kitten, oszalała z radości i chęci polowania, pognąła wzdłuż korytarza, a spostrzegłszy, gdzie potoczyła się piłka, próbowała gwałtownie skrócić i wpadła prosto na moje nogi.

Oj, uważaj - pomyślałam łapiąc się poręczy. - To dziwne, jak czas się niekiedy wlecze.

Kiedy upadłam i toczyłam się w dół schodów, miałam wystarczająco dużo czasu, żeby pomyśleć: "Antony od tygodnia obiecywał naprawić balustradę" i miałam dość czasu, żeby usłyszeć, jak Antony, z twarzą wykrzywioną wściekłością i strachem, wrzeszczy:

- Ty cholerny głupcze, zejź mi z oczu, zanim cię zabiję. Kiedy wylądowałam na dole, Mark przebiegł obok mnie i wypadł z domu. Za nim wybiegła Kitten z miną psa, który wie, że coś się stało i że to on będzie o to obwiniony. Wszyscy zebrali się wokół mnie.

- Nie martwcie się - uspakajałam ich. - Nic się nie stało, Zaraz wstanę, ach... moje plecy.

Moje trzy wspaniałe dziewczynki, które nagle stały się dużo starsze, wymieniły spojrzenia. Emmy powiedziała:

- Lepiej pójdę do Marka, Harry, może pójdziesz ze mną, żeby go pocieszyć.

Laura uklękła obok mnie, delikatnie uniosła mi głowę i ułożyła ją na swoich kolanach. Gładziła moje włosy.

- Dzielna dziewczynka - szepnęła - wszystko będzie dobrze. Nie martw się... dzielna dziewczynka.

Tak kiedyś mówiła do mnie matka. Płakałam, bo Laura mówiła, jak moja matka.

- Lepiej zadzwońmy po lekarza - odezwał się Antony. Sara już była przy telefonie.

- Moja macocha... ze schodów, tak... zdaje się, że w piątym miesiącu...

Spojrzała pytająco na Antony'ego, który kiwał głową i dodał z zatroskaniem:

- Dokładnie pięć miesięcy i dwanaście dni.

- Tak - powiedziała Sara - zapytam... Felly, on pyta, czy cię boli.

Byłam cała obolała. Obtarłam sobie łokieć i stłukłam kolano, tak że nie mogłam wyprostować nogi. Ale jedyny ból, jaki się liczył, zachłanny, pulsujący, pochodził z samej głębi mojego jestestwa.

Schowałam głowę w kolanach Laury i chlpałam.

- Tak, boli - powiedziała Sara - karetka, dobrze. Czy zadzwonić?... o, dziękuję. - A potem jej głos znów się stał dziecinny! - Czy może pan poprosić, żeby się pośpieszyli?

Odłożyła słuchawkę, podeszła i uklękła obok Laury.

- Proszę, żebyś się nie ruszała, Felly, zaraz ułożymy cię wygodnie.

- Czy mógłbyś - zwróciła się Laura do Antony'ego - przynieść pled i poduszkę z biblioteki.

Larkspur przyczołgała się do mnie z najeżonym grzbietem.

- Czy to nie dziwne - powiedziałam tonem pogawędki - jeżą sierść na grzbiecie, kiedy są zdenerwowane tak samo, jak kiedy są złe.

Antony wrócił z biblioteki.

- Tu pled - powiedział - i przyniosłem dwie poduszki. Niech ktoś zabierze Larkspur do kuchni.

- Nie - zaprotestowałam. - Chcę, żeby tu została. Leży przy mnie, drżąc i w dziwny sposób dodaje mi otuchy.

- Sara - mówię po chwili - cokolwiek się stanie, powiedz Markowi, że to nie była jego wina.

- Nic złego się nie stanie, Felly. Poleżysz parę dni w łóżku, to wszystko, czego ci potrzeba.

- Tak - odpowiadam. - Nic mi nie będzie, nie martw się. - Ale ból się nasila, zaczyna mnie powoli zwyciężać. Ale poczułabym chyba sączącą się krew.

Weszli pielęgniarze i zaczęli mnie podnosić na nosze, Zatrzymali się i spojrzeli na siebie zmartwieni.

- Przepraszam - zwrócił się do Antony'ego starszy - czy ma pan może trochę niepotrzebnych gazet? Żeby położyć na nosze...

Antony rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem.

- Czy może być "Times"? - zapytał. Pomyślałam, że to zabawne, naprawdę bardzo śmieszne.

- Ludzie z wyższych sfer krwawią na "Timesa" - powiedziałam.

- Niech się pan nie martwi - pocieszał młodszy - to tylko szok... to się czasem zdarza.

Niedobrze, że dziewczynki przy tym były.

- Sara i Laura - powiedziałam - najwyższy czas iść spać. Możecie trochę popatrzeć na telewizję, jeśli macie ochotę. Czy zjadłyście kolację? Ktoś musi podgrzać indyka. Kartofle są obrane... - Mina Antony'ego nie dodawała mi otuchy. - Wszystko będzie dobrze, kochanie - pocieszałam go, trzymając go za rękę - kartofle są obrane.

- Zostanę tu, tato - powiedziała Sara - i zaopiekuję się Emmy i chłopcami. Laura, ty pewnie chcesz pojechać z Felly?

- Niech pan jedzie za nami samochodem. Przywiezie pan potem dziewczynkę z powrotem.

- A Larkspur? - zapytałam. - Larkspur też pojedzie.

- Przykro mi - odezwał się młodszy - ale przepisy nie pozwalają... - zgromiony jednak spojrzeniem starszego szybko dodał zdeprymowany: - Och, dobra, przepisy są po to, żeby je łamać.

Laura, Larkspur i ja jechałyśmy w karetce z mężczyzną w średnim wieku, który wydał mi się bardzo sympatyczny.

- Nie słyszę sygnału. Dlaczego nie włączono sygnału?

- O tej porze jest mały ruch; ale będzie włączał na wszystkich światłach.

- Czy dziecku nic się nie stanie?

Spojrzał na mnie ze wzruszeniem, po czym zaczął patrzeć z wielkim przejęciem w okno, jak gdyby kierowca kazał mu obserwować ulicę.

- Proszę się nie martwić - odezwał się po chwili, jesteśmy już na miejscu.

"A więc to już koniec" - myślałam, jednocześnie udając, że nie rozumiem.

Anna

Zabrałam samochód na Heathrow i jadę od razu do Wiltshire. Antony snuje się po domu ze skurczoną twarzą, patrzy na nie posłane łóżko, myje filiżanki, karmi psy. Czuję się dziwnie, widząc go w White Walls w środku tygodnia; jeszcze dziwniej, że ja jestem tam z nim. Nie mogę uwierzyć, że przez cały czas trwania naszego małżeństwa wylewaliśmy na siebie tyle gniewu i nienawiści, zadając sobie tyle cierpienia. W tej chwili Antony jest po prostu przyjacielem w biedzie.

- Przykro mi, Antony.

- Wiem... dziękuję..., że przyjechałaś. Dzieci są tu gdzieś... - Rozgląda się bezradnie wokół. Zdaje się, że nie jest w stanie o niczym innym myśleć prócz Felicji.

- Tak bardzo pragnęliśmy tego dziecka. Anno... strasznie się wściekłem na biednego Marka. Upewnij się, czy on rzeczywiście nie uważa, że to jego wina... to nie przez upadek, lekarze twierdzą, że to się mogło stać w każdej chwili.

Wyczerpana piętnastoma godzinami lotu, mam już na końcu języka pociechę, że będą mogli mieć drugie, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję i proponuję, że zabiorę dzieci.

Są na górze, w ciszy pakują walizki.

Emmy podbiega i rzuca mi się na szyję.

- To była wina Marka, to przez tę głupią piłkę do krykieta. Felly prosiła, żeby nie grali w domu.

- To wcale nie była wina Marka - broni Marka Harry. - Skąd mógł wiedzieć, że balustrada jest złamana?

- To nie była niczyja wina - odzywam się. Mark siedzi na brzegu łóżka, z głową ukrytą w dłoniach. - To nie była niczyja wina. Czy słyszysz, skarbie? A teraz wszyscy jedziemy do Londynu i nie chcę więcej słyszeć o żadnych winach. kara... Laura... bierzcie walizki i ruszamy.

Nie zadzwoniłam do Donalda. Przypuszczałam, że ktoś już go zawiadomił.

- Cześć, Anno. - Całuje mnie przelotnie. - Jak poszło?

- Dobrze. Ale musiałam gnać do...

Donald wskazuje na schody z miną psa, który coś zwietrzył.

- Co to za piekielna wrzawa?

- To dzieci. Próbowałam ci powiedzieć...

- Ale co one tu robią? Za pół godziny przychodzą do mnie ludzie na drinka, mam nadzieję, że nie zapomniałaś, że idziemy dziś na kolację z Kaamaundu'ami?

- Możecie pić drinki i wyjść na kolację beze mnie, Donaldzie.

Mówię mu o piłce do krykieta, złamanej balustradzie, dziecku, ale zbyt wiele się zdarzyło w ostatnich dwóch dobach, by to wyjaśnić. Sięgam po chusteczkę, żeby wytrzeć łzy.

Donald patrzy na zegarek.

- Jest dopiero piąta trzydzieści. Zadzwoń do pani Jamieson, żeby przyszła po dzieci.

Wyjmuje mi z ręki chusteczkę i ociera policzki z łez w nadziei, że tym samym zażegna dramat, który może pokrzyżować jego plany.

- Czy Felicja czuje się lepiej, czy będzie zdrowa?

- Kiwam głową. - W takim razie po co te fochy? Idź, weź gorącą kąpiel i zaraz poczujesz się lepiej. - Popycha mnie w stronę drzwi. - No przestań już, to ci dobrze zrobi. Wydam mojej sekretarce polecenie, żeby jutro posłała Felicji kwiaty.

Stoi przede mną zadowolony z siebie, opanowany i spokojny, a ja dochodzę do wniosku, że w tej chwili bez oporów mogłabym zadośćuczynić prośbie jego syna.

- Jeśli nie rozumiesz, dlaczego nie mogę dzisiaj wyjść i zostawić dzieci, to nic nie rozumiesz... albo nikogo!

- Kiedy z płaczem wbiegam na górę, słyszę, jak Donald ustawia na srebrnej tacy do drinków kryształową karafkę.

Leżąc w łóżku - moim własnym łóżku - mówię sobie, że nawet jeśli Donald Harman nie jest najwrażliwszą istotą ludzką, jaką w życiu spotkałam, byliśmy dla siebie dobrzy. Przemienił mnie w kogoś, kogo potrzebował, lustrzane odbicie Felicji, w doskonałą panią domu, czarującą towarzyszkę jego zawodowego życia towarzyskiego, a w zamian dał mi oglądę i notes pełen pożytecznych kontaktów. Anna Forester - Jones nie mogła otrzymać pracy nawet jako stenotypistka, ale przed Anną Browning otwierają się wszystkie drzwi. Na szczęście mam dość rozumu, by korzystać z nadarzających się okazji i żarliwą

wolę sukcesu, co wpojono mi podczas ośmiu lat wiecznej konkurencji w szkole z internatem.

Dzieci zostają u nas przez ponad tydzień. Wypadek bardzo je wytrącił z równowagi. Na moim biurku piętrzy się robota.

Wczoraj zastałam Em siedzącą samotnie w kuchni, zapłakana skrecała w supeł chusteczkę.

- O co chodzi, kochanie?

- Ta kuchnia jest wstrętna, mamó.

- Tak, masz rację. Ale to nie powód do płaczu. O co chodzi? O Felly? Dziecko?

- Och, mamó, wszystko. Wszystko jest okropne. Po tym jak ty i tata... i w ogóle... White Walls stały się znów takie bezpieczne, jakby nic złego więcej nie mogło się zdarzyć...

Emily bardzo wydorosłała. Jestem pewna, że nie umiałabym tak tego sformułować w wieku dziesięciu lat.

- I znów będzie, kochanie. Chcesz tam wrócić, tak? - Przyglądam się jej i czekam na odpowiedź.

- Och, bardzo, mamó... jeśli nie będzie ci przykro... Zastanawiam się, czy nie odziedziczyłam po mojej matce antymacierzyńskich skłonności (jej serce jest znacznie bardziej czułe, kiedy jestem daleko), czy też staram się myśleć racjonalnie, bo nie mogę mieć swoich dzieci przy sobie. Nie, boli jak diabli, kiedy wracają ochoczo do innej kobiety, która może im dać normalne życie. A w tej chwili Felicja strasznie potrzebuje dzieci. Zadzwoiła i spytała przytłumionym, słabym głosem, czy nie mam nic przeciwko temu, aby je wsadzić do pociągu.

- Wyjadę po nie do Tisbury.

- Wszystkie? Czy jesteś pewna, Felicjo, że dasz radę?

- Bez nich nie dam rady, Sara i Laura są razem, takie grzeczne i pomocne, i chciałabym też widzieć Marka i powiedzieć, że wszystko w porządku. To nie była jego wina, Anno. Wszystko przez tę cholerną balustradę. Wiedziałam, że jest złamana.

Sol czyni cuda z reklamą. Teraz pracuje nad Tadworth, fotografując go w porannej mgle i złotych promieniach zachodzącego słońca. Zdjęcia są wspaniałe; jedno, przedstawiające ogród otoczony żywopłotem, udało mi się sprzedać do rubryki kulinarnej "Sunday Times Magazine". To oznacza bezpłatną reklamę wartości paru tysięcy funtów. Maddie jest zachwycona. Dziś rano robimy zdjęcia na

dziedzińcu stadniny, do których pozuje Su Parsons. Ubrana w strój jeździecki, siedzi ostrożnie na posłusznym kasztanie imieniem Conker.

- Chryste, Anno, on się rusza.

- Pewnie że się rusza, skoro się tak wiercisz. Odpręż się i siedź prosto.

Sol jest zachwycony Su.

- Jak na obrazie Sloana, Anno. Dla jakiej agencji ona pracuje?

Harde spojrzenie Su jest w tej chwili zagniewane z powodu przymusu wstania o szóstej rano. Musiała dotrzeć do Tadworth na siódmą czterdzieści pięć, gdzie przez następne dwie i pół godziny charakteryzator robił jej makijaż, a fryzjer kręcił włosy, szczotkował je, by wreszcie zebrane w siatkę schować pod kapeluszem. Kiedy zaproponowałam jej pracę modelki była wstrząśnięta.

- Dwadzieścia funtów za siedzenie przez godzinę na koniu. Zgadzam się.

Ale po trzydziestu minutach z fryzjerem, Kevinem, i charakteryzatorem, Martinem, ("Kto taki?" - zdziwiła się Su.) była gotowa rzucić wszystko i wracać do odkurzacza.

- Czego używasz na twarz, kochanie? - spytał Martin.

- O, niczego, co tu masz - odpowiedziała Su i Martin się skrzywił.

- Kto czesze twoje włosy, kochanie? - spytał Kevin.

- Ja - odpowiada Su - a mój mąż robi mi pasemka.

- Ale praktycznie - mówi Kevin. Odjeżdżamy w limuzynie z szoferem:

- Cholernie nudna robota, prawda Anno? Cały dzień grzebią ci we włosach, można oszaleć.

Idziemy z Solem do Garden House, żeby uczcić udane zdjęcie. Nad butelką szampana, Sol mówi:

- Zgadnij, kogo widziałem wczoraj w "Groucho Club" i kogo on całował po rękach?

- To mi pasuje do Antony'ego. To w jego stylu.

- Zgadza się. - Sol nagle poważnieje. - Właściwie, Anno, to mało zabawne. Martwię się o Fel. Gdyby ją teraz spotkał kolejny cios... a to wygląda na coś poważnego.

- Ta kobieta, jak ona wyglądała?

- Młoda. Zaangażowana. Wpatrzona w jego oczy jak szczeniak, który prosi o pogłaskanie.

- O Boże.

- Właśnie. Chyba ją rozpoznałem. Jest asystentką czy sekretarką, kimś takim...

To nie może być Sally, która zna Antony'ego dużo za dobrze, żeby bawić się w jakieś uwielbiające spojrzenia.

- Jak wyglądała?

- Praktyczna spódnica z tweedu, niebrzydki jasnoniebieski sweter, perły, ładna, szczerą twarz, błyszczące ciemne włosy, nic nadzwyczajnego, i duży biust, ale jaki. Nigdy nie widziałem jego asystentki, ale sądzę, że tak powinna wyglądać.

Rozpoznałam dziewczynę.

- To brzmi, jak ja sprzed dwudziestu lat. Sol potrząsa głową.

- Anno, kochanie, ona ani trochę, powtarzam, ani trochę nie przypomina ciebie.

Fel i ja spotkałyśmy się parę razy tego lata. I wciąż byliśmy w kontakcie telefonicznym, zamawiając wizyty u lekarzy i dentystów, donosząc sobie o dziwnych wysypkach czy niezwykłych zmianach w zachowaniu naszych dzieci, uzgadniając terminy i daty. Dziwi mnie, że eksperci przestrzegają przed stresem rozwodowym, nigdy nie wspominają o napięciach wynikających z zajmowania się sprawami organizacyjnymi.

- Anna? Tu Fel. Czy w ten weekend?

- Tak?

- Rzecz w tym, że Sara i Mark wracają ze szkoły o czwartej, ale Em ma powtórkę lekcji i nie będzie wolna przed piątą trzydzieści, a Antony umówił się w warsztacie na przegląd samochodu, więc nie będę mogła zawieźć ich na szóstą trzydzieści, ale Jenny wybiera się na party do Salisbury około siódmej, więc mogłaby ich podrzucić do pociągu o szóstej czterdzieści pięć, gdybyś mogła wyjechać po nich na dworzec Victoria. Sprawdzę, o której tam będą i dam ci znać. A przy okazji, otwarty dzień u Sary zmienił się z czwartego na piątego, ale Dzień Sportu u Marka jest przesunięty z piątego na czwartego, więc praktycznie niczego to nie zmienia. Czy jesteś tam, Anno?...

Podczas ferii załatwiłam bilety na koncert " Starlight Express", na który poszłam z dziećmi i Felicją. Było bardzo głośno i mnie i Felicji ogromnie się podobało.

- Rock and roll. To trochę już niemodne, co nie? - powiedział Mark, a Em dodała:

- Nie rozumiem, jak pociągi mogą mieć twarze i wrotki.

- Dlaczego dzieci są tak przyziemne - spytałam Felicję po koncercie w włoskiej restauracji. - Myślałam, że są z natury obdarzone wyobraźnią.

- Nie nasza Em - odparła Felicja.

Felicja wyglądała lepiej. Nie miała już podkrążonych oczu. Ale zdaje się cały czas tyła. Odradziłam jej ciastko z kremem po spaghetti carbonara, ale warknęła, żebym się zamknęła i że nie mój interes.

Sol, i nie tylko Sol, znów widział parę razy Antony'ego w "Groucho Club" z tą dziewczyną, więc postanowiłam rozmówić się z Antony'm ostro, kiedy zadzwonił i zaproponował lunch.

Felicja

Jest coś niezwykle radosnego w przeglądaniu katalogów z nasionami. W zeszłym roku właściwie nic nie wyhodowałam, prócz bazylii. Pamiętam, jak mówiłam do Antony'ego:

- Czy wiedziałeś o tym, że można wyhodować bazylię z nasionek. Myślałam, że można kupić jedynie sadzonki w małych doniczkach w sklepie "Justin de Blank". Antony przytulił mnie i odpowiedział:

- Jesteś tak cudownie niepraktyczna, kochanie, obiecaj, że się nigdy nie zmienisz.

Wszystko pięknie, ale kupowanie gotowych sadzonek, jak to zrobiłam w zeszłym roku, jest okropnie drogie, a tak dużo nam ich potrzeba. A poza tym gotowe nie dają żadnej satysfakcji; dokładnie pamiętam ten dzień w maju 1984 roku, kiedy jak zwykle spojrzałam bez nadziei na pojemniczek po margarynie pełen wilgotnej ziemi. Zdawało się tak nieprawdopodobne, by suche, drobne nasionka mogły się zmienić w zielone rośliny... Ziemia w paru miejscach podniosła się.

- Patrz - wołałam do każdego, kto schodził na śniadanie. - Patrz, moja bazylija wschodzi.

- Jakie to słodkie - powiedziała Emmy grzecznie.

- Och, Felly - rzekła Sarah - jesteś zabawna. Jeśli włożysz nasiona do odpowiedniego środowiska, podlewasz je i trzymasz w cieple, to muszą kiełkować, mają to w genach.

- Jeszcze nic mi nigdy nie wykiełkowało - odparłam. - Antony, spójrz, małe kiełki bazylii.

- Cudowne, kochanie - powiedział Antony sięgając po "Timesa". W tym momencie niepokojąco przypominał Donalda.

Bazylii rosła i rosła. A ja nie pamiętam, bym kiedykolwiek jadła coś równie pysznego, jak sałatka z pomidorów obficie posypana bazylią, którą sama wyhodowałam. Tego roku posiałam więcej roślin; majeranek i francuską pietruszkę (dużo bardziej aromatyczną, według katalogów, niż jej zwykła odmiana), szczypiorek i szalwię. Aubrecję i goździki, powój, petunię i floksy. Kuchnia była zastawiona skrzynkami z zielonym futerkiem.

Kiedy wróciłam ze szpitala, wszystkie uschły. Nikt nie pamiętał, żeby je podlewać.

Wyniosłam skrzynki z kuchni, a na kolację był makaron z serem przygotowany przez Sarę i Laurę.

- Nie może równać się z twoim, Felly - powiedziała Sara z uśmiechem. - Jak to cudownie, że już wróciłaś.

Teraz przy porannej kawie układam plany na przyszły rok. Chris wręczyła mi już dwustronicową listę nasion do ogrodu warzywnego. Koszty - dwadzieścia osiem funtów, jak pokazuje kalkulator. Ale na dłuższą metę fantastyczny zysk, więc ja też dodaję swoje propozycje. Kłopot tylko z tym, że wszystko jest takie kuszące; ktokolwiek robi fotografie do tych katalogów powinien dostawać astronomiczne honoraria. Nowa odmiana geranium w zachwycających odcieniach bladego różu... ostróżki tak wysokie, że wyglądają jak brygada wojska... Śliczne cieniaste naparstnice, które wspaniale prezentowały się wśród krzewów...

Uporałam się zaledwie z katalogiem Suttona, a już wydałam czterdzieści dwa funty i dwadzieścia pensów. Sięgam z zapalem po katalog Thomsona & Morgana, ale po chwili jestem zmuszona odłożyć go aż do wieczora, bo przyszła Dotty Maxwell. Zupełnie zapomniałam, że miała wpaść dziś rano po dary dożynkowe.

- Obrodziły nam dynie - mówię wesoło; paskudne nie przestają dojrzewać, dzieci nie mogą już na nie patrzeć, a Chris bezceremonialnie odmówiła zabrania choćby paru do domu.

Twarz Dotty przeciąga się nieznacznie.

- Tak jak wszystkim - odpowiada. - Gdybym przyjęła wszystkie dynie, które mi oferowano, zawałyby całą ambonę.

Nieoczekiwanie nadchodzi Chris, żeby napić się kawy, i na moje konto proponuje wspaniałomyślnie pomidory, fasolę i dwie kolby kukurydzy.

- I dynię - dodaję stanowczo. Właściwie chciałam całą naszą fasolę zamrozić, ale nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie zostać posądzoną o bezbożność i skąpstwo. Muszę przypilnować, żeby Chris nie dała jej za dużo.

Kiedy wyszła, wchodzę na górę i wkładam bryczesy. Gdyby nie brzuch całkiem nieźle bym w nich wyglądała. Dlatego zaczęłam pobierać lekcje jazdy konnej. Jenny zapewniła, że nie ma nic lepszego na wzmocnienie mięśni. Mówiąc to patrzyła na mnie takim wzrokiem, że miałam ochotę wylać jej kawę na głowę; ale ponieważ panie z Porannego Koła Haftowania Poduszek na Klęczniki nie doceniłyby szczerości tego gestu, mówię ze słodkim uśmiechem:

- To świetny pomysł.

Nie pamiętam, jak spędzałam wieczory w ST. John's Wood; chyba wychodziłam albo przyjmowałam gości. O ile przyjemniej jest haftować oglądając nowy serial w telewizji (tak świetny, że staram się go nie przegapić). Właśnie pracuję nad drugą poduszką na klęcznik; nauczyłam się mnóstwa nowych ściągów, i nie mogę się doczekać, żeby wszystkie wypróbować.

Staram wystrzegać się Jenny, ale jestem jej wdzięczna, że zaciągnęła mnie parę miesięcy temu na spotkanie Porannego Koła Haftowania Poduszek na Klęczniki.

- Musisz się czymś zająć - powiedziała tym swoim apodyktycznym tonem. - Jest tyle rzeczy, które można robić zamiast oplakiwać dziecko.

Ta reprimenda przyniosła mi dziwną ulgę. Wszyscy obchodzili się ze mną jak z jajkiem, ważąc każde słowo, by nie powiedzieć czegoś nietaktownego. Jej bezlitosna metoda: "przestań wreszcie biadolić", otrzeźwiła mnie jak zimny prysznic.

Pojawiłam się na moim pierwszym poranku hafciarskim w odczuciu Doty Maxwell dość nieśmiało.

Wiedziałam, że (Jenny mi o tym mówiła) Antony i ja długie tygodnie byliśmy obiektem plotek, kiedy się tu sprowadziłam. I wiedziałam też, że ludzie na wsi bardzo powoli akceptują obcych i prawdopodobnie nadal będę Tą Nową w White Walls, nawet kiedy

zamieszkają tu moje wnuki. Przyjęto mnie z łaskawą uprzejmością, która przyniosłaby zaszczyt obytej pani ambasadorowej.

- Proszę usiąść koło mnie - powiedziała pani Grainger. - Przesiądź się, Ethel, tu jest miejsce pani. Jak się pani czuje po tym nieszczęściu? Widzieliśmy karetkę, wie pani, a ja powiedziałam do Pierce'a, to mi się nie podoba, pewnie któreś z dzieci.

- Z dziećmi nigdy nic nie wiadomo - wtrąca Ethel - zawsze coś kombinują.

- A kiedy się dowiedziałam - ciągnie pani Grainger ignorując uwagę Ethel - pomyślałam, biedna pani Forester - Jones, będzie załamana przez miesiąc, dwa, ale wyjdzie z tego, zawsze się wychodzi.

Kobiety zaczęły pełną banałów rozmowę, z której kiedyś serdecznie bym się uśmieła: „Straciłam moje drugie dziecko, po tym jak usłyszałam, że Ros miał wypadek... mężczyźni nie mają o tym pojęcia, prawda?... Lekarz powiedział, że nigdy nie donoszę naszego George'a... Nieważne, siostró co to, proszę tylko powiedzieć, czy zdrowe”.

Ale teraz się nie śmiałam: czułam, jak otulają mnie bezpiecznie stare prawdy. To się zawsze zdarzało, zdarza i będzie zdarzać. Nie trzeba się załamywać.

Jeździłam konno dwa razy w tygodniu przez miesiąc i wczoraj waga spadła poniżej stu dwudziestu sześciu funtów. Mięśnie brzucha wzmocniły się, jazda świetnie też zrobiła moim udom. Szkoda, że Antony nie miał okazji ich widzieć - pracuje tak dużo nad nowym zleceniem, że w ostatnim miesiącu zdołał przyjechać do domu tylko dwa razy, a wtedy był tak zmęczony, że marzył jedynie o śnie.

Moja pierwsza lekcja jazdy konnej miło mnie rozczarowała - spodziewałam się mocno zbudowanej osoby nieokreślonej płci, która będzie głośno pokrzykiwać, zarzucając mnie poleceniami. Julie ani trochę nie przypominała kogoś takiego; drobna, smukła i piękna podeszła do mnie z przyjaznym uśmiechem, kiedy wysiadłam z samochodu.

- Pani Forester - Jones, tak? Piękną mamy pogodę. Proszę za mną, pomoże pani wyprowadzić konia z boksu... mówiła pani przez telefon, że nigdy nie jeździła konno.

- No, jeden raz siedziałam na koniu. Jestem... to znaczy byłam aktorką. W jednym filmie musiałam siedzieć po damsku na siodle,

podczas gdy ktoś mi się oświadczał. Człowiek poza planem trzymał konia za uzdę. I mimo to - wyznałam szczerze - okropnie się bałam.

- Więc dlaczego pani tu jest?

- Jestem w kiepskiej kondycji i chciałabym trochę schudnąć.

- To może się nawet skończyć przyjemnością - powiedziała Julie, wyprowadzając konika, który, ku mojej wielkiej uldze, wyglądał dość niemrawo. - Chodź, Jester, ty próżniaku, czas trochę popracować.

Okazało się, że łatwiej dosiąść konia, niż się spodziewałam. Po prostu trzeba stanąć lewym bokiem do niego i włożyć lewą stopę, nie pani Forester - Jones, lewą stopę - w strzemień. A potem odbić się od ziemi, unieść nad siodłem, przerzucając prawą nogę i już pani siedzi.

Jester wydał westchnienie i zastrzygł uszami na widok wróbla, który grzebał w kupce gnoju.

- On nic nie robi, prawda? - spytałam, ściskając kurczowo lejce.

- Obiecuję, że będzie spokojnie stał. Proszę nie zajmować się na razie wodzami, pani Forester - Jones, tylko usiąść wygodnie i odprężyć się.

- Proszę mi mówić Felicja, tak będzie prościej. - Odprężyć się? Usiąść wygodnie? Z własnej woli - nikt mnie do tego nie zmuszał - siedziałam na muskularnym potworze z twardymi kopytami i mocnymi zębami. Siodło, będące dziełem wielu generacji pełnych poświęcenia rzemieślników - sadystów, wrzynało mi się w kolana.

Julie oparła się o stos siana i zapaliła papierosa. Stała tuż obok wielkiej tablicy z napisem: „Na terenie tej posesji palenie jest bezwzględnie zakazane”. Wspaniale, pomyślałam, stos się zapali, Jester wpadnie w panikę... Zapłaciłam za pół godziny, więc muszę jakoś wytrwać do końca.

Po chwili Julie cisnęła papierosa na ziemię i przydeptawszy 8,0, powiedziała:

- Dobrze, a teraz pojedziemy stępą. Julie, Jester i ja biegliśmy w koło.

- Przestań cisnąć kolanami - poleciała - staraj się wyczuć rytm jego ruchów.

Staralam się wyczuć jeszcze jedno. On może mnie zrzucić na ziemię z taką łatwością jak Julie papierosa. Kiedy spadnę, prawdopodobnie stratuje mnie. Dlaczego tak strzyże uszami?

- Mów do niego - powiedziała Julie. - Mówienie jest bardzo pomocne.

- Hej Jester - wysapałam. Znow westchnął. Ukradkiem spojrzałam na zegarek. Jeszcze tylko dziesięć minut i nigdy więcej nie wsiądę na konia. Cała Jenny Balfour, oczywiście; mogłam się spodziewać, że nie zaproponowałyby mi czegoś co nie idzie w parze z poniżeniem i strachem.

- Zanim się zatrzymasz, spróbujemy trochę pokłusować.

- Co znaczy pokłusować? - zapytałam.

- Napręż lekko wodze.

Jester zatrzymał się.

- Ty to zrobiłaś?

- Nie, ty.

- Czy możemy to powtórzyć? Jester znow się zatrzymał, a Julie spojrzała na zegarek.

- No, starczy na pierwszy raz. Pochwal go.

- Jak mam go pochwalić?

- Poklep go po szyi i powiedz, że jest cudowny. Kiedy zsiadłam - postępując zgodnie z instrukcją Julie i w takim napięciu nerwów, jak gdyby mnie instruowała, jak rozbroić bombę - Jester otarł się uchem o moje ramię.

- Czy mogę przyjść w piątek? - zapytałam.

Kiedy nazajutrz rano schodzę na dół na śniadanie, okazuje się, ku mojej radości, że Antony przyjechał na noc do domu i poszedł spać do żółtego pokoju, żeby mnie nie budzić.

- Kochanie, cudownie, że jesteś... na jak długo przyjechałeś?

- Niestety, po południu muszę wracać. Dlaczego tak dziwnie chodzisz?

- Jestem strasznie obolała. Nie czuję pleców i rwą mnie mięśnie ud. Miałam wczoraj lekcję jazdy konnej, zaledwie pół godziny, a ból nie do opisania.

- Więc dasz sobie z tym spokój?

- Nie ma mowy, idę znow w piątek. Ten kontakt z koniem, wiesz. Wysyłasz mu drobne sygnały, a on robi, co mu każesz. Naprawdę, prawda, Saro?

- Oczywiście - odpowiada Sara. - Całkiem często wysyłasz mu drobne sygnały, a on nie zwraca na to najmniejszej uwagi.

- Ale nie Jester - bronię mego konia. - Jest ciemnym ogierem z New Forest, Julie mówi, że ma piękne nozdrza.

- Chryste Panie - woła Antony.

- Co takiego?
 - „Patterson Warbeck” zgłosił gotowość kupna „United Grip”. Posłuchaj. - Czyta fragment z „Financial Times”. Nie zrozumiałam ani słowa.
 - Co w tym takiego nadzwyczajnego?
 - „United Grip” to jeden z najlepszych klientów, o którego wszyscy się ubiegają. Mówiłem ci kiedyś, Felicjo. Mogłabyś wykazać trochę zainteresowania moją pracą.
 - Ależ ja się interesuję, kochanie, nawet bardzo. Tylko że nic z tego nie rozumiem.
 - Kiedyś rozumiałaś.
 - Donald zawsze nudził na ten temat, więc w samoobronie przyswoiłam sobie trochę żargonu. Chodź zobaczyć, gdzie posadzę żonkile.
 - Chyba zadzwonię do Donalda. Na pewno wie, co się dzieje... Później przyjdę zobaczyć.
 - Ale po telefonie do Donalda, zdecydował, że lepiej wróci do Londynu.
 - „Stanowczo za dużo pracuje - pomyślałam - chciałabym, żeby trochę odpoczął”.
 - Wychodzę - powiedział do Sary - czy wyjdiesz mi pomachać?
 - Nie, cholera, nie - odpowiada.
- Co na litość boską się z nią dzieje?

Anna

- W „Connaught”. O pierwszej?
 - O Boże, Antony, tam strasznie drogo.
 - Robię prezentację na Berkeley Square. Pójdzie na konto funduszu reprezentacyjnego.
- Podejrzewałam, że Antony chce porozmawiać o dzieciach - trzeba było omówić plany Sary dotyczące weterynarii, Mark potrzebował okularów, Em miała iść do nowej szkoły - ale uwinął się z tymi sprawami, nim zdążyliśmy zjeść ostrygi. Potem przeszliśmy do serów, a wreszcie truskawek, nim ujawnił, o co mu chodzi.
- Słyszałem, że masz jakąś chałturę.
- To tak irytujące, że nie mogę odpowiedzieć nic prócz krótkiego „tak”. - Sara mówiła, że coś z reklamą...
- Zgadza się.

Fantazjowałam, jak będę się chęłpić moim sukcesem, przed Antonym, ale inny miał być scenariusz tej rozmowy.

- „Delphic” poprosił, żebym się zajęła ich reklamą. Pracuję teraz nad pierwszymi filmami reklamowymi.

- To znakomicie, znakomicie. - Bębni palcami po stole; za chwilę powie coś, o czym wie, że mi się nie spodoba. - Problem w tym, Anno... nie mam nic przeciwko temu, żebyś używała inicjałów naszego nazwiska, ale jest trochę krępujące, żeby dwa takie same nazwiska pojawiły się na stronach „Campaign”.

Chętnie wylałabym mu wino na głowę, gdybyśmy nie siedzieli w „Connaught”.

- Antony, moja praca nie ma nic wspólnego z tobą. Poznałam Maddie i Boba McMahanów, prezesów „Delphic”, u Donalda.

- Aha, przyjaciele Donalda?, tak?... Nie odpowiada mi to. - Dla Antony'ego na zawsze pozostanę tą dziewczyną, która wypełniała jego polecenia i kobietą, która mu gotowała.

- Owszem, znajomi Donalda, i oni mnie znają jako Annę Browning, którego to nazwiska używam w pracy.

- W takim razie wszystko w porządku. Bardzo rozsądnie. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. - Uspokojony, zamawia drugą butelkę wina. - Muszę powiedzieć, Anno, że to ci służy. Wyglądasz wspaniale, naprawdę wspaniale.

Sadowiąc się wygodniej w fotelu, przybiera na twarz charakterystyczny uśmiech z opuszczonym kącikiem ust, który z pewnością ma być zniewalający.

- To zabawne, co nie? Ty i ja, tutaj razem, jak za dawnych czasów.

- Niezupełnie jak za dawnych czasów, Antony. Nie przypominam sobie, żebyś mnie zapraszał na wino i kolację do „Connaught”.

- Pewnie powinienem był. - Pociąga w zadumie łyk Mouton Cadet. - Zdaje się, że to był błąd. Nie doceniałem cię, Anno. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki byłem szczęśliwy.

- Zdaje się. - Słyszę, jak mój głos staje się szorstki... - Jak się ma Felicja?

- Fel, och, dobrze. Wciąż grzebie w ogródku, po kolana w ziemi, otoczona naszymi czworonogami; wiesz, to wszystko...

- Ale ty właśnie tego chcesz, prawda?

- Doprawdy? - dziwi się. - Nie sędzę. To co mnie pociągało w Felicji... Mam nadzieję, że się nie obrazisz, Anno... - Trochę za późno na takie subtelności, pomyślałam, ale zachęcam go gestem głowy. - Kochałem w Felicji jej wesołość i dowcip; była taka zabawna.

- A więc zabrałeś ją do White Walls i zamieniłeś w prowincjonalną żonę?

- Anno, co ty wygadujesz?

Patrzy na mnie, jak gdybym mu właśnie powiedziała w zaufaniu, że ziemia jest jednak płaska. Czy on na prawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, że ma zwyczaj zakochiwania się w kobiecie, a potem zamieniania ją w kogoś innego?

Mam już zamiar mu to powiedzieć, kiedy przychodzi mi na myśl, że przecież nie mógłby uprawiać tych praktyk Pigmaliona, gdyby kobiety takie jak Felicja czy ja nie pozwalały na to.

- Ciekawe, dlaczego my to robimy?

- Słucham?

- Zastanawiam się, dlaczego pozwalały ci tak postępować.

Z tego jak się uśmiecha, wnioskuję, że on wie dlaczego: to za sprawą jego zniewalającego uroku. Podnosi moją dłoń i pieszczotliwie bawi się palcami, co mnie okropnie denerwuje. Domyślając się, że to wstęp do zwyczajowego całowania, wyrywam rękę i zaczynam manipulować przy papierosie i zapalniczce. Mówi rzeczy, które tak bardzo pragnęłam usłyszeć dwa lata temu.

- Nie mogę uwierzyć, jak się zmieniłaś... świetnie wyglądasz... ładnie, że zechciałaś przyjść, kochanie... straszny błąd... ty i ja... dzieci... nie jest za późno... może zjemy razem kolację?

- Przestań, Antony. - Chyba nie był taki, kiedy go poznałam i przez wszystkie lata małżeństwa? Mam ochotę wyjść, ale on jest ojcem naszych dzieci i dla ich dobra muszę się opanować i „trzymać otworem drogi kontaktu”, jak to określił pan Dwyer, kiedy zajmował się naszym rozwodem. Powstrzymując przykre słowa, które mam ochotę powiedzieć, radzę mu możliwie spokojnie, żeby przestał przystawiać się do każdej kobiety, z którą je lunch, włącznie ze mną i dziewczyną w „Groucho Club”.

- Jaką dziewczyną? - pyta zdziwiony.

- Doskonale wiesz, o kim mówię. O tej, z którą ludzie cię widują, jak całujesz jej palce, i która wygląda na asystentkę; zdaje się podobna do mnie, kiedy się poznaliśmy.

Znów się uśmiecha.

- Masz rację, jest podobna do ciebie. Chyba dlatego mi się podoba.

- Dzięki. - Chwytam za torebkę. - Ale postaraj się nie zapomnieć, jaki to był błąd, ty i ja.

Felicja

Jeżdżę już konno.

- Nie podnoś się - mówi Julie. - Odpreż się i pozwól, żeby cię podrzucił.

Świetnie nam się współpracuje. Jester wyraźnie uważa, że jestem politowania godną ignorantką, ale przez uprzejmość gotów mnie znosić. Zsiadam - już nie zataczam się w momencie dotknięcia ziemi - daję mu parę miętówek Polo, do których on ma słabość.

- Poszło dziś znakomicie - chwali mnie Julie. - Masz do tego dryg.

- Och, przestań.

- Mówię poważnie. Pierwszego dnia myślałam, że się nigdy więcej nie zobaczymy, ale teraz idzie ci naprawdę świetnie. Jester miał dzisiaj przyjemność.

Nagle wyobrażam sobie absurdalnie, jak mówię z zapalem do Sola Venture'a: "Jester miał dzisiaj przyjemność". Swoją drogą muszę zadzwonić do Sola, był taki miły. Przyjechał odwiedzić mnie w zeszłym tygodniu i wyglądał na trochę zmartwionego. Był inny niż zawsze, coś złego musiało się stać. Nie chciałam zadawać zbyt dużo pytań, więc paplałam o psach i pokazałam mu moją nową poduszkę na klęcznik i oprowadziłam go po ogrodzie.

- Felly - zapytał, kiedy wsiadał do samochodu - czy wszystko w porządku?

- Chcesz wiedzieć, czy doszłam do siebie po stracie dziecka? Och, oczywiście wciąż czuję smutek, ale jest już dużo lepiej i przecież trzeba żyć dalej.

- Musisz częściej przyjeżdżać do Londynu. Zjedźmy razem lunch, kiedy przyjedziesz następnym razem do Roberta.

- A, przestałam chodzić do Roberta. Nie ma sensu wydawać dwudziestu funtów na fryzurę po to tylko, żeby ją zgnieść pod twardym przepoconym kapeluszem. Po każdej jeździe muszę je myć, a Dotty Maxwell poleciła mi fryzjera w Salisbury. Tylko osiem

funtów, i jest tak samo dobry, naprawdę. Sol, wyglądasz na zmęczonego... czy nie za dużo pracujesz?

Tego dnia był wielki ruch. Ledwie Sol odjechał, przyjechał Antony.

- Kochanie, co za radość. Nie byłeś w domu od wieków. Mam ci tyle do pokazania.

- Byłem w zeszłym miesiącu - powiedział gotów do obrony. - Mówiłem ci... Nie było chwili do stracenia dla "United Grip" i miałem mnóstwo innych spraw. Ledwie wchodzę do domu, a już mnie atakujesz.

- Przepraszam, kochanie, wiem że jesteś zapracowany. Chodź, napijemy się kawy.

Usiedliśmy wygodnie przy kuchennym stole i zaczęłam mu wyjaśniać nowy wzór do następnej poduszki, kiedy prychnął rozdrażniony.

- Co to za straszny smród... jeden z psów?

- Na pewno nie, są świetnie wychowane, prawda, moje aniołki?

- Tu cuchnie gnojem. Myślę, że wypiję kawę na dworze. Oboje wstajemy i jego wzrok pada oskarżycielsko na moje piękne nowe buty do jazdy konnej.

- Masz na butach wielką bryłę gnoju. Czy nie możesz ich zdejmować, kiedy wchodzisz do domu?

Podeszłam do chłopaka, ściągnęłam buty i rzuciłam je niedbale w przedpokoju.

- Czy ostatnio nosisz tylko bryczesy?

- No przecież dużo jeżdżę konno i patrz, jak schudłam. Czy skończyłeś kawę? Antony, chodź zobacz moją poduszkę na klęcznik, pierwszą, którą wyhaftowałam, jest w kościele.

Uwielbiam przebywać w pustym kościele, zwłaszcza z Antonym. Odkryłam z przykrością, że moja poduszka została przeniesiona do ciemnej ławeczki na uboczu. Zastanawiałam się, kto miał w zeszłym tygodniu dyżur w kościele - założę się, że Jenny.

Przeniosłam ją zdecydowanie do frontowej ławy; jest najładniejsza. Antony poszedł na cmentarz i przyglądał się markotnie nagrobkom. Zastanawiałam się, dlaczego jest taki przygnębiony. Próbowałam go jakoś pocieszyć.

- Kochanie, mam świetny pomysł, chodź, pomóż mi zbierać pigwę.

Anna

Jakie to podniecające - nastrój sali konferencyjnej „Delphic” w przededniu prezentacji.

- Hej, Anno, nie zapalaj światła - mówi Maddie. - Popatrz na te zdjęcia, są znakomite.

Maddie i Sol oglądają pierwsze, nie zmontowane zdjęcia reklamy Tadworth, gdzie Su Parsons odjeżdża po królewsku z brukowanego dziedzińca w złocisty, mglisty poranek.

- A tutaj wchodzi tekst: "Wiemy, czego potrzebujesz wcześniej niż ty sam" - dodaje Sol - i to jest to.

- Wspaniale. - Maddie zapala światło i nalewa wszystkim po kieliszku wina. - Dobra robota.

- Jak lunch? - Sol wiedział, że idę na spotkanie z Antonym.

- Jako tako.

- A Felicja?

- Na szczęście nieświadoma, co się święci. Powtarzam z grubsza, co mówił Antony, a Maddie pyta:

- A co Felicja robi, kiedy twój eks - mąż zaleca się do innych kobiet.

- Jest na wsi.

- Odwiedziłem ją któregoś dnia. - Sol potrząsa głową. - Zachowywała się, jak na próbnym zdjęciach do filmu z domowego życia kobiety prowincjonalnej. Próbowałem parę razy dać jej kuksańca, ale za każdym razem, kiedy myślałem, że mi się udało, pokazywała mi katalogi z nasionami. Anno, czy pamiętasz Felicję w „Vogue”, w rubryce przedstawiającej najlepiej ubrane kobiety? A teraz ona czyta katalogi z nasionami.

- Zaczynam odczuwać sympatię dla pani Forester - Jones - mówi Maddie.

Sol patrzy na mnie z wyrachowaniem.

- Ktoś musi jej powiedzieć, i sędzę, że ty mogłabyś to zrobić.

- Ja? - Gdybym traciła kontrolę nad moją twarzą, figurą i mężem, ostatnią osobą, od której chciałabym o tym usłyszeć, byłaby eks - żona mojego męża. Ale przypomina mi się obraz Emmy, płaczącej w kuchni na Acacia Road. "White Walls stało się znów takie bezpieczne... jakby nic złego nie mogło się więcej zdarzyć". Nie tylko Felicja będzie cierpieła, jeśli znów się zdarzy coś złego.

- Okay. Zrobię to. Jutro do niej zadzwonię.

Felicja

Kiedy wracam z jazdy, dzwoni telefon.

- Ja odbiorę, pani Simmons. Już jestem - wołam.

- Felly? Tu Anna. Co słychać?

- Dziękuję, wspaniale. A u ciebie? Chciałam zapytać, jak te reklamy, które robisz z Solem. Widziałam się z nim niedawno i wydawał się trochę przybity.

- Wszystko w porządku, Fel, świetnie mu idzie. Posłuchaj... mam dziś wolny dzień i marzę o odrobinie świeżego powietrza. Czy mogłabym przyjechać i popróżnować trochę u ciebie na późnym lunchu?

- O niczym innym nie marzę.

- Tylko omlet, czy coś takiego, nie rób sobie kłopotu, Fel. Zrobię jej omlet ze szpinakiem, cudownie.

Kiedy przyjeżdża, częstuję ją kieliszkiem białego wina i zaciągam do nowego ogrodu. Jest tuż przy drzwiach kuchennych. Zupełnie sama zrobiłam cztery rabaty otoczone cegłą. Zaczęłam już dawno, na wiosnę, ale z różnych powodów nie mogłam wcześniej ukończyć. Nie mogę się doczekać, żeby je obsiać w przyszłym roku.

Pokazuję Annie plany, gdzie jakie zioła posieję.

- Czy widziałas tegoroczny katalog „Thomsona & Morgana”, Anno? Mogłabym wydać setki funtów...

- Czy wiesz, jak ty mówisz, Felly? Jak ja, dwa lata temu.

- Dwa lata temu byłabym wściekła, gdybyś mi to powiedziała. Teraz biorę to za komplement.

- Bardzo się zaniedbałam wtedy - Anna rozprostowuje eleganckie nogi i z czułością przygląda się butom z czarnej skóry, które nie mogły kosztować mniej niż siedemdziesiąt funtów.

- Nie martw się, mnie to nie grozi. Jestem zbyt próżna, żeby się zaniedbać. Chociaż powinnam coś zrobić z moimi rękami.

- Felly... - Anna podnosi głowę i patrzy w okno. - Czy pamiętasz, kiedy tu przyznałam rozzłoszczona?

- Jak mogłabym zapomnieć. Opróżniłyśmy butelkę najlepszego Le Cortona Antony'ego.

- Wtedy po raz pierwszy przestałam myśleć o tobie jak o podstępnej dziwce. Ukradłś mi męża, ale jeśli mam być szczerą,

chciał tego. Brakowało mi tylko dzieci. Wciąż mi ich brakuje, ale nie ma sensu się łudzić, że mogłabym im zapewnić i utrzymanie i być zarazem prawdziwą matką. Nigdy tego nie mówiłam, ale gdybyś mnie nie wypędziła z tego domu, nie byłabym tym, kim jestem teraz. Tak między nami - rozgląda się, ale jesteśmy same, z wyjątkiem czterech psów i kota - zgłosili się do mnie z „Patterson Warbeck”. Praktycznie przejęli już "United Grip" i poprosili o parę pomysłów, czy możesz w to uwierzyć?

- "United Grip"? To brzmi jakoś znajomo.

- Jasne, że tak; to najpoważniejszy... a, mniejsza z tym.

Chcę powiedzieć, że cię bardzo lubię, Felicjo. I Sol też cię bardzo lubi. Wiesz, jesteśmy trochę zaniepokojeni.

Rozbijani jajka i dodaję szpinaku. Nic złego nie może się zdarzyć, podczas gotowania. Trochę masła na patelnię.

- Och zostaw ten cholerny omlet, wcale nie jestem głodna. Fel, ktoś musi ci to powiedzieć...

Anna

O piątą rano odjeżdżam z Gatwick do Palace Hotel w Gstaad, żeby się otrzeć o słynnych i bogatych, jak zapewnia przewodnik; czemu więc jestem zewsząd otoczona przez hinduskich czyścicieli ulic i śpiących na plecakach hippisów, którzy jakimś cudem uchwali się z lat sześćdziesiątych?

Jest coś niestosownego zaczynać tak nieszykownie, skoro wydałam na ten urlop trzy tysiące funtów, nie wliczając wydatków na stroje przed nartami, na narty i po nartach. Jestem zadowolona z mojego nowego czerwonego płaszcza z kaszmiru, który przez całą podróż w ogóle się nie pogniótł, ani w samolocie, ani w taksówce.

Kiedy wchodzę do hotelu, słyszę hałaśliwe krzyki w hallu recepcyjnym. Tom obejmuje mnie w pasie, podnosi i wiruje parę razy w kółko.

- Anno... jak cudownie, cudownie. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę przyjechałaś.

Krażąc w powietrzu, widzę, że jesteśmy otoczeni przez grupę młodzieńców o świeżych twarzach i kilka dziewcząt, które wyglądają jak Laura. Tom stawia mnie i mówi z dumą:

- Chłopaki, to Anna. Anno to moi kumple - i wymienia szereg zdrobniałych imion... Ben, Tod, Ned, Bet, Bud, Wszystkie brzmią podobnie.

- Cześć, Anno.

- Jak się masz, Anno?

- Miło cię poznać, Anno.

Wesoło się poklepują po ramionach, jak szkolna drużyna baseballowa, a ja zastanawiam się, czy to wszystko nie będzie przypadkiem straszną i kosztowną pomyłką. Czuję większe powinowactwo z poważnymi Hindusami w średnim wieku, którzy sumiennie wymachują miotłami w Gatwick, niż z tymi... dziećmi.

Już zapomniałam, jakie to uczucie oddawać się czystej przyjemności. Po paru dniach pływania w basenie, popijania i jedzenia w najprzeróżniejszych maleńkich barach i restauracyjkach, jeżdżenia na wrotkach na torze za hotelem i roztańczonych nocach w tuzinie różnych dyskotek, ja też zaczynam się czuć jak dziewczyna.

Z okien mojej sypialni widać domki wypoczynkowe w dolinie, miasteczko z ośnieżonymi jodłami, a w dali łańcuch białych, dostojnych gór.

Tom wstaje wcześniej rano, by złapać pierwszy wyciąg, który go zabiera do kolejki linowej na lodowiec, dziesięć tysięcy stóp nad nami. Nie ma dość śniegu do właściwej jazdy na stokach dla początkujących, więc w szkółce narciarskiej uczę się raczej techniki niż jazdy. ("Proszę się pochylić do stoku, pani Browning..."). Potem oglądam wystawy, popijam gorącą czekoladę i spaceruję uskakując przed dobrymi narciarzami, którzy mkną w barwnych strojach w dół ulicy. Wczoraj próbowałam łaźni tureckiej, uzupełnionej sauną, co było tak nieprzyjemne, że z całą pewnością dobrze mi zrobiło. Dzisiaj prezentuję nowe czarne bikini na basenie hotelowym.

Rozkoszuję się moim bikini, moim kraulem (udoskonalonym na pływalni "Swiss Cottage" z Harrym) i ciałem (rozgrzanym od miłosnych nocy z Tomem), kiedy nagle zanurzając głowę pod wodę, zderzam się z kimś.

Wychodzę z wody, parsając, parę kroków dalej stoi Philip Gilham i również parska.

- Aha, Anna Forester - Jones - mówi, brnąc w wodzie. - Kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz, rzuciła pani we mnie walizkę, a teraz próbuje mnie pani utopić.

Nie widziałam Philipa od czasu tej szarpaniny w taksówce. Zadzwoił raz, czy dwa, kiedy zamieszkałam u Donalda, ale uważając, że jeden kochanek to aż za nadto, zawsze znajdowałam jakąś wymówkę, żeby się z nim nie spotkać.

Idziemy na lunch do barku; mamy sobie mnóstwo do powiedzenia. Kiedy Tom i jego kompania wchodzą z hałasem, pijemy kawę.

- Anno... Anno. Wszędzie cię szukamy.

- Tom, to pan Philip Gilham, mój dawny znajomy. - Przedstawiam Philipa wszystkim właścicielom zdrobniałych imion; Tom siada obok mnie na kanapie i obejmuje mnie ramieniem, jak macho odstrasza drugiego samca od swojego terytorium. Nie wiem, czy powinno mi to schlebiać, czy też mam być zła.

- Chodź, Anno - mówi - zostaw to okropne miejsce i pójdźmy do "Chlosterli"... trochę potańczyć.

Wszyscy ruszają w stronę wyjścia, ciężko waląc butami narciarskimi, hałaśliwie ciesząc się na następną zabawę. Tom bierze mnie za rękę i pociąga za sobą.

- Idzie pan z nami? - pytam Philipa.

- Nie, dziękuję. - Składa "Timesa" w równy kwadrat na krzyżówce. Czuję, że daje mi tym coś do zrozumienia, ale nie mam ochoty się nad tym zastanawiać.

Jest jakby skurczony w otoczeniu tylu młodych mężczyzn, a ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że popełniam zdradę, zostawiając go tam samotnego.

- Ale mieszka pan tutaj, w tym hotelu? Zobaczymy się jeszcze?

- O, tak - odpowiada Philip. - Jestem pewien, że się gdzieś jeszcze zderzymy.

Boże Narodzenie nadchodzi i mija w szale ruchu i zamroczenia alkoholem. Nie sędzę, bym przez ostatnie sześć dni była całkiem trzeźwa dłużej niż dwie godziny.

Rano w Boże Narodzenie Tom wręcza mi pięknie zapakowane pudełko z "Bergdor Goodman", w środku jest negliż z satyny i koronki w kolorze kości słoniowej, a ja daję mu sweter St. Laurenta, który kupiłam w miasteczku. Siedzimy w łóżku przymierzając swoje prezenty, a potem znów je zdejmujemy. Bez tłumy przyjaciół Tom jest tym samym czułym mężczyzną, którego pamiętam z Nowego Jorku.

Otwieramy pierwszą butelkę szampana i wychodzimy na lunch. Przy jednym ze stolików dostrzegam Philipa Gillhama. Siedzi ze starszym mężczyzną i kobietą.

Składamy sobie życzenia i przedstawia mnie swojej przybranej siostrze i jej mężowi.

- Philip mówił, że ma pani dzieci - mówi kobieta. - Musi pani za nimi tęsknić. Święta są inne bez dzieci, prawda?

- Tak - odpowiadam - są dużo lepsze. - A ponieważ wypięłam sporo szampana, jestem gotowa w to uwierzyć.

- Czy myślisz, że mogę tak iść?

- Kochanie, wyglądasz rewelacyjnie.

Tom i ja schodzimy na dół na przyjęcie sylwestrowe, mam na sobie prezent gwiazdkowy. Dokupiłam do niego w butik hotelowym satynowe pantofle w kolorze kości słoniowej i nie sądzę, by ktokolwiek domyślił się, że całość przeznaczona jest raczej do sypialni niż do sali balowej. Siedzimy w dziesięcioro przy stole i tak się świetnie bawimy, że główny kelner podchodzi i prosi Toma, żeby trochę uciszył swoich przyjaciół; skarżą się goście przy sąsiednim stoliku.

Dwoje starszych ludzi uśmiecha się do nas nerwowo, na znak, że nie chcą żadnych kłopotów. Ned otwiera następną butelkę szampana, korek ląduje na talerzu starszego dżentelmena opryskując go zupą. Na ten zabawny widok wszyscy wybuchamy śmiechem i robimy jeszcze więcej hałasu.

Tańczę z Tomem i sprawia mi przyjemność, kiedy Bud zostawia Sandy, jedną z dziewczyn przypominających mi Laurę, na parkiecie i wciska się między nas.

- Moja kolej, Tom. Nie możesz jej mieć cały wieczór tylko dla siebie.

Muzyka dudni, światła przygasają, zamawiamy następną butelkę... i następną. Chichoczę, kiedy Bud przyciska mnie do siebie, jego dłonie poruszają się rytmicznie na moich biodrach.

Wybija północ. Całuję go przeciągle. Kochany Bud. Tom wpada między nas.

- Hej, dość już tego, Bud. Ona należy do mnie. - A ja całuję teraz Toma, cudownego, zmysłowego Toma, a potem Toda, i Nida i znów Toma...

- Szczęśliwego Nowego Roku! Szczęśliwego Nowego Roku!

Obok mnie pojawia się Philip Gilham. Kochany Philip. Mój bohater z pociągu Tisbury - Waterloo.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Philip. - Zarzucam mu ręce na szyję, zataczam się na niego, całuję w policzek... próbuję znaleźć jego usta.

Łagodnym gestem zdejmuję moje ręce, podnosi kieliszek.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Anno. - A potem wpatrując się we mnie znad okularów dodaje: - Robi pani z siebie straszną idiotkę, wie pani?

Część trzecia

Felicja

Nie zajęło mi wiele czasu, żeby odkryć, iż reżyser amatorskiego zespołu dramatycznego musi dysponować przede wszystkim ogromnym taktem.

- Rachel - mówię w nadziei, że cierpliwość w moim głosie nie zamieni się w końcu w jad - spróbuj zapamiętać, że jesteś młodą kobietą, która jest zdeterminowana przez obyczaje panujące na początku XIX wieku. Właśnie zaręczyłaś się bardzo korzystnie z pewnym młodym człowiekiem, który stoi wyżej na drabinie społecznej od ciebie. A ty jesteś z gruntu przyzwoita i zaczyna cię nękać poczucie winy. Naprawdę uważam, że Sheila nie chichotałaby w ten sposób.

- Och, ale Felicja - opowiada Rachel - to nie był chichot, to był nerwowy śmiech. Ja czuję, że ona by się wtedy nerwowo śmiała, żeby ukryć swoje zakłopotanie. Próbuję sobie wyobrazić, jakby to zagrała Maggie Smith - dodaje z przekonaniem.

- Ach, tak... - Trzy tygodnie temu powiedziałabym dziarsko, że Maggie Smith zagrałaby to z brązową papierową torbą na głowie, a publiczność śmiałaby się i płakała, tak i wtedy, jak życzyłaby sobie Maggie Smith; natomiast ta Rachel Welcome, bardzo ładna dziewczyna, która za dnia pracuje w Abbey National, a wieczorami jest aktorką amatorskiego zespołu dramatycznego "Wynford Players", lepiej by się jednak trzymała paru podstawowych zasad.

Wracam pamięcią do różnych ludzi, którzy kierowali mną w przeszłości. Niektórzy z nich osiągali, co chcieli osiągnąć za pomocą awantur ("O mój Boże, kobieto, czy dotarło do ciebie cokolwiek z tego, co mówię od trzech tygodni? Jaki to ma sens, pytam, jaki to ma sens..."). Inni przez zabranie aktora na drinka i szczerą rozmowę. Ale bez względu na metody, jakie stosowali - pracowali z profesjonalistami, którzy wiedzieli, że albo się podporządkują reżyserowi, albo będą musieli odejść, na ogół tam, skąd przyszli. Rachel Welcome nie można zagrozić niczym, ponieważ "Wynford Players" jest małym i nowym zespołem; jeśli nie zagra Sheili Birlings, będę musiała dać tę rolę Liz Daventry, która jest wytapirowaną trzydziestką piątką i ma taki akcent, że bołą zęby.

A więc mówię do Rachel, chcąc ją ułagodzić, że rozumiem dokładnie, co ma na myśli i że to naprawdę świetny pomysł, ale

prawdopodobnie nerwowy uśmiech da lepszy efekt niż nerwowy chichot.

Marian Compton, która naprawdę nieźle gra panią Birlings, chwyta moje spojrzenie i unosi do góry brew. Marian jest jak na razie najlepszą aktorką w zespole i wie o tym. Do niedawna jawnie obrażała się na moje sugestie.

W zeszłym tygodniu zabrałam ją na drinka.

- Marian - powiedziałam - będę mówiła szczerze, a ty musisz wybaczyć mi, jeśli ci się to nie spodoba.

Marian prychnęła i zapaliła papierosa.

- Naprawdę nie czuję, byś się szczególnie wysilała. Z twoim instynktownym wyczuciem sceny możesz tak wiele ofiarować innym członkom zespołu... z takim talentem jak twój, możesz służyć przykładem podczas gdy ja jedynie sugestią. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Słowa "instynktowne wyczucie sceny" i "talent" zrobiły swoje. Marian została ugłaskana.

- No, sama nie wiem - odpowiada - pracuję, oczywiście, najlepiej jak umiem, ale...

- Doskonale wiesz, że jesteś lepsza od reszty.

- Naprawdę nie powiedziałabym, że... czy można jeszcze kieliszek wina.

- Jasne... Na przykład, Tom Brook, grający Erika, po prostu nie przyjmuje w ogóle wskazówek reżysera. Nie sądzę, bym mogła trafić do niego... jak ty byś sobie z tym poradziła?

Od tej pory Marian radziła sobie z tym tak, że grając, coraz to prosiła mnie o radę.

- Wydaje mi się, że powinnam w tym momencie uczynić Sybill nieco mocniejszą, nie uważasz, Felicjo?

- Uważam, że było w porządku. Ale jeśli nie jesteś zadowolona, to możesz mocniej wypowiedzieć koniec kwestii.

- Dzięki, to wspaniale - odpowiada mierzając wzrokiem resztę towarzystwa - móc się poradzić prawdziwej profesjonalistki.

Mimo wszystkich manipulacji, a może dzięki nim, reżyseria wydaje się dziesięć razy ciekawsza niż aktorstwo. I mam wrażenie, że jestem w tym lepsza.

To był przypadek, że pewnego dnia pojechałam do Wynford. Szukałam sklepu z antykami, o którym powiedziała mi Jenny.

Wynford to małe miasteczko, w którym znajduje się nowa dzielnica klasy średniej; przeznaczona jest dla młodych ambitnych ludzi na kierowniczych stanowiskach, którzy wolą mieszkać na prowincji, ale w sąsiedztwie innych młodych ludzi na kierowniczych stanowiskach, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa. Ich żony noszą buty, które wyglądają jak od Gucciego - ale nie mogą być, bo ich mężowie nie zaszli jeszcze tak daleko - marzą o tym, by brać aktywny udział w życiu towarzyskim prowincji. Choć są śmieszne, w gruncie rzeczy to miłe kobiety, które nie mają się czym zająć.

Kiedy wchodzę do sklepu z antykami w poszukiwaniu Paru starych niebieskich i białych talerzy, żeby postawić je na kredensie, sympatyczny mężczyzna koło czterdziestki wita mnie uśmiechem; nie odzywa się jednak. Pomyślałam, że przywykł już do kobiet wchodzących do jego sklepu i wychodzących bez zakupu.

- Dzień dobry - powiedziałam - szukam niebieskich i białych talerzy, nic specjalnego. Piłka mojego pasierba zrobiła spustoszenie na kredensie.

Sklep Jamesa Robsona jest jednym z tych obiecujących, zagraconych antykwariatów, który sprawia wrażenie, że z odrobiną cierpliwości można znaleźć w nim naprawdę wartościowe rzeczy za grosze. To wrażenie okazuje się mylące; James dokładnie wie aż po wiktoriańską mydelniczkę, co posiada i jaką to ma wartość. Porozmawialiśmy o zadziwiających cenach, jakie osiągają ostatnio figurki ze Staffordshire. "Amerykanie" - bąkamy do siebie - kiedy on nagle pyta:

- Przepraszam, ale czy pani nie jest... chyba nie jest pani Felicją Harman...?

- Tak - odpowiadam - to znaczy byłam. Teraz nazywam się Felicja Forester - Jones. Mieszkam niedaleko stąd.

- Co pani ma na myśli, że pani była? Nie mogła pani porzucić aktorstwa... była pani taka znakomita w "Drobnym nieporozumieniach"... Widziałem to trzy razy.

- Boże, to było wieki temu. Teraz jestem po prostu wiejską żoną.

- Zbrodnia, taka strata. Felicja Harman obiera kartofle.

Jego słowa podziałały na moje ego tak, jak krem z witaminą A na moje ręce. Czułam się świeża i gładka.

- Pan się interesuje teatrem...

- Namiętnie. Tak naprawdę trzy miesiące temu założyłem amatorski zespół "Wynford Players"... - zamilkł nagle i wgapiał się we mnie z fanatycznym ogniem w oczach. Oczywiście dokładnie wiedziałam, o co mu chodzi: miał zamiar poprosić mnie, żebym zagrała. - Przyszła mi do głowy genialna myśl... czy nie byłoby cudownie, gdyby pani objęła reżyserię?

- Reżyserię? Sądziłam...

Sądziłam, że mnie poprosi, bym wniosła trochę blasku, grając jakąś drugoplanową rolę, co z powodzeniem mogłabym robić w przerwach między jazdą konną, ogrodnictwem i wysłuchiwaniami opowieści o szkole. Ale reżyseria...

- Och, proszę. Niech się pani zastanowi. Próbuję reżyserować i grać główną rolę. No i oczywiście mam dużo pracy w sklepie.

- Trochę przykurzone - mówię podnosząc cynowy kufel i zdmuchując z niego kurz.

- Umyślnie. Ludzie bez zmruczenia okiem płacą dziesięć funtów za przykurzony przedmiot, za który nie daliby pięciu, gdyby był czysty. To jeden z tajników handlowania, wie pani. Sądzą, że dokonali cudownego odkrycia. Widzi pani ten obraz?

Spojrzałam zdumiona na żalną akwarelę paru cyprysów i urny.

- Miałem ten obraz na wystawie wiele miesięcy i nikt go nie chciał. Zupełnie słusznie, według mnie. Ale w zeszłym tygodniu wylałem na niego trochę kawy, więc ukryłem go za paroma trzeciorzędny obrazami olejnymi. I wczoraj niemiecki turysta kupił ten obraz za sumę, którą obawiam się nawet wymówić. - James uśmiechnął się diabolicznie. - Myślał, że nie wiem, że tam jest.

- Jest pan pozbawiony skrupułów.

- Och, proszę przestać. Niech pani raczej powie, że zgadza się na reżyserowanie. Pani wie, że ma na to ochotę.

Jedno wiedziałam, że chcę spędzić trochę czasu z Jamesem Robsonem. Strofowałam się w drodze do domu: "Bądź szczerą, ten facet podoba ci się... naprawdę bardzo zabawny... kocham Antony'ego, ale przyjemnie jest być znów podziwianą... A poza tym... - myślałam buntowniczo, dlaczego nie miałabym trochę poflirtować? Antony naprawdę nie ma powodu narzekać.

Anna

- Anna Browning?

- Przy telefonie.

- Mówi Alex Staleybridge. Z "Patterson Warbeck". Przysięgam, że moje serce przestaje bić na moment.

Czekałam na ten telefon z większym niepokojem i podnieceniem niż kiedykolwiek na wiadomość od ukochanego. "Patterson Warbeck" to potężne konsorcjum, które od pięciu lat pożera jedną po drugiej mniejsze spółki; parę z nich dość niestrawnych jak dla producenta obrabiarek - zwłaszcza, jak sądzę, wytwórnia mrożonek wraz z personelem.

Alexa Staleybridge'a poznałam na jednym z przyjęć Donalda, mniej więcej rok temu. "Podoba mi się pani praca dla Delphica" - powiedział z uznaniem, nakładając sobie resztkę wspaniałego kremu mandarynkowego z "Catering Bute". - "Szukamy kogoś do naszego Polarice. Może pani coś zaproponuje"?

Nie miałam pojęcia wtedy, jak zorganizować kampanię i zlecenie poszło do Leo Burnetta. Ale kiedy Alex Staleybridge znów się pojawił dwa miesiące temu, tym razem z działem personalnym "Finders Inc", zaczęłam się ubiegać o zlecenie tego kolosa wraz z kilkoma innymi agencjami i wiedziałam, że muszę podjąć ryzyko.

Biuro Usług Sekretarskich na South Molton Street, gdzie cztery lata temu przeżyłam takie upokarzające chwile, jest jedną z ich placówek. Postanowiłam wykorzystać to ponure doświadczenie.

Moi ludzie z działu prasowego, marketingu i handlu zrobili, co do nich należało, ale dodałam pewien element - niespodziankę. Kiedy pan Staleybridge przybył do naszego biura dwa tygodnie temu na prezentację, moja skądinąd doskonała sekretarka, była zajęta piłowaniem paznokci i plotkowaniem z Lydią Melrose, jedną z autorek tekstów.

- Proszę usiąść - powiedziała Sandra, ledwie podnosząc wzrok znad paznokci i kiwając głową w stronę kanapy.

- No i co dalej? - pyta Lydia. - Co się potem stało...? Pan Staleybridge siedział dziesięć minut postukując nerwowo butami, potem parę razy znacząco zakasłał (co Sandra zignorowała z niewzruszoną miną głównego kelnera), a wreszcie zerwał się, podszedł energicznie do jej biurka i powiedział z trudem powstrzymując furie:

- Nie wiem, czy pani sobie zdaje sprawę, kim jestem. Nazywam się Alex Staleybridge i jestem prezesem zarządu "Patterson Warbeck".

Byłem umówiony z Anną Browning na jedenastą. - Podciągnął rękaw granatowego garnituru i spojrział na masywny złoty zegarek. - W tej chwili jest dziesięć po jedenastej, a ja nie mam zwyczaju czekać.

Sandra patrzyła na niego obojętnie, bąknęła coś do intercomu, a potem znów wskazała na kanapę.

- Pani Browning za chwilę pana przyjmie. Może kawy? Albo herbaty?

- No, nareszcie, Anno. - Kiedy wynurzyłam się ze swojego gabinetu, pięć minut później, pan Staleybridge był wyraźnie wzburzony.

- Proszę wejść... - powiedziałam łaskawie, kiedy mamrotał coś o głupich plotkujących dziewczynach... nigdy w swoim życiu nie był tak potraktowany... absolutna hańba. - Proszę usiąść. Wybacz pan, że wykonam jeden ważny telefon.

- Nie, do cholery, nie. I proszę odłożyć tę przeklętą słuchawkę. Żarty sobie pani stroi, Anno? Przyszedłem tu na prezentację, a...

- I właśnie ją pan ma, Alex. - odpowiadam. - Przed chwilą miał pan okazję doświadczyć traktowania, którego doznają pańscy potencjalni klienci w jednej z waszych agencji.

Zgasiałam światło, jedna ze ścian zamieniła się w ogromny ekran przedstawiający film, który pokazywał, przede wszystkim, jak nie przeprowadzać wywiadu personalnego, a potem sposób, w jaki powinien być zrobiony.

Grali w nim trzech komediowi aktorzy, którzy się specjalizują w promocyjnych filmach handlowych. Kosztowało mnie to masę pieniędzy, ale wartych tego zlecenia. Od tego telefonu zależy milion dwieście tysięcy funtów.

- Słucham, Alex?

- Byłem pod wrażeniem tego, co zobaczyłem w zeszłym tygodniu. Podoba mi się pani styl. Czy może pani przyjść ze swoimi ludźmi... powiedzmy w czwartek, o trzeciej trzydzieści?

- Naturalnie, że mogę. - Mamy ich! Nasz pierwszy naprawdę duży klient.

- Dobrze. Wysłuchamy opinii zarządu Findera, ale myślę, że będą równie entuzjastyczni, co ja. - Wydaje z siebie tubalny, kaszliwy śmiech. - Nie mamy tu żadnych demokratycznych nonsensów, wyznam z przyjemnością. Cieszę się ze współpracy z panią.

Z trudem się powstrzymuję, by nie podrzucić słuchawki do góry i z okrzykami radości nie polecieć do biura Alexa Staleybridge'a, żeby go ucałować. Dziękuję mu spokojnie za telefon i mówię, że też się cieszę ze współpracy z nim.

- Sandra... - Wchodzi pośpiesznie i całuję ją radośnie. - Mamy ich.

- To fantastycznie - cieszy się Sandra. Jedną z najpiękniejszych rzeczy w małych agencjach jest to, że cała załoga czuje się zaangażowana w start. Proszę, by zawiadomiła wszystkich, którzy pracowali nad tym zleceniem: uroczysty lunch. Na dole w "L'Escargot". Sprawdź, czy będą mogli pójść i zamów nam stół na pierwszą trzydziestkę.

Dostrzegam Laurę zmierzającą w stronę wyjścia, która pracuje w dziale graficznym w czasie wakacji.

- Laura, chodź - rzucam ponad jej plecakiem. - Jeśli masz zamiar pracować w reklamie, powinnaś poznać też miłe strony tej pracy, a nie tylko harówkę.

Nie widziałam Laury około sześciu miesięcy, kiedy zadzwoniła i zapytała, czy nie mogłabym znaleźć jej pracy wakacyjnej. Ostrzegłam ją, że będzie od przynies, podaj, i że możemy jej zapłacić jedynie kieszonkowe.

- Nie szkodzi, Anno. Potrzebuję sprawdzić, czy rzeczywiście chce pracować w agencji reklamowej.

Obiecałam, że spróbuję coś znaleźć.

- A jak się ma Harry?

- Utrapienie - odpowiedziała wesoło. - Nie, wszystko dobrze. Naprawdę. Jest w szóstej klasie, zakochany w swoim komputerze. Zostaje w szkole każdego popołudnia i rozmawia z nim.

- Pozdrów go ode mnie.

O Donalda nie pytam. Nie rozmawiałam z nim od tego ranka w styczniu zeszłego roku po Gstaad.

Wróciłam stamtąd podniecona i radosna. Było naprawdę cudownie; udała mi się każda minuta mojego urlopu... z wyjątkiem dziwnego wybuchu Philipa Gilhama w Nowy Rok, o czym starałam się natychmiast zapomnieć. Być może tylko na jakiś czas, może później miałam wrócić do tego i przemyśleć dokładnie, co powiedział, ale wówczas jeszcze nie byłam na to gotowa. Wtedy kurczowo się

trzymałam świeżo zyskanej wiary w to, że jestem kochana, podziwiana i że mam prawo czuć się jak nastolatka.

Donald był zadowolony, że jestem znów w domu.

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie - powiedział, tuląc mnie do siebie w wielkim łożu w sypialni gospodarza.

Przepełniała mnie miłość i uczucie szczęścia; wystarczyło i dla Donalda.

Ale kilka dni później, kiedy sprzątałam ze stołu po śniadaniu, Donald wszedł do kuchni i powiedział:

- Daj sobie z tym spokój.

- Dlaczego? - Coś w jego głosie kazało mi się obrócić i spojrzeć na niego. Stał w drzwiach, był blady i drżący.

- Daj sobie spokój z tym domem, i z nami, na zawsze. Wychodzę do banku i wrócę o szóstej. Do tej pory ma cię tu nie być.

- Ale...? - Nie mogłam zrozumieć, co mu się stało. - O co chodzi, Donaldzie? O czym ty mówisz, na litość boską?

- Ty dziwko. Ty przekłeta dziwko. - Jego oczy patrzyły lodowato.

Słyszałam, jak Donald rozmawia przez telefon. Cóż z tego? Ale to była Phyllis, żeby złożyć swojemu eks - mężowi życzenia noworoczne i opowiedzieć o pewnym nadzwyczajnym zbiegu okoliczności. Jej przyjaciele, małżeństwo Einhovenów, właśnie do niej dzwonili, żeby opowiedzieć, jak wspaniale spędzili święta w "Palace Hotel" w Gstaad. I zgadnij, kto siedział w sylwestra przy sąsiednim stoliku? Tom. Natychmiast go rozpoznali, dzięki tej pięknej fotografii, którą Phyllis trzymała na swoim biurku w pracy, a poza tym widzieli go raz u niej na przyjęciu.

A więc Phyllis zapytała, jak to matka, czy Tom dobrze się bawił, a pan Einhoven aż nazbyt gorliwie opowiedział jej o nieprzyzwoitym zachowaniu naszej grupy, uwieńczonym lądowaniem korka od szampana w jego zupie.

"Tatuś musiał się poskarżyć kelnerowi, kochanie, ale nic takiego... Nie obraziliśmy się. Jest jeszcze taki młody. - To nieuchronnie musiało doprowadzić do informacji, że Tom był w towarzystwie kobiety, na tyle dojrzałej, że powinna lepiej wiedzieć, jak się zachowywać. "Przynajmniej o dziesięć lat starsza od Toma, kochanie" (w każdym razie dziękuję choć za to, pani Einhoven) i Phyllis wyciągnęła od nich rysopis tej starszej kobiety, którego nie

omieszkała teraz przekazać w najdrobniejszych szczegółach Donaldowi.

- Ale, Donaldzie...

- Nie zbliżaj się do mnie. Nie dotykaj mnie. Anno, jak ty mogłaś? Z Tomem? Jak długo to trwa? Pojechałaś tam spotkać się z nim? Boże, jaki ze mnie głupiec...

Nie było żadnego sensu kłamać. Opowiedziałam Donaldowi o moim spotkaniu z Tomem w Nowym Jorku... no, opowiedziałam mu możliwie najmniej o naszym spotkaniu w Nowym Jorku... i jak bardzo byliśmy sobą zafascynowani.

- Przypominał mi ciebie, tak musiałeś wyglądać, kiedy...

Donald patrzył na mnie ze znurzeniem.

- Och, oszczędź mi tego, Anno. Dość już namąciłaś. Idź już... po prostu idź... wynoś się.

- Ale co z dziećmi? Laurą... Harrym...

- Nieważne. Nie twój interes. Niedługo przyjdzie Su, pomoże ci się wyprowadzić, a ja zadzwonię po panią Jamieson.

Wróciłam do zmywania, bezmyślnie płucząc biały dzbanek, wycierając białe czyste blaty. Donald stał bardzo blisko. Czułam ogień jego gniewu na plecach.

- Wynoś się - zaczął krzyczeć.

Odeszłam od zlewu i mijając go, wyszłam z kuchni. Miałam mnóstwo pakowania. Dokumenty i segregatory, mój edytor tekstów. Słyszałam trzaśnięcie drzwi frontowych. Wyszedł. Opadłam na łóżko, radość i podniecenie zniknęło. Leżałam odrętwiała. Czułam się raczej jak sześćdziesięciolatka niż szesnastolatka.

- Anno? Jesteś tam?

Su Parsons wbiegła na górę, otworzyła drzwi i ujrzała pootwierane szuflady z ubraniami, segregatory i papiery.

- Co się dzieje?

Powiedziałam jej. Potrzebowałam życzliwej duszy. Su usiadła na łóżku obok i objęła moje drżące ramiona.

- Nie możesz właściwie mieć mu za złe, prawda? Wyobraź sobie, jak się poczuł, dowiadując się, że dzieli kochankę ze swoim synem.

- Nigdy nie sądziłam... nie sądziłam, że to wyjdzie na jaw.

- No. Jasne, że nie. Ile on ma lat? Musiałam się chwilę zastanowić.

- Dwadzieścia osiem... nie, teraz już dziewięć.

Twarz Su wyrażała mieszaninę dezaprobaty i podziwu zarazem
- Muszę powiedzieć, że się wyrobiłaś. Kiedy sobie pomyślę, jaka byłaś tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w kuchni. - Zaczęła przewracać oczami. - Bardziej przypominałaś konduktorke niż seks - bombę.

Felicja

Co ja odpowiedziałam Annie? Że jestem za próżna, żeby się zaniedbać.

Kiedy odjechała do Londynu tego strasznego dnia w listopadzie 1985 roku, wyrzuciłam gotowy omlet ze szpinakiem i poszłam na górę. Odsłoniłam zasłony w mojej sypialni, stanęłam naprzeciw lustra w mahoniowej ramie i po raz pierwszy od miesiący spojrzałam na siebie naprawdę uczciwie.

Kobieta, która patrzyła na mnie trwożnie z naprzeciwka, była... po prostu tłusta. Schudłam wprawdzie parę funtów, ale to było wciąż za mało. Moja fryzura przypominała, jeśli miałam być szczerą (a nadszedł wreszcie czas szczerości), fryzurę Dotty Maxwell. Nie przeszkadzało mi to u niej, ponieważ jej twarz promieniała dobrocią i życzliwością. Moja twarz nie miała wyrazu dobroci i życzliwości. To była twarz nieszczęśliwego człowieka. Brązowe spodnie sztruksowe, które kupiłam w 1983 roku były powypychane i jednocześnie za ciasne; stary, wygodny sweter kaszmirowy miał dziurę na łokciu, której nie miałam czasu zacerować, nie malowałam ust.

Weszłam do garderoby i wyjęłam jedną z moich ślicznych seksownych kreacji, którymi Antony tak się zawsze zachwycił. Nie mogłam zapiąć suwaka; może by ją trochę poszerzyć? Ale kiedy odwróciłam się i spojrzałam na siebie z boku, okazało się, że szyfon, który luźno spływał na figurze Felicji Harman, ciasno opina ciało Felicji Forester - Jones. Zdjęłam suknię i odwiesiłam na miejsce.

Jakie to miało jednak znaczenie? Traciłam Antony'ego.

- Fel, ktoś musi ci powiedzieć - odezwała się Anna

- i naprawdę wolałabym nie być tym kimś. Fel, Sol widział Antony'ego na lunchu z dziewczyną, która zdaje się jest jego nową asystentką...

- To są lunchy w sprawach zawodowych, Anno, nie mają żadnego znaczenia.

- Sol uważa, że to nie wyglądało niewinnie, Fel. Był bardzo zmartwiony.

- To dlatego był taki przygnębiony, kiedy przyjechał w zeszłym tygodniu. Jest naprawdę kochany. Podziękuj mu ode mnie, ale naprawdę nie musi się martwić, wszystko w porządku.

Spał w żółtym pokoju, żeby mi nie przeszkadzać... Sara nie wyszła mu pomachać na pożegnanie... "Myślę, że bardziej mogłabyś się interesować moją pracą, Felicjo..."

- Fel, jadłam wczoraj z Antonym lunch. Myślałam, że chce porozmawiać o dzieciach. Ale... powiedział, że to zabawne jeść znów razem lunch jak za dawnych czasów... dał do zrozumienia...

Muszę przyznać, że Anna starała się być taktowna odpowiednio preparując ich rozmowę. - W każdym razie zaprosił mnie na kolację. - Spojrzała na mnie przygnębiona.

- Oczywiście odmówiłam i powiedziałam, co o nim myślę. Fel, musisz walczyć.

- Po co? Ty nie walczyłaś.

- Wiem, ale dziś myślę, że słusznie. Byłam nieszczęśliwa i zgorzkniała... A wtedy jakiś głos musiał mi podpowiadać: teraz masz szansę. To wszystko - zatoczyła ręką - to nie byłam ja, tak naprawdę. Tu wszystko było dla Antony'ego. Teraz jestem sobą. Ale ty kochasz to życie, prawda? Więc nie daj go sobie odebrać.

- Ale ja nie chcę żyć bez Antony'ego.

- Nie musisz go stracić. Od kiedy straciłaś dziecko... Wiem, byłaś załamana i wygląd przestał się liczyć. Ale parę tygodni pracy nad sobą i znów będziesz wyglądała ślicznie.

- Nie tylko o to chodzi, Anno. Nie umiem już o niczym rozmawiać tylko o psach i kwiatach - powiedziałam posepnie. - Masz, oczywiście, rację, że wiele na to wskazywało. Ale udawałam, że tego nie widzę. Lubię iluzje - dodałam gorzko - właśnie przez to stałam się taką trzeciorzędną aktorką.

- Bzdura. Ludzie wciąż mówią o tobie. Wiesz co, przyjedź do Londynu, pójdz do Roberta i kup sobie parę ciuchów. Z przyjemnością pojedę z tobą. Mogę w poniedziałek i, ostatecznie, w czwartek. Pasuje ci?

- Miło z twojej strony, Anno, ale to nie ma sensu.

- Przecież chodzi o całe twoje życie, dzieci i Antony'ego. Weź się w garść, Fel. No to w poniedziałek.

- Zadzwoń.

Nie zadzwoniłam. Miałam zamiar, ale jakoś nigdy nie mogłam się zebrać.

Anna miała dobre intencje. Mimo wszystko, choć wiem, że trudno jej było powiedzieć mi o Antonym, minęło zaledwie dwa lata, od kiedy rzucił ją dla mnie - w podświadomości musiała się trochę cieszyć. Ale wydało mi się idiotyczne jej przekonanie, że lepsza fryzura i trochę nowych ciuchów może doprowadzić do szczęśliwego końca. Z pewnością dobre małżeństwo - a ja byłam przekonana, że nasze małżeństwo jest dobre - powinno się opierać na ważniejszych rzeczach niż wygląd. Dlaczego zawierając małżeństwo przysięgamy pozostać ze sobą w biedzie i bogactwie, chorobie i zdrowiu, nic nie wspominając o urodzie?

Nie mówiłam tego Annie. Takie rzeczy mogły ją interesować w 1985 roku. Teraz była przebojową kobietą interesów; jej atrakcyjność była jak nowa zabawka, którą się wyjmuje i przygląda jej. Ale wiele było w tej pozie fałszywych tonów - żenowało mnie na przykład, kiedy mówiła o mężczyznach.

- Nowy przyjaciel? - zapytałam raz.

- Wcale nie przyjaciel - odparła - tylko rozrywka. Nie mam czasu na trwałe związki. Tak przynajmniej nikt się nie czuje skrzywdzony.

Przetrwałam jakoś do końca tego koszmarnego roku spędzając dni na odkładaniu wszystkiego na jutro. Kiedy ustały wizyty Antony'ego, Sara stała się jeszcze czulsza, a Emily bardziej tajemnicza. W listopadzie nie przyjechał ani razu.

Jednak w środku grudnia musiał przyjechać na występy bożonarodzeniowe w szkole dziewczynek; Emily śpiewała solo „Pewnego razu w mieście króla Dawida”. Laura i Harry skończyli tego dnia naukę, więc Antony przywiózł ich razem z Anną. Anna miała zostać na noc, a rano wrócić do Londynu, żeby przygotować się na wyjazd do Gstaad, gdzie jechała spędzić święta Bożego Narodzenia.

- Jedziemy tam całą grupą - powiedziała. - Czy uwierzysz, że nigdy nie jeździłam na nartach? Nie mogę się doczekać.

Myślę niechętnie, że powinna więcej czasu spędzać z dziećmi, ale pytam:

- Kto będzie?

- O, Tom, Dick i Harry - odpowiada Anna wymijająco. Bardzo się napracowałam nad tymi świętami. Może nie wyglądam wspaniale, myślałam, a rozmowa ze mną nie jest zbyt fascynująca, ale nie ja będę winna, jeśli dom nie wypełni się świąteczną radością.

Zrobiłam ogromne kompozycje z bombek, a Mark zawiesił je w hallu pod sufitem. Wigilijny pudding, przy którego mieszaniu mieliśmy dyżury przez cały listopad, dojrzewał w spizarni. Babeczki z leguminą leżały w zamrażarce, a gęś kruszała. Wszędzie rozwiesiliśmy papierowe łańcuchy, choinka czekała w szopie na węgiel, aż ją wniesiemy do domu w dzień wigilijny, Antony i ja byliśmy dla siebie uprzedzająco uprzejmi.

23 grudnia wyjęli szopkę z kredensu, a młodsze dzieci zajęły się nią, obserwowane przez Laure, Sarę i Marka z zabawną pobłażliwością. „Jakie to miłe - pomyślałam, zostawiając ich z tym zajęciem - wbrew całej tej komercji, dzieci intuicyjnie wiedzą, co jest naprawdę ważne.

Kiedy, zaalarmowana podniesionymi głosami, wróciłam do nich, Harry wrzeszczał do Emmy: „Do cholery, oddaj mi Jezuska”. Mark przerzucał gumę do żucia przez papierowy łańcuch, opowiadając dość niesmaczny dowcip, a Sara i Laura obgadywały z zapalem pannę Selfridge.

Nagle pomyślałam zniechęcona, że każde z nich wyceni swój prezent w pięć sekund po otwarciu pudełka.

- Mam nadzieję, że spodoba się im zawartość pończoch - powiedziałam do Antony'ego.

- Na pewno. Może wyskoczmy do pubu napić się czegoś?

- Chyba się jednak położę. Jutro czeka mnie dużo pracy, a jestem strasznie zmęczona.

- Jak chcesz. - Odwraca się i włącza telewizor. Postarzał się w minionym roku, pomyślałam, i poczułam gwałtowną skruchę. Od miesięcy użalam się nad sobą. Ale przecież on także stracił dziecko.

- Och, sama nie wiem - mówię - drink dobrze by mi zrobił.

- Nie, masz rację. Zresztą w telewizji jest dobry film. A zatem oglądał dobry film i bardzo późno wszedł na górę. Słyszałam, jak się skrada i wchodzi do żółtej sypialni, żeby mnie nie obudzić. Wesółych świąt, powiedziałam do siebie.

To było pierwsze Boże Narodzenie, kiedy poszłam z nimi do wsi, żeby zobaczyć, jak kłękają krowy. W 1983 roku czułam, że z powodu

Anny, byłoby nietaktem z mojej strony wdzierać się w rodzinny rytuał, który z pewnością dużo dla nich znaczył; poza tym uważałam to za absurdalny objaw sentymentalizmu, typowy dla pretensjonalnej Anny. A w 1984 roku, oczywiście, kiedy byłam w drugim miesiącu ciąży, Antony stanowczo zabronił mi iść.

- Na dworze jest mroźno i ślisko. Lepiej zostań w domu i przygotuj nam coś gorącego do picia, kochanie.

A Emmy i Sara powiedziały:

- Cudownie będzie w przyszłym roku. Zabierzemy dziecko z sobą.

Kiedy o tym wspominam, wkładając kurtkę puchową i mało atrakcyjny wełniany kapelusz, żałuję, że obiecałam pójść z nimi w tym roku.

Ruszyliśmy w stronę obory pana Parkera, Mark nieudolnie oświetlał drogę pochodnią, która drżała mu w ręce z podniecenia, a twarze Emily i Harry'ego jaśniały radością; skoro dorośli opowiadają o krowach klękających o północy, a jakiś nieżyjący już staruszek nawet napisał o tym wiersz, to znaczy, że to prawda. Nawet starsze dzieci zrezygnowały ze swojej przemądrzałości.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, dokładnie o północy, wszystkie krowy leżały. Jedna z nich zaryczała. Zaniepokojone światłem i naszą obecnością, zaczęły się podnosić, w śmieszny sposób, w jaki wszystkie krowy się podnoszą...

- Patrzcie - woła Mark - tamta klęka. I tamta też, i następna.

- Uważam, że te, które leżą, klęczały wcześniej - oznajmia Emmy. - Przecież tutaj nie ma zegara.

Dla mnie jednak nie miało znaczenia, czy krowy klękały czy nie. Felicja która dwa lata temu buchnęła śmiechem na samą myśl oglądania krów w cuchnącej oborze, zmieniła się w kogoś, kto czuł się tym poruszony.

Zabrałam dzieci do Londynu, żeby zobaczyły świąteczne światła i gorzko tego żalowałam; pełno kramów z tandetą, naciągania na pieniądze, krzyku. Namówiłam ich na mszę wygłoszoną monotonicznie przez jakiegoś korpulentnego biskupa o tym, że myślenie o innych daje mniej szczęścia niż o sobie.

Ale jeśli nastrój Bożego Narodzenia był gdzieś, to był tutaj, z tymi dziećmi ożywionymi nadzieją i łagodnymi krowami, które się

nam przyglądały obojętnie. Nietrudno sobie wyobrazić żłób ukryty za kopą siana.

Spojrzałam na Antony'ego i pomyślałam: „Tak wiele mamy, na pewno nie dopuścimy do tego, żeby to stracić”.

Odwrócił się w moją stronę, ale było zbyt ciemno, by widzieć wyraz jego twarzy. Czy czuł to samo? Mało prawdopodobne, pomyślałam ze smutkiem, na pewno pomyślał: „Dzięki Bogu, że mamy to z głowy. Teraz duża whisky”

- Nie podoba mi się kaszel Daisy - rzekła Sara. - Zastanawiam się, czy obora ma wentylację, lepiej zadzwonię rano do pana Parkera.

W powrotnej drodze wsuwam rękę pod ramię Antony'ego.

- Wsuwka - mówię przepraszająco. Nie zareagował; nie włożył też mojej dłoni do swojej kieszeni, jak dawniej.

Podjęłam moje pierwsze i jedyne postanowienie noworoczne. Rok 1986 zapowiadał się na okres wielkich decyzji. Felicja Forester - Jones była w odwrocie.

Anna

Deska do prasowania nadal stała na swoim miejscu w kącie gościnnego pokoju. Wyglądała nieco bardziej przyjaźnie, kiedy zakryłam ją kaszmirowym płaszczem.

Zadzwoniłam do mamy tego ranka, kiedy Su poszła do swojego męża (Jim jest malarzem i tego dnia pracował w pobliżu, w domu na Finchley Road), żeby przewiózł samochodem moje rzeczy. Mama była zdumiona:

- Niezupełnie rozumiem, o czym mówisz, kochanie. Dlaczego tak nagle wyprowadzasz się z St. Jone's Wood? Myślałam, że jesteś zadowolona.

- Wyjaśnię ci, kiedy przyjadę. I oto znów tu jestem..

- Filiżankę herbaty? - Matka z przerażeniem rozgląda się po pokoju. - Boże, jaki bałagan. Co z tym wszystkim zrobisz?

Uspokoiliam ją, że znajdę jakieś mieszkanie, ale czy do tej pory mogę u niej zostać.

- Oczywiście - uśmiecha się dzielnie - tak długo, jak zechcesz. - Żałując jednak pochopnego zaproszenia, szybko dodaje: - Dopóki czegoś nie znajdziesz, oczywiście. A teraz mów, co znaczy ta nagła wyprowadzka.

Opowiem jej o Gstaad, usuwając drastyczne kawałki erotyczne, ale matka nie jest głupia.

- Czy chcesz mi powiedzieć lub raczej nie chcesz mi Powiedzieć, że miałaś romans z Donaldem Harmanem i jego synem?

- Tak. - Nie mam odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Doprawdy. - Ona chyba się nie śmieje? Owszem, śmieje się. Matka nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

Zadzwoiłam do Felicji, żeby jej powiedzieć, gdzie jestem i uspokoić ją co do Laury i Harry'ego.

- Może teraz Donald pozwoli mi je częściej zabierać do White Walls - powiedziała z wyrachowaniem. Po chwili wahania zaryzykowała: - A więc... już skończone między tobą i Donaldem?

- Ale to nigdy nie było...

- Oj, Anno, od dawna wiem, że byliście kochankami.

- Ale skąd?

- Dzieci, oczywiście. Nie, nie powiedziały tego wprost, ale nie są głupie. Harry mówił kiedyś, jeszcze w pierwszym roku, że cieszy się, że tatuś ożeni się z Anną, bo nie będzie samotny. A kiedy zapytałam, skąd o tym wie, powiedział: „Tata i Anna czasami śpią w jednym łóżku, a to prawie tak, jakby byli małżeństwem, prawda?”

- O Boże - Czułam się upokorzona. - A reszta?

- Nigdy nic nie mówiły, są zbyt zakłamanani lub czuli się zakłopotani, chyba... z wyjątkiem Marka.

- Marka? - Uważałam, że on ma najmniejsze pojęcie z moich dzieci o tajemnicy życia.

- Tak. Kiedyś wrócił od was bardzo zły i smutny i powiedział: „Nie życzę sobie, żeby Donald dotykał mamę... jakby była jego własnością”.

- Och, Fel... Nie chciałam zranić dzieci. - Tak mi przykro. Z powodu dzieci. - Nie miałam zamiaru opowiadać jej o Tomie.

- Nie ma powodu. Dużo lepiej było widzieć was szczęśliwych, niż chłodnych i obcych sobie, tak jak było między mną i Donaldem. Co teraz zamierzasz?

- Znaleźć mieszkanie - odpowiadam. Może jakiś mały i ładny domek w Kensington.

Ale szybko się okazuje, że małe ładne domki w Kensington kosztują więcej niż duże ładne domy w Wiltshire; a ja mam tylko połowę sumy ceny ładnego dużego domu w Wiltshire.

Po rozwodzie Antony wycenił dom na 75 000 funtów. Szybko się zemściłam biorąc swojego rzeczoznawcę, który stwierdził, że mógłby być wart 150 000 funtów „gdyby coś zrobić z tym okropnym grzybem pod okapem”.

- 150 000? - oburzył się Antony. - Bzdura. Nikt nie zapłaci tyle za stary dom bez centralnego ogrzewania.

A więc zwróciliśmy się do pana Smileya i pana Dwyera, którzy napisali do siebie kosztowne listy, co przyniosło w efekcie niezależną wycenę na 100 000 funtów.

Matka i ja znów studiowałyśmy z zapalem ogłoszenia, jak kiedyś oferty pracy, i znów przekonałyśmy się, że są strasznie kłamliwe. Potrzebowałam przynajmniej trzech pokoi (dla dzieci, kiedy będą u mnie w Londynie), gdzieś w pobliżu metra, żebym szybko mogła dotrzeć do „Delphica”. Powtarzałam to wszystkim agentom, a oni przysyłali mi informacje o dwupokojowych mieszkaniach daleko od metra. Rozpuściłam wici wśród znajomych i przyjaciół i pewnego dnia Pauline Jarvis, moja dawna szkolna koleżanka, zadzwoniła do mnie z wiadomością, że słyszała o „zupełnie fantastycznym mieszkaniu w Chiswick”.

Informacje pośrednika upewniły nas, że to była „wyjątkowa okazja nabycia gustownego, trzypokojowego mieszkania w wytwornym domu z ogrodem i portiernią”. Co więcej, dom znajdował się w bardzo dogodnym miejscu.

Pognałyśmy z Pauline do pośrednika, żeby nikt nas nie ubiegł w skorzystaniu z tej wyjątkowej okazji.

- To teraz bardzo modna okolica - poinformował Tristram, młody pośrednik w sprawach kupna i sprzedaży, lawirując zręcznie samochodem między starymi puszkami i różnymi odpadkami i parkując przed odrapanym domem z trzydziestych lat.

Rozejrzałam się wokół - wszędzie brud i śmieci.

- Dogodne położenie? - zdziwiłam się.

- Mieszkanie - odparł Tristram z teatralnym gestem - znajduje się po drugiej stronie.

Paulina uznała, że można bardzo ładnie urządzić nieciekawe kwadratowe pokoje, fiołkoworóżową łazienkę i kuchnię wyposażoną w laminowane blaty.

- Można to urządzić, Anno, na pewno można. A mieszkanie jest wyjątkowo tanie.

Przypadkiem wiedziałam, że Paulina i jej mąż mieszkali w eleganckim mieszkaniu z tarasem w pobliżu Westbourne Grove, które kupili parę lat temu za 15 000 funtów.

- A chciałybyś tu mieszkać?

- No, nie - przyznała - ale to co innego.

Wszyscy zdaje się, uważali, że skoro jestem samotną osobą, to nie stać mnie, czy też z innych przyczyn nie powinnam mieszkać tak przyjemnie jak oni. Zupełnie jakbym miała być karana, że się rozwiodłam: „skazana na wygnanie na przedmieścia lub rudery w slumsach. „Jesteś zbyt grymaśna” - powiadała matka. Chociaż miałam własne biuro w „Delphic”, w którym przebywałam do wieczora, zaczynałyśmy sobie działać na nerwy.

Pewnego dnia zadzwoniłam do Su, żeby zapytać o Laurę i Harry'ego; bardzo się do nich przywiązałam.

- Mają się dobrze - powiedziała. - Teraz są na wsi u Fel.

- A Donald?

- Też dobrze. - Z jej głosu wywnioskowałam jednak, że się jej czymś naraził.

- Zadaje się z jakąś smarkatą Amerykanką - jakąś tam Marcją. Wciąż tu przychodzi i wszędzie wtyka nos. Powiedziała mi, że serwetki były niewystarczająco wykrochmalone, kiedy była hostessą na jednym z przyjęć Donalda. Głupie ciele. Powiedziałam, żeby poszła do pralni „Blue Bag” i złożyła reklamację, bo oni się zajmują krochmaleniem naszej bielizny. A co u ciebie, Anno? Jak leci?

- Dobrze - odpowiadam automatycznie, po czym jednak przyznaję, że kiepsko i że jestem całkiem załamana, bo nie mogę znaleźć mieszkania. - To na co mnie stać, nie podoba mi się, a na to, co mi się podoba, nie stać mnie.

- Wiem, jak to jest - odpowiada Su. - Ale posłuchaj, Jim już skończył na Finchley Road. Teraz pracuje gdzieś w Maida Vale. W jakimś starym czynszowym domu. Mówi, że straszna ruina. Remontuje go jakiś przedsiębiorca budowlany. Może coś się tam znajdzie, zanim dom trafi w ręce pośrednika. Porozmawiam z Jimem i dam ci znać.

Nazajutrz powiadomiła mnie, że Jim dowiedział się, że urządzone mieszkania będą kosztowały około 135 000 funtów, ale parę nie zmodernizowanych mieszkań ma iść za połowę ceny.

Jim powiedział, że może je zrobić dla ciebie, kiedy skończy. Są takie same, jak tamte: cztery pokoje, długie korytarze, śliczne, stare, kominki. Może chcesz obejrzeć?

Dwa miesiące później przeprowadziłam się do Vangbrous Mansion z niewielkim długiem i pożyczką z banku na dziesięć tysięcy funtów, aby zapłacić Jimowi za wykonanie niezbędnych prac. Zostawiłam oryginalne kominki i gzymsy, wielką białą wannę na zardzewiałych nóżkach i klozet z drewnianą pokrywą. Był tam nawet dzwonek na sznurku dla służby, ale cudowne w moim mieszkaniu było głównie to, że nie było w nim nikogo prócz mnie.

Całe życie mieszkałam w domach innych ludzi, wciąż wypytywana przez nich: „Dokąd idziesz, Anno?”... „Kiedy wrócisz, Anno?”... „Co robisz, Anno?”...

Ograniczona przez obyczaje matki? („Mleko się stawia na górną półkę w lodówce, nie na dolną”), nękana przez dzieci („To wina Marka, mam, on zaczął”), bądź ciągnięta do łóżka przez mężczyznę, który ma ochotę właśnie wtedy, kiedy ja mam właśnie ochotę skończyć rozdział szósty („Odłóż tę głupią książkę, Anno, i chodź tutaj”), marzyłam, żeby się rozplątać w anonimowości.

A mam to teraz. Jestem sama, ale nie samotna. Przez pierwszy tydzień chodzę po pokojach delektując się ciszą, mam łóżko, stół i parę krzeseł i nic więcej mi nie potrzeba. Dekorator wnętrz, któremu moja przyjaciółka zapłaciła niezłą sumę za porady, jak urządzić salon, powiedział jej z lekceważeniem: „Doskonałość to jedna doskonała róża w doskonałym wazonie”. Trochę to banalne, ale wiem, co miał na myśli. Przez lata byłam zavalona dziedzicznymi i nabywanymi przedmiotami, więc teraz nie miałam zamiaru nic kupować, dopóki nie będzie takiej konieczności.

Moim pierwszym zakupem były dwie włoskie lampy w stylu rokoko. Podniecona przywiozłam je do domu i natychmiast zdałam sobie sprawę z głównej wady samotnego życia. Lampy nie miały wtyczek, a wszystko co wiedziałam na ten temat to to, że jeśli złą końcówkę włożysz do kontaktu, to dzieje się coś okropnego.

Wpadłam na genialny pomysł wezwania elektryka.

- Jakies kłopoty? Coś z kontaktami? - Przycupnął na Podłódze i zaczął sprawdzać. - Wszystko w porządku. Dopiero wymieniane, prawda?

Potwierdziłam i wyznałam, że kontakty są w porządku, tylko, że nie wiem, jak to działa.

Podniósł torbę.

- Nabiera mnie pani. Za przyjscie należy się piętnaście funtów, wie pani o tym?

- Nie szkodzi. - Uśmiecham się do niego, czarująco, jak miałam nadzieję. - Zapłacę piętnaście funtów, a pan mnie nauczy, jak się wymienia kontakty i wtyczki.

Potem tak samo opłaciłam prywatną lekcję u hydraulika. Ze starego mosiężnego kranu w łazience ciekła woda i prawie na pewno trzeba było wymienić uszczelkę. Nie miałam o tym zielonego pojęcia.

W przerwie szkolnej dzieci przyjechały do mnie ze śpiworami i rozbiły się w mieszkaniu. Strasznie im się podobało. Zostawiając Marka przed telewizorem, wychodzę z dziewczynkami, żeby kupić trochę drzewa sosnowego do kominka.

Sara pięknieje z dnia na dzień. Zdaje się, że nadal marzy o weterynarii, a ja się zastanawiam, czy to dobrze. Tyle lat ciężkiej pracy, żeby potem całe życie spędzać na oglądaniu krowich wymion.

- Czy jesteś pewna, że to nie tylko dziecięce marzenie? - zapytałam. - Małe dziewczynki, które uwielbiają żrebaki, zawsze planują, że zostaną weterynarzami, kiedy dorosną.

Oczy Sary błyszczą.

- Oj, mam, czy ty nic nie rozumiesz. Ja nie jestem małą dziewczynką. Mam szesnaście lat i od dawna pod tym kątem się uczę. Jak myślisz, dlaczego wybrałam przedmioty ścisłe?

Nie mogłam nic odpowiedzieć, bo, szczerze mówiąc, nie wiedziałam, że Sara wybrała przedmioty ścisłe. Za mało wiedziałam o moich dzieciach; spotykałam się z nimi tak rzadko w tych minionych przełomowych latach.

- Skoro jesteś pewna. A, co na to Fel i tata?

- Są za tym, naturalnie. - Wybiega z pokoju wołając: - Oni się interesują.

Miałam ochotę zawołać ją, skłonić, żeby przeprosiła, ale miałam przykrą świadomość, że jest sporo prawdy w tym, co powiedziała. Czy mnie to interesowało? Pewnie, że tak, ale w tym momencie byłam świadoma jedynie smutnego uczucia, że znów zostałam pochwycona przez wir rodzinnych napięć i obowiązków; spokój mojego mieszkania został zakłócony.

Teraz, kiedy miałam cztery pokoje, zastanawiałam się czy nie powinnam wziąć dzieci do siebie, ale, jak zawsze, widać było po nich, że pragną wrócić do White Walls. Przez parę tygodni nękało mnie natrętne pytanie; czy zgadzam się na to, żeby mieszkali z Antonym i Felicją, bo tak jest najlepiej dla nich, czy też dlatego, że tak mi wygodniej? Uczciwa odpowiedź byłaby, że z obu powodów.

Felicja

Sara wchodzi do pokoju narzekając na ból ręki.

- Co się stało, kochanie, czy ugryzł cię pies?
- Pomagałam panu Garnerowi zaszczepić żółwia.
- Gdzie, na litość, szczepiłaś żółwia?

- Trzeba podnieść tylną nóżkę, a kiedy poczuje ukłucie gwałtownie ją chowa, a ty się walisz w skorupę. Muszę iść na parę wizyt.

- Sara, ty stanowczo za ciężko pracujesz. Czy przypadkiem nie przesadzasz. Przecież masz ferie.

- Muszę, chcę się dostać do Edynburga.

Rok 1986 był bardzo dobry dla Sary. Same piątki i jedna czwórka, (cholerny francuski, ostrzegałam cię). Uparła się, żeby ją przyjęto do szkoły dla chłopców.

- Świetne warunki, Fel, gdybyś widziała ich laboratorium. I panuje tam zupełnie inna atmosfera. Znam parę dziewczyn, które tam chodzą, i mówią, że jest wspaniale - traktują ich jak dorosłych. Szkoła dla dziewcząt - mówi Sara z pogardą - pełno w niej drażniących kobiet i drażniących przepisów o skarpetkach na lekcje gimnastyki.

Dzwoni Anna.

- Czy Sara poważnie chce iść do Somerton?

- Na to wygląda.

- Myślę, że spróbuje ją namówić na pigułki.

- Och Anno, - jęknęłam, zaniepokojona - naprawdę, uważam, że... życie Sary w Edynburgu będzie się obracało jedynie wokół weterynaryjnych książek... Może się poczuć dotknięta...

- W Edynburgu? A po co, u licha, ona chce tam jechać?

- Dick Garner twierdzi, że tamtejszy wydział jest najlepszy. On tam, oczywiście studiował, i Sara uważa, że to sam szczyt.

- Dick Garner? Często go widuje?

- Spędza w przychodni każdą wolną chwilę. To jeden z warunków przyjęcia na uczelnię. Muszą dostać przynajmniej trzy piątki i spędzić jakiś czas, cytując: „z praktykującym weterynarzem”.

- Najwyższy czas, żebym sobie porozmawiała z tą pannicą. Przyślij ją do mnie na lunch w przyszłym tygodniu. Koniecznie w środę.

Po powrocie z lunchu, Sara wbiega na górę i z trzaskiem zamyka drzwi do swojego pokoju. Kilka godzin później, kiedy szykowałam kolację, zeszła i zrobiła sobie kawę.

- Jak lunch, kochanie?

- Umiarkowanie jadalny. Zbeształam kelnera za uduka żabie w menu, a mama była strasznie zła. - Zawahała się i zaczęła kołysać kubkiem. Miała zaczerwienioną twarz.

- Powiedziała... powiedziała, że jeśli chcę iść do Somerton, to żebym lepiej zaczęła brać pigułki.

- No wiesz, matki zawsze się martwią.

- A potem zapytała, ile czasu spędzam z Dickiem Garnerem. Pan Garner, Fel, ma około dziewięćdziesiątki. Co jej się stało?

- Staraj się ją zrozumieć, Sara. Tak ciężko pracuje...

- Przysiadł się do nas na kawę jakiś starszy facet o imieniu Ned czy Bud. Opowiadali sobie dowcipy, których nie rozumiałam, a potem on powiedział - Sara postawiła mocno kubek - czy wiesz co powiedział? „Taka piękna dziewczyna nie powinna marnować czasu na weterynarię. Z taką figurą, spokojnie możesz zostać modelką”. Byłam okropnie niegrzeczna - powiedziała z pewnym zadowoleniem - a mama znów się zezłościła.

- O Boże, jestem pewna, że nie miała na myśli...

- Miała na myśli, że w chwili, kiedy spotykam się z jakimś przyszczatym chłopakiem, (albo z weterynarzem staruszką) kładę się na plecy i mówię; proszę bardzo. Problem w tym, że wasze pokolenie myśli schematami. Wydaje się wam, że to wy wymyśliliście seks. Same wiemy, kiedy mamy zacząć brać pigułki. Nie sypiam ze wszystkimi - Sara wybuchnęła płaczem - jak niektórzy ludzie. Anna dzwoni wieczorem.

- Fel, przykro mi, Sara jest taka trudna. Pewnie niełatwo sobie dajesz z nią radę. Nie wiem, czy się zgodzę na ten śmieszny pomysł z weterynarią. Ona się nie nadaje. Z jej wyglądem...

- Wcale nie jest trudna. Po jaką cholere prosilaś jakiegoś Neda czy Buda, żeby się wtrącał?

- Naprawdę nie powinno cię to obchodzić.

- Anno, przestań na chwilę i zastanów się, co ty wygadujesz. Masz radość z tego, że używasz swoich zdolności, tak jak tego chcesz. Dlaczego, u diabła, odmawiasz tego przywileju swojej córce? - Byłam tak zła, że zamiast „przywilej” powiedziałam „przewilej”, ale Anna doskonale zrozumiała.

- Rozumiem, świetnie rozumiem, co jest grane. To twój pomysł, prawda? Nie udało ci się w Londynie, więc chcesz, żeby wszyscy ludzie wokół ciebie wiedli taki sam nudny, prowincjonalny tryb życia.

- Weterynarze cieszą się wszędzie dużym szacunkiem. Zresztą nie ty będziesz decydowała, tylko Sara.

- Zobaczymy jeszcze. Porozmawiam z jej ojcem. „To niewiele zmieni” - pomyślałam.

W dniu, w którym Sara otrzymała świadectwo szkolne, Antony otworzył szampana, nawet młodsze dzieci dostały po łyżku.

- Oj - krzywiły się - czy jest cola?

- Dziesięć piątek - wciąż powtarzał - dziesięć piątek. Założę się, że nikt więcej w szkole nie ma takiego świadectwa.

- Nie wiem - odpowiedziała Sara. Chyba jednak wiedziała, bo cały wieczór spędziła przy telefonie, mówiąc: "Och, biedna Jackie, tak się uczyła... i nie udało się. Antonina też nie? A czy wiesz, co z Liz...?"

Oczywiście najpierw zadzwoniła do Anny. Kiedy poszła do drugiego telefonu, pomyślałam, że to okropne, że Anna nie widziała, jak Sara otwiera kopertę; słyszeć taką wspaniałą wiadomość i nie móc jej uściskać.

Sara wróciła rozpromieniona.

- Mama krzyknęła z radości - cieszyła się. - Powiedziała, że jeśli ktoś chce ją znaleźć, niech patrzy do góry, bo chodzi ze szczęścia po suficie. A potem powiedziała... - głos Sary przycichł - że cudownie byłoby, gdybym studiowała anglistykę na uniwersytecie i pracowała z nią.

- A ty nie powiedziałaś, że wolisz weterynarię?

- Mniej więcej, nie sędzę, by mówiła poważnie.

Na drugi dzień rano Antony pojechał do Salisbury i kupił nowe wydanie „Informatora o szkołach wyższych” Briana Heapa.

- A niech to, tata - jęknęła Sara - piszą, że na weterynarii jest największa konkurencja. I że trzeba mieć już trochę doświadczenia.

- Żal mi innych kandydatów, nie wiedzą, że będą mieli do czynienia z tobą. Zadzwoń później do Dicka Garnera. Nie może odmówić, za te wszystkie pieniądze, które mu płacimy od lat.

A potem Antony zrobił coś naprawdę miłego.

- Brawo, Laura - powiedział, obejmując ją - pamiętasz ten pastelowy obrazek przedstawiający pole w czasie powodzi? Dałem go do oprawy i powiesiłem w swoim gabinecie. Zaproponowano mi za niego sto funtów.

- Setkę? - zdziwił się Mark. - Co zrobisz z pieniędzmi?

- Figę! Powiedziałem, że nie jest na sprzedaż. A za parę lat będzie mógł popatrzeć na obraz wart tysiąc funtów.

Laura promieniała, a Antony dodał z emfazą:

- Nie mogę się doczekać, aż się zestarzeję, otoczony samymi talentami. Wy dwie i Emmy na scenie... Mark - szefem Lloyda, a Harry król komputerowy... a Felicja...

- Co będzie robiła Fel? - zapytała Emmy.

- Będzie mnie zadziwiać do końca życia - odpowiada Antony.

Anna

Bob i Maddy często wspominali, że odkładają pieniądze dla mnie, bym mogła założyć firmę. Sześć miesięcy temu przyszedli do mojego maleńkiego biura w Delphicu i oznajmili, że już najwyższy czas.

Nasza agencja miała za dużo pracy, by mogło jej podołać tak niewielkie biuro i jedna zaharowana sekretarka, i otwierały się przed nami dalsze, nęcące perspektywy. To był, według McMahonów, idealny moment, żeby uwolnić trochę zysków Delphica od podatków; zbiegiem okoliczności zwolniło się ostatnie piętro w ich budynku.

- Możesz je wynająć za nominalną opłatę czynszową, dopóki nie staniesz na nogi - powiedziała Maddie. Bob wręczył mi ogromny plik papierów. - To nie jest gest charytatywny, Anno. Inwestujemy tam, gdzie się spodziewamy największych zysków. Nasz adwokat przygotował wstępną umowę. Przejrzyj ją, niech twój adwokat podpisze i daj znać.

Podziękowałam i próbowałam przestudiować dokumenty. Bardzo się rozwinęłam przez ostatnie trzy lata, ale nadal nie mogłam patrzeć na długie kolumny cyfr i prawne formuły bez obłędu w oczach.

Zaniosłam papiery do pana Dwyera, który przejrzał je uważnie i oznajmił, nieco zakłopotany:

- Obawiam się, że nie pomogę pani. To nie moja specjalność, pani Brown. Potrzebuje pani adwokata, który jest lepiej obeznany z prawem handlowym.

Polecił mi „Carmichael Gilham”.

- O ile pamiętam, zna pani Gilhama. - Oddał mi dokumenty. - Na pani miejscu udałbym się z tym do niego.

Ostatni raz udałam się do Philipa Gilhama, kiedy tak stanowczo zdjął moje ręce z szyi i powiedział, że robię z siebie straszną idiotkę. Był ostatnią osobą, z którą chciałabym omawiać podpunkt 4 Ustawy o Spółkach ze zmianami od 1948 do 1967.

Byłam prawie wdzięczna Sarze, że dała mi pretekst do odłożenia decyzji i zajęcia się jej sprawami.

Postanowiłam pójść do Somerton, do drugorzędnej szkoły publicznej dla chłopców w Wiltshire, świetnej w przedmiotach ścisłych i dobrze przygotowującej uczniów do college'ów rolniczych, która do szóstej klasy przyjmowała również dziewczęta. To był okropny pomysł, wołałabym, żeby poszła do jakiejś znanej szkoły, gdzie poziom nauczania ogólnego jest wyższy i gdzie miałyby sposobność poznania paru sensownych młodych ludzi.

Powiedziałam o tym Antony'emu, który się ze mną nie zgodził.

- Somerton to świetna szkoła - powiedział z zapalem. - Bardzo ją cenię. Sara nie potrzebuje spotykać sensownych młodych ludzi. Pamiętaj, jakie ma świadectwo.

Przegrawszy tę bitwę, dochodzę do wniosku, że muszę z nią porozmawiać o pigułkach antykoncepcyjnych. Tego jednego nie mogłam zrzucić na Fel, choć przyznam, że miałam ochotę. Ostatnio trudno się z Sarą dogadać. Wygląda jak anioł, ale wysławia się jak wieśniaczka, która uwierzyła naiwnie w broszury Greenpeace. Przedstawia swoje opinie tak agresywnie, że od razu mam ochotę się z nią kłócić.

Zadzwoeniłam do White Walls, żeby porozmawiać z nią o Somerton, ale odebrała Felicja. Chciałam z nią porozmawiać o pigułkach (jestem przerażona działaniem ubocznym, ale myślę, że nie można wymagać od nauczycieli, by pilnowali nastolatków), ale w chwili, kiedy wymówiłam słowo „pigułka” strasznie na mnie napadła. Czasami wołałabym żeby Felicja nie traktowała Sary jak swojej córki.

A jednak dowiedziałam się, gdzie Sara rozwija swoje farmerskie słownictwo. Przebywała w towarzystwie tego upiornego nudziarza, Dicka Garnera. Wysoce niestosowne. Dick być może jest dobrym weterynarzem, ale mówiło się, że zapładnia córki okolicznych farmerów tak skutecznie jak szczepi krowy ich ojców. Będę musiała z nią o tym porozmawiać. To nie będzie łatwy lunch.

Sara przyszła punktualnie.

- Świetnie, że jesteś. - Odkładałam plik raportów na później i wstaję od biurka, żeby ją pocałować. Pocałowała mnie z przymusem w policzek i zaczęła oglądać gabinet.

- Bardzo szykowny - mówi tonem, który raczej oznacza: „Bardzo nieprzyjemny”.

Nie mogę się dać sprowokować.

- Cieszę się, że cię widzę, kochanie. Idziemy do Chez Victor, ładnie tam i przytulnie. Przychodzi tam dużo aktorów i chociaż właściciel nie grzeszy uprzejmością, jedzenie podaje wyśmienite.

Sara patrzy obojętnie, jak Victor, swoim zwyczajem, pokazuje mi najmniejszy i najbrzydszy stolik, a potem pozwala mi, z lekceważącym gestem Francuza, przejść do wolnego stolika z wygodną kanapą.

- Głupie ceregiele.

- Rzeczywiście - zgadzam się spokojnie. - Acha, menu. Kiedy kelner stanął obok Sary, z bloczkiem i ołówkiem w dłoni, Sara gwałtownie odkłada menu, tak jakby ją poproszono, żeby zatwierdziła listę zbrodniarzy wojennych.

- Grenouilles? - wykrzykuje - chyba nie piszą tego poważnie? Zabie udka?

Kelner cmoka w koniuszki palców i zapewnia, że grenouilles są wspaniałe, to przysmak. Nie wyczuł niebezpieczeństwa, tak jak ja. - Czy zaczniemy od udek, mademoiselle?

- Ja na pewno nie - mówi głośno Sara - i uważam, że nikt nie powinien ich jeść. To odrażające.

- Non, non, mademoiselle... delicieuses...

- Może są smaczne - mówi Sara wciąż tym samym tonem - ale to odrażające jeść je. Podejrzewam, że jest pan albo zbyt głupi, albo zbyt łakomy, żeby wiedzieć, że pewne gatunki żab są zagrożone...

- Sara, dość tego - przekrzykuję ją i ściskam za ramię. - Opanuj się. Jak śmiesz tak mówić do kelnera - syczę.

W tych okolicznościach byłoby nierozsądne zamawiać żabie udka, choć miałam na nie ochotę. Zamówiłam pasztet, podczas gdy Sara studiowała pilnie menu z podobnym entuzjazmem, co Harry i Laura niegdyś posiłki gotowane przeze mnie.

- Och, na litość boską, Saro, przestań zachowywać się jak dziecko. Weź stek i sałatę. Lubisz to.

Pozwoliłam jej dotrzeć do połowy steku i nudnego wykładu o ratowaniu jakiegoś wieloryba i skierowałam rozmowę na Somerton i pigułki.

- Pigułki?

- Kochanie, przestań krzyczeć. Czy wszyscy nas muszą słyszeć? Sara odłożyła nóż i widelec i złowieszczo zacisnęła usta.

- Sama widzisz. To tak obrzydliwe, że wolisz, żeby nikt nas nie słyszał; ale nie przeszkadza ci rozmawiać o tym z własną córką.

Zastanawiam się zmieszana, czy ten wybuch złości nie jest przypadkiem wynikiem tego, jak się zachowują wokół niej dorośli - Antony, Donald, Felicja i ja - ponieważ nie było nic nadzwyczajnego w fakcie, że matka rozmawia z siedemnastoletnią córką o antykoncepcji.

Plotę coś, że lepiej być zabezpieczonym niż potem żałować, a Sara oświadcza, że nie chce o tym dłużej mówić.

- No dobrze. - Było chyba błędem po tym wszystkim wspominać o Dicku Garnerze. - I jeszcze jedna sprawa...

- Jeszcze coś? - Nigdy bym nie podejrzewała, że taka śliczna buzia może się stać brzydka i zacięta.

- Ten okropny stary weterynarz - powiedziałam.

- Trzymaj się z dala od niego.

- Chyba nie masz na myśli Dicka Garnera. Dlaczego?

- Bo ma okropną opinię, właśnie dlatego. Nie zapominaj, że mieszkałam tam przez wiele lat. Wszystkim było wiadomo, że żadna kobieta poniżej sześćdziesiątki nie jest bezpieczna w okolicy jego gabinetu.

- Chyba nie mówisz poważnie... Dlaczego?... On nigdy... Piskliwe protesty Sary przerywa okrzyk:

- Anno! Jesteś. Szukam cię wszędzie. Wyobraź sobie, że poszedłem nie do tego Victora.

To Bud Elphic. Bud i Ned przyjechali do Londynu parę dni temu i zapomniałam, że wczoraj wieczorem wspomniałam Budowi po

trzeciej... a może czwartej brandy, że wybieram się z moją córką na lunch do Chez Victor: „Przyjdź ją poznać, jest naprawdę urocza”.

- Czy mogę się przysiąc? - pyta siadając.

- Oczywiście, Bud. Będzie nam miło. - Przedstawiam ich sobie. Sara lekceważy przyjazne powitanie Buda i patrzy na niego takim wzrokiem, jakby był porcją żabich udek.

- To wielka radość poznać cię - zwraca się do niej Bud.

- Anna dużo mi o tobie opowiadała,

- Naprawdę? - odzywa się Sara wyniośle. - Nie sądziłam, że dużo o mnie wie.

- Nie zwracaj uwagi, Bud - wtrącam się pogodnie. - Sara jest trochę zdenerwowana. Miałyśmy poważną rozmowę i, zdaje się, że nie przepada w tej chwili za mną.

- Poważne rozmowy mamusi i córeczki, he? - uśmiecha się. Jest naprawdę nieznośny. - Powiem ci, że powinnaś słuchać mamy. Jest naprawdę kimś. Prowadzi interesy, mówi po francusku, jak ojczystym językiem. Pamiętasz, jak w Auberge wyłudziłaś od Francoise paczuszkę koki? Ale byłaś bezczelna i potrafisz się ubrać. Pamiętasz, Anno, swoją kreację sylwestrową?

Wolałabym zapomnieć. Miałam też rozpaczliwą nadzieję, że tę kokę dostałam od kogoś w Auberge dzięki swojemu sprytowi.

- Szkoda, że nie widziałaś wtedy matki. Królowa balu w Gstaad. A wiesz, co miała na sobie? - klepnął się po udach z uciechy na wspomnienie balu, nie widząc, że ani ja, ani Sara wcale się nie uśmiechamy.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiada Sara z rezerwą.

- Wyobraź sobie, że negliż. - Bud buchnął solowym śmiechem i przywołał kelnera. - Trzeba to uczcić butelką szampana.

- Ja dziękuję - odpowiedziałyśmy chórem. Bud patrzył ze zdziwieniem.

- Hej, dziewczyny, co z wami?

- Mam dużo pracy dziś po południu - wyjaśniłam. - A Sara musi wracać na wieś.

Zamówiłyśmy więc kawę zamiast szampana i, w nadziei, że to go powstrzyma od dalszych wspominków, powiedziałam Budowi, że Sara ma zamiar zostać weterynarzem. Bud odchylił się w krześle i zaczął mierzyć ją wzrokiem.

- Weterynarzem? Nie wiem, dlaczego taka piękna dziewczyna jak ty chce tracić czas na takie rzeczy.

- To nie jest strata czasu - odpowiedziała Sara. - To ciekawy i pożyteczny zawód.

- Nie będzie to może stratą czasu dla naszych niemych przyjaciół - zgodził się Bud - ale dla ciebie? Dziewczyna z twoją urodą może być czołową modelką na okładkach wszystkich magazynów w całym kraju.

Uważał, że to komplement. Sara, jak przewidziałam, przyjęła to jako obrazę. Wstała, spojrzała na Buda z gniewną pogardą.

- Nigdy w życiu nie słyszałam nic równie głupiego. Ale ostatecznie wszystko, co pan powiedział od początku było głupie. Muszę już iść.

- Przepraszam, Bud - położyłam rękę na jego dłoni, na znak, jak mi przykro. - Wybacz jej. Niechcący wciągnęłam cię w awanturę rodzinną.

- Nie przejmuj się, Anno. Rozumiem.

- Dzięki. Obawiam się, że powinnam za nią pójść. Czy mogę zaprosić ciebie i Neda wieczorem na kolację?

Bud szukał wykrętu.

- Niestety, kochanie, musimy odłożyć twoje zaproszenie na kiedy indziej... odlatujemy o świcie.

Sara stała przed restauracją.

- Co za okropny facet.

- Nie tak okropny jak twoje zachowanie. Machnęłam na taksówkę. Sara wsiadła i wręczyłam jej pieniądze. Zatrzasnąwszy drzwi mówię przez szybę do jej zaciętej twarzy odwróconej profilem:

- Porozmawiamy, kiedy nauczysz się trochę manier. Z ulgą wróciłam do biura.

Felicja

- Donald, co się dzieje? - pytam ostro. Miałam zamiar spędzić przedpołudnie na trenowaniu Rakiety na lonży. Zła jestem, że tracę czas na rozmowy telefoniczne, ale muszę się dowiedzieć, co Donald wyprawia.

- Felicja, jak miło słyszeć twój głos. Strasznie miło...

- Daruj sobie. Kiedy dowiedziałam się od Laury, że Anna załatwiła jej wakacyjną pracę, oczywiście zakładałam, że będzie z

tobą w St. John's Wood. A teraz dowiaduję się, że mieszka z Sally Ann Sullivan. Zapytałam ją, dlaczego, ale wykręciła się z odpowiedzią. Boże, kiedy przypomnę sobie te afery, które wyprawiał twój cholerny adwokat, żeby przyznać ci dzieci, a teraz, kiedy twoja piętnastoletnia córka pracuje w Londynie...

- Poczekaj, Felicjo. Jest parę spraw, o których powinnaś się dowiedzieć, ale nie przez telefon. Może przyjedziesz i wybierzemy się razem na lunch?

- Nie mam ochoty. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to proponuję, żebyś wsiadł w samochód i sam przyjechał.

- Skoro tak sobie życzysz... sprawdzę, kiedy będę mógł...

- Mnie opowiada jutro.

- To krótki termin, Felicjo. Poczekaj, zajrzę do kalendarza...

- Donaldzie, to mój jedyny wolny dzień... słucham?.. nie, tak się składa, że to nie tylko kwestia, kiedy pielę w ogrodzie. W środę mam cały dzień szkolenia na sędziego pokoju, w czwartek spotkanie Czerwonego Krzyża, a po południu mam próbę, w piątek...

Donald, zakłopotany (i prawie na pewno znudzony) długą listą moich zajęć, zgadza się przyjechać jutro. Wczesnym popołudniem, dodaje stanowczo. Nie mam zamiaru tracić cennego czasu na przygotowywanie lunchu.

Dopiero odłożywszy słuchawkę, zaczynam się zastanawiać z nieufnością, dlaczego Donald był taki... uległy? Niemalże pokorny. Założę się, że to ma związek z tą małą wiedźmą, jest żoną.

Ożenił się jakiś rok temu, niedługo po tym, jak kazał się wyprowadzić Annie. Nigdy nie dowiedziałam się tak do końca, dlaczego wyrzucił ją tak bezwzględnie, jednakże, jeśli nawet połowa plotek, które do mnie dotarły, była Prawdziwa...

Widziałam Marcię tylko raz, dość, by uznać, że będzie doskonałą towarzyszką życia dla Donalda, która dopilnuje by czystość okien w jego domu odpowiadała jego pozycji towarzyskiej, by jego goście otrzymywali potrawy, które intrygują, ale nie przerażają i wreszcie, że jest ojcem prawidłowej rodziny. Mają już trzymiesięcznego syna, a...

Rozzłoszczona patrzę przez okno na biednego Rocketa, który stoi beczynnie. To o to idzie, powinnam się była domyślać. Moja córka została usunięta z ojcowskiego domu, ponieważ pasierbica nie pasuje do stylu życia tego cielęcia o stanowczym spojrzeniu.

Donald wysiada z samochodu z jowialnym uśmieszkiem, który natychmiast więdnie pod moim kamiennym wzrokiem.

- Nie musisz nic wyjaśniać - mówię chłodno. - Znosiła Laurę i Harry'ego w czasie roku szkolnego, ale nie ma mowy, żeby mieszkały u niej również w wakacje.

Donald jest zmieszany, nic dziwnego; właśnie zaczęłam mu wygarniać to, o czym, rozjuszona, rozmawiałam z nim w myślach przez wczorajszy wieczór i całe dzisiejsze przedpołudnie.

- Jest niezupełnie tak, kochanie. - Widząc mój gniewny wzrok szybko zamienia „kochanie” na „Felicję”. - Laura z własnej woli chciała zamieszkać u Sally Ann...

- Biedactwo, co lepszego mogła zrobić, wiedząc, że ojciec jej nie chce.

- Pewnie, że ją chcę. Jest moją małą córeczką i bardzo ją kocham. Ale Marcia miała z nią trochę kłopotów.

- Laura ani trochę nie jest trudnym dzieckiem.

- Możliwe - odpowiada Donald ze znużeniem - możliwe, że nie powinienem był dawać Laurze na urodziny tej małej orkiestry. Nie wiem, dlaczego musi tak piekielnie głośno grać, akurat kiedy Marcii udaje się usnąć Dona Juniora. On teraz ząbkuje...

Moja złość przechodzi w uczucie niechętniej apatii.

- Wyglądasz na zmęczonego, zrobię ci kawę.

- Zmęczony? Jeszcze jak, Felicja, czy Laura i Harry cierpieli na kolkę? Bo ja sobie nie przypominam. Marcia karmi Dona Juniora piersią i twierdzi, że tutaj jest coś w maśle. Musiałem sprowadzić z Ameryki masło w puszkach.

- Może lepiej zrobi ci whisky...

- W każdym razie problem niedługo przestanie istnieć, bo... - Milknie i patrzy na mnie niepewnie.

- No, powiedz wreszcie.

Donald nie należy do ludzi, którzy mówią wprost o trudnych sprawach. Mija sporo czasu, nim się dowiaduję, że został wezwany do Stanów na stanowisko wiceprezesa wiceprezesów. Dziwnie zabrzmiało, ale chyba źle usłyszałam.

- Więc doszedłem do wniosku, że nie najlepiej byłoby zabierać Laurę i Harry'ego. Wiem, wiem - podnosi nieco głos, jak gdyby się spodziewał, że zaprotestuję - przyznano mi opiekę i praktycznie są Amerykanami. I naprawdę chcę, żeby Harry studiował na Harvardzie.

Ale urodziły się tutaj i mają tu przyjaciół. Marcia i ja... ja uważam, że, myśląc perspektywicznie, lepiej będzie, jeśli zamieszkają z tobą. Dowiedziałem się, że w pobliżu są świetne szkoły.

Nie wytykam mu, że przeniesienie ich do szkoły w Wiltshire tak samo oznacza utratę przyjaciół z Londynu, jak gdyby zaczęli chodzić do szkoły w Detroit. Po co krytykować, skoro dostaję, czego chcę? Ale nie potrafię nie myśleć z goryczą, że przez cztery lata widywałam dzieci jedynie na święta, ponieważ Donald uważał, że powinny kontynuować naukę w amerykańskich szkołach. A teraz obojętnie mi je oddaje, ponieważ nie ma dla nich miejsca w jego nowym życiu.

- Naturalnie będę walczył o opiekę, jeśli pani nalega - powiedział mój adwokat, kiedy rozwodziłam się z Donaldem - ale pani mąż ma w ręce mocny argument. On jest stroną niewinną; pani rozbiła związek małżeński, prawda, bez żadnej widocznej przyczyny. To oczywiste. Jest też kwestia szkoły. Poza tym przewiduję, że w razie potrzeby druga strona może powołać się na kwestie domniemanych zaniedbań z pani strony.

- Ale to byłby szantaż - oburzyłam się. - Przecież to był wypadek.

Wiele lat temu, kiedy Harry miał cztery lata, a Laura osiem, właśnie miałam zamiar wstać z łóżka (Donald już wyszedł do pracy), kiedy do sypialni przydreptała Laura i powiedziała, że jest na tyle duża, że może dać Harry'emu śniadanie. Wsypać kaszkę do kubka i zalać ją mlekiem to żaden problem, więc mówię:

- Dobrze, kochanie, ale bądź ostrożna. Pamiętam, jak Laura mnie wtedy wzruszyła chęcią odegrania roli matki. Potem usłyszałam brzęk, wrzask i straszliwy płacz.

Nigdy nie dostawali gotowanych jajek na śniadanie, więc dlaczego, na litość boską, Laura wpadła na ten pomysł? Harry chwycił za uchwyt rondla. Wrzątek wylał mu się na lewe ramię, dzięki Bogu, że nie na twarz, i dziecko trafiło natychmiast na salę operacyjną.

- Lekarze - powiedział Donald ciężko - chcą zostawić go pod obserwacją. Wiesz, co myślę, Felicjo? Teraz w takich przypadkach prowadzi się coś w rodzaju śledztwa.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że w takich wypadkach może wchodzić w grę podejrzenie ewentualnego nadużywania władzy rodzicielskiej.

- Donald, nie mam nadprzyrodzonych zdolności, czy nie zechciałbyś wyrażać się prościej.

- Sądzę, że zamierzają sprawdzić, czy nie brałaś w tym udziału. Gdzie dokładnie byłaś, kiedy Harry się poparzył?

Poczułam się podle, miałam mdłości.

- Nikt chyba nie pomyślał... gdybym wiedziała, że Laura będzie gotowała wodę, nie zostawiłabym ich samych. Zawsze dostawali kaszkę, przecież wiesz.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego sama nie przygotowałaś śniadania. Wiesz, uważam, że...

- Skończ już z tym.

- Uważam, że powinnaś pójść do Daniela Dicksona. Sądzę, że grozi ci załamanie nerwowe.

Nic podobnego mi nie groziło, ale poszłam do doktora Dicksona.

- Dzień dobry, pani Harman. Wpadłem dziś rano do Harry'ego. Lekarze są bardzo zadowoleni, można go jutro zabrać do domu.

- Mój mąż twierdzi, że dlatego zatrzymano Harry'ego w szpitalu, że chcą mnie sprawdzić... czy nie byłam w to jakoś zamieszana.

- Co za niezwykły pomysł. Dziecko miało poparzenia drugiego stopnia z pewnym odwodnieniem i, oczywiście, przeżyło wstrząs. Został zatrzymany, ponieważ potrzebował fachowej opieki. Absolutnie nikt nie pomyślał, że pani...

- Donald uważa, że grozi mi załamanie nerwowe.

- Jest Amerykaninem, prawda? No to już pani rozumie dlaczego. Gdyby wszyscy moi pacjenci byli tak normalni jak pani, byłbym nędzarzem.

Patrząc, jak Donald odjeżdża, po tym, jak mi beznamiętnie oznajmił, że oddaje mi dzieci, myślę: „Poznałam Antony'ego trzy lata po wypadku Harry'ego, ale tak naprawdę zaczęłam odchodzić od Donalda tamtego dnia”.

A teraz idę trenować Rakietę.

Narzucam na siebie kurtkę, ale jest za ciasna. Dopiero kiedy wkładam ręce do kieszeni, okazuje się, że to kurtka Sary. Guma do żucia w jednej kieszeni i... długi napisany na maszynie list. Zaczyna się od słów: „Moja kochana Saro”, napisanych ręką. Oczywiście nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby go czytać. Chciałam tylko sprawdzić od kogo.

„Proszę, wybacz mi kochanie, tak bardzo cię kocham, Mama.”
Brak daty, jedynie „czwartek”; ale był tak wymięty, że Sara musiała go tam trzymać od dawna.

W każdym razie nie moja sprawa. Patrzę ukradkiem na Sadie, która, szczęśliwie, jest jedyną żywą istotą obecną w domu.

Przeczytałam tylko początek...

Piszę na maszynie, bo tak łatwiej mi zebrać myśli. Przede wszystkim przeproszam cię z całego serca za ten straszny wczorajszy lunch. To była pogładowa lekcja, jak nie traktować córki, którą się kocha od chwili, tak, od chwili, kiedy się dowiedziałam, że się urodzisz. Miałam nadzieję, że będziesz mądra i piękna i to się spełniło. A ten okropny facet... Co mi odbiło, żeby go zaprosić do stolika? Jesteś już wystarczająco dorosła, żeby zrozumieć, że kiedy tata mnie opuścił, straciłam całą pewność siebie. Wiem, że to zabrzmiało dla ciebie okropnie głupio, ale kiedy mężczyzna w tym wieku mówi ci: „Hej, Anno, jesteś taka atrakcyjna”, to bardzo dodaje poczucia własnej wartości.

Trudno mi o tym mówić, ale spróbuję wystukać na maszynie. Jestem tak piekielnie zazdrosna o Felicję. Nie z powodu taty. Nie potrzebuję go już, ale z twojego, Saro, i z powodu Marka i Emmy. Jesteście w takiej przyjaźni. Za każdym razem, kiedy mówisz „Felly powiedziała...”, mam ochotę wbić jej nóż w serce.

Naturalnie jestem wdzięczna, że opiekuje się wami, ale... Czy pamiętasz, jak zadzwoniłaś, żeby się pochwalić stopniami na cenzurce? Kiedy odłożyłam słuchawkę, wyobraziłam sobie was, jak urządzacie sobie przyjęcie z tej okazji, słyszałam wasz śmiech. Włożyłam elegancką, potwornie drogą suknię i poszłam z klientem na kolację do „Gavroche'a” i, zabij mnie, ale nie pamiętam, co jedliśmy i o czym rozmawialiśmy.

Niestety, trochę to skomplikowane. Do czego zmierzam?... Oczywiście, że będziesz weterynarzem, ty wariatko, a jeśli będę ci mogła w czymś pomóc... proszę, wybacz kochanie. Tak bardzo cię kocham. Mama.

P.S. Przemyślałam sprawę żabich udek, miałaś rację.

Wkładam list z powrotem do kieszeni i odwieszam kurtkę na miejsce. Myślę, Rocket, że damy sobie dziś spokój.

Anna

- Pan Gilham prosi do gabinetu, pani Browning. Nie chciałam tu przychodzić. Radziłam się paru osób, ale wszyscy mi mówili, że „Carmichael Gilham” jest najlepszą spółką prawniczą w Londynie; kiedy zadzwoniłam, żeby się umówić z panem Carmichaelem na spotkanie, okazało się, że nie żyje od pięciu lat.

A więc pozostaje mi Philip. Miałam nadzieję, że mnie nie wyrzuci.

Na mój widok wstał zza wielkiego biurka.

- Proszę usiąść, pani Browning... Boże, Anno to pani. Dlaczego ukrywa się pani pod pseudonimem?

- To nie pseudonim. - Siadam sztywno na brzegu krzesła z twardym oparciem. - Anna Browning to moje nazwisko panińskie.

Philip też usiadł i wyjął powolnym ruchem długopis z szuflady biurka, równie powolnie położył przed sobą kartkę papieru i spojrzał na mnie.

Miałam na sobie nieciekawą szary, ciotkowaty płaszcz, żeby nie przypominać Philipowi tamtej nimfomanki o dzikim spojrzeniu, ubranej w kremowy negliz z satyny.

- Rozumiem. Co mogę dla pani zrobić? Zaczęłam wydobywać z torby dokumenty McMahanów, które rozsypały mi się na podłogę, zebrałam je pospiesznie, wreszcie udało mi się je położyć na biurku Philipa w jako takim porządku.

- Zakładam spółkę - wyjaśniłam nie odrywając oczu od skromnych szarych pantofli, żeby nie patrzeć mu w oczy. - „Delphic” wnosi kapitał założycielski, chciałabym, żeby pan przejrzał dla mnie te papiery. - Zaryzykowałam komplement: - Wszyscy twierdzą, że jest pan najlepszą spółką prawniczą w Londynie.

- Naprawdę? - Ułożył równo moje dokumenty. - Proponuję, żeby pani to zostawiła. Do środy powinienem się z nimi uporać.

- Dziękuję, dziękuję, Philip.

- Helen, odprowadź panią Browning do wyjścia i zapisz na środę.

Czułam, że mnie zbył. A czego się spodziewałam? Że mnie obejmie, zanurzy twarz w moich włosach i wyszepta: „Och, Anno, kochanie. Jestem ci taki wdzięczny, że pozwoliłaś mi przejrzeć dokumenty twojej spółki”?

W środę był już mniej powściągliwy. Mówił do mnie „Anno” zamiast „pani Browning” i oznajmił, że to mu wygląda na bardzo korzystny interes. McMahanowie żądają umiarkowanych zysków.

Przygotował odpowiednie dokumenty do zarejestrowania spółki w Sądzie Rejestrowym.

- A teraz - powiedział - chyba powinniśmy omówić razem szczegóły.

Nasze głowy prawie się dotykały nad biurkiem; zaczynał siwieć i było mu z tym do twarzy - myślał, kiedy mówił:

- Prezesi mają kompetencje określone Paragrafem 79 bądź w Części 1 Wykazu A... - Kiedy czytał w jego oczach błyskały bursztynowe cętki. - ... z zastrzeżeniem postanowień Paragrafu 58 Dokumentu... - W wielkim skupieniu docierał właśnie do fragmentu: „...quorum wymagane do przeprowadzenia transakcji”..., kiedy pochyliłam się ku niemu i pocałowałam go w usta. Tym razem nie odepchnął mnie.

Jedną z pierwszych rzeczy, o które Philip mnie zapytał tego wieczoru, kiedy leżeliśmy w moim łóżku, było, czy spotykam się jeszcze z Tomem Harmanem.

Odparłam zgodnie z prawdą, że nie - Tom mieszkał w New Jersey, ja w Londynie; ale przemilczałam, że pisał i dzwonił.

Zadzwoiłam do niego raz po awanturze z Donaldem.

- Anno, kochanie. Tęsknię za tobą. Jak miło, że dzwonisz.

- Donald wie - powiedziałam.

- Co wie?

O wzroście kursu funta o 2,4 procent w stosunku do dolara? O bieżącej stopie inflacji w Niemczech?

- O nas, oczywiście. Opowiedziałam o wydarzeniach na Acacia Road i zawiadomiłam Toma, że udało mu się trafić korkiem od szampana w talerz jednego ze znajomych matki. Tom jęknął.

- Kogoś mi przypominali. Pamiętam, że unikałem ich na przyjęciu matki. A jak ojciec?

- Jak stuprocentowy mężczyzna sprowokowany przez szczeniaka. Jest wściekły. - Wolałabym jednak czasem umieć powiedzieć wprost, co myślę, niż okłamywać siebie i innych gładkim dowcipkowaniem. - Dotknęło go... że to z tobą.

- No tak, wszystko, co robię, denerwuje go. Nigdy nie mogliśmy się porozumieć. - Zastanawiałam się, czy zainteresowanie Toma moją osobą nie wynika przypadkiem z chęci rywalizowania z ojcem, kiedy powiedział: - Muszę kończyć, kochanie. Szef mnie wzywa. Ale przyjadę na urlop... będę tęsknił...

Właśnie kiedy każdy dzień, każdą minutą pragnęłam przebywać z Philipem lub chociaż z myślami o nim, musiałam zмагаć się z trudami urzędnika biura - podpisywaniem dokumentów, gromadzeniem personelu, kupowaniem mebli.

Kupiłyśmy z Sandrą po przystępnej cenie lampy, sprzęt video i resztę kosztownego wyposażenia, które było nam niezbędne. Jim malował i tapetował, a ja kupiłam, za sumę większą, niż mnie było stać, solidne włoskie meble do recepcji. W domu nadal nie miałam nic wygodnego do siedzenia, ale biuro było teraz najważniejsze; moja agencja musiała się sprzedawać od chwili, kiedy klient przekraczał niezobowiązująco jej progi. Poszłam do „Findersa”, ponieważ właśnie ubiegałam się o ich zlecenie; ich szef do spraw zatrudnienia opracował system obsadzania głównych stanowisk według czterech kluczy. Wyszukali mi także parę błyskotliwych dziewczyn z dyplomami i talentem, które, zapomniane, utknęły w papierkowej robocie w ich biurach.

- Wybrałaś tylko atrakcyjne dziewczyny - powiedziała Sandra - to nie w porządku. Co na przykład z tą miłą dziewczyną, która przyszła dziś rano? Tą ze wszystkimi kwalifikacjami... tą, która miała łupież.

- Masz odpowiedź. Jeśli nie zadała sobie trudu, żeby zrobić porządek z włosami idąc na wywiad, to skąd pewność, że będzie perfekcyjna w pracy?

- Hmm - mruknęła Sandra. Wiedziałam, że chce mi zarzucić szowinizm i dyskryminację, ale nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

Moim największym wyczynem było ściągnięcie z agencji Antony'ego Paula Bannera i Justina Elliota. Antony zawsze się chełpił, że Paul (autor tekstów) i Justin (kierownik graficzny) biją na głowę konkurencję i przechwalał się też - nierozsądnie, jak się okazuje - że mało płaci.

Wściekł się i zadzwonił do mnie.

- Nie możesz mi tego zrobić, Anno. Nie zgadzam się.

- To za to, że byłeś taki skąpy - odpowiedziałam.

- Ale... ale to nieetyczne.

- Jasne, że nie. Doskonale wiesz, Antony, że wszyscy w tej branży przenoszą się z agencji do agencji, jak się zmienia krzesła w tej grze towarzyskiej.

- Ale ty jesteś moją żoną.

- Eks - żoną, Antony - poprawiłam. - A o ile mi wiadomo nasz kodeks nie mówi nic o tym, że kobieta nie może zatrudniać pracowników swojego eks - męża. I płacić im porządnych pensji.

Antony rzucił słuchawkę.

Łatwiej było zatrudniać ludzi, niż nimi pokierować.

Chciałam popularności, więc wciąż wychodziłam z gabinetu, uśmiechałam się do wszystkich i mówiłam „dobra robota” lub „jasne, że możesz wziąć jutro wolny dzień”, mimo że powinnam była powiedzieć „popracuj jeszcze nad tym” albo „nie, nie możesz zostać w domu i czekać na hydraulika”.

- Zawsze miałaś z tym trudności - powiedział Philip. - Za bardzo chcesz się podobać. Od razu to zauważyłem.

- Ale uprzejmość nie jest chyba karygodną cechą charakteru.

- Pewnie, że nie. Jesteś uprzejma. Nawet bardzo. Ale to nie to samo, co chcieć być podziwianym i lubianym przez wszystkich. To świadczy o zaniżonej samoocenie; poza tym jest nierealne.

Boże, pomyślałam, muszę być bardzo zakochana w Philipie, skoro tak nienawidząc krytyki, przyrzekłam z uśmiechem, że postaram się o trochę chamstwa.

Kiedy Justin i Paul przynieśli szkic do nowej reklamy „Delphic”, który mi się nie spodobał zmusiłam się do szczerości.

- Zbyt ponure. Nie zapominajcie, że macie przyciągnąć uwagę biznesmenów, a nie innych agencji reklamowych.

Justin i Paul napadli na mnie. Uważali, że ten prosty drzeworyt przedstawiający motyw heraldyczny jest bardzo interesujący i podkreśla wyjątkową ideę „Delphica”.

- A poza tym - rzekł Justin - spędziłem piekielnie dużo czasu w Kolegium Heraldycznym, żeby to znaleźć.

Odparłam, że Maddie i Bob McMahonowie nie przyjęliby tego, a to ja mam im to sprzedawać.

- Z powrotem do desek, w piątek przed południem macie mi przedstawić przynajmniej trzy propozycje do wyboru.

Wyszli bez słowa.

Filmy reklamowe „Delphic” pokazywano tak często (za jeden z nich Sol nawet otrzymał nagrodę), że zaczęłam się denerwować, czy nie znudzi się widzom.

Umówiłam się z Solem na lunch, żeby porozmawiać o nowych pomysłach. Chciałam go też poprosić, żeby poduczył trochę moją dziewczynę od video.

- Nauczy się więcej, pracując z tobą sześć tygodni, niż chodząc pół roku do szkoły filmowej.

- Stajesz się strasznie obłudna, Anno. I bardzo przekonująca. Oczywiście, że ją poduczę.

Powiedziałam Solowi, że udało mi się zdobyć parę drobnych zleceń i że zgłosili się do mnie z „Patterson Warbeck”.

- „Patterson Warbeck”? - zastanawiał się Sol. - Świetnie, ale czy nie grozi im przypadkiem przejęcie przez „United Grip”?

- Odwrotnie, Sol - wyjaśniam przyciszając głos. - Podobno UG przyjął ofertę przetargową od PW, która im daje 29,9 procent udziału w spółce.

Sol uśmiechnął się, że robi to na nim wrażenie.

- Nie rozumiem z tego ani słowa, ale z twojej miny domyślałam się, że to dobra wiadomość.

- Tak, jeśli dostanę zlecenie. Czy zajmiesz się tym, jeśli mi się uda?

- Pod warunkiem, że nie będziesz mówiła językiem „Wall Street Journal”. Co u Felicji?

- Nie widziałyśmy się od czterech miesięcy, ale Laura mówiła, że znów ślicznie wygląda. Tak się cieszę. Bałam się, że ta szczerza rozmowa, do której mnie nakłoniłeś, jeszcze pogorszy sytuację.

- Słyszałam, że zajęła się teatrem amatorskim.

- Teatrem amatorskim? - Wyobraziłam sobie Felicję, jak paraduje po scenie wiejskiej świetlicy ubrana w kostium, który Jenny Balfour uszyła ze starego obrusa. - Ma własną scenę?

- Wygląda na to - odpowiedział Sol. - Zwerbował ją miejscowy antykwariusz; widocznie Felicja próbuje stworzyć z grupy amatorskiej profesjonalny zespół. Dotarło do mnie, że miejscowe władze planują otwarcie teatru publicznego.

- To znakomicie. A co z Antonym? Przestał się do mnie odzywać, od kiedy buchnęłam mu dwóch pracowników.

- Bez zmian. - Sol machnął ręką. - Zdaje się, że teraz jest ruda.

- Biedna Felicja - zmartwiłam się. - Zastanawiałam się, czy ona wie. Ja nigdy nie wiedziałam. Dopiero teraz rozumiem, czym się

zajmował Antony w Londynie, kiedy ja siedziałam w White Walls rąbiąc drzewo, by podtrzymać płomienie ogniska rodzinnego.

- Jasne - odpowiedział Sol - że wie. Jestem pewien.

- Pochylił się nad stołem i konspiracyjnym szeptem, jakby miał zamiar mówić o „Patterson Warbeck” i dodał:

- I wiesz, co w tym najdziwniejsze? Nie zauważyłem, by się tym przejmowała.

Felicja

Cudownie jest mieć wszystkie dzieci przy sobie. Myślę, o Sarze, Emmy i Marku jak o własnych; na całe szczęście, bo Anna się prawie nimi nie interesuje.

Za każdym razem, kiedy dzwonię, żeby uzgodnić, co z feriami lub z wizytą u dentysty, napotykam na opór z jej strony. Zawsze ma jakąś pierwszorzędną wymówkę, by nie spotkać się z dziećmi w terminie, który proponuję.

Pewnego razu rozzłościła mnie na dobre, chcąc, by Emmy, która ma zaledwie dwanaście lat i nie zna Londynu, sama przyjechała do jej mieszkania. Kiedy zaprotestowałam, powiedziała:

- Chyba nie wierzysz wszystkiemu, co piszą w gazetach. Czy myślisz, że tu gwałcą i mordują na każdej ulicy? Poza tym najwyższy czas, żeby się trochę usamodzielniała.

- Nie mówisz poważnie. Sama w Paddington o dziewiątej wieczorem? Będzie przerażona. Może ją podwiozę w sobotę rano, ale...

- W sobotę? Sobota nie bardzo mi odpowiada. Wiozę paru Amerykanów z nowojorskiego biura „Patterson Warbeck” do „Hatfield House” na bankiet elżbietański...

- To okropne.

- Nie, uważam, że zupełnie fajne. W każdym razie oni przepadają za takimi rzeczami.

- Ja nie. Może zabierzesz ze sobą Emmy? Przerabia teraz Tudorów, a czytałam gdzieś, że w Hatfield House mają sądowy wyrok egzekucji Marii Stuart. To jej ożywi historię.

- Ciągnąć dziecko na oficjalną imprezę? Słuchaj, przełożmy to na przyszły weekend. Emmy się nie pogniewa, prawda?

- Nie, jeśli nie zapomni, jak wyglądasz - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę trzęsąc się ze złości.

Powiedziałam Antony'emu:

- Ani Donald, ani Anna w ogóle nie interesują się dziećmi, co, jeśli mam być szczerą, całkiem mi odpowiada.

- Anna staje się nieznośna, prawda?

- O, przestań, kochanie, bądź sprawiedliwy - powiedziałam, bez skrupułów, zmieniając front, co musiało go mocno zirytować.

- Anna haruje, żeby zarobić na życie, a nie muszę ci przypominać, czyja to wina. Po prostu nie może im poświęcić tyle czasu, ile by chciała; poza tym dobrze wiemy, że wolą być tutaj. Powiem ci, dlaczego tak postępuje, wiem, bo sama to robiłam. Jeśli nie możesz widywać swoich dzieci, łatwiej jest udawać, że ci po prostu na tym nie zależy... Anna zakryła ranę szczelnym opatrunkiem, ale ona nadal boli, jak diabli.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślna, mam łatwiejszą rolę. Anna gra trudną, więc jeśli pancerz, pod którym się chroni, wydaje się czasem przykry...

- No już zgoda, zgoda. Cóż to za cudowne spodnie masz na sobie?

- To spodnie zapinane pod kolanami. Podobają ci się?

- Wyglądasz jak śliczny średniowieczny giermek. Chyba za bardzo schudłaś.

Schudłam tyle, ile trzeba. Dzięki jeździe konnej, pracy w ogrodzie i wyeliminowaniu z jadłospisu masła, zesłam poniżej stu dwunastu funtów. Z masłem u mnie jest tak, jak u Raya Millanda z jedną trzecią whisky w „Straconym weekendzie”. Wiem, że jeśli tylko liznę to pyszne zgubne paskudztwo, znów wpadnę w szpony nałogu i zacznę je pożerać tonami. Gdybym była Rayem Millandem, wywiesiłabym sobie za oknem kostkę normandzkiego masła i wpatrywałabym się w nią. W dniu, w którym wskazówka opadła poniżej stu dwunastu funtów, powiedziałam do Sary i Laury:

- Chodźcie no tutaj. Wciąż szczebioczenie o modzie, więc doradźcie mi coś. Jestem gotowa przyznać łaskawie, że dość już tych brązowych sztruksów.

Przyglądały mi się fachowo mrużąc oczy.

- Spodnie zapinane pod kolanami - oświadczyła Sara.

- Kochanie, chyba nie masz na myśli tych pumpów, w których książę Walii grywał w golfa z panią Simpson?

Wymieniają spojrzenia.

- Czy chodzi ci o te spodnie, które dyrektor miał na sobie w zeszłym tygodniu? - zapytała Sara. - Niezły pomysł. Do tego brązowe prążkowane pończochy i... jakie buty?

- U „Hobbsa”? - zastanawiała się Laura. - Mają fantastyczne sznurowane trzewiki, ale nie wiem, czy są brązowe.

Znają nawet najmniejszy sklepik. Nie mam wątpliwości, że gdybym zapytała, gdzie kupić albańską suknię z początku XIX wieku, jedna z nich odpowiedziałaby:

- Pójdiesz Fullham Road i skreśisz w trzecią przecznicę na lewo po Stagers...

A druga poprawiłaby:

- Przecież w drugą, nie pamiętasz, mijaliśmy ten sklep idąc do „Hobby Horse”?

Spędziłam cudowny dzień w Londynie wydając mnóstwo pieniędzy (to inwestycja, uspokajałam sumienie) na rzeczy polerowanej skóry w odcieniach brązu i beżu. I ruszyłam do Roberta.

- Felicja - zawołał na mój widok - gdzieś, ty się podziewała? I co - dodał z kwaśną miną - zrobiłaś ze swoimi włosami? Wiem, że mieszkasz na wsi, ale czy musisz ciachać sobie włosy u tamtejszego fryzjera?

- Och, masz rację, ale jeżdżę konno dwa razy w tygodniu, w twardym, przepoconym toczku na głowie. Muszę je myć bez przerwy. Więc było prościej... - wyjaśniałam przepraszająco.

- Może byś sobie dała spokój z jazdą? No dobrze już dobrze. Niech pomyślę... trzeba je ściąć dwa cale.

- Ściąć? Nie ma mowy, włosy są moją największą ozdobą.

- Już nie. Spójrz, w jakim są stanie. Betty! - zawołał do dziewczyny w drugim końcu salonu. - Czy jesteś teraz wolna i możesz położyć Felicji odżywkę? Przyjdź tylko i popatrz.

Podeszła i popatrzyła, a ja pokornie zgodziłam się na odżywkę. Pół godziny (i jakieś dwadzieścia funtów) później Robert stał nade mną trzymając w powietrzu nożyczki.

- Och, Robercie, nie mogę się zdecydować. Idę dziś na lunch z moim mężem, co powie, kiedy zobaczy mnie bez włosów?

- Nie wygłupiaj się, masz mnóstwo włosów. A swoją drogą, co on mówi, kiedy wracasz z tą tak zwaną fryzurą?

- Nic.

- No właśnie. Decyduj się, tak czy nie?

- Szybko, zanim się rozmyślę.

Kiedy wchodzę do „Simpsona”, Antony już czeka na mnie. Mija mnie wzrokiem i spuszcza głowę, po czym gwałtownym ruchem znów ją podrywa, jak bohater filmu komediowego, który stosuje reakcję ze spóźnionym zapłonem.

- Felicjo, coś ty zrobiła z włosami, na litość boską? Ledwie cię poznałem.

- Nie podoba ci się?

- Poczekaj chwilę... wyglądasz na dziesięć lat. A jak się obejdziesz bez odrzucania włosów, kiedy będziesz się złościć?

- Już nigdy nie zamierzam się złościć.

- Prędzej mi tu kaktus wyrośnie.

Podchodzi kelner i zamawiam lunch. Wążąc poniżej stu dwunastu funtów, myślę z błogością, mogę sobie pozwolić na szaleństwo. Jutro gotowane jajka i zupa dietetyczna, ale dziś...

Kończę właśnie ciastko z kremem, kiedy widzę, że Antony zamiera w bezruchu nad talerzem.

- Nie patrz teraz - szepce - właśnie wychodzi... Peter Wentworth.

- Prezes „United Grip”? - pytam bystrze, gratulując sobie ciężkich godzin spędzonych nad „Financial Times”.

- Jeden z nich... - odpowiada Antony, zrywając się na równe nogi. - Sir Peter, jakże się cieszę, może wypijemy razem kawę?

- Antony, przyjacielu... niestety, naprawdę muszę wracać do biura. Zdaje się, że nie zna pan mojej żony. Mary - zwraca się do eleganckiej kobiety o popielatych włosach, która mu towarzyszy - to Antony Forester - Jones. A pani jest zapewne piękną córką Antony'ego, o której tak wiele słyszałem. Czy nadal chce pani zostać weterynarzem?

- Niezupełnie, jestem żoną Antony'ego.

- Nic dziwnego, że ukrywa panią gdzieś na wsi. - Patrzy na zegarek. - Myślę, że jakoś wytrzymają beze mnie jeszcze chwilę.

Kelner dostawia dwa krzesła do stolika i siadają.

- Jestem zupełnie wyczerpana - mówi Mary Wentworth. Czy często przyjeżdża pani do Londynu?

- Tak rzadko, jak to tylko możliwe.

- Straszne miasto, prawda? Cały czas musiałam grzecznie schodzić z drogi rozpędzonym nastolatkom z plecakami. A rano przepraszałam dzieciaka, który uderzył mnie gitarą w ramię.

- Wcale by nie przyjechała - mówi z czułością Peter Wentworth - gdyby nie musiała kupić kosztownego sprzętu do ujeżdżania.

- Ujeżdża pani konie? - pytam.

- Tak, mam w sobotę konkurs. Pani lubi jeździć?

- Uwielbiam - odpowiadam z entuzjazmem i zapominamy o bożym świecie.

Pięć minut później spoglądam z wyrzutem na Antony'ego. Rozmawiamy z Mary dokładnie o tym samym, co w domu nudzi go tak piekielnie; teraz jednak słucha, jak urzeczony, wpatrując się w nas pilnie.

- Za mądre to dla mnie - mówi Peter. - Poprosiłem raz Mary, żeby mi wyjaśniła, co to jest półvolta. Ale wpadłem. Mówiła przez pół godziny, a ja wiedziałem tyle samo, co przedtem.

- Mam świetny pomysł - przerywa mu Mary. Rzuca krótkie spojrzenie mężowi, który uśmiecha się dobrodusznie. - Może państwo przyjadą do nas w sobotę i popatrzą, jak Firebug i ja robimy z siebie pośmiewisko?

- Kochanie, niech zostaną na noc - proponuje Peter. - Będę miał sposobność porozmawiać z Antonym o nowej kampanii reklamowej. Wie pan, że zgadzamy się co do całości, ale parę szczegółów wymaga przedyskutowania.

Kiedy odeszli, Antony patrzy na mnie spojrzeniem, które przenosi mnie w przeszłość do naszych ukradkowych spotkań.

- Polowałem na to zaproszenie od tygodni. Jak to załatwiłaś?

- Nie załatwiłam tego, kochanie. Prawda, że Mary Wentworth jest przemiła?

- Zdaje się, że koniara.

- Myślisz, że da mi pojeździć? Wezmę na wszelki wypadek bryczesy. Powiedziała, że jedna z jej klaczy odpowiada wymaganiom konkursu „Prix St George”...

Antony prosi o rachunek.

Weekend okazuje się udany pod każdym względem. Antony wraca ze zleceniem „United Grip” w garści; moje „pumpy” bardzo się podobały. (Ośmieliłam się włożyć je, zamiast skromnej spódnicy tweedowej, na którą nalegał Antony, i miałam rację. Kobiety pytały mnie, gdzie je kupiłam, a Mary Wentworth chciała wiedzieć, czy były też zielone.)

I pozwoliła mi pojeździć na swojej klaczy „Prix St George”. Rewelacja po cierpliwym Jesterze. Mary w tym czasie ujeżdżała Fireburga. Był bardzo nieposłuszny poprzedniego dnia, brykał udając przerażenie, kiedy ktoś otworzył parasol na sąsiednim torze i uparł się cwałować, kiedy miał chodzić wyciągniętym kłusem.

- Jest jeszcze bardzo młody - wyjaśniła czule Mary. Antony i Peter obserwowali nas, kiedy jeździłyśmy po kole.

- Czy pani naprawdę jeździ dopiero od dwóch lat? - dziwi się Mary. - Znakomicie sobie z nią pani radzi. Czy nie miałyby pani ochoty przyjechać od czasu do czasu i pomóc w ujeżdżaniu koni? Ile się tu jedzie od was?

- Tylko czterdzieści pięć minut - śpieszy z odpowiedzią Antony nie patrząc na mnie. - Jestem pewien, że może poświęcić parę ranków, prawda, kochanie?

W drodze powrotnej patrzę na Antony'ego z wyrzutem.

- Czterdzieści pięć minut? Chyba z okładem. Jechaliśmy tam wczoraj godzinę i piętnaście minut.

- Tak, ale straciliśmy przynajmniej dziesięć minut kłócąc się na tym rozwidleniu... Założę się, że odkryjesz krótszą drogę. Boże, ale sprawa - moja żona spędza dwa przedpołudnia w tygodniu z żoną pierwszego człowieka w „United Grip”.

- Sądziłam, że już i tak to podpisali i przyjęli.

- No tak, dostałem zlecenie na reklamę odżywek dla niemowląt, a jeśli dobrze pójdzie (a jestem tego pewien, mimo że Anna ukradła mi Paula i Justina; nigdy nie posądzałem jej o taką przebiegłość), dostanę też zlecenie na pokarm dla psów.

- Fajnie, mógłbyś wykorzystać do reklamy Larky i Kitten.

- Czasami wygadujesz potworne bzdury. Czekał... teriery walczą o to, psy myśliwskie aportują, owczarki tłoczą się do tego...

- A pekińczyki zerkają do tego, ogary zaś polują na to. Zresztą walki staffordshire terierów są zakazane, a poza tym to barbarzyństwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale zawsze kręciliśmy matkę ze szczeniakami, które hasają wokół puszek z karmą. Najazd kamery na towar - przypuszczam, że ludzie, którzy kupują karmę dla psów chcą patrzeć na psy, nie na puszki. Wezmę do zdjęć jednego z tych facetów od filmów przyrodniczych.

- A Sol mógłby reżyserować. On ma bzika na punkcie szczeniaków.

- To jest myśl. A potem powinienem już bez kłopotu zdobyć naprawdę duże zlecenie. Na początku przyszłego roku, ale zatrzymaj to dla siebie, „United Grip” wchodzi na rynek z mnóstwem nowych produktów z branży ogrodniczej. A suma budżetu jest taka, że głowa boli...

- Sklepy ogrodnicze pękają w szwach od towaru. Czy rzeczywiście trzeba więcej produkować?

- Przemysł ogrodniczy rozwija się teraz błyskawicznie. To będzie czysta ekologia. Nawóz dla ogrodników zainteresowanych ekologiczną produkcją. Przeprowadzili mnóstwo badań i eksperymentów... wszystko od „a” do „z” pochodzenia naturalnego. Żadnych działań ubocznych, więc nie musisz się martwić, co wchłoną z gleby rośliny. Nawet ekologiczne narzędzia ogrodnicze.

- Jak wygląda łopata ekologiczna?

- Dzięki Bogu, że nie jesteś przeciętnym klientem, to wszystko, co ci mogę powiedzieć.

- Nie martw się, będę pierwszą naiwną, kiedy wejdą na rynek. Dość, że usłyszę słowo „nowość”, a już staję na czele kolejki wymachując plikiem banknotów. Czy ty przypadkiem nie wspomniałeś kiedyś, że „Patterson Warbeck” próbował przejąć „United Grip”? Jak to wpłynie na twoje interesy?

- Nic z tego nie będzie - starzy, wierni udziałowcy UG nie chcą o tym nawet słyszeć.

- Nie zapominaj, że Anna współpracuje z „Patterson Warbeck”.

- To świetnie - powiedział niedbale.

Anna

Większość czasu w minionym tygodniu spędziłam w „Patterson Warbeck” na rozmowach z prezesami spółki „Findera”. Teraz z kolei wszyscy mają przyjść do mnie, żeby „rzucić okiem na biuro i poznać ludzi, którzy będą dla nas pracować”.

Myślę, że powinnam poczęstować ich lunchem, ale nie cierpię wydawać pieniędzy w kosztownych restauracjach, gdzie znają już wszystkie potrawy, aż po ostatniego, najbardziej wymyślnie podanego karczocha. Na końcu korytarza znajduje się ładne pomieszczenie,

przeznaczone do prezentacji, które ma... taras na dachu. Można by na nim urządzić pokój jadalny.

Wysyłam Sandrę ponownie do importerów włoskich mebli po stół i krzesła.

- Powiedz, że muszą je przywieźć najpóźniej w piątek. I ustaw na tarasie doniczki z białymi kwiatami. - Nauczyłam się tego i owego w St. John's Wood.

- Czy ja jestem od dokonywania cudów? Może coś jeszcze? - pyta Sandra. - Może mam gotować, co?

Miałam już kogoś do gotowania.

- Więc jak, Su? Codziennie lunch dla pracowników biura i specjalne lunche dla klientów i ludzi, na których chcemy zrobić wrażenie.

- Zgoda - mówi Su Parsons. - Nie wytrzymam tu długo. Poczekaj sekundę, tylko zamknę drzwi od kuchni; Marcia ma strasznie długie uszy... no, jestem. Tylko przedpołudnia. Od poniedziałku do piątku. Sto funtów na tydzień plus to, oczywiście, co uda mi się zarobić na zakupach.

- Oczywiście - Su można zaufać.

- Czy mogę zacząć w poniedziałek?

- To fantastycznie, ale czy nie musisz składać wypowiedzenia?

- Nie martw się o panią Harman. Zresztą zalega mi za trzy tygodnie, a ja nie mogę się doczekać, żeby stąd czmychnąć. Kiedy odkurzam, za każdym rogiem natykam się na nią z Donem Juniorem przy piersi w jednej ręce i z książką „Naucz czytać swoje dziecko” w drugiej ręce i natychmiast syczy, żebym nie hałasowała.

- A co z Laurą i Harrym? Jak to znoszą?

- Ostatnio są na ogół u matki. Teraz jest tam tylko Harry, a Laura, kiedy chodzi do pracy, mieszka u Sally Ann, swojej przyjaciółki.

- Nie wiedziałam... mogłaby przecież zamieszkać u mnie. - Może nie miałam prawa czuć się urażona, ale...

- Wiesz, jakie są dziewczyny w tym wieku - uspokaja mnie Su. - Chcą być niezależne, plotkować do trzeciej nad ranem. A poza tym nie sądzę, by miała ochotę na rolę przyzwoitki... wobec twojego przyjaciela.

- Ale skąd Laura wie o Philipie? - Nie mówiłam o tym nawet matce. - Zresztą, on nie mieszka ze mną; ma własne mieszkanie.

- Wie od Fel, a Fel chyba od Antony'ego. Wiesz, plotki szybko się rozchodzą.

Dowiedziałam się, że „Polarice” wyszedł z nową ofertą mrożonej żywności, którą od tej chwili próbnie wprowadzono do sprzedaży we wschodniej Anglii; proszę Su, żeby pojechała tam i kupiła dwa tuziny ich „Posiłków dla smakoszy” na lunch z ludźmi od „Findersa”.

- Ale po co? - dziwi się Su. - Jaki sens jechać przez pół Anglii, żeby kupić parę pudełek jakiegoś paskudztwa, skoro mogę się przejść na pobliski targ i kupić dobre i świeże produkty?

- Su, „Posiłki dla smakoszy” nie są paskudztwem - odpowiadam.
- Oni dokonali naukowego i technologicznego przełomu w dziedzinie konserwowania żywności, produkując najsmaczniejsze potrawy świata z zachowaniem ich smaku i wszystkich składników odżywczych. Poza tym słyszałam, że nie są zbyt zadowoleni ze swojej agencji, więc staram się ich przejąć.

- Rozumiem. W takim razie lepiej kupię więcej, niż nam potrzeba, żeby trochę poeksperymentować i sprawdzić, ile trzeba dodatkowych zabiegów kulinarnych, żeby to było jadalne.

Jock Grimshaw - dyrektor zarządzający spółki „Finders” pieje z zachwytu nad talerzem musli („Trzeba dodać wina, pietruszki i czosnku” - informuje Su), kaczka a la'orange jest wyśmienita (Dlaczego a la'orange? Czy pokazali jej pomarańcz, nim ją zabili?”, a creme bavaroise jest lekki i delikatny („Dodałam świeżych brzoskwiń i nektarynek”).

Pijemy Saumura, który, dzięki Bogu, nie jest mrożony, konserwowany ani też w żaden inny sposób nie był przedmiotem ingerencji „Polarice'a”.

Ludzie ze spółki „Finders” z entuzjazmem przyjmują nasze pomysły, tak jak powiedział to pan Staleybridge, i zapewniają mnie, że znakomicie będzie się nam razem Pracować.

- I dziękujemy za pyszny lunch - mówi Jock prowadząc swych pracowników w stronę wyjścia. - Był naprawdę niezwykły. Czy macie własnych dostawców, czy też sami gotujecie?

- Ani, ani, Jock - kłamię z nadzieją, że Su nie słyszy.

- Mieliście przyjemność jeść nowe potrawy „Polarice” z serii „Smakosza”, przygotowane w parę minut przez moją sekretarkę.

Jock Grimshaw przyznaje, że jest zdumiony.

- W takim razie bardzo poprawili swoje zwykłe mrożonki, prawda? Muszę powiedzieć o tym Billowi i pogratulować mu.

Znakomicie. Tego właśnie oczekiwałam: że powie Billowi. Bill Santon jest szefem „Polarice'a”. Jock zatrzymuje się w drzwiach.

- Zaraz, zaraz, Anno. Nie wiedziałem, że „Smakosz” jest już u nas w sprzedaży...

- Bo nie jest. Pojechaliśmy na zakupy do wschodniej Anglii.

- Naprawdę? - Jock patrzy na mnie z podziwem.

- Dobra robota, Anno. O tym też mu powiem.

Felicja

„Inspektor wzywa” nieźle się zapowiada. Choć sam James, niech go szlag, jest kiepski. Entuzjazm nie jest w stanie zastąpić talentu, ale przynajmniej dobrze zna tekst i wyraźnie mówi.

- James - musiałam w końcu powiedzieć - wiem, że grasz przemysłowca, ale ten akcent z Yorkshire...

- Myślałam, że jest dobry - odparł urażony.

- Kłopot w tym, że zapominasz o nim i zaczynasz mówić jak antykwariusz z Wykeham.

- Jesteś tyranką. - Uścisnął mnie z sympatią, ale tylko sympatią. Przy naszym trzecim spotkaniu, śmiałam się z siebie, że się czegoś spodziewałam.

James Robson nigdy nie okazywał zainteresowania ani mnie, ani też żadnej innej kobiecie. Ale lubię przebywać w jego towarzystwie, bo to facet na poziomie. A ponieważ Antony nie uświadomił sobie jeszcze, na czym polega jego przewaga, okropnie go denerwuje, kiedy mówię o Jamesie, który jest naprawdę całkiem nieszkodliwy. Dziś próba ostatniego aktu, moi aktorzy wyraźnie się denerwują, nawet odporna Marian okazuje nerwy występując przed amerykańskim reżyserem telewizyjnym z krwi i kości (choć Sol tak dużo teraz przebywa w Anglii, że przestałam o nim myśleć jak o Amerykaninie).

Nie miałabym odwagi zaproponować, żeby przyjechał popatrzeć na próbę. To był wyłącznie jego pomysł. Sol zadzwonił do mnie dwa tygodnie temu, kiedy Antony zawiadomił go, że Kitten się oszczeniła. („Ale nie dlatego chcesz, by Kitten miała szczeniaki, żeby agencja taty mogła na tym zaoszczędzić?” spytała Sara z dezaprobatą. „Oczywiście, że nie - odpowiedziałam i tak planowałam szczeniaki. Po prostu zbiegło się w czasie.”)

- Fel, kochanie, jak się masz? Podobno wszyscy będziemy zatrudnieni przy kręceniu pierwszego filmu Antony'ego, reklamującego psią karmę. Wystarałem się o najlepszego kamerzystę od filmów przyrodniczych, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego Antony uparł się... ach, mniejsza z tym. Czy jeśli przyjadę z ekipą za dwa tygodnie, będą już miały otwarte oczy i zaczną się bawić?

- Ekipą?... Wydaje mi się, że tak.

- Jakie zabawne. A teraz słuchaj uważnie, bo mam zamiar zrobić ci nader sympatyczną propozycję. Czy mógłbym przyjechać trochę wcześniej, żeby wpaść do was na próbę? Marzę, żeby zobaczyć cię w akcji i kto wie, może mógłbym ci udzielić paru rad.

- Och, Sol, jesteś wspaniały. Chciałam cię o to prosić, ale nie miałam odwagi. Czy mówisz poważnie?

- No to do zobaczenia... czternastego około dziesiątej.

Sol przyjeżdża w ustalonym terminie, widzę, jak uwija się energicznie otoczony prawdziwą ekipą filmową. Ktoś mógłby pomyśleć, że przyjechali kręcić „Wojnę i pokój”.

- Na pewno słyszałaś o Gregu Sankeyu; a to jest Tony, Ed i Mary, Greg, to Felicja. A gdzie Pete? Nie, Pete, sprzęt zostaw w samochodzie, tu nie będziemy kręcić.

- Sol, poznaj Jamesa Robsona, który założył nasz zespół.

Sol i James wymieniają spojrzenia zdradzające zaciekawienie.

- To miło, panie Venture, że będziemy mieli okazję skorzystać z pańskich rad.

- Drobiazg. Zaczynamy.

Aktorzy rozpoczynają ostatni akt sztuki, a ja jestem naprawdę dumna. Akcent Jamesa nadal wędruje gdzieś po zabitej prowincji, a Tom Brook zapomina raz tekstu, ale całość wypada bardzo profesjonalnie. Sol cały czas robi notatki; kiedy kończą pozostając na scenie w grupce, jakby gotowej do obrony, podnosi się.

- Dziękuję, panie i panowie za miłe rozczarowanie. Byliście dużo lepsi, niż się tego spodziewałem. Macie dobre wycucie tempa i współpracujecie jak zgrany zespół. A teraz gorsze wieści. Marian, kiedy pani...

Komunikuje swoje uwagi wszystkim członkom zespołu po kolei, oszczędnie wyjaśniając, gdzie popełnili błędy i dlaczego. Jest taktowny i grzeczny, a na zakończenie zapewnia ich:

- I proszę mi wierzyć, mówię to wszystko tylko dlatego, że niewiele brakuje, by zagrali państwo znakomicie, więc szkoda by było nie dopracować tego.

Nigdy nie widziałam Sola przy pracy; teraz rozumiem dlaczego cieszy się takim powodzeniem. Nawet mając do czynienia z grupą aktorów - amatorów, których nigdy więcej nie spotka dąży do doskonałości. Gawędzi parę minut z każdym członkiem zespołu, a potem podchodzi do mnie.

- Sol, to było fantastyczne. Wielkie dzięki, po prostu ich natchnąłeś.

- To ty, Fel, wykonałaś z nimi kawał dobrej roboty. To świetni ludzie. Jak daleko stąd do waszego domu? Czy mogłabyś zabrać Jamesa Robsona?

- Jasne, że tak...

- Jest tak zainteresowany filmem, więc pomyślałem, że zechce popatrzeć, jak kręcimy reklamę.

- Założę się, że to ty zechcesz, ty draniu...

- Nic z tych rzeczy, Felly, nie bądź antypatyczna.

Kiedy podjeżdżamy korowodem (mój samochód, Sola i obskurny mikrobus, prowadzony niemrawo przez Pete'a) pod White Walls, ekipa wysiada i rozglądają się z rozczarowanymi - zawsze to samo - minami fachowców. Greg Sankey, operator, który właśnie wrócił po trzech miesiącach z Chile, gdzie jako pierwszy sfilmował kolejne stadia rozwojowe nietoperza owocożernego, rozgląda się z lekceważeniem. To oczywiste, że jest tu dla pieniędzy i czuje do siebie pogardę, że filmuje szczeniaki zamiast robić to, co naprawdę kocha, czyli czatować z kamerą nad norą pająka podkopnika.

Prowadzę ich do komórki, gdzie umieściliśmy Kitten z jej pięciorgiem szceniąt.

- Beznadziejne światło - oświadczył Tony, a może Ed.

- Nie można wynieść ich na dwór? - pyta Ed, a może Tony.

Mary wychodzi na dwór z notatnikiem i robi notatki. Prawdopodobnie listę zakupów, myślę złośliwie. Wszyscy za wszelką cenę chcą udowodnić, jacy są ważni.

Przenosimy szczenięta do ogrodu. Kitten, zdenerwowana, idzie za nami. Tony i Ed dźwigają lampy.

- A więc, zależy nam - mówi Sol - by sfilmować prawdziwy urok, macierzyństwo... i nie zapomnijmy o tym utrapionym towarze, kto ma puszkę z karmą? Dziękuję Pete.

- Wiesz, Sol, ja uważam... przepraszam, to nie moja sprawa.

- Nie, dlaczego? Powiedz.

- Antony'emu nie na tym zależy, to rzeczywistość, po prostu natura. Przywykliśmy myśleć o psach jako maskotkach i zapominamy, że to zwierzęta.

Greg Sankey zatrzymuje się, patrząc z lekceważeniem.

- Rozumiem - mówi - nie potrzebujemy świateł. (Tony i Ed wymieniają pełne wyrzutu spojrzenia.) Spróbujmy sobie wyobrazić, że to jakieś nigdy nie filmowane zwierzę. Godzinami czatowaliśmy przy jego kryjówce, matka jest nieufna i niespokojna, czuje, że... - Wszyscy patrzymy na Kitten, która tarza się po trawie wymachując łapami. - "Boże, nie ręczę za jej rodowód" - Mary nadeptuje na jednego szczeniaka, który głośno piszczy. - Widzieliście?

Prawdziwa obronna reakcja matki... gdyby kamera była załadowana, Pete, co byłoby zdumiewające, mielibyśmy już niezłe zdjęcia.

- Czy mam na niego nadepnąć jeszcze raz? - pyta Mary usłużnie.

- Głupia suka - mówi półgłosem Greg i bynajmniej nie ma na myśli Kitten. - Daj im trochę jedzenia. Spróbujemy kręcić znad ziemi.

Dwa szczeniaki dopadają jajecznicy i walczą nad nią zawzięcie. Greg leży na brzuchu, z kamerą w odległości zaledwie paru cali od ich rozjuszonych pyszczków. Kitten, znudzona harmidrem, podbiega, roztrąca je i pożera resztę jajecznicy.

Greg pomrukuje z zadowoleniem.

- Jest dość brutalna. Krew myśliwska dziedziczona od pokoleń. Wie pani, Felicjo, że owczarek walijski bawi się z dziećmi zupełnie inaczej. Dziwne, że nikt do tej pory na to nie wpadł. To, czegośmy ich uczyli przez pokolenia, przekazują instynktownie potomstwu... O, cholera, one jadły jajecznicę, nie karmę.

- Tak sobie właśnie pomyślałam - odzywa się Mary.

- To czemu, do diabła nie powiedziałaś? Co tam ciągle piszesz, listę zakupów?

- Nic nie szkodzi - wtrącam się - towar nie jest taki ważny.

Wszyscy się we mnie wgapiają. Mary opada szczęka ze zdumienia.

- Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem - mówi Greg.

- Czy może pani powtórzyć?

Uśmiecham się.

- Antony po prostu uważa, że właściciele psów na ogół patrzą na psy, nie na puszki z karmą. „Ten niezwykły film nakręcił dla państwa producent "Crunchofilth", coś w tym rodzaju.

- Teraz rozumiem, dlaczego chcieliście, żebym to kręcił - mówi Greg rozbijając, bez cienia fałszywej skromności.

- Patrzcie, teraz idą spać, ustawiając się wyraźnie w pewnej hierarchii, jak stado dzikich zwierząt, zrobmy tę scenę.

- Czy mam je obudzić? - pyta Mary.

Greg i Pete wymieniają spojrzenia. Ktoś inny będzie im asystował następnym razem.

Dziewczynki wracają ze szkoły i podniecone spieszą zobaczyć, co się dzieje na podwórzu. Sol, który miał zawsze słabość do Sary, mówi do Grega:

- Masz jeszcze kasetę?

- Jasne - odpowiada Greg swobodnie - chodźcie, dziewczynki, do szczeniaków, sfilmujemy was na kasecie video.

Dziewczynki wchodzą między szczeniaki. Laura bez żadnego zainteresowania kamerą, Sara, kuląc ramiona i spuszczaając głowę. A Emmy... trudno uwierzyć, że ma dopiero dwanaście lat. Oczy błyszczące, włosy rozwiane. Patrzy w obiektyw, niby w oczy Richarda Gere'a. Sol przerywa rozmowę z Jamesem i podchodzi do Grega.

- Kręć jak najwięcej Emmy, tę małą.

- Czy ona już grała? Patrz na nią, mała szelma, całkiem przyćmiła dwie starsze, to profesjonalistka. Za chwilę zaczniesz mnie wypytywać o walory oświetlenia.

- Co się dzieje, Sol? - pytam.

- Dlaczego, na litość boską, nie pomyślałem o Emmy, szukając dziecka do filmu? Kręcę dla Anglików. Późne lata trzydzieste; nostalgiczne dni przedwojenne i na tym tle studium prowincjonalnego małżeństwa w separacji, widziane oczyma dziecka. Kręcimy w Suffolku... prawda i alegoria...

- Ty intelektualisto - śmieje się Greg z sympatią. - Czy ty w ogóle robisz coś, co nie jest prawdą i alegorią.

- Operatorzy - choćby najbardziej utalentowani - w ogóle się nie liczą.

- Nie ty. Czy już wystarczy, czy ładować następną kasetę.

- Nie, zupełnie wystarczy, chce mieć pojęcie jak ona się porusza... gdybyś widział niektóre dzieci podczas eliminacji. Ambitne mamusie, same ekspertki, które nigdy nie wystawiły nosa poza ostatnią stację metra w Watford, a wiedzą wszystko o życiu na wsi.

Wszyscy zwijają sprzęt i wsiadają do samochodów.

Kiedy żegnam się z Gregiem, mówi z rozbijającą szczerością:

- Chętnie bym się z panią przespał. Mam jakąś szansę?

- Żadnej - odpowiadam rozbawiona.

- Tak myślałem, ale nigdy nie wiadomo... a ja mogę się rozmyślić w tych rześkich górach walijskich.

Anna

- Świetne dzieciaki - mówi Philip.

Leży na indiańskim kilimku przed moim nielegalnym kominkiem na drzewo, podczas gdy ja pilnie czytam plotki w „Sunday”; poważne rzeczy będę musiała czytać jutro w biurze.

- Philip?

- Tak?

- Co myśli rząd czy rada miejska, czy kto tam, że co ludzie robią z opałem, który jest w sprzedaży w rejonach, gdzie palenie w kominkach jest zakazane?

- Miejscowa rada, kotku. Pewnie, że się robi podstawki do lamp.

- Philip?

- Uhm?

- Jak to możliwe, że na każdą niedzielę zdobywają nowe skandale z życia Marylin Monroe?

- Ponieważ ona nie żyje i nie może zadzwonić do Marvina Mitchelсона.

- Uważasz, że oni je wymyślają?

- Tego nie powiedziałem. - Philip siada i opiera się plecami o fotel, który pod jego ciężarem odsuwa się powoli do tyłu i pozostawia go w raczej mało wygodnej pozycji. - Nie zapominaj, że jestem prawnikiem. Powiedziałem natomiast, że masz świetne dzieciaki.

- Cieszę się, że je polubiłeś. One ciebie też polubiły. Zwłaszcza Mark.

Niedawno odwieźliśmy dzieci na dworzec, po, być może, najbardziej udanym weekendzie w moim życiu.

Nie dlatego, byśmy robili coś nadzwyczajnego. W sobotę rano zakupy na Portobello, lunch w pubie, a potem spacer do domu, wieczorem teatr i na koniec kolacja w restauracji „Giardino”. Udało mi się przekupić Sandrę, która po trzygodzinnym staniu w kolejce kupiła nam bilety na music - hall „Upiór w operze”. Potem przy kolacji dyskutowaliśmy o przedstawieniu. Em cały czas promieniowała radością. W pewnym momencie wzięła mnie za rękę i powiedziała:

- Och, mam, to było cudowne. Dziękuję, że nas zabrałaś.

Em ma sporo z zachowań Felicji. Ujmujący sposób przekrzywania głowy i figlarny uśmiech, kiedy się jej wydaje, że powiedziała coś zabawnego, który, szczerze mówiąc, bardziej mi się podoba u Em niż Felicji. Ona też chce zostać aktorką.

Przywieźli mi film video, nagrany przez Sola w White Walls w zeszłym tygodniu, na którym są dziewczynki w otoczeniu szczeniaków.

Natychmiast zauważyłam, że podczas gdy Sara garbi się niezgrabnie, jak wszystkie nastolatki w tym wieku - „Mam już 36B, ale nie wiem, czy chcę to przyjąć do wiadomości czy nie.” - Em zachowuje się z promienną swobodą.

Philip też to dostrzegł.

- Jest naturalna. Czy ma jakieś zajęcia teatralne? Em, która przejęła od Felicji również jej bystrość, usłyszała nas i woła z dumą:

- Greg powiedział, że jestem prawdziwą profesjonalistką.

- Szkoda, że miałaś plamę - odezwał się Mark, którego nie było na filmie i prawdopodobnie widział go ze sto razy.

Gotowałam z Philipem spaghetti bolognese w kuchni, kiedy powiedział:

- Dyskutowaliśmy z Markiem w parku o Larkinie. Mark uważa, że mam coś wspólnego z Chestertonem. Nie widzę tego. Ale to inteligentny chłopak.

- Jest dobry w sporcie.

- Naprawdę? - Philip sięgnął po sos i zręcznie otrzepał sałatę. - To dziwne. Miałem wrażenie, że nie przepada za Piłką.

- Ależ on przecież należy do drużyny piłkarskiej.

- Myślę, że się jeszcze zdziwisz... - powiedział Philip Próbując sałaty i mrucząc z zadowoleniem. - Myślę, że on woli działania dla dobra ogółu, jak na przykład przynoszenie książek z biblioteki obłożnie chorym i temu podobne, niż uganiać się za piłką.

Okazało się, że Philip ma rację. W czasie lunchu Mark, bardzo poważny - przypomina mi trochę Adriana Mole'a - opowiedział nam o małżeństwie staruszków, mieszkających w pobliżu szkoły, którym pomaga.

- Najbardziej lubię, kiedy pijemy herbatę, a oni opowiadają o wojnie, racjonowaniu żywności i różnych takich rzeczach. Wiecie, starzy ludzie są naprawdę ciekawi, jeśli się ich słucha.

Philip słuchał Marka. Sądzę, że nikt z nas nigdy tego nie robił. Antony, maniak piłkarski, uważał za oczywistość, że Mark pójdzie śladami ojca i będzie prawym skrzydłowym w szkolnej drużynie piłkarskiej. Donald udawał, że Mark w ogóle nie istnieje, a jeśli już to jedynie jako odbicie Antony'ego; a Felicja i ja zawsze spędzałyśmy więcej czasu z dziewczynkami. Philip odkrył więcej w jeden dzień, niż my przez lata.

- Czy to nie okropne, jak szufladkujemy nasze dzieci, praktycznie już w momencie narodzin i oczekujemy, by takie pozostały na zawsze? - pytam, myśląc jednocześnie, jak ładnie Philip wygląda po drugiej stronie kominka.

- Wszyscy rodzice tak robią.

- A ty? Czy masz dzieci? - Nie wiedziałam nic o przeszłości Philipa, prócz tego, że był kiedyś żonaty. Chyba jednak trochę za późno na zadawanie pytań.

- Nie. Nie mam. - Nie widzę wyrazu jego twarzy, ponieważ podrywa się i podchodzi do stołu. - Cała moja wiedza o dzieciach pochodzi z drugiej ręki, z biura, gdzie setki razy słuchałem, jak ludzie niszczą życie swoich dzieci. Chodź, kochanie, odwieziemy dzieciarnię, a potem spać.

Kto może dzwonić o 7.45? Philip zaspany podnosi słuchawkę i podaje mi ją, po drodze całując mnie w ucho.

- Cześć, Anno. Jestem w Londynie. Nie mogłem się już doczekać, żeby zadzwonić.

- O Boże, to Tom.

- Halo - mówię, tak powściągliwie, jak tylko możliwe.

- Słuchaj, maleńka. Dostałem twój list. Fantastyczny. Czytając ma się wrażenie, że skupiłaś w swoich rękach całą brytyjską reklamę. Ja nadal czuję to samo, Anno, co ty. Mogę przyjść teraz?

Głos Toma dotarłby z Churchill Hotel na Portman Square, gdzie się zatrzymał, do Maida Vale nawet bez pomocy kabla telefonicznego, a ponieważ ów kabel w tej chwili biegnie naprężony po nagiej klatce piersiowej Philipa, nie sprawiłoby większej różnicy, gdyby Tom wrzeszczał mu prosto do ucha.

- Jak długo się stąd jedzie do ciebie, kochanie? Zastanawiam się w popłochu, jak (jednym zgrabnym zdaniem) powiedzieć Tomowi, że wszystko się zmieniło i wyjaśnić Philipowi, że napisałam list, zanim do niego przyszłam, tymczasem jednak Philip wysuwa się spod kabla telefonicznego i wstaje z łóżka.

- Zadzwoń do ciebie później, Tom - mówię pośpiesznie. - Teraz nie mogę... przepraszam.

Ale Philip zamknął się w łazience. Dziesięć minut później wychodzi kompletnie ubrany, z teczką pod lewą pachą.

- Kochanie... - idę za nim do drzwi. - Poczekaj, nie zjesz śniadania?

- Śpieszę się. - Jego twarz jest zacięta, pusta.

- Ale... kiedy cię zobaczę?

Philip patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby chciał wezwać sekretarkę, żeby odprowadziła mnie do drzwi.

- Zadzwoń - mówi.

Felicja

Minęły dwa dni od wizyty ekipy filmowej Sola. Wychodzę z domu, żeby posadzić sadzonki morwy, kiedy dzwoni Sol.

- Wysłałem kasetę video z dziewczynkami. Tak jak myślałem, Emmy jest znakomita. Będę cię prosił o terminy jej wakacji.

- Ale rozmawiałeś o tym z Anną i Antonym? Jestem pewna, że będą zachwyceni, ale...

- Jasne, że tak. Antony jest tak zadowolony z reklamy karmy dla psów, że zgodzi się na wszystko... ten Greg to czyste złoto, nie masz pojęcia, a skoro już dzwonię, to muszę ci podziękować za parę rad. Robione z bliska ujęcia tych warczących pyszczków robią niesamowite wrażenie. Słuchaj, skoro jedziesz z naszą ekipą do Walii,

to nie ma chyba sensu, żebym teraz przyjeżdżał. A może chciałabyś zarobić trochę pieniędzy, jako asystentka reżysera?

- Wiesz, Sol, to była świetna myśl swojego czasu, ale teraz... mam tu tyle pracy.

Prawdopodobnie mogłabym to jakoś urządzić; robota nie ucieknie. Ale Emmy, która kręciła się cały czas wokół ekipy, a żegnając się z Gregiem wpatrywała się w niego z uwielbieniem, poinformowała Antony'ego o zaszczytnej propozycji, jaką mi złożono. To dziecko zawsze miało niezawodną pamięć.

- O co chodzi z tą Walią? - spytał wzburzony wczoraj wieczorem, kiedy przyjechał na weekend.

- Czy mogłabym pojechać? Gdyby nie było mnie tutaj, kiedy nagrywali Kitten i szczeniaki, dostałbyś taki jak zwykle film o najlepszym przyjacielu człowieka, jakich widzieliśmy już setki.

- Wiesz, kochanie, świetnie się spisałaś. Doceniam to, jestem ci naprawdę wdzięczny.

- Czy rzeczywiście byłbyś zmartwiony, gdybym pojechała do Walii? Nic się nie stanie, przecież wiesz... Wiesz co? Ubijmy interes; nie pojedę do Walii, jeśli ty przestaniesz się spotykać z tą rudą.

- Jaką rudą?

- Czy pomyliłam kolory? Tą, którą całujesz po paluszkach w „Groucho”.

- Daj spokój, Felly; to tylko niewinna rozrywka.

- Wyjazd do Walii też będzie tylko niewinną rozrywką - odpowiadam bezlitośnie.

- Nie udawaj, że ci przeszkadza, jak od czasu do czasu pocałuję kogoś w rękę.

- Jeśli mam być szczerą, nie ma to większego znaczenia. Wiem, że zawsze będziesz do mnie wracał.

- A więc? - mruknął nadąsany, jakbym mu powiedziała, że nie dostanie swego ulubionego batonika.

- Ale przeszkadza mi, doprowadza niemal do szaleństwa, że moi przyjaciele współczują mi. Anna i Sol rzucają mi niespokojne spojrzenia i zastanawiają się, czy o tym wiem. Antony, to mnie upokarza, więc byłabym wdzięczna, gdybyś zaprzestał tego cmokania po palcach, albo chociaż nie robił tego w „Groucho”.

- I nie pojedziesz?

- Nie pojedę. Chyba, że dowiem się o czymś, co sprawi, że zmienię zdanie.

Sol cały czas szczebiocze do słuchawki. - ...więc się zastanowiłem, co o tym myślisz?

- Sol, przepraszam, byłam myślami zupełnie gdzie indziej... Co mówiłeś?

- Uznałem, że mogłem być zbyt surowy dla twoich aktorów. W końcu to nie są profesjonaliści.

- Byłeś cudowny, wszyscy są tobą zachwyceni. To wiele dla nich znaczyło.

- Pomyślałem, że powinienem zadzwonić, jeśli kogoś uraziłem.

- Doskonale... czy podać ci numer Marian? - proponuję złośliwie.

- Pomyślałem, że powinienem zadzwonić raczej do Jamesa Robsona. W końcu to on jest szefem. Czemu się tak głupio śmiejesz?

- Bo wczoraj James zapytał mnie, czy nie uważam, że wypadałoby zadzwonić do ciebie i podziękować za pomoc. I zdaje się, że znalazł dla ciebie... Nelsona, czy coś takiego.

- Monteitha. No to lepiej zadzwonię do niego.

Ostatnio miałam sporo pracy organizacyjnej. Zaproponowano mi, bym została sekretarką naszego oddziału Czerwonego Krzyża.

- W zeszłym roku sekretarką była Jenny Balfour - powiedziała pani Carrick, która będąc szefową działu, piastuje również funkcję prezesa Czerwonego Krzyża, skarbnika Instytutu Kobiet, ustala dyżury przy sprzątaniu kościoła i z oddaniem pracuje na rzecz inwalidów. W wolnym czasie zaś gra w zespole kameralnym... - i niestety zrobiło się tam trochę bałaganu. Jenny, to wspaniała kobieta, ale jest słabą organizatorką.

To chyba szczyt możliwości pani Carrick, jeśli idzie o krytykę kogokolwiek. Jest jedną z tych kobiet, bez których życie na prowincji zamarłoby. Niestrudzona w pracy i przemiła (z wyjątkiem jednego - wiadomo, że farmerzy po zbesztaniu ich przez panią Carrick za ich świńskie zachowanie, chowają się za stogi siana i tam dudlą z piersiówek), przepadam za nią.

- Chodzi o to, Felicjo, że potrzebuję w przyszłym roku sprawnej sekretarki. Mam zostać dyrektorem „Zagrożonej Arystokracji” i naprawdę nie będę miała czasu zajmować się sprawozdaniami ze spotkań Czerwonego Krzyża.

- Staram się jak mogę... ktoś zaproponował mnie na sędziego pokoju, a to zajmuje sporo czasu, ale...

- Bardzo mądrze. Ale od razu ostrzegam, że będzie pani krwawiło serce w sądzie dla nieletnich. Ja byłam sędzią w Swindon. To straszne, jak traktujemy nasze dzieci... no, ale do rzeczy. Czy pomoże pani w Czerwonym Krzyżu?

- Naturalnie, że tak.

Pięć lat temu moim wzorem była Glenda Jackson. A dziś promienieję radością, kiedy pani Carrick ma dla mnie słowo pochwały.

- Ach, przypomniało mi się - mówi pani Carrick wsiadając do samochodu - czy umie pani grać na pianinie?

- Kiedyś... ale, teraz już bardzo kiepsko.

- Niestety biedny stary David Peterson nie może dalej grać. Artretyzm... Proszę się zastanowić.

Anna

- Jeszcze pracujesz?

Wchodzi Maddie z aktówką w jednej ręce, w drugiej zaś wielka skórzana torba, z której sterczy monitor i mówi:

- Minęła dziewiąta, a pracujesz dziś od ósmej trzydzieści rano.

- Muszę mieć to sprawozdanie dziś wieczorem i przejrzeć jeszcze trochę papierów.

Mary opada na krzesło po drugiej stronie biurka. Wygląda na zmęczoną. Wyjmując z lodówki tonik dietetyczny i lód, pytam:

- To co zwykle?

- Tak, poproszę, ale džinu tylko odrobinę. - Pokazuje z uśmiechem na torbę z zakupami. - Muszę coś jeszcze z tym zrobić po powrocie do domu. Czemu nie odłożysz tego do jutra. Ostatnio przesadzasz z robotą.

To prawda. Zostaję do późna w biurze, ale to tylko dlatego, że tu czuję się mniej samotna niż w domu. Minęło siedem tygodni i trzy dni od dnia, kiedy Philip odszedł. Nie zadzwonił, tak jak się tego spodziewałam. Gdyby chodziło o kogoś innego, ale o Toma...

Tęsknię za Philipem. Chociaż nie mieszkaliśmy razem - i nie chciałabym, żeby tak było - ale zawsze krążył gdzieś w pobliżu... a to zadzwonił, to znów wpadł nieoczekiwanie, żeby mnie wyciągnąć na szybki lunch do pobliskiej restauracji z hinduskim jedzeniem,

zostawał na noc, czasem kilka nocy. Mieszkanie, w którym niegdyś rozkoszowałam się samotnością, jest teraz ponure i puste.

Nie mam zamiaru wyplakiwać się Maddie, która zainwestowała w moje kwalifikacje mnóstwo pieniędzy; zresztą po niej też widać, że miała podły dzień.

- A ty? - podaje jej szklanke, wskazując na torbę z zakupami. - To przypomina raczej spóźnione zakupy w sklepie nocnym, niż wyjście z biura szefa firmy, obracającej milionami.

Maddie uśmiecha się.

- To dopiero prawdziwy stres szefa. Rodzice Boba przychodzą jutro na kolację. W drodze od Alexa Staleybridge'a wpadłam do „Europy”, wydając tyle, ile zapłacilibyśmy za gulasz w „Gavroche'u”, który ktoś spokojnie gotuje w ciągu dnia.

- Zupełnie jak moje sprawozdania - mówię, głowiąc się jednocześnie nad tym, co Maddie i Alex knują. - No to zrób to jutro. Albo zabierzcie gdzieś rodziców, można też kupić gotową kolację. Wyroby „Bute Catering” są wyśmienite.

- Co? Żeby matka Boba znów mogła mi powiedzieć z satysfakcją, na jakich to pożywnych, domowych obiadkach go chowała? Nie, ugotuję dziś w nocy. Jutro wcześniej muszę wyjść do „Fairland Hall”. Parę firm ma się tam spotkać. Szykują się poważne rozmowy, wszystko ścisła tajemnica.

Maddie wpatruje się w kostki lodu z wielkim przejęciem. Wyraźnie czuje, iż powiedziała za wiele. Alex Staleybridge... parę firm... poważne rozmowy... ścisła tajemnica?

- Boże, czy znów ktoś kogoś przejmuje? - pytam w miarę obojętnie dolewając Maddie dzinu.

- Nie, nie, nie do tego stopnia, o ile wiem - odpowiada tak szybko, że mam pewność, iż jestem na właściwym tropie.

Po trzech mocnych dzinach - McMahonowie prawie na pewno pójda jutro na kolację do „Gavroche'a” - Maddie właściwie ujawniła, że cały przyszły tydzień „Patterson Warbeck” i „United Grip” będą negocjować do upadłego w „Fairland Hall”.

Smażąc sobie samotnego kotleta - nim poznałam Philipa nigdy nie miałam takich myśli przy smazeniu kotletów - rozważam znaczenie faktów, o których się dowiedziałam od Maddie.

Jeśli Alex Staleybridge złoży korzystną propozycję „United Grip”, udziałowcy będą musieli się zgodzić. Zarządzający kapitałem

zakładowym - pragnąc się wykazać w kolejnych półrocznych sprawozdaniach - też na to pójdą. A wtedy Alex, który jest za moją firmą (zrobiliśmy dobrą robotę przy reklamie „Findersa”, również pierwsza kampania reklamowa „Polarice'a” dobrze się zapowiada) zostanie dyrektorem naczelnym nowo powstałej spółki.

Z drugiej strony, Peter Wentworth, szef UG, od dawien dawna fachowiec od spraw sprzedaży, prawdopodobnie stanie na czele działu marketingu. On jest za agencją Antony'ego, która zajmowała się już dwoma zleceniami UG i szykuje się do reklamy ich nowego przeboju - produktów ekologicznych.

Wygląda na to, że stanie się to agencją Forester - Jones Friend Lock kontra Anna Browning Company. Co za ironia losu. Gdyby Antony potrafił przed laty zobaczyć więcej niż moje błękitne oczy i sto dwadzieścia uderzeń na minutę, moglibyśmy tworzyć zgraną parę.

Kiedy jedząc kolację, czytam „Newsnight”, dociera do mnie jeszcze jedno; zgodnie z opinią „Media Week” reklama odżywkii dla dzieci, zrobiona przez agencję Antony'ego i jedna z moich reklam (raczej Sola, jeśli mam być szczerą) dla „Findersa” mają wielką szansę zdobyć w przyszłym miesiącu nagrodę D & AD; z pewnością Maud Jensen, ta ładna dziewczyna, która zleciła mi w zeszłym roku artykuł o mediach dla „Standardu”, coś na to poradzi.

- To świetna historia - przyznaje Maud, otwierając energicznie notes, gotowa do pracy. - „Bitwa o pierwszą nagrodę między mężem i jego eks - żoną”. Brzmi dość pikantnie, nie uważasz? Chciałabym zapytać, Anno, czy w przeszłości dużo się kłóciliście... o dzieci, pieniądze, no wiesz, to wszystko, o co się kłócą ludzie przy i po rozwodzie.

- Oczywiście, że nie. - Mam zupełnie co innego na myśli. Wpatrując się w nią szczerym spojrzeniem, mówię, że zawsze darzyłam Antony'ego niezwykłym uczuciem.

- Hm. A teraz? - pyta zakłopotana. Próbuję uniknąć jej wzroku.

- Teraz mam dla niego podziw... jako jednego z wielkich ludzi reklamy.

Maud odkłada długopis.

- Do licha, Anno. Nie mogę czegoś takiego wydrukować. Wiesz, że nie mogę. A swoją drogą, ile facet ma lat? Pięćdziesiąt dwa?

- W październiku skończy pięćdziesiąt trzy.

- Okay - mówi próbując opanować śmiech - mam u ciebie dług wdzięczności. Może przedstawimy go jako wybitnego nowatora, którego darzysz podziwem.

- Wolałabym szacunek, żeby brzmiało dostojniej. Przez parę godzin pracuję nad tą historyjką i nie pamiętam, bym kiedykolwiek spędziła tak przyjemnie przedpołudnie.

Felicja

Jeśli dzisiejszy „Financial Time” nie myli się, to Antony musi sobie uświadomić, że nie on, tylko jego eks - żona będzie organizować kampanię reklamową ekologicznych wyrobów, czy jak tam ma się to nazywać. Na początku tego roku „Patterson Warbeck” wyraźnie przystąpił do bardziej zdecydowanych działań. Kupował po cichu pakiety akcji po cenie nominalnej; i już jest powszechnie wiadome, że „Patterson Warbeck” lada chwila przejmie „United Grip”. A agencja Anna Browning zyskała wielkie uznanie „Patterson Warbeck”. Dzięki jej kampanii reklamowej wyrobów „Findersa” w ciągu ośmiu miesięcy znaleźli się na trzecim miejscu w kraju, a teraz zdobyła również zlecenie na reklamę „Polarice'a”, który właśnie wypuścił na rynek próbną serię niskokalorycznych i bogatych w błonnik mrożonek.

- Dla ludzi, którzy chcą schudnąć, zaoszczędzić czas i mieć zdrowy żołądek - wyjaśniła z entuzjazmem Anna. - To śmiało i nowe podejście, Fel.

- Czyli jak kawałek sera i jabłko - osadziłam ją.

- Przy takim podejściu wszyscy byśmy byli na zasiłku dla bezrobotnych. To świetne potrawy, Felicjo. I jest bardzo prawdopodobne... - ściszyła głos i rozejrzała się. Akurat szłyśmy przez puste pole; więc musiała się obawiać agentów obcego wywiadu, którzy mogli ukrywać się gdzieś w krzakach - ... że niebawem gospodyni domowa będzie mogła kupić małe pudełeczko z taką potrawą i po dodaniu wody...

- Będzie smakowało jak makaron.

- Będzie smakowało jak Caneton a l'orange, nad którym ktoś biedził się dwie godziny. A poza tym będzie bez porównania zdrowsze. Co ty o tym sądzisz?

Sądziłam, że to przerażające. I że, jak wiele innych przerażających rzeczy w naszych czasach, odniesie ogromny sukces.

I sądziłam też, że Anna dość lekkomyślnie powierza memu uchu sprawy, o których przypuszczalnie Antony też chciałby usłyszeć. W tej sytuacji muszę zdecydować, wobec kogo mam być lojalna. Utkwiło mi w pamięci, jak porzuciwszy Annę, wyraził nadzieję, że znajdzie sobie jakąś drobną pracę, żeby przetrwać, póki nie spotka faceta dla siebie.

Jego pycha zirytowała mnie strasznie.

Z jednej strony uważam, że świetnie by mu zrobiło, gdyby Anna utarła mu nosa, z drugiej - jest mi go żal.

Jego kampania reklamowa odżywek dla dzieci produkcji „United Grip”, dowcipna, treściwa i pełna ciepła, miała wielką szansę zdobyć nagrodę A & AD. Podobnie jak reklama Anny dla „Findersa”. Cieszę się, że żadne z nich nie wygrało. Paru wścibskich dziennikarzy odkryło fakt, że eks - mąż i żona współubiegają się o tę nagrodę; „Standard” wydrukował rzetelny (rzetelny, jeśli nie zna się Anny - postarała się, by wszystko brzmiało niewinnie i uczciwie, a zarazem było sensacją) wywiad o tym, jak się czuje kobieta wyzwolona, kiedy musi rywalizować z eks - mężem.

„Darzyłam Antony'ego jako mężczyznę ogromnym uczuciem.” powiedziała ładnie. - „Dziś darzę go wielkim szacunkiem jako jednego z wielkich nowatorów naszego zawodu. My, którzy poszliśmy za nim, będziemy zawsze zawdzięczać coś Antony'emu Forester - Jonesowi”.

- Poszliśmy za nim? - zawył Antony. - Poszliśmy za nim? Ta cholerna zołza. Widzisz, co ona knuje, widzisz, prawda? Antony Forester - Jones to ten z trąbką przy uchu. Tak chce to rozegrać.

Niedługo po tym gazeta „Private Eye” przyniosła artykuł zatytułowany „Obraz Anny Browning”, który sugerował, że pewna błękitnooka uwodzicielka w reklamie może stracić swoją pozycję, ma bowiem zwyczaj zabawiać się ze studentami. Wymieniono paru panów z jej świty (wśród nich Toma Harmana; miałam nadzieję, że jakiś życzliwy nie wysłał egzemplarza Donaldowi) i podobno ich wiek - wszyscy tuż po dwudziestce.

- Niezbyt smaczne - powiedziałam rzucając gazetę w stronę Antony'ego.

- Ha, kto mieczem wojuje...

- A jak się uśmieje Sara, Emmy i Mark, czy to wzięłeś pod uwagę. Po pierwsze dowiedzą się, że matka uważa ich ojca za ramola,

który musi odejść. A potem czegoś, co im się bardzo przyda, kiedy przygotowują się do egzaminów, a mianowicie, że mama to wamp, który rzuca się na studentów. Powiedz, na co to wszystko? Czy naprawdę warto?

- To ona zaczęła.

- Tradycyjna odpowiedź bezmyślnego łajdaka. Jestem zła na was oboje.

Anna

Cudownie, list od Marka. Robię sobie następną filiżankę kawy, zapalam papierosa i przystępuję do odczytywania jego bazgrołów.

Czuje się dobrze, a nie pisał tak długo, bo właśnie przygotowuje się do egzaminu i jest po prostu zawałony pracą. Wszyscy w klasie są wyczerpani.

Bingham - Smith zachorował na mononukleozę i Mark podejrzewa, że niebawem całą szkołę powali do łóżek. Bierze witaminę C, aby ocaleć z nadchodzącego pogromu.

Okropnie mu przykro, że musiał kupić dwie książki na rachunek taty, ale były absolutnie niezbędne do egzaminów, a chwilowo brak mu gotówki.

A skoro już mowa o książkach, to czy mogłabym podziękować Philipowi za fantastyczny tom poezji Kiplinga, „Wczesne wersy”, która po prostu otworzyła mi oczy; zawsze myślał, że Kipling skrobał tylko o tym, jak to niosą flagę i śpiewają „Ziemię nadziei i chwały”. Bardzo chce porozmawiać o tym z Philipem, niedługo do niego napisze i podziękuje.

Siedzę przy biurku przeglądając papiery i nie jestem w stanie skupić się nad zleceniem P & L. Dochodzę do wniosku, że z powodzeniem mogłam zostać w łóżku, na co miałam ochotę po przeczytaniu listu od Marka. Nie stać mnie nawet na triumfalny uśmiech, kiedy Sandra przynosi mi „Standard” z artykułem Mad Jensen zakreślonym czerwonym flamastrem.

- Pomyślałam, że zechcesz to zobaczyć. - Stoi obok spodziewając się mojej radosnej reakcji. Ale te sprawy wydają mi się teraz takie błahe. Philip, który prawie nie zna Marka, zadał sobie trud znalezienia dla niego odpowiedniego prezentu, podczas gdy ja snuję mściwe plany zakasowania jego ojca. Ale jednak... te zlecenia są mi potrzebne. Mark dał mi świetny powód, żeby zadzwonić do Philipa.

Próbowałam parę razy w minionych tygodniach, ale za każdym razem odkładałam słuchawkę. Obawiałam się, że straciłam go na zawsze.

Kto nienawidzi mnie tak bardzo, że był zdolny to zrobić? To na pewno... Nie to niemożliwe... To Antony. I, o Boże, wymienili Toma Harmana. Nie mam już po co dzwonić do Philipa.

Mimo że „Private Eye” to pismo o niewielkim nakładzie, ma mnóstwo czytelników. Przez resztę dnia wszyscy unikają mojego wzroku, po czym oglądają się za mną, jakby mnie nagle oszpeciło, a oni nie chcą mi sprawiać przykrości. Jestem bardzo wdzięczna Bobowi, kiedy wchodzi do mojego gabinetu i kładzie pismo na biurku.

- Spodziewam się, że czytałaś? Kupa bredni. Nikt nie uwierzy w ani jedno słowo. W przyszłym tygodniu kogo innego wezmą na łożo tortur, a ty będziesz jedyną osobą, która będzie jeszcze o tym pamiętać.

- To są kłamstwa, Bob - mówię i robi mi się słabo.

- Jasne, że tak. Chodź - Wręcza mi płaszcz. - Maddie i ja zabieramy cię na doskonały lunch.

- Nie jestem głodna.

- No to na doskonałego drinka.

Kiedy wracam do biura, dzwoni telefon.

- Anno, tu Philip. O której dzisiaj kończysz? Chcę cię gdzieś zabrać.

- Ale, Philip, czy widziałeś...?

- Owszem. Okropność. Ale nie przejmuj się, kochanie. To zwykłe chwyt w walce z konkurencją.

- Ale to wszystko nieprawda.

- Wiem o tym, kochanie. Czy szósta trzydzieści to za wcześnie?

Światła wystaw sklepowych jarzą się kusząco w mrokach wczesnego zmierzchu, kiedy przytuleni idziemy Bond Street. Mijam te sklepy - z markazytowymi broszkami w kształcie jaszczurek i innymi tandetnymi drobiazgami

- dwa razy dziennie, idąc do biura, a potem w drodze powrotnej do domu, ale nawet nie spojrzałam na nie. Tym razem napawają mnie bezgranicznym zachwytem.

Cały czas uśmiechamy się do siebie. Przechodnie uginający się pod ciężarem siatek z zakupami również uśmiechają się na nasz widok.

Philip proponuje szampana w „Ritzu”. Obejmując mnie mocniej ramieniem mówi:

- Chcę zrobić coś niezwykle ekstrawaganckiego, żeby ci pokazać, jak bardzo cię kocham.

- Kochanie, ja też cię kocham, ale czy możemy pójść do „Raja”?

- Nie jest ani trochę ekstrawagancki i dużo bardziej odpowiedni.

Zostawiając mnie na chodniku wychodzi na jezdnię, żeby złapać taksówkę. Jest nie tylko najpiękniejszym, ale i najzaradniejszym mężczyzną świata, mężczyzną, który potrafi złapać taksówkę.

Zaczynani rozumieć, co Antony miał na myśli mówiąc z taką czułością o „naszej - to znaczy jego i Felicji - restauracji.” A teraz, czego domyślam się z relacji Laury, Felicja na dobre ugrzęzła w życiu prowincji, Antony odnosi sukcesy w Londynie i rzadko kiedy mają czas nawet na wspólne posiłki. Jakie to smutne. Miłość rzeczywiście uszlachetnia. Jeszcze parę godzin temu pałam żądzą odwetu, planując jak zniszczyć Antony'ego, a teraz mu współczuję.

Pan Jawari wita nas wylewnie.

- Szanowni państwo długo nie byli w mojej restauracji. Pomyślałem, że wyjechali na urlop.

Biorąc mój płaszcz, szybko podnosi rękę, nim Philip zdążył otworzyć usta, i mówi:

- Ja wiem. Kieliszek wina dla pani i piwo dla pana, jak zwykle.

Wino jest nie najlepsze, ale smakuje bosko.

- Dziękuję, Philip, że pomyślałeś o Marku. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale bałam się...

Philip delikatnie odgarnia mi znad czoła loczek, z takim pietyzmem ułożony tam wczoraj przez Roberta. Ten czuły gest w wykonaniu innego mężczyzny byłby mnie tylko rozzłościł, kiedy robi to Philip moje serce zaczyna bić mocniej.

- Wiem, kochanie, wiem. Ja też się bałam. Ten młody człowiek... Tom... jest taki... tak cholernie młody. Pamiętam was w Gstaad. Myślałem wtedy: „Więc to tak, nie mam żadnej szansy”.

- To nie było nic poważnego...

- A kiedy przeczytałem ten artykuł w „Private Eye”, wiedziałem jak się czujesz. Miałem klientów, którzy wnosili oskarżenie i skakali sobie do gardeł w dużo mniej poważnych sprawach. Musiałem ci powiedzieć, że nie wierzę w ani jedno słowo. Wiem, że to nie w twoim stylu... - Czuję, że chce powiedzieć coś bardzo ważnego, bo

mówi coraz ciszej - ale nawet gdyby było inaczej, to nie ma dla mnie znaczenia. Bo cię kocham, Anno.

Żeby słyszeć, co mówi, przysunęłam głowę tak blisko, że od razu mogę go pocałować.

- To dobrze, bo ja też cię kocham.

Siedzimy wpatrzeni w siebie - ja nad jagnięciną tikka, on nad kurczakiem biryani - z zachwytem i zdumieniem. Dwoje ludzi, którzy znów się zeszli po nieporozumieniu. Klasyczne rozwiązanie historii miłosnej. Nadszedł moment, kiedy powinnam znaleźć się w ramionach Philipa, a potem już tylko bicie dzwonów weselnych i zawsze żyli szczęśliwie.

Ale z nami jest inaczej. Byłam mężatką i nie czułam tego, co dzisiaj. Kocham tyle rzeczy w Philipie; jego łagodność, dowcip i inteligencję, brązowe oczy. I kocham go również za to, że nie wprowadza się do mnie, by sprawować kontrolę nad moim życiem, by mnie przywłaszczyć. Zajęło mi czterdzieści jeden lat, żeby stać się niezależną.

- Kocham cię, ale nie chcę z tobą mieszkać.

Philip przyjmuje te słowa z wyraźną ulgą, a ja mimo wszystko czuję się urażona.

- To się dobrze składa, kochanie, bo nie mógłbym ci tego zaproponować. - Bierze mnie za rękę i patrzy głęboko w oczy, jakby miał się zaimponować. - Mam żonę.

W ostatniej chwili powstrzymuję się, by nie zapytać: „Dlaczego mi nie powiedziałaś?”, ale wyzwolona kobieta nie powinna pytać o takie rzeczy.

- Powiem ci o tym później, jeśli mogę... Wracamy do domu w milczeniu, unosząc między sobą ciężar tajemnicy Philipa. Kiedy siadamy przed kominkiem z kawą i brandy Philip wyznaje, że nienawidzi mówić o swoim małżeństwie.

- Czuję się jakoś nielojalny wobec Rosemary.

Rosemary jest alkoholiczką. Kiedy nie pije (co naprawdę oznacza: przewraca się, tańczy nago na ulicy, próbuje spalić kanapę, uwodzi sprzątacza), mieszka z Philipem w ich mieszkaniu w Notting Hill. Ale kiedy zaczyna pić, często próbuje popełnić samobójstwo i nie można jej zostawić samej. Wtedy opiekuje się nią jej przyrodnie rodzeństwo z Bromley. Poznałam ich w Gstaad. Philip zabrał ich na

urlop, którego wszyscy bardzo potrzebowali, kiedy Rosemary trafiła po raz kolejny do kliniki odwykowej.

Rosemary Gilham była typową samotną żoną, która nie ma się czym zająć. Zwolniła się z pracy („To była moja wina - mówi Philip - ja ją nakłoniłem do tego. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że nie będziemy mogli mieć dzieci”) i stopniowo popadała w rozpacz i depresję, że jest niezdolna zająć się ciążą, a jej jedynym zajęciem było pedantyczne sprzątanie nieskazitelnie czystego mieszkania i oczekiwanie na męża. Zaczęło się od dżinu z domowego barku i stopniowo doszło do butelek wódki ukrytych w rezerwuarze. („To moja wina... w ogóle nie piła, kiedy się poznaliśmy. 'Chodź Rosemary - namawiałem ją - jeden mały drink ci nie zaszkodzi.' ”)

- I nigdy nie pomyślałeś o rozwodzie?

- Pewnie, że tak. Ale nie mogę jej tak zostawić, prawda? Kiedy to mówi, kocham go jeszcze bardziej.

Felicja

To fantastyczne z jaką łatwością mi się wstaje tutaj na wsi. W St. John's Wood zawsze miałam z tym trudności. W weekendy wylegiwałam się w łóżku do dziesiątej, myśląc leniwie, jak przyjemnie nie musieć nic robić.

Oczywiście tutaj kładę się spać dużo wcześniej; głównie z powodu wyczerpania pracą fizyczną. Chris namówiła mnie na założenie ogródka błotnego nad brzegiem strumienia, więc większość wczorajszego przedpołudnia spędziłyśmy na toczeniu taczek pełnych wilgotnej ziemi. Dlatego wczoraj poszłam spać przed dziećmi, prosząc przedtem Sarę, żeby się nie przepracowywała i pod żadnym pozorem nie pozwalała Emmy i Harry'emu oglądać horroru w telewizji.

Wypuściłam psy na dwór. Sadie bardzo się postarzała; a cóż to? - Sadie całkiem energicznie rozprawia z jednym ze szczeniaków Kitten, który pozwala sobie nazbyt wiele wobec niej.

Muszę jutro wyjechać przed ósmą, żeby dotrzeć do Marry Wentworth przed dziesiątą (niestety nie udało mi się, jak gorliwie zapewniał Antony, znaleźć krótszej drogi). Ale przed wyjazdem muszę jeszcze wyrzucić gnój ze stajni Rakiety; dobrze, że go przynieśliśmy, bo noce są już coraz chłodniejsze. I przydałoby się jeszcze poćwiczyć pół godziny na pianinie. Bridget Carrick namówiła

mnie, żebym dołączyła do ich zespołu kameralnego. Ostatnio przygotowujemy trudny utwór Schuberta.

Ujeżdżam nową klacz Mary, imieniem Eastern Fire („może być dość zwawa, uważaj Fel, była wczoraj strzyżona”), kiedy podchodzi do mnie Peter Wentworth. Zastanawiam się, czego może chcieć.

- Dzień dobry pani, Felicjo... - Uskakuje przed tylnymi kopytami Eastern Fire, którymi klacz niebezpiecznie wywija. - Jest dziś trochę niespokojna, prawda?

- Potrzebuje trochę pobiegać. Czy pan zwykle o tej porze nie jest w Londynie? Oczywiście bardzo miło pana widzieć... stój spokojnie, głupie zwierzę.

- Postanowiłem zrobić sobie dziś wolne.

- Ale wszystko w porządku po tym, jak „Patterson Warbeck” przejął „United Grip”? Mary mówiła, że kieruje pan teraz działem marketingu. Natychmiast się uspokój - wołam do Eastern Fire, która rzuca się w stronę jednego z psów Mary.

- Szczerze mówiąc, Felicjo - mówi Peter kładąc rękę na szyi Eastern Fire, jeśli o mnie idzie, nie mogło się stać lepiej. Większe pieniądze, szerszy zakres pracy i mniejsza odpowiedzialność, kierując reklamą obu połączonych spółek.

- Znakomicie. - Wołałabym, żeby już sobie poszedł i pozwolił mi okiełznać tę dziką klacz. Popędzam ją łydkami i rusza z zapalem w stronę, gdzie Mary trenuje Fireburg. Peter Wentworth śpieszy za nami. Powinien włożyć kalosze.

- Właściwie, Felicjo, chciałbym o coś zapytać... Potrzebuję pewnej informacji. Zależy mi bardzo, żeby to Antony prowadził kampanię naszej serii ekologicznej, jesteśmy zadowoleni z jego ostatniej reklamy... lecz Alex Staleybridge... zna go pani?... Stanowczy gbur, nie chce słyszeć o nikim poza Anną Browning. Jak by nie było, to jego spółka. Już sądziłem, że będę się musiał poddać, ale nieoczekiwanie doszła mnie zupełnie niezwykła wiadomość... nie może jej pani jakoś uspokoić?

- Przepraszam... spokój, maleńka... Jaka to wiadomość?

- Podobno Anna Browning jest w ciąży, ma zamiar wyjść za mąż i rzucić pracę. Jeśli to prawda, będę miał prawo nalegać, by ta reklama poszła do agencji Antony'ego. Więc pomyślałem, że pani może coś wiedzieć...

- Peter, proszę mi dać pięć minut, Eastern Fire musi się przebiec.
- Idzie oczywiście o pięć minut do namysłu. Kto, na litość boską, puścił tą idiotyczną plotkę? Przed paru laty Anna mówiła mi, że nie może mieć już dzieci.

Nagle przypominam sobie o błękitnookiej uwodzicielce z „Private Eye”. To przecież Antony! Jak mógł? I jak mam teraz postąpić?

Czy być lojalną żoną i powiedzieć Peterowi: „Tak, to prawda. Poznała wspaniałego człowieka, adwokata i...?”

Czy też lojalną przyjaciółką i powiedzieć: „Kompletna bzdura, Anna ma podwiązane jajniki...?”

Kiedy wracam do domu, Laura czeka na mnie w bramie.

- Pani Carrick dzwoniła. Prosiła, żebyś przyszła na próbę zespołu nie o czwartej, lecz o piątej, bo ma jakieś zebranie.

- Dziękuję, kochanie.

- Czy coś cię boli?

- Musiałam dziś podjąć decyzję i nie wiem, czy podjęłam słuszną.

Powtarzam Laurze plotkę o Annie. W końcu pracowała u niej w biurze i orientuje się w sytuacji.

- I co powiedziałaś temu Peterowi Wentworthowi?

- Prawdę...

- Tego się właśnie spodziewałam. Zawsze nas chwaliłaś za mówienie prawdy.

- Wiem, ale... Antony musi być zdesperowany. Czuję się, jakbym go zawiodła.

- To idiotyczna plotka, ale wystarczyło zapytać o to Annę.

- Nie znasz ludzi w reklamie... wszyscy bez przerwy kłamią i są skłonni uwierzyć w każdą rzecz. Zresztą zanim by wykryli, że to nieprawda, zlecenie poszłoby do Antony'ego i nie można by mu go odebrać.

- Co Antony powie, kiedy się dowie?

- Mam nadzieję, że nigdy się nie dowie.

Anna

Sandra jest podenerwowana, co się jej nigdy nie zdarza.

- Jestem okropnie niespokojna, Anno. Stanowczym gestem wrywa mi pocztę z rąk. - Nie masz teraz na to czasu. Już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz.

- Jest dopiero dziesiąta.

Philip i ja wstaliśmy dziś później o pół godziny. „Zapracowujesz się na śmierć, a ja nie mam nic ważnego aż do jedenastej” - powiedział, przyciągając mnie do siebie.

Sandra wkłada mi płaszcz, który dopiero co zdjęłam.

- Peter Wentworth dzwoni od dziewiątej. Ma do ciebie coś bardzo pilnego. Obiecałam, że od razu przyjedziesz.

- Sandra, przestań histeryzować.

Widok przerażonej Sandry działa na mnie dziwnie uspokajająco. Z całkowitym spokojem myślę, że tak wczesny telefon oznacza złe wieści. Peter Wentworth powie mi, że całą reklamę powierza „Forester - Jones Friend Lock”.

- Proszę wejść, pani Browning. My się jeszcze chyba nie znamy. Jestem Peter Wentworth.

- Bardzo mi...

- Kawy? - Poproszę...

- Paulino, proszę kawę dla pani Browning. Czarną? Ze śmietanką? Cukier?

- Czarną, jeśli można.

- Proszę podać wszystko, Paulino. A więc, o co chodzi z tym pani odejściem?

Moim odejściem? Czy on wie o czymś, o czym ja nie wiem? Staram się ukryć osłupienie, w jakie wprawilo mnie jego pytanie.

- Tak właśnie myślałem. - Peter Wentworth przygląda mi się podsuwając tacę z trzema rodzajami cukru. Dzięki Bogu, że nie słodzę kawy i przynajmniej w tej sprawie nie muszę podejmować decyzji.

- A zatem nie minę się z prawdą, jeśli powiem, że nie jest pani w ciąży, nie wychodzi za mąż i nie rzuca pracy?

- Zgadza się, we wszystkich trzech przypadkach.

- Potwierdza się, co powiedziała Felicja.

Felicja? To najdziwniejszy wywiad, jakiego kiedykolwiek udzieliłam.

- Powiedziała, że to nieprawda. Zapytałam ją, bo krążyły plotki, że zamierza się pani wycofać z interesu, poślubić jakiegoś adwokata i

zająć się wychowywaniem dzieci. Przepraszam, jeśli panią dotknąłem tym wypytywaniem.

- Nie, skądże znowu. - Niezły pomysł, Antony, myślę z goryczą.

- Mieliśmy zamiar zlecić pani obsługę reklamową połączonych spółek, ale nie mogliśmy tego zrobić, sama pani rozumie, skoro postanowiła się pani wycofać...

- Oczywiście, że rozumiem.

- Szczerze mówiąc, pani Browning, planowałem do tej pracy pana Forester - Jonesa, ale Staleybridge nalegał na pani agencję. Ja oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Podoba mi się pani praca i jestem pewien, że dobrze się nam ułoży.

Tydzień później czytam w naszej prasie: „Debiut Agencji Anny Browning dla 'Patterson Warbeck/UG' za 40,5 miliona funtów”. Kilka akapitów na stronie piątej informuje, że po stracie „United Grip” i dwóch innych poważnych klientów, Antony Forester - Jones wycofał się z zarządu „Forester - Jones Friend Lock”. Jego miejsce zajmą Seamus Hagerty i Philippa Cordington z „J. Walter Thompson”, którzy podejmą się przemian w agencji, zwanej teraz „Friend Lock Hagerty Codrington”.

Wszyscy w biurze są podekscytowani. Paul Banner chwyta mnie za ramię.

- Udało się, Anno, jesteśmy w pierwszej lidze, dzięki tobie.

Wiem, komu dziękować za to.

- Sandra - mówię - chciałabym zadzwonić ze swojego gabinetu. Czy możesz mi podać numer Tisbury?

Felicja

Czy powiedziałabym Peterowi Wentworthowi prawdę, gdybym wiedziała, że Antony zostanie usunięty z zarządu w wyniku utraty zlecenia na serię ekologiczną? Chyba tak. W końcu pieniędzy nam nie zabraknie; Antony odłożył trochę pieniędzy, a moi rodzice też nie zostawili mnie w nędzy, więc mogłabym utrzymać White Walls z własnych pieniędzy.

Problem tylko w tym, czym zajmie się Antony. Mógłby wziąć pracę na pół etatu w Salisbury, ale nie wierzę, że to zrobi. Dziś przy śniadaniu powiedziałam:

- Kochanie, to cudownie mieć cię przy sobie cały czas. Ale... czy ty przypadkiem nie nudzisz się trochę? Jesteś taki energiczny, znudzisz się prędko takim szwendaniem.

- Nie mam zamiaru szwendać się, kochanie. O Boże... - zaczerpnął głęboko powietrza - jakie tu na wsi cudowne powietrze. Kiedy pomyślę o śmierdzącym tlenku węgla, którym oddychałem w Londynie...

- Nie możesz spędzać czasu na rozkoszowaniu się powietrzem.

- Tu jest mnóstwo do zrobienia. Wczoraj wieczorem postawiłem butelkę sherry w ogródku błotnym, który zakładasz. Czy wiesz o tym, że ma zły spadek? Jeśli strumień wyleje... a poza tym, uważam za szaleństwo, żeby mając tyle przybudówek nie hodować własnych kur. Zadzwońłem wczoraj do Ministerstwa Rolnictwa, przyślą mi trochę fachowej lektury.

- Świetny pomysł, że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

Wstał i dolał sobie kawy.

- I wiesz, czego nam jeszcze potrzeba? - mówi zamyślony. - Prośnej maciory.

- Skoro tak mówisz. Chyba dzwoni telefon.

Anna i Felicja

- Felicja?

- Anna? Właśnie się dowiedziałam. Gratuluję. Musisz skakać z radości.

- Prawie... dzięki tobie, Felicjo. - A za cóż to?

- Że powiedziałaś Peterowi Wentworthowi prawdę.

- Ach, nic takiego i tak by się dowiedział.

- Nie o to idzie, czy by się dowiedział czy nie... nie było ci pewno łatwo... a jak Antony?

- Tak, nie było mi łatwo... byłam gotowa skłamać dla niego... ale nie umiałam. Kiedyś odebrałam ci Antony'ego. Nie mam zamiaru odbierać ci teraz pracy.

- Fel, o to drugie miałabym więcej pretensji. Nigdy nie byłam taka szczęśliwa. A co u ciebie?

- O, znakomicie. Nie wiem, czy dzieci mówiły ci, że Kitten wygrała nagrodę na wystawie bullterrierów staffordshire hrabstw północnych... dostaliśmy subwencję w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy funtów dla „Wynford Players”... przyjęła mi się jedna z

sadzonek morwy, wszyscy mówią, że są bardzo trudne... a Bridget Carrick prosiła, żebym pokierowała Czerwonym Krzyżem. Tak dużo się dzieje. A w przyszłym tygodniu jadę do Walii filmować szczenięta collie, naprawdę nie wiem, czy uda mi się to wszystko pogodzić...

- To brzmi wspaniale. A Antony? Jak to znosi?

- Na razie jest trochę zagubiony, wiesz, jak to wygląda, kiedy po raz pierwszy przyjeżdża się tu na wieś. - Felicja patrzy w okno i widzi Antony'ego, który pomaga Chris załadować taczkę z ziemią do jej błotnego ogródka.

- Och, szybko przywyknie - mówi z czułością - tak jak my.